



**ANITA ANDERSON**

---



*TEN KTOŚ*

## *Rozdział 1*

Przepraszam, to jakaś pomyłka. Pan Bas Blackman nie ma żony.

- Ty biedna, naiwna kretynko! Przekaż mu tylko, że test jest pozytywny.

Kobieta wydała z siebie coś w rodzaju chichotu i rozłączyła się. Siedziałam oszołomiona w restauracji, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, gdzie jestem. Wpatrywałam się w komórkę, jakby mnie właśnie ugryzła i zamierzała to powtórzyć przy moim pierwszym ruchu. Niestety, od razu wiedziałam, że kobieta ma rację. Nie w kwestii naiwnej kretynki, ale istnienia żony Basa. Rozmaite sprawy, pozornie nieistotne, zaczęły układać się w całość. Było tego tyle, że włosy stanęły mi dęba na głowie i ułożyły się w słowa „nieuleczalna głupota”.

Rozejrzałam się machinalnie, przekonana, że wszyscy na mnie patrzą, i od niechcienia przyglądałam włosy. Czeszę się gładko, ale kiedy jestem rozemocjonowana, włosy skręcają się, jakby z czaszki buchała mi para. Cóż, pewnie buchała. Dziesięć minut temu byłam zakochana w cudownym facecie, dumna z tego, że jestem jego współniczką w milionowej firmie, której poświęciłam cztery lata. Nasze życie - nieustanne podróże, bogactwo i dużo dobrego seksu - wydawało się snem. Cóż, z każdego snu trzeba się kiedyś obudzić.

Tak bardzo chciałam wierzyć w Basa. Wysiliłam umysł, próbując zinterpretować jakoś inaczej ten telefon, ale jak można zinterpretować żonę? Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie. Mieszkał w małym, ale eleganckim apartamencie na Piątej Alei, tak bezosobowym jak hotel, bez zdjęć i osobistych akcentów. Myślałam, że takie pozornie niezamieszkane wnętrze jest typowe dla kawalera, nie przyszło mi do głowy, że to garsoniera żonatego faceta.

Siedziałam w nowojorskiej restauracji w ciepły majowy wieczór i czekałam na Basa. Był już spóźniony, widocznie spotkanie z klientem się przeciągnęło. Szybko kazałam kelnerowi uzupełnić kieliszek. Nowojorskie drinki są solidne, niepodobne do tego, co człowiekowi wymierzają kropłomierzem w moim rodzinnym Londynie.

- Niech będzie podwójny - dodałam.

Czyta się często o różnych stadiach żalu po utracie kogoś bliskiego - najpierw przychodzi negacja, potem gniew i tak dalej. Nie myślałam jasno. Ale nie zatrzymując się nawet na kawę w fazie negacji, przeskoczyłam od razu do furii. Chyba mogłabym wywołać wielki pożar San Francisco. A furie podsycał lęk.

Zanim zdołałam cokolwiek przemyśleć, zjawił się Bas. Nie ruszyłam się, kiedy się nade mną pochylił, odwróciłam tylko głowę, żeby wyrznąć go czachą w nos. Przytrzymał się za twarz, roześmiał i umieścił za stołem swoje smukłe ciało, podczas gdy kelner kłamał się, dwoił i troił. Wręczył menu, moje było bez cen. Bas zignorował kartę,

zamówił homara, a potem popatrzył na mnie. Ponieważ milczałam jak zakłeta, zwrócił się do kelnera:

- Dwa razy to samo. I szampan.

Odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął. Naprawdę wydzieliał ciepło i miał dość seksapilu, żeby obsłużyć harem. I kiedy był z tobą, poświęcał ci całą uwagę. Czulaś się naprawdę ważna, największa szczęściara na tej planecie. Prawie wszyscy kochali Basa, a teraz pomyślałam, że prawdopodobnie wszyscy też z nim spali. No dobrze, wszystkie. Łudząc się jeszcze, że tak nie jest, powiedziałam:

- Przed chwilą dzwoniła twoja żona. Przełączono na mnie telefony do biura. Kazała ci powiedzieć, że test jest pozytywny.

Minęła chwila, dwie, zanim dotarła do niego treść tych słów, a uśmiech zaczął przypominać sadzone jajko, w które ktoś wbił widelec.

- Caron, skarbie, tylko się nie denerwuj. Wiem, że powinienem ci powiedzieć. Ale pomyśl o tym w ten sposób: nic się nie zmieniło z wyjątkiem twojego pojmowania sytuacji. Nadal mamy to samo cudowne życie i razem prowadzimy interes. Nadal będę w podróży cztery dni w tygodniu. Przykro mi, że ona do ciebie zadzwoniła. Moja komórka się rozładowała, dlatego nie mogłem cię zawiadomić, że się spóźnię. I dlatego ona zadzwoniła do biura. Obiecuję, to się nie powtórzy. Musisz przyznać, że to pierwszy raz od czterech lat.

Sięgnął po moją dłoń i dodał:

- Skarbie, kocham cię, liczę na ciebie i naprawdę nie chcę cię stracić.

Szybko cofnęłam rękę. Wolałabym, żeby ją obślinił ślimak. Z początku odebrało mi głos. Chyba spodziewałam się zaprzeczeń, może skruchy, przeprosin, może dalszych, lepszych kłamstw.

- Do diabła, Bas, chyba zupełnie zgłupiałeś! Co to znaczy: nic się nie zmieniło? Wszystko się zmieniło.

Spoważniał, jego oczy przebrały odcień intensywnego błękitu. Był to chłodny błękit oceanicznej głębi, w której chowają się rekiny.

- Nie myślisz jasno, Caron. Będziemy żyli dokładnie tak jak dotąd. Jestem dokładnie tym samym człowiekiem co przed godziną. I wiesz, że kocham cię do obłędu. Jedyne różnica, zresztą niewielka, polega na tym, jak ty to odbierasz. A rzeczywista sytuacja życiowa pozostaje dokładnie taka sama.

- Rzeczywista sytuacja jest taka, że zmarnowałam cztery lata z kłamliwym, oszukańczym draniem. A co z tym testem? Mnie też go zrobisz?

Uśmiechnął się.

- Chyba że jesteś w ciąży.

- Nie do wiary! Przy tym wszystkim, co nas łączyło, ty nadal sypiałeś z żoną!

- Inaczej się nie da, Caron. Pewnie zaraz o to spytasz, więc powiem od razu, że będzie to nasze czwarte maleństwo. W tym właśnie problem. Moja żona jest bez przerwy w ciąży, jedno dziecko po drugim, straciła zainteresowanie.

- Jesteś pewien, że przez to? Ja nie jestem w ciąży, a też straciłam zainteresowanie.

Czy kiedykolwiek go kochałam? Czy prawdziwa miłość może się tak po prostu skończyć? Jak mleko w kartonie? Jak film w kinie? Jak dziecięca fascynacja rosołem z makaronem?

Zapadła cisza. Kelner nalewał szampana i wykonywał wokół Basa taniec pod tytułem „Wielki napiwek”. Wykorzystałam przerwę w rozmowie, żeby przyjrzeć się Basowi. Nagle człowiek, którego kochałam, z tą swoją piękną twarzą, urokiem osobistym i inteligencją, zaczął się rozpyływać w powietrzu. Jakby był całkiem pusty w środku. Żadnego serca, umysłu, żadnego układu pokarmowego. Szampan prawdopodobnie wypłynie z niego, jak woda z tych gołych posągów na rzymskich fontannach. Od pompy do penisa jednym strumyczkiem.

- Posłuchaj, Caron - powiedział z lekkim niepokojem. - Nie myśl nawet o jakichś dramatycznych gestach. Takie rzeczy są na porządku dziennym. I wszystko się świetnie układa.

- Nie zawsze, Bas. Pewna żona obcięła rękawy we wszystkich markowych garniturach swojego męża. Inna oddała rzeczy męża organizacji charytatywnej. Jeszcze inna sprzedała mężowskiego porsche za dwadzieścia dolarów. Ale najlepsza była ta, która obcięła mężowi fiuta.

Twarz Basa poróżowiła, a na czoło wystąpiły drobne kropelki potu.

- To nie jest śmieszne, Caron. I nie zapominaj, że nie jestem twoim mężem. Miałem na myśli te przypadki, no wiesz, pozaślubne.

Moja furia trochę zelżała, na tyle, że zamiast wywoływać wielki pożar, mogłabym wstać i wrzeszczeć, rozbijając głosem lustra za barem.

- Może i jesteśmy przypadkiem pozaślubnym, ale co z biznesem? Pomogłam ci go zbudować od zera i część należy do mnie. - Właściwie umówiliśmy się, że on wkłada pieniądze, ja prowadzę firmę. A po dziesięciu latach jestem pełnoprawnym współnikiem i współwłaścicielem.

Uśmiechnął się do mnie łagodnie i wyraźnie się odprężył. Zdumiewające! On naprawdę uważał, że nic się nie zmieni.

- Rzecz wygląda tak - powiedział. - Formalnie nie masz kompletnie nic. I to jest, kochanie, jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy zostać razem.

Pochyliłam się nad stołem i odwzajemniłam uśmiech.

- Pieprz się, Bas.

Zignorował mnie i jadł dalej. Wbiłam widelec w skorupę homara, rozkoszując się chrzęstem, i zostawiłam go tam, myśląc gorączkowo, prawdopodobnie równie

gorączkowo jak jeszcze niedawno homar. Nasz los został przypieczętowany w tej samej godzinie.

Nie jestem święta, ale to była wysoka cena za zaufanie, miłość, wiarę. Z drugiej strony, była to prawdopodobnie znormalizowana stawka za naiwną nadzieję. Kiedy w zbroi Basa ukazywała się rysa, udawałam, że jej nie widzę. Dziwne uwagi jego długoletniej sekretarki kładłam na karb jej staroświeckości. I nie zastanawiałam się, dlaczego jego tydzień pracy obejmuje niedzielę. Ani dlaczego trzydziestodwuletni mężczyzna musi odpoczywać po każdym locie. Zakochany mężczyzna odpoczywałby, Kochając się z tobą w niedzielną noc. Cóż, teraz wiem, że to właśnie robił.

Bas rzucił serwetkę na stół i przywołał kelnera.

- Muszę zdążyć na samolot. Naprawdę mi przykro, skarbie, ale, jak wiesz, ten kontrakt jest wart milion. - Znów spróbował wziąć mnie za rękę, cofnęłam ją, zahaczając o widelec, który nadal tkwił w homarze. Skorupiak wylądował z cichym plaśnięciem na dłoni i mankiecie Basa.

- Caron, skarbie, niech to wszyscy diabli! - powiedział, cierpliwie wycierając się serwetką. - Musimy to jakoś załatwić, a ja nie mam wiele czasu. No już, nakrzyycz na mnie, wyzwij mnie od ostatnich. Miejmy to już za sobą.

- Oczywiście, Bas. Co powiesz na to? „Następnym razem, gdy się okaże, że masz żonę i czwórkę dzieci, między nami koniec!” Albo: „Do cholery, Bas, jeszcze raz się ożenisz, a zobaczysz!” Powrotu nie ma, po pierwsze dlatego, że nastawiałeś bombę zegarową z początkiem każdego roku, a po drugie, nie zadaję się z żonatymi facetami. Specjalnie cię spytałam, a ty powiedziałeś, że jesteś wolny.

- Ależ, Caron, przecież jesteś nowoczesną kobietą. Wiesz, że wszyscy mężczyźni tak mówią. Poza tym, skarbie, to dlatego, że nie śpieszyło ci się do ślubu, a ja wiedziałem, że nasz związek wypali.

- Może mam awersję do małżeństwa, Bas. Ale mam również awersję do żonatych mężczyzn, a ty okazałeś się najgorszym gatunkiem. Nie uwierzę już w ani jedno twoje słowo.

Tak naprawdę wcale nie mam awersji do małżeństwa i wierzyłam, że pewnego dnia pobierzemy się z Basem. Ale mówiąc mu o tym teraz, zachowałabym się jak ktoś przejechany przez taksówkę, kto woła za kierowcą: „Hej, wróć pan! Mam złamaną tylko jedną nogę!”

Bas wziął rachunek podany na małej srebrnej tacy, dyskretna aluzja, że w grę wchodzi napiwek pierwsza klasa. Kiedy nie ruszyłam się z miejsca, Bas powiedział:

- Posłuchaj, skarbie, każdy czasem skłamie. Właściwie to jest reguła, kiedy człowiek boi się, że straci kogoś, kogo kocha. Przemyśl to sobie. Posiedź tutaj, zamów dobry deser i jakąś kawę. Zapłać kartą kredytową, jak zwykle.

Ponieważ pilnie naśladowałam skamielinę, Bas okrążył stół i położył mi dłoń na ramieniu.

- Wrócę jutro w południe. Nie chcę, żebyś narobiła w tym czasie jakichś głupstw.

Uśmiechnął się, jakbyśmy byli w ukrytej kamerze i oglądał nas cały świat. Potem nachylił się i dodał:

- Wiesz, że nie chcę cię stracić, skarbie. Ale jeżeli odejdziesz, zrobię wszystko, żebyś nie dostała pensa. Ani żadnej pracy. A gdyby przyszła ci ochota narozrabiać, coś zdemolować, zniszczyć firmę... Cóż, nie mówmy już o tym. Po prostu przemyśl to sobie.

- Wiesz, jak nie lubię wyjeżdżać zmartwiony - pochylił się jeszcze niżej. - Co powiesz na buziaka?

Zdumiewające, ale w ciągu tych czterech wspólnych lat nie mieliśmy z Basem scysji, jeżeli nie liczyć gorących debat na temat strategii firmy. Naprawdę traktował mnie jak równą sobie. Nigdy nie odczułam, że mi w jakikolwiek sposób zagraża. Teraz odkryłam, że na pozór doskonale jabłko zawiera dwie łyżki odpadów toksycznych. Kiedy się przysunął, powiedziałam:

- Bas, wolałabym pocałować grzechotnika, któremu jedzie z pyska.

Patrzyłam, jak idzie do drzwi, narzuca podany płaszcz, bierze od kogoś aktówkę. Może powinnam wstać i krzyknąć: „Łapać złodzieja!” Coś, co ukróciłoby jego arogancję. Nawet się nie odwrócił.

Ale nawet w tym momencie myślałam trzeźwo i wiedziałam, że mi się poszczęściło.

Zachował się jak ostatni drań, kompletny dupek, dzięki czemu nie będę żałowała. Jeżeli pomyślę o Basie w ciemną noc, to tylko po to, by wyobrazić go sobie posmarowanego miodem i przykutego kajdankami do ulla. W skorupce jajka na środku Atlantyku. Obsmażanego w maśle na chrupko jak krewetka. Te wizje wyraźnie mi pomogły, poczułam się prawie jak człowiek. Przede wszystkim zrobiłam się głodna.

Wiedziałam, że jeżeli przeniosę się do małej kafejki, nie przyjmą karty kredytowej, a teraz musiałam zdrowo oszczędzać. Powiedziałam więc kelnerowi, żeby uprzątnął stół i zaczął od nowa, przyniósł mi kilka kanapek z bekonem, sałatą i pomidorem i dzbanek kawy. Powiedział: „Kanapki podajemy tylko w barze”. Nigdy nie powiedziałby tego do Basa.

- A ja nie płacę, dopóki się nie najem. - Pomachałam rachunkiem jak chorągiewką i zmierzyłam się z kelnerem wzrokiem. Posłał mi zmrożony uśmiech. Cóż, rachunek opiewał na kilkaset dolców. Wiedząc, że wytworne restauracje po prostu nie znoszą, kiedy samotne kobiety mają czelność się guzdrać, postanowiłam się nie spieszyć.

Z torebki wyjęłam mały notatnik. Torebkę miałam od Gucciego, garsonkę od Armaniego. Przez te wszystkie wytworności zaczynałam się czuć jak drugorzędna aktoreczka ubierana przez dom towarowy. Oszustka, uzurpatorka. Nic nie zostaje po

ostatnim opuszczeniu kurtyny. Przypuszczam, że całe życie jest trochę takie, tyle że ja zmierzałam rozpocząć inny, lepszy etap.

Zaczęłam od zrobienia listy. Po pierwsze, dokąd pojechać? To było łatwe. Przeprowadzę się do Londynu, jedyne miasta poza Nowym Jorkiem, które dobrze znałam. Byłam kiedyś szczęśliwa w Londynie, a poza tym tam Basowi będzie trudniej zniweczyć moje szanse zawodowe.

Po drugie, środki trwałe. Oczywiście, ubrania. Za biżuterią niestety, nigdy nie przepadałam. Głupio bym się czuła obwieszona świecidełkami jak choinka. W prezencie Bas przynosił mi zwykle obrazy albo coś do mieszkania, rzeczy, które nie były w oczywisty sposób moje. Mieszkanko na Piątej Alei było własnością firmy. A firma została zapisana na nazwisko Basa. Kiedyś próbowałam to zmienić, ale Bas powiedział, że ze względu na podatki lepiej powiązać nową firmę z tymi, które już ma. A ponieważ finanse to była moja działka, nie miałam argumentów. Dalsze protesty oznaczałyby brak zaufania.

Niewielu rzeczy nauczyłam się w szkole na pamięć, ale teraz coś mi się przypomniało: „Jeżeli wierzyć lekarzom, nic nie jest zdrowe. Jeżeli wierzyć teologom, nic nie jest niewinne. Jeżeli wierzyć żołnierzom, nic nie jest bezpieczne”. Lord Salisbury żył oczywiście grubo przed Basem, ale gdyby go znał, dodałby: A jeżeli wierzysz Basowi Blackmanowi, przeczyść sobie dokładnie zwoje mózgowe.

Drobne pieniądze trzymaliśmy w biurze, które mieści się w naszym - to znaczy Basa - mieszkaniu. Mogłam je zgarnąć. To mi uświadomiło, że muszę się wynieść, zanim sekretarka przyjdzie rano do pracy. Mogłam również wyczyścić karty kredytowe. Niestety, niewiele na nich było. Bilet lotniczy do Londynu agencja turystyczna dopisze do rachunku.

Zrozumiałam, że muszę być ostrożna. Wyglądało na to, że Bas trzyma wszystkie asy, a nie chciałam, żeby mnie przymknęli za kradzież. Całkiem mnie ogłupił i wierzyłam bez zastrzeżeń, że firma jest wspólna. Więc kiedy zaproponował, żeby pakować w nią wszystkie dochody i brać tylko na wydatki, zgodziłam się. Przez cztery lata nie pobierałam pensji, nie miałam oszczędności i w nic nie zainwestowałam.

A jeżeli chodzi o umowę, cóż, nie istniała. Ale podpisałam tyle korespondencji, że bez wątplenia mogłabym udowodnić fakt zatrudnienia. Na szczęście, wszyscy pracownicy mają jakieś prawa. Ja miałam prawo wystawiać чеки do pięciu tysięcy dolarów. Postanowiłam więc, że sama się zwolnię i wypłacę sobie tę sumę jako odprawę. Jedna transakcja komputerowa i pięć tysięcy zostanie przelane na moje osobiste konto.

Była to żałosna rekompensata za ciężką pracę i osiemnastogodzinny dzień pracy. Kilka tysięcy funtów sterlingów i bilet lotniczy, żeby zacząć wszystko od podstaw. Będzie dobrze, jak znajdę jakiś sublokatorski pokój w Londynie. Cztery lata temu pięć tysięcy dolarów wydawałyby mi się bogactwem, ale w porównaniu z moją odroczonej

pensją i udziałem w firmie były niczym. Skończyłam kanapki, kawę i popatrzyłam na nowy rachunek przyniesiony przez kelnera. Żadnej srebrnej tacy tym razem, tylko zwykły kawałek papieru obok talerza. Podpisałam wydruk z karty kredytowej, nie uwzględniając napiwku. Potem pojechałam taksówką prosto do domu rodziców.

Kiedy byłam nastolatką, przeprowadziliśmy się z Londynu do Nowego Jorku, gdzie tacie zaproponowano katedrę na uniwersytecie. Ja skończyłam tu studia na wydziale biznesu i dostałam pracę w biurze maklerskim jako stażystka. Kobietom nie było tam łatwo, ale po pierwszej wielkiej transakcji zdołałam się przebić. Potem Bas, jeden z naszych najlepszych klientów, namówił mnie na założenie własnej firmy. Chodziłam z nim na randki i wkrótce zamieszkaliśmy razem. Rodzice gderali: „Tyle pieniędzy zmarnowanych na twoją edukację!” Uważali, że Bas jest lepki i śliski jak... jak kisiel. Nie lubili go i okazało się, że mieli rację.

Kiedy dotarłam do rodziców, najbardziej na świecie chciałam płakać, jęczeć, chciałam, żeby mnie pocieszano i tulono. Ale moja rodzina nie nadaje się do takich rzeczy. Rodzice mogliby być moimi dziadkami. Ojciec, zamknięty w swojej niedostępnej akademickiej wieży, zwykł mnie nazywać „małym, szczęśliwym wypadkiem”. Mówił to z czułością i najczęściej z dumą. Mama żyła głównie dla brydża.

Cóż, rodzice są tylko ludźmi, i nikt nie jest doskonały. Miałam szczęśliwe dzieciństwo i choć często nie rozumiałam słowa z tego, co mówił tata, zawsze mogłam dogadać się z mamą, jeśli tylko trzymałam się karcianej terminologii. Na przykład kiedy szłam na randkę, mówiłam, że tworzymy czwórkę. A kiedy coś spieprzyłam, broniłam się, że ktoś musiał zagrać ze stołu.

Powiedziałam im, co mi się przytrafiło z Basem. Zapadła długa cisza. Tak bardzo starali się nie powiedzieć „a nie mówiliśmy”, że uszy poczerwieniały im z wysiłku.

- To nie jest dobra wiadomość - odezwał się w końcu tata.

- Trzeba szukać dobrych stron - powiedziała mama. - Przy następnym rozdaniu proponuję, żebyś licytowała lepiej.

Prawdopodobnie chciała mnie podbudować, powiedzieć, że powinnam się bardziej cenić. A może po prostu próbowała mnie pocieszyć, bo dostał mi się taki marny partner w tym robrze.

Tata zapytał, czy ma mi wypisać czek. A mama powiedziała, że jeżeli chcę pozwać Basa do sądu, to zna z klubu brydżowego świetnego adwokata. As atutowy, tak go określiła. Ale już nie byłam ich małą córeczką, nie mogłam wrócić do czasów dzieciństwa, nawet gdybym chciała. Martwili się, kiedy przeprowadziłam się do Basa, ale teraz, kiedy stanęli przed perspektywą, że wrócę, zmartwili się jeszcze bardziej.

Skwapliwie zgodzili się, żebym przechowała u nich swoje rzeczy, aż znajdę własne lokum. Mama zadzwoniła do dawnych sąsiadów w Londynie i załatwiła mi u nich gościnę „do następnego rozdania”, jak się wyraziła. Nasze spotkanie nie trwało nawet



dwudziestu minut. Nie mogłam mieć do nich pretensji o to, że czują ulgę z powodu mojego wyjazdu do Londynu, bo pamiętałam moją własną radość z poprzedniej przeprowadzki.

Nie miałam poza nimi nikogo, z kim musiałabym się pożegnać. Straciłam kontakt z koleżankami z dzieciństwa, a w Stanach nie zdążyłam nawiązać przyjaźni w liceum. Nadal utrzymuję kontakt z niektórymi ludźmi z uniwerku, ale po studiach rozproszyliśmy się po świecie. W stałym związku łatwo się zapomina, że w ogrodzie życia wiecznie zielonymi drzewami są właśnie przyjaciele. Kochankowie przypominają raczej kwiaty, ładne i kolorowe, dopóki nie zwiędną. A ja głupia myślałam, że Bas to coś poważnego. Tymczasem był odnogą trującego bluszczu, który wzięłam za słodki groszek. Trochę się dziwiłam, dlaczego ma tylko współpracowników i żadnych przyjaciół, teraz rozumiem, że prowadził drugie życie. Byłam mu potrzebna do łóżka i sali konferencyjnej.

Weszłam do mieszkania przy Piątej Alei, stanęłam w drzwiach i patrzyłam. Sądziłam, że będzie mi przykro opuścić takie wspaniałe miejsce, ale jak wszystko związane z Basem, teraz skojarzyło mi się z planem filmowym. Cóż, życie zbudowane na kłamstwach jest fantazją, fikcją. Potem przemknęłam przez apartament jak błyskawica, opróżniłam szafy i szuflady szybciej niż rasowy włamywacz. Jeżeli nie wyjadę przed powrotem Basa, cała gadanina zacznie się od początku. Bas przyjedzie pewnie z prezentami i będzie odgrywał skruszonego grzesznika. Bóg jeden wie, ilu ludzi spędziło życie w piekle, ponieważ wydawało im się, że łatwiej zostać niż odejść. Wcale nie jest łatwiej, bo brodząc tyle lat w mętnej wodzie, traci się siły i czujność. A piranie tylko na to czekają.

W pierwszej kolejności spakowałam wszystko, co dawało się zabrać do samolotu. Skoro podróżowałam na koszt firmy, mogłam kupić bilet pierwszej klasy, wtedy nie wazono bagażu zbyt dokładnie. Ale zabukowałam turystyczną. Miałam silną, graniczącą z paniką potrzebę czegoś rzeczywistego. Wydostania się z tego marnego planu filmowego i rozpoczęcia życia na nowo. Trudno o coś bardziej rzeczywistego niż miejsce w tyle samolotu.

Po godzinie sześć kartonów i wszystkie torby podróżne Basa, zapakowane i opisane, były już w taksówce i w drodze do moich rodziców. Część zostanie wysłana na mój nowy londyński adres, a część będzie przez jakiś czas pokrywać się kurzem. Prawnie wszystko w mieszkaniu należało w połowie do mnie. Ale nie było tam żadnych wartościowych przedmiotów w rodzaju noża do papieru wysadzanego brylantami albo solidnej wazy ze złota, którą mogłabym wrzucić do walizki. Zresztą postanowiłam być praktyczna. Zabrałam sporo ubrań, przydadzą się, kiedy będę szukała pracy. Już i tak miałam torbę rzeczy, które będę musiała włożyć na siebie przed wejściem do samolotu.

Ponieważ Bas nie chciał dać mi referencji, zapakowałam dyskietki projektów, nad którymi pracowałam, i które będą musiały zastąpić moje CV. Bas bał się hakerów i

dlatego nie trzymaliśmy tych materiałów w komputerze. Zwykle kładłam je do długiej wąskiej pozytywki. Była to jedna z moich ulubionych rzeczy, malowana na żywe dzieciinne kolory, i cudownie absurdalna. Więc ją też wzięłam.

Była trzecia rano, taksówka miała przyjechać dopiero za dziesięć minut. Kusiło mnie, żeby wykorzystać ten czas na zdemolowanie mieszkania. Ale tak długo było w połowie moje, że czułam się jak ktoś, kto pluje do własnego talerza. Więc otworzyłam butelkę szampana i napełniłam kieliszek. Rozglądałam się, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniałam, kiedy mój wzrok padł na obraz nad marmurowym gzymsem kominka. Świetny obraz. I mały. Dlaczego nie?

Podczas gdy taksówkarz ładował bagaż, dość niechętnie jak na kogoś, kto dostał wysoki napiwek, zamknęłam mieszkanie, wsunęłam klucz pod drzwi i usadowiłam się na tylnym siedzeniu taksówki z kieliszkiem i butelką szampana.

- Bąbelki? - zagadnął kierowca, pędząc przez nowojorskie ulice, które nie są puste nawet w środku nocy. - Co oblewamy?

Odprężyłam się po raz pierwszy od telefonu z Chicago. Te dziewięć godzin między informacją, że Bas ma żonę a opuszczeniem mieszkania, nie sprzyjały rozmyśleniom. I nie był to odpowiedni czas na świętowanie czegokolwiek. Był to czas na panikę, rozpacz i smutek z dodatkiem strachu i wstydu.

Teraz ogarnęło mnie wyczerpanie pomieszane z niedorzeczną radością, szybowałam nad ziemią, świadoma, że lada chwila zlecę.

I przyszedł mi do głowy jeszcze jeden cytat - albo bąbelki tak na mnie działały, albo taki mam umysł. To była chyba Christina Rossetti: „O wiele lepiej zapomnieć i uśmiechać się, niż pamiętać w smutku”. Próbowałam się uśmiechnąć i twarz mi się nie rozpadła. Popiłam szampana i uśmiechnęłam się jeszcze raz.

- Pewnie, że oblewamy - powiedziałam do kierowcy. - Zaczynam zupełnie nowe życie. - Muszę tylko pamiętać, żeby się znów nie zakochać. No, może nie tylko. Podskoczyłam jak oparzona, kiedy zadzwoniła komórka.

## Rozdział 2

Bas był jak uporczywy ból zęba. Ledwie pomyślisz, że wreszcie minął, odetchniesz z ulgą, a on wraca i z nową siłą wwierca się w szczękę. Miałam ochotę wyrzucić komórkę za okno. Ale przy moim obecnym szczęściu złapałby ją policjant.

- Caron, skarbie, wiem, że jest środek nocy, ale trochę się o ciebie martwię. Spałaś?

Bardziej prawdopodobne, że martwił się o siebie. Kiedy chciał iść spać, mówił: „Wyglądasz na zmęczoną, skarbie. Kiedy był głodny, mówił: „Zdaje się, że umierasz z głodu”.

Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam:

- Nie, Bas. Siedzę sobie i pijam szampana.

Usłyszałam jego westchnienie ulgi.

- Dzięki Bogu, skarbie. Martwiłem się, że zrobisz jakieś głupstwo.

- Niczego nie zdemolowałam. Nie podpaliłam mieszkania. A może myślałeś, że cię zostawię? Bas, czy zrobiłabym coś takiego?

Roześmiał się, więc mu zawtórowałam. Po chwili śmiał się również taksówkarz. Śmiech jest prawie tak zaraźliwy jak ziewanie.

- Postąpiłem bardzo nieładnie, Caron, i chcę ci to wynagrodzić. Co to za hałas?

- Nalewam sobie szampana.

- Moja Caron! Nie wiem, dlaczego się tak martwiłem. Powiniennem pamiętać, jaka jesteś rozsądna, że wypijesz parę drinków i uznasz tę historię za niebyłą.

Najwyraźniej sam sporo wypił i uznał swoje małżeństwo za fakt niegodny uwagi, jak mandat za złe parkowanie. Płacisz i zapominasz, a następnego dnia i tak parkujesz, gdzie chcesz.

- Jesteś w łóżku, skarbie?

- Niezupełnie, Bas.

Zaśmiał się i zapytał żartobliwie: - A jesteś sama?

- Tak, jeżeli nie liczyć jednego pana.

- Kogo?

- Nie wiem, jak się nazywa. Mogę go spytać, jeśli chcesz. Znów się roześmiał.

- Przynajmniej nie straciłaś poczucia humoru. Do zobaczenia w południe. Kocham cię, skarbie.

Musiałam coś odpowiedzieć, a nie chciałam, żeby to było coś okropnie niegrzecznego, przynajmniej do dziesiątej rano, kiedy bank przeleje pieniądze na moje konto.

- Bas, wznoszę toast. Za moje nowe życie!

- To takie pozytywne, Caron! Za twoje nowe życie. Jestem pewny, że będzie o wiele lepsze od starego.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - Rozłączyłam się i wrzuciłam komórkę do torby w chwili, gdy taksówka zajęła przed budynkiem lotniska.

Przed Basem z reguły podróżowałam w klasie sardynkowej. Czasem, kiedy się wystroiłam od głowy do pięt, brali mnie omyłkowo do pierwszej. Teraz nie było na to szans, chyba że uznaliby mnie za Marsjanę i przyznali separatkę. Nie zdołałam spakować wszystkiego, choć wykorzystałam wszystkie wolne torby, swoje i Basa. Tak więc, byłam jedyną osobą tego lata ubraną w buty podszyte futerkiem, zimowy płaszcz do kostek, tweedowy kostium Diora i białą lnianą bluzkę. Nie opiszę wszystkich drobiazgów wystających z kieszeni. Nawet gdybym podświadomie próbowała uniknąć męskiego zainteresowania do czasu, gdy moje ego podleczy rany, nie osiągnęłabym lepszych rezultatów, chyba że przypięłabym do klapy odznakę obyczajówki.

Zrobiła się wielka draka, kiedy odprawiłam dwie torby ekstra, płacąc firmową kartą kredytową. Samolot był prawie pełny i bali się nadwagi. W kolejce przede mną stała z setka osób, drugie tyle za mną. Nie jestem uosobieniem słodyczy i uroku o piątej trzydzieści rano, więc w końcu dali za wygraną. Pod płaszczem miałam obraz w reklamówce Armaniego, do tego torbę podręczną, laptop i jeszcze jedną reklamówkę. Ta również powędrowała pod płaszcz. Pytali mnie o bomby i przyglądali się podejrzliwie, bo sama wyglądałam jak bomba. W sumie nie rozpoczęłam tego nowego życia zbyt elegancko.

Podczas kontroli paszportowej facet zapytał, czy wybieram się do Rosji. I oczywiście uruchomiłam alarm, przechodząc przez rentgena. Pomyślałam, że to pewnie te dyskietki w torebce. Prześwietlili je trzy razy, wymazując prawdopodobnie wszystkie dane. Okazało się, że problemem jest sześć opakowań miętówek. Kobieta nie mogła uwierzyć, że winę ponosi folia, w którą są owinięte, więc przesuwiała po mnie pałką w górę i w dół. To oznaczało, że przynajmniej stu współpasażerów będzie spoglądało na mnie w samolocie ze smutkiem na zatroskanych twarzach.

W międzynarodowej hali odlotów poszłam prosto do kawiarni, częściowo się rozebrałam i po dwugodzinnym oczekiwaniu na lot o siódmej trzydzieści odzyskałam zimną krew. Właściwie zaczynałam czuć się jak człowiek, kiedy ogłoszono krótkie półgodzinne opóźnienie. Siedziałam, wstrzymując oddech. Kontrolerzy na wieży zawsze ogłaszają krótkie opóźnienie. Nawet wtedy, gdy wiedzą z całą pewnością, że samolot rozbił się nad Islandią.

Kiedy zakomunikowano dalsze godzinne opóźnienie, byłam zlana potem, jakbym przez dwie godziny grała w tenisa. No, może piętnaście minut. Wiedziałam już, że nawet jeśli nie nastąpią dalsze opóźnienia, nie wylecę przed przyjściem do biura sekretarki Basa. Kiedy w końcu wezwali nas na pokład, ulżyło mi tak, że ledwo mogłam wstać z krzesła.

Wtedy zadzwoniła komórka. Miałam ochotę ją zignorować, ale przy moim dziwnym wyglądzie nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby popiskiwać.

- Caron? Zadzwoniłem do biura, żeby uprzedzić, że się spóźnię i dowiedziałem się, że ciebie tam nie ma.

- Nie ma mnie tam, Bas, bo jestem tutaj.

- Gdzie?

- Na litość boską, Bas, nie wygłupiaj się. Poszłam kupić miętówki, między innymi. Czy to ci wystarczy, czy podać szczegóły?

- Nie złość się, skarbie. Ale po tym, co się stało, musimy sobie wzajemnie ufać.

Ufasz mi?

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Bas, to nie ja wydzwaniam co parę minut. Słuchaj, muszę lecieć. I przestań mnie kontrolować!

- Przepraszam, Caron. Ale tak bardzo cię kocham. Poszedłbym za tobą na koniec świata, gdybym cię kiedyś stracił. Rozumiesz to, skarbie?

- Aż za dobrze, Bas. Muszę iść. Ktoś mnie woła. - Rozłączyłam się, powkładałam na siebie z powrotem resztę rzeczy i pobiegłam do samolotu. Wzywali mnie już niecierpliwie po nazwisku. Ktoś lubiący rozgłos byłby zachwycony, bo kiedy już weszłam na pokład, patrzyli na mnie absolutnie wszyscy.

Stewardesa upierała się, że mam za dużo podręcznego bagażu. Nie mogłam oddać torebki, w której miałam paszport i pieniądze, ani obrazu, bo bałam się, że zarysują, więc kobieta pazernie chwyciła laptopa. Potem pokonałam ostatnią milę do mojego fotela. Nadal miałam na sobie osobistą saunę. Mój nos był czerwony. Reszta prawdopodobnie też, ale dawało się zobaczyć tylko nos. Pasażer obok był uroczy w najgorszym znaczeniu tego słowa. Słodki, różowy, pulchny i pachnący z lekka zasypką dla niemowląt. Trochę jak współczesny bajkowy ojciec chrzestny, który dopiero co przekroczył dwudziestkę. Jak tylko zgasł napis „zapnij pasy”, wstał i przysiadł na oparciu fotela po drugiej stronie przejścia. Siedział tam chyba jakiś jego znajomy. Cóż, nawet gdybym była jego znajomą, nie chciałabym przy nim siedzieć. Ale dzięki temu zyskałam drugie miejsce i mogłam zdjąć z siebie trochę rzeczy.

Jedzenie było zdumiewająco dobre. Wołowina, pieczony kurczak, żeberka i sola do wyboru. Ciekawe, co jedli w pierwszej klasie. Ostatnim razem, gdy podróżowałam turystyczną, miałam do wyboru, czy wstać, czy usiąść.

Zamierzałam wykorzystać czas w samolocie na to, by stać się kimś innym, by oswoić się ze swoim nowym wizerunkiem osoby pozbawionej Basa, łóżka i pieniędzy. Przede wszystkim uznałam, że się odkochałam. Po prostu kochałam kogoś, kto nie

istnieje, kto był zupełnie innym człowiekiem, niż sobie wyobrażałam. Nie podobała mi się wizja świata całkowicie pozbawionego miłości, więc nie mogłam dojść do prostego wniosku, że miłość jest do chrzanu.

Nie ma nic gorszego niż oszustwo, brak zaufania. Nie sędzę, żebym mogła kochać kogoś, komu nie ufam. Ludzie to robią. Wielu notorycznych kłamców ma żony. Przypuszczam, że one się dostosowują. Może wiedziały od początku, w co się pakują, i miały to gdzieś. Kiedyś myślałam, że kocham misie. Ale zbliżenie wielkich niedźwiedzi zębów na ekranie całkowicie mnie z tej sympatii wyleczyło. Miłość powinna być ciepłym, miłym uczuciem. Powinna mieć przewagę nad nienawiścią. Jeśli ktoś cię nienawidzi, wiesz przynajmniej, czego się spodziewać. Może dla Basa kłamstwo było jak morderstwo: po pierwszym następane nie mają już znaczenia.

Moi rodzice do dziś się uwielbiają. Zawsze mieli na swoim punkcie bzika, co oznaczało, że nie potrzebowali bezradnego, całkowicie uzależnionego od nich niemowlęcia, które by ich kochało najbardziej na świecie. Najbardziej na świecie kochali jedno drugie. I byli bardzo szczęśliwym małżeństwem. Byli tak pochłonięci swoim uczuciem, że właściwie nie poświęcali sobie większej uwagi. Ale może ich miłość opierała się właśnie na tym poczuciu wolności. I może jeszcze na przeświadczeniu, że nie pasowaliby do nikogo innego. Kochali mnie i traktowali wspaniale, ale emocjonalnie nie byłam im potrzebna.

Więc kiedy zakochałam się w Basie, po raz pierwszy w życiu poczułam, że jestem dla kogoś najważniejsza. Tak się czuje zakochana dziewczyna, kiedy nie wie nic o żonie. Spadek z miejsca pierwszego na czwarte, a w perspektywie na piąte był tym straszniejszy. No i oczywiście za dziesięć lat zostałabym zepchnięta na pozycję szesnastą.

A byłam mu również potrzebna w pracy. Nie tylko czułam się kochana i potrzebna, ale także rozwijałam się, uczyłam, rozwijałam skrzydła. Praca pod okiem Basa była jak doktorat z biznesu. Zjeździłam z nim kawał świata i świetnie się bawiłam. Więc chociaż nie skończyło się to tak, jak planowałam, mimo wszystko posunęłam się naprzód. Trzeba jakoś obrócić porażkę w coś, z czym da się żyć. Wyrzucenie Basa z życiorysu byłoby jak dziesięciominutowa luka w filmie.

Nawet jeżeli nie straciło się całkowicie wątku, myśli się właśnie o tej luce, o tym, co w niej mogło być. To, czego brakuje, staje się ważniejsze od tego, co istnieje. Oczywiście, główny problem z logiką polega na tym, że działa w innym tempie niż emocje. Wszystko to brzmiało bardzo rozsądnie, ale kiedy myślałam o Basie, chciałam wrzeszczeć i wyrzucić połowę pasażerów z samolotu. A drugą połowę zatopić we własnych łzach.

Przez mikrofony wzywano nieustannie panią Cockerel. Ktoś prosił, żeby wcisnęła guzik przy fotelu, jak tylko wróci na miejsce. Zastanawiałam się, gdzie ich zdaniem mogła pójść. Na spacer? Na wycieczkę? Może „Pani Cockerel” to szyfr oznaczający

lekarza? Ale kto by chciał skorzystać z usług lekarza, który potrafi zgubić się w samolocie? Potrzebowałam kawy do rozcieńczenia alkoholu, ale stewardesy nie było w polu widzenia. Z obsługą tak już jest. Kiedy masz drinka, przychodzą spytać, czy podać drinka. Kiedy usychasz z pragnienia, stają się niewidzialni. Moja stewardesa ukrywała się pewnie w kokpicie i pisała bestseller na moim laptopie.

Ponieważ mój współpasażer włączył się gdzieś, być może w poszukiwaniu pani Cockerall, przeniosłam siebie, dodatkowe ubrania i torby na fotel przy oknie. W związku z tym było szalenie istotne, żebym trzymała oczy zamknięte. Obniżyłam oparcie fotela i wyciągając nogi przed siebie, otarłam się stopą o ramę obrazu w plastikowej torbie. To mi przypomniało, że nie tylko ja kochałam ten obraz. Bas również.

Zapadając w drzemkę, zdążyłam jeszcze pomyśleć, że muszę wypracować jakiś plan na przyszłość, i to cholernie szybko, bo przestawiłam już zegarek na czas londyński i byłam o pięć godzin starsza.

## *Rozdział 3*

Caron, gorsze od klęski są tylko trzy klęski naraz. Jeżeli wliczysz w to dzień wczorajszy, zrobi się z tego dziewięć klęsk. Nie były to krzepiące słowa i nie to spodziewałam się usłyszeć od mojej współlokatorki Flory. Chyba źle to ujęłam. Ona jest właścicielką domu w Hampstead, a ja płacę za pokój. Stwierdzenie, że jesteśmy współlokatkami było grubą przesadą. To tak, jakby lokaj w pałacu Buckingham mówił, że mieszka z królową. Z drugiej strony użytkujemy wspólnie łazienkę i kuchnię, przy czym Flora najczęściej stoi za drzwiami łazienki i mamrocze coś o ciepłej wodzie. Jeśli królowa obchodzi pałac, gasząc światła, a lokaj mówi, że chce jeszcze poczytać, sytuacja jest analogiczna.

Zwykle nie jestem taka przymulona, ale rozpacz zmienia umysł w zwiędłą pietruszkę. Uświadomiłam sobie, że Flora cierpliwie czeka, aż coś powiem.

- Nie wiem, czy nazwałabym to klęską, Floro. Może raczej praktyką. To brzmi bardziej optymistycznie.

- Ale w czym problem, Caron? Co mówisz podczas rozmów kwalifikacyjnych?

- To jest wyzwanie, nie problem. I w większości przypadków nic nie mówię i nic nie robię. W sześciu przypadkach na dziewięć nawet nie wezwali mnie na rozmowę.

- Więc co wpisujesz w kwestionariuszu? Boże, mieszkałaś w Stanach i po studiach kierowałaś dużą firmą. I spójrz na siebie! Blond włosy, szczupła figura, długie nogi. Nosisz drogie ciuchy. A te złote bransolety nie wyglądają na odpustowe świecidełka. Powinni cię przynajmniej wezwać na rozmowę, chyba że próbujesz zostać od razu dyrektorem generalnym.

Żeby zyskać na czasie zaproponowałam, że zrobię herbatę. Wkroczyłyśmy na niebezpieczne terytorium. Mieszkałam u Flory dopiero dwa dni, a zdobycie pokoju było równie trudne, jak wygranie konkursu Miss Świata. Zgłosiło się wiele, wiele innych kandydatek. Flora odziedziczyła po wiekowej ciotce mały dom w Hampstead, ale wymagał on remontu, więc czynsz nie był tak wysoki, jak mógłby być w tej części Londynu. A właśnie w tej dzielnicy spędziłam dzieciństwo. Miałam taką masę kłopotów, że zamieszkanie w dobrze znanej dzielnicy, którą kochałam, wydawało mi się bardzo ważne.

Pierwsze spotkanie było po to, żeby się wpisać na listę Flory. Po wstępnej eliminacji nastąpiła wizyta w kawiarni, żeby mogła mi się przyjrzeć w innym otoczeniu. Zapytała, jakie mam hobby, choć na szczęście nie chciała usłyszeć, jak śpiewam.

Nie mogłam utracić miejsca w jej domu. I nie mogłam jej zapłacić, jeżeli nie znajdę pracy.

Wróciłam z herbatą i powiedziałam:

- Jaka ładna sukienka. Nowa? Nie zadziałało.

- Posłuchaj, Caron - powiedziała Flora. - Może mogłabym ci pomóc. Pracuję w kadrach. - Podeszła do swojego biurka. Do naszego biurka, ponieważ wydzieliła mnie i drugiej lokatorce po jednej szufladzie. - Tu jest formularz o pracę w Chambers'Emporium. Dość typowy. Przyniosłam go dla znajomej znajomego.

- Chcesz powiedzieć, że jest tam wolny etat? W tej chwili?

Flora pojęła aluzję. Z pewnością najemcy mają pierwszeństwo nad znajomą znajomego, zwłaszcza kiedy gorąca woda jest racjonowana.

- W dużym domu towarowym na Oxford Street - powiedziała Flora. - Nie wspomniałam o tym, ponieważ sądziłam, że ubiegasz się o posadę kierowniczą. Etat jest w księgowości.

- Uwielbiam księgowanie - odparłam szybko. Wydało mi się to równie ekscytujące, co obserwacja wzrostu dębu, choć zdecydowanie lepsze niż burdel.

- Pójdę po dzbanek, a ty w tym czasie wypełnij. Potem zobaczę w czym problem, przepraszam, zobaczę, jak można zwiększyć twoje szanse. - W drzwiach kuchni odwróciła się. - Uszy do góry, Caron. To jeszcze nie koniec świata.

Powstrzymałam się od wyznania, że jest to bliski koniec mojego konta bankowego, choć daty pogrzebu jeszcze nie ustalono. Przez pierwsze dwa tygodnie po przyjeździe pilnowałam domu dawnych sąsiadów i byłam pewna, że zaraz dostanę pracę, więc trochę wydałam. Złodziej bankowy nie opróżniłby mojego rachunku szybciej.

Po powrocie z wakacji we Francji uroczy przyjaciele mojej matki mogli mi zaproponować jedynie kanapę w salonie. Czułam się tak paskudnie, że pojechałam na tydzień na farmę piękności. Sauna, błotne kąpiele i masaże działały cuda aż do chwili, gdy wypisywałam czek. Przez tydzień wydałam więcej na sok marchwiowy niż na wodę



przez całe życie. Moje konto żyło jeszcze, ale marniało z dnia na dzień. Koniecznie potrzebowałam dobrej pracy.

Dałam formularz Florze, która przestudiowała go uważnie. Była bardzo sympatyczną osobą. Ładna twarz, tam gdzie nie zakrywała jej grzywka. Troszkę pulchna, o ile dawało się zauważyć. Miała gust wierzby płaczącej. Nosiła tak luźne sukienki, że z powodzeniem mogłyby służyć za namiot.

- Jak dotąd, bardzo dobrze, Caron. To znaczy, wpisałaś bez błędu swoje nazwisko, adres i numer telefonu. Teraz musisz wypełnić resztę.

Zrobiła nam miejsce przy biurku. A potem obie wpatrzyłyśmy się w puste rubryczki, jakby to była wyjątkowo długa rozbiegówka na kasecie wideo.

- Może - powiedziała w końcu Flora - ty podyktujesz, a ja wpiszę?

Siedziałyśmy w milczeniu i była to taka miła cisza, jaka zapada na chwilę przed salwą plutonu egzekucyjnego. Kiedy Flora zaczęła stukać długopisem o blat, powiedziałam:

- Posłuchaj, naprawdę miałam tę pracę, o której ci mówiłam. Po prostu nie wydaje mi się, żeby wspomnianie o niej na papierze było dobrym pomysłem.

Ani przez chwilę nie posądziłabym Flory o wrogie myśli, ale po chwili powiedziała:

- Wiesz, w książkach taka sytuacja...

Rozejrzałam się po pokoju pełnym książek. Flora wydzieliła mnie i drugiej lokatorce cały jeden regał. Na pozostałych półkach stało po pięć romansów, jeden kryminał i biografia, w takiej kolejności. Nagle poczułam pewność, że Flora nie ma na myśli romansu.

- Nic nie zdefraudowałam - powiedziałam z rozdrażnieniem. - I nie uciekam przed policją.

Była to prawda, ale nie przyczyniła się do wypełnienia pustych miejsc w formularzu. Jednego jedyne go tematu absolutnie nie chciałam poruszać, ale strach działał jak magnes. Gdyby różowe gremliny były twoją największą obawą, kilka z nich wyskoczyłoby z twoich płatków śniadaniowych.

Jeżeli mam być szczerą, Flora wydawała mi się dość pruderyjna i poprawna, a nie chciałam wylecieć z jej domu pod zarzutem złego prowadzenia. A nawet gdyby była rozpustną nimfomanką, i tak nie chciałabym przyznać, że okazałam się taka naiwna.

- Dobrze, Floro. Zdaje się, że muszę ci powiedzieć. Ale będę potrzebowała czegoś mocniejszego od herbaty.

Ku mojemu zdziwieniu, Flora wyraźnie się rozpogodziła i skoczyła do szafki z alkoholami. Nalała nam po kieliszku brandy.

- Może ci się nie spodobać to, co powiem. Uśmiechnęła się.

- Może i nie. Ale z pewnością będzie to interesujące. Powieść, która teraz czytam, zrobiła się akurat dość nudna. Tylko zacznij od początku.

Sącząc brandy, przytoczyłam podstawowe fakty, kładąc nacisk na to, jaki Bas był przystojny, wspaniały, seksowny i bogaty. Opisałam mieszkanie przy Piątej Alei w Nowym Jorku. Flora czytała przecież romanse. Musiały być pełne takich idiotek jak ja. Może nie aż tak głupich jak te z powieści kryminalnych. Kiedy doszłam do telefonu od żony Basa, pociągnęłam brandy i zboczyłam trochę z tematu.

- Moi rodzice go nie cierpieli. Flora wydawała się zdziwiona.

- Dlaczego? Gdybym ja miała takiego chłopaka, matka zrobiłaby mu skarpety na drutach.

Podsunęłam kieliszek do napełnienia.

- Byli wobec niego podejrzliwi. Uważali, że jest fałszywy, same zęby i dobre maniery. Ale ja go kochałam. Przynajmniej tak myślałam, byłam tego pewna. A teraz się zastanawiam, czy jeżeli przestajesz kogoś kochać, to znaczy, że w ogóle go nie kochałaś? To znaczy, czy sama definicja miłości nie zawiera pojęcia trwałości?

Flora namyślała się przez chwilę.

- Dopiero pod koniec książki i tylko w odniesieniu do głównych bohaterów. Przynosił ci kwiaty i czekoladki? Zabierał cię w różne miejsca, był miły? Bo dla mnie to on jest super.

- Był super. A ja byłam młoda i głupia.

- Głupia, bo go nie zatrzymałaś, nie wyszłaś za niego za mąż i nie żyłaś długo i szczęśliwie?

Było mi coraz trudniej kontynuować. Istnieje coś takiego jak waluta w obiegu ludzkim, trochę jak w pokerze. Od tego jak wyglądasz, czy umiesz blefować, zależy wygrana, powodzenie. Ale tak naprawdę wszystko zależy od tego, jakie masz mniemanie o sobie, od wiary we własne możliwości. Moja samoocena była w tym momencie dość niska i nie mogłam sobie pozwolić na odgrywanie ofiary.

Szczerze mówiąc, obawiałam się, że Flora będzie mną pogardzać i litować się nade mną, a tego bym chyba nie zniosła. Moi rodzice nie uznawali litości. Hiob w Biblii uzał się nad sobą i proszę, jak marnie skończył!

- Bas dużo podróżował - powiedziałam w końcu - bo miał również inne firmy. I dopiero po czterech latach dowiedziałam się...

- Do diabła, Caron! Był żonaty? W książkach nie da się tego utrzymać w tajemnicy przez cztery lata!

- Bardzo ci dziękuję, Floro. Tego mi było trzeba.

- Czeka! W jednej książce był bigamista. To się ciągnęło przez dwadzieścia lat.

- I co?

- Obie żony miały dzieci. Potem spotkały się u fryzjera, zmówiły się i zamordowały faceta. Jedna drugiej zapewniła alibi. Udało się, bo policja nie wiedziała, że obie były jego żonami. - Popatrzyła na mnie z namysłem. - Ale ty jesteś w innej sytuacji. To znaczy, jego żona nic ci nie proponowała, prawda?

- Odniosłam raczej wrażenie, że gdyby Bas poślubił nas obie, zamordowałaby go samodzielnie. Ona mieszka w Chicago. Dowiedziałam się dopiero, gdy znowu zaszła w ciążę. Zadzwoiła i zostawiła wiadomość. Mają już troje dzieci.

Flora wkurzyła się prawie tak samo jak ja. Coraz bardziej ją lubiłam.

- Chrzanić faceta! Tak czy inaczej jest ci winien przyzwoite referencje. No i pieniądze, skoro pomogłaś mu założyć firmę.

Wyjaśniłam, że zwolniłam się sama, wypłacając sobie odprawę. Spodziewałam się, że zastępca szefa kadr zemdleje, ale po namyśle Flora powiedziała:

- Nie jest to do końca zgodne z prawem. Ale nie będzie mu się opłacało tego kwestionować. Każdy szef sypiający z pracownicą stawia się w niekorzystnej sytuacji. To wszystko? Wzięłaś coś jeszcze?

- Moje ubrania, rzeczy osobiste, parę drobiazgów, obrazek.

Powiedziałam to lekkim tonem, jakby chodziło o fotkę.

- Ale, Caron, coś na pewno dałoby się zrobić. Naprawdę powiedział, że nie da ci referencji?

- Powiedział, że zrobi wszystko, żebym nigdy nie dostała innej pracy.

Skoro mogłam się sama zwolnić, szkoda, że nie mogłam wypisać sobie referencji. Szanowny Panie/Szanowna Pani, wyrzuciłam się z pracy, ale jestem dobra i będę doskonałym dodatkiem do Pana/Pani firmy.

- To byłoby coś - zaśmiała się Flora.

Obie roześmiałyśmy się z ulgą. Ona - ponieważ okazało się, że nie spędziłam ostatnich czterech lat w więzieniu, a ja - ponieważ ta rozmowa oczyściła atmosferę. Reakcja Flory sprawiła, że cała ta historia stała się bardziej dramatyczna, a mniej plugawa.

Popatrzyła na formularz.

- Wszystko jest lepsze niż puste rubryki. Coś trzeba wpisać. Coś, co będzie sugerowało, że masz dość talentu i umiejętności, żeby utrzymać posadę. - Rozejrzała się po pokoju. - Kiedy będą naciskać, powiesz, że piszesz książkę. Będą przynajmniej wiedzieli, że umiesz pisać na komputerze.

- Kiedy nie umiem. To znaczy, nie umiem pisać szybko. Ale, oczywiście, umiem posługiwać się komputerem. Może powinnam napisać, że byłam hakerem. To by tłumaczyło drogie ciuchy i brak referencji.

Pośmiałyśmy się jeszcze trochę, ale muszę przyznać, że w dużej mierze była to zasługa brandy. Poprosiłam Florę, żeby załatwiła mi rozmowę kwalifikacyjną najszybciej

jak się da. Wzięłam resztkę brandy, nalałam do wanny dziesięć centymetrów ciepłej wody i moczyłam się, rozmyślając o dawnych czasach.

Zastanawiałam się, czy Bas zdołał mnie wysledzić. Jeżeli sprawdził wydruk z karty kredytowej, wiedział o bilecie do Londynu. Dzwoniłam do rodziców co niedziela; dotąd się nie odezwał. Z pewnością nic by mu nie powiedzieli, w każdym razie nic w języku, który byłby dla niego zrozumiały. A zresztą, co mógł mi zrobić? Prawdopodobnie miał już nową dziewczynę. Uśmiechnęłam się, myśląc, że to najbardziej prawdopodobna wersja. Był typem człowieka, który bierze życie jak leci, nie próbuje zawracać czasu. Z pewnością blefował, grożąc, że zmarnuje mi życie, jeżeli go opuszczę.

W drodze do sypialni minęłam pusty pokój i pomyślałam o drugiej lokatorce, która miała się wprowadzić za parę dni. Czy wkrótce usłyszę przez ścianę lekcje gry na skrzypcach? A może dziewczyna była atletką, która musi się moczyć w gorącej wodzie? Byłam już w łóżku, kiedy Flora zapukała do drzwi.

- Wstęp pięćdziesiąt pensów! - krzyknęłam.

- Chciałam tylko powiedzieć, żebyś się nie martwiła, Caron. Coś się na pewno znajdzie. - Rozejrzała się po pokoju. Najpierw myślałam, że szacuje, jak długo potrwa, zanim odłóżące płyty tapety sięgną podłogi. Potem, że zaprotestuje przeciwko moim bagażom wystającym spod łóżka. Trzymałam tam zimową odzież i dyskietki z projektami. Mała szansa, że uda mi się je wykorzystać jako CV, skoro nikt nie chciał ze mną rozmawiać o pracy. Uroczą pozytywką zdołała ozdobić kominką w saloniku Flory.

Czekałam, aż w końcu Flora powiedziała:

- Ładnie się tu zrobiło. Zwłaszcza ten Picasso. Najlepsza kopia, jaką w życiu widziałam. Wygląda... wygląda dokładnie jak oryginał.

## Rozdział 4

Flora zadzwoniła o dziewiątej z informacją, że umówiła mnie na jedenastą.

- Ale ostrzegam cię, pani Oakley, szefowa kadr, wzięła już dzisiaj dwie tabletki na niestrawność. Może wolisz inny termin? Najlepszy humor ma zwykle tuż przed piątą w piątek. To byłoby dopiero za tydzień.

Dla mojego rachunku bankowego oznaczało to kolejne dziewięć dni na oddziale intensywnej terapii.

- Zaryzykuję dzisiaj, Floro. Pani Oakley może zacząć jeść curry w czwartkowe wieczory.

Podziękowałam i zaczęłam się pospiesznie ubierać. Całkiem na czarno i tak, żeby było widać jak najmniej skóry. Nic jaskrawego, co mogłoby się skojarzyć pani Oakley z kwaśną sałatką owocową.

Przyjechałam godzinę za wcześnie. Byłam zbyt zdenerwowana, żeby coś zjeść, więc zamiast rozejrzeć się po Chambers' Emporium, jak planowałam, poszłam prosto do kawiarni na rogu Oxford Street.

Ciastka z morelowym nadzieniem, moje absolutne faworytki, wyglądały apetycznie, ale przy moim obecnym samopoczuciu mogły doprowadzić do tego, że musiałabym zacząć rozmowę kwalifikacyjną od pożyczania kilku tabletek musujących. Trzy cappuccino też mi nie posłużyły. Wychodząc z kawiarni, czułam się, jakby cała krew próbowała ze mnie uciec.

Ostatnim razem byłam w Chambers jako dziecko. Moja matka uważała dom za zbyt nowomodny, a kiedy mogłam już sama robić zakupy, był nie dość nowoczesny. Kierując się ku windom na tyłach, uznałam, że wiem, na czym polega problem. Nic się tu nie zmieniło od dwudziestu lat. Odniosłam wrażenie, że trzymają stary towar, czekając, aż znów wejdzie w modę. To się czasem zdarza, ale zwykle w odniesieniu do towaru, który się dobrze sprzedaje.

Flora powiedziała, że parter i pierwsze piętro zajmują sklepy. Na najwyższym mieściło się kierownictwo. Ktoś taki jak Bas miałby prawdopodobnie namiot na dachu. Ale wysiadłszy z windy, przeszłam korytarzem tam i z powrotem, i nie znalazłam kadr. W recepcji przy windzie nikogo nie było, większość gabinetów była otwarta i nie mogłam przeczytać tabliczek na drzwiach. W środku siedzieli przeważnie mężczyźni, pozujący na zapracowanych i ich asystentki urabiające sobie ręce po łokcie.

Zawróciłam do windy, kiedy drzwi się rozsunęły i wyszedł mężczyzna. Był wysoki i szczupły, miał ciemne włosy i kobaltowoniebieskie oczy, rysy twarzy dość nieregularne, by mogły uchodzić za interesujące. Nie był tak przystojny jak Bas, co liczyło mu się na plus. I miał dość pewności siebie, żeby nosić garnitur Armaniego i nie przypominać wieszaka na ubrania.

Uśmiechnął się i powiedział: - Halo!

Jego uśmiech okazał się zaraźliwy. Już chciałam powiedzieć coś dowcipnego, kiedy przypomniałam sobie, że chwilowo nie zadaję się z mężczyznami.

- Zgubiła się pani? - zapytał.

- Będę zgubiona, gdy zawalę rozmowę kwalifikacyjną. Roześmiał się i wcisnął guzik windy.

- Kadry są piętro niżej.

Wtedy uświadomiłam sobie mój błąd. Parter w Stanach liczy się jako pierwsze piętro, a w Zjednoczonym Królestwie nie. W zdenerwowaniu musiałam pomylić piętra. Znalazłam się więc na kierowniczym. Chciałam właśnie wszystko wyjaśnić, kiedy przyjechała winda.

- A więc życzę szczęścia - powiedział. - Pani Oakley jest trochę...

Musiał zauważyć moje przerażenie, bo zakasłał i dokończył:

- Jest osobą, która uwielbia czerń, więc wszystko będzie dobrze. Może się jeszcze spotkamy? A dokładniej mówiąc, mam taką nadzieję. Nazywam się James Smith.

- Caron Carlisle. Ja też mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. - A dokładniej, miałam nadzieję, że kiedy się znów spotkamy, będę szukała działu wypłaty.

Znów się zgubiłam, ale dzięki małej przebieżce dotarłam na miejsce o jedenastej. Powinnam zgiąć się wpół i dyszeć, czekając, aż ktoś obleje mnie szampanem po wygranym biegu, ale nie było na to czasu, ponieważ pani Oakley otworzyła drzwi gabinetu i gestem zaprosiła mnie do środka. Flora stała obok biurka, szepcząc bezgłośnie „powodzenia” i pokazując z uznaniem na moje ciuchy. Po chwili wycofała się dyskretnie.

Sympatyczna, chuda jak patyk pani o siwych włosach zebranych w koczek nie wyglądała na potwora, ale była niezwykle energiczna i zwięzła. Poświęciła moim papierom jakieś trzy sekundy.

- Te referencje są odpowiednie do zaświadczenia o moralności. Gdzie listy uwierzytelniające, panno Carlisle? Uniwersytet, a potem nic. Wygląda na to, że nie ma pani żadnego doświadczenia w żadnej pracy. Organizowanie amatorskich rozgrywek tenisowych, które mają udawać Wimbledon. Dorywcza praca w trzech londyńskich sklepach dobroczynności, które już nie istnieją. Pomoc przy organizowaniu uroczystości kościelnych, między innymi sprzedaż dzemu na kościelny fundusz remontowy. Wjazd do Londynu na koniu i demonstracja przeciwko ustawie o ochronie praw zwierząt. - Podniosła wzrok. - Była pani po stronie myśliwych czy ligi ochrony zwierząt?

- Byłam po stronie konia. Pani Oakley, czy to wszystko razem nie wykazuje, że mam przynajmniej pewne zdolności przywódcze? Chcę powiedzieć, że nie jest łatwo sprzedać dżem komuś, kto go wcale nie chce albo wolałby go kupić w sklepie.

- To wszystko - tu pomachała formularzem - wykazuje jedynie, że jest pani uroczą młodą osobą, która nigdy nie pracowała i nie wygląda na kogoś, kto naprawdę potrzebuje pracy.

Obrzuciła wzrokiem moją garsonkę od Diora.

- To jeden z plusów pracy w sklepach dobroczynności, pani Oakley. Można kupić markowe ubrania za bezcen. Naprawdę zależy mi na tej pracy. Potrzebuję jej.

Przesunęła wargami po zębach, jakby je czyściła. Potem przyjrzała mi się uważnie i powiedziała:

- Rozumiem, że zna pani pana Jamesa Smitha?

Mój umysł odpalił ze wszystkich cylindrów. Buchnęło z niego jak z Etny. Kim u licha jest James Smith? Wtem przypomniałam sobie mężczyznę, którego dopiero co poznałam. Ale on nie miał przecież czasu zadzwonić do pani Oakley. A jeżeli jednak zadzwonił, to co powiedział? Że pomyliłam piętra. Że Chambers nie potrzebuje w księgowości ludzi, którzy nie umieją zliczyć do pięciu?

Miałam jedną istotną wskazówkę: on pracował na piętrze kierowniczym, a pani Oakley nie. Uśmiechnęłam się.

- A tak, spotkałam pana Jamesa Smitha. Choć znam go dość pobieżnie. Nie tak dobrze - ciągnęłam - jak na przykład swoich rodziców.

Pani Oakley uśmiechnęła się po raz pierwszy. I czekała, co powiem dalej. Rozpaczliwie próbowałam wykoncypować, na czym polega praca pana Smitha, na wypadek, gdyby się spodziewała, że o tym wspomnę. Musi pracować w Chambers, skoro spodziewał się mnie jeszcze zobaczyć. Chcę przez to powiedzieć, że miałby marne szanse, gdyby przyleciał z HongkKongu na jeden dzień.

- No i oczywiście znam go dłużej niż panią. Czy kogokolwiek, kogo spotkałam po spotkaniu go. Z każdą minutą znam go dłużej. No i nie jestem na tyle stara, by powiedzieć, że znam go sto lat. Z drugiej strony niektórzy ludzie poznają się bardzo szybko. I tych pamięta się najlepiej. Mówiąc krótko, znajomość z Jamesem Smithem to przyjemność. - Uśmiechnęłam się słabo i trzymałam już buzię na kłódkę, choć zapadło niezręczne milczenie. Schrzaniłam sprawę. Można by mnie podawać z golonką.

Przeraził mnie głośny wybuch śmiechu pani Oakley. Omal się nie udusiła. Jedyne co mi przyszło do głowy, to się przyłączyć.

Po kilku minutach uciechy pani Oakley wyjęła chusteczkę z szuflady biurka i otarła łzy.

- Cóż, ma pani poczucie humoru, panno Carlisle. Jest to tak cenny towar, że byłabym skłonna zatrudnić panią choćby na tej podstawie.

Ale nie wyglądała na bardzo skłonną. Wiedziałam, że muszę jeszcze coś zrobić.

- Proszę pani, naprawdę potrzebuję pracy. Zwłaszcza pracy w tej firmie.

Przychodziłam tu z mamą jako dziecko. Potrafię ciężko pracować i szybko się uczyć. -

Nadal przypominała białe skały Dover. - Jestem obeznana z komputerem i dobrze radzę sobie z liczbami.

Przerwałam, by nabrać tchu. Pani Oakley milczała jak zakłeta.

- Może pozwoli mi pani coś obliczyć? Robiłam takie rzeczy w sklepach dobroczynności. No i arkusze kalkulacyjne. Czytam je jak inni powieści. W łóżku, w wannie.

Naprawdę to robiłam, kiedy byłam z Basem. Marginesy zysku podniecały go tak, jak innych pejcze i skóry. Ale nie sądziłam, żeby poczucie humoru pani Oakley rozciągało się na erotykę arkuszy kalkulacyjnych. Patrzyła na mnie w milczeniu, niby sędzia skazujący winnego na galery.

- Zróbmy tak - powiedziałam. - Zatrudni mnie pani na sześciomiesięczny okres próbny. Jeżeli po upływie tego czasu uzna pani, że nie wywiązałam się ze swoich obowiązków, zwrócę całe sześć pensji, które mi pani wypłaci. Znajdę inną pracę, żeby to zrobić.

Pani Oakley uśmiechnęła się i wskazała mój formularz.

- Uważa pani, że z tymi kwalifikacjami dostanie pani pracę za dwukrotnie lepszą płacę, żeby z połowy żyć, a połową spłacać firmę? Nie. Nie mamy możliwości zrealizowania takiej umowy i nie byłoby to wobec pani w porządku.

Nastąpiła kolejna długa pauza. Wstrzymywałam oddech.

- Zatrudnię panią panno Carlisle - odezwała się w końcu pani Oakley. - Właściwie tylko w oparciu o pani odwagę, by ubiegać się o pracę z takimi kwalifikacjami. Oraz o pani entuzjazm. Pan Chambers, nasz założyciel, zawsze powtarzał, że jesteśmy ludzką firmą ze koniec końców służymy ludziom. Firma zbyt wolno się modernizuje i pani znajomość komputerów może się okazać szczególnie przydatna. Może pani zacząć jutro. Życzę powodzenia.

Pani Oakley kazała Florze wprowadzić mnie w takie kwestie jak emerytura, dodatki, pensja i urlop. Kiedy zostałyśmy same, Flora powiedziała:

- Dobra robota, Caron! Przestraszyłam się, kiedy zaczęła się śmiać.

- Ja też.

Przez następną godzinę przekładałyśmy papiery. Jeżeli większość ludzi idzie do nieba, muszą je wypełniać szafki katalogowe.

- Chambers otwiera się o dziewiątej, więc musimy być na miejscu punktualnie o ósmej trzydzieści. Tak wcześnie otwarte są drzwi tylko od strony Marble Arch. Kawa, herbata i pączki są darmowe. Śniadanie i lunch po obniżonej cenie. - Wkładając papiery do szuflady, dodała: - Właściwie nie mamy własnej kantyny, jadamy w ogólnodostępnej kafeterii. Pan Chambers, właściciel, uważa, że powinniśmy mieszać się z klientami, trzymać rękę na pulsie, wiedzieć, co lubią, noszą, co mówią. Ale mamy oddzielny sektor, jeżeli chcemy przynieść własny lunch.



Flora potraktowała swoje zadanie poważnie i pokazała mi wszystko od damskich toalet po maszynę do kawy, kopiarke i dział materiałów piśmiennych. Gdyby to był hotel, zajrzałybyśmy pod każde łóżko. Górne piętra miały niewiele nowoczesnych otwartych przestrzeni i klucząc korytarzami, przechodząc przez biura, dostępne tylko przez inne biura pożałowałam, że nie znaczę drogi okruszkami chleba.

Po zakończeniu obchodu kopiarek byłam już gotowa postawić Florze lunch.

- Nowi pracownicy dostają pierwszy lunch za darmo. A ty jesteś tu już oficjalnie zatrudniona. Chyba że miałaś w planie coś innego?

Miałam w planie obchód biur zatrudnienia lub skok z mostu Westminster.

Firma nie wyglądała wcale na tak przykurzoną, kiedy szłyśmy między stoiskami perfum na parterze, zatrzymując się co jakiś czas, żeby się popsikać. Mój wrodzony optymizm, niemal obsesyjny i z pewnością czasami mylący, sprawiał, że aż podskakiwałam z radości na myśl o instytucji, która ciągle wierzy w darmowy lunch pracowniczy. Pan Chambers stał się dla mnie ideałem mężczyzny, choć wystrój wnętrza wskazywał, że musi mieć przynajmniej sto lat.

Kafeteria była dość duża i mieściła się w piwnicy. Resztę powierzchni zajmował garaż dla kierownictwa. Oczywiście, nie widziałam podjeżdżających samochodów, to znaczy - kafeteria nie miała drive-in. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazała lepszą garkuchnią, zwłaszcza że pracownicy mieli zniżkę. Ale była to najbardziej nowoczesna część budynku. Podawano trzy gorące dania do wyboru, nie licząc dania wegetariańskiego. Był również grill do hamburgerów. Kanapek nie sprzedawano w folii, lecz robiono je na zamówienie. Przy oddzielnym stole znajdował się obfity bufet sałatkowy. Słodczy było tyle, że można było przytyć od samego patrzenia. Przepraszam, że tak się rozwodzę nad jedzeniem, ale sekret mojej całkiem niezłej linii tkwi w moich zdolnościach kulinarnych. Gdybym gotowała dla ogółu ludzkości, wszyscy bylibyśmy jak tyczki. Nikt nigdy nie prosiłby o dokładkę. W każdym razie nikt tego nie zrobił na jedynym proszonym obiedzie, jaki w życiu wydałam.

Wzięłam dużą porcję makaronu z kurczakiem i parmezanem. I sałatę. No dobrze, i duży kawałek czekoladowego tortu. Flora wybrała to samo. Nawet za pełną cenę była to tanioccha.

Flora zaprowadziła mnie do stolików za parawanem z wysokich roślin doniczkowych, gdzie, jak powiedziała, można przynosić własne jedzenie, choć nie wiem, po co ktoś miałby to robić.

- Tutaj jest spokojniej - powiedziała. - Jak ci się udało z panią Oakley? Kandydaci wchodzą zwykle zadowoleni i protekcyjnalni, wychodzą wściekli i przerażeni. Nawet ci najsympatyczniejsi. Zastanawiam się, co ona im robi. - Urwała, żeby przełknąć makaron. - I zwykle pani Oakley tak głośno śmieje się tylko w piątki.

Zabrzmiało to złowieszczo, aż musiałam się roześmiać. Dopiero po chwili zrozumiałam, że Flora mówi poważnie.

- Nie wiem, Floro. Może byłam tak przegrana, że wzbudziłam litość. Nie wydała mi się straszna. Ale coś mnie zastanowiło. Znasz Jamesa Smitha?

Flora przestała jeść.

- Masz na myśli tego Jamesa Smitha? Naszego Jamesa Smitha?

- Prawdopodobnie. Pani Oakley spytała, czy go znam.

Florze zrzęda mina.

- Jezu, Caron, jeżeli znasz Jamesa Smitha, nie potrzebowałam mojej pomocy.

- Nie znam go. Spotkaliśmy się tylko dlatego, że zablądziłam. Powiedział, że jestem na niewłaściwym piętrze. Ale tego nie mogłam powiedzieć pani Oakley, prawda? Zastanawia mnie tylko, jak ona się o tym dowiedziała? Chciałabym mieć pewność, że nie zawdzięczam tej pracy jakiemuś facetowi.

Odsunęłam pusty talerz po makaronie i przysunęłam sobie drugi z ciastem.

- Ciekawe, dlaczego to, co dostajemy darmo, zjemy szybciej?

Flora zastanawiała się minutę. Dwie minuty.

- Jest bardzo miły. Mógł do niej zadzwonić. Nie wydaje mi się, żeby rutynowo pytała kandydatów, czy go znają. Ale to mało prawdopodobne, nie uważasz? Może zobaczyła, jak z nim rozmawiasz.

Facet był atrakcyjny, ale nie oszołomił mnie do tego stopnia, żebym nie zauważyła pani Oakley stojącej obok niego. Albo przechodzącej między nami.

- Przyszła do biura tuż przed tobą - powiedziała Flora. - Może była piętro wyżej. Musisz wiedzieć, że pani Oakley traktuje wezwanie na górę jak zaproszenie do Ascot.

I wtedy zobaczyłam, jak James Smith ustawia się w kolejce do kasy.

- Spójrz, Floro! To tego Jamesa Smitha spotkałam. Flora odwróciła się akurat w chwili, gdy on spojrzał na nas.

I zobaczył, jak wybałuszamy na niego oczy. Uśmiechnął się i pomachał ręką, po czym zwrócił się do ekspedienta za ladą.

- Jezu, Caron, James Smith jest dyrektorem finansowym i kandydatem na najwyższy stołek, o ile plotki o odejściu pana Chambersa są prawdziwe.

- Dyrektor finansowy je w kantynie?

- Pan Chambers tu je i każdy kto myśli o zrobieniu kariery. A także wszyscy w wieku emerytalnym. Jednym chodzi o awans, drugim o niskie ceny. - Przełknęła kawałek ciasta i dodała: - Założę się, że nie rozpoznasz tu pana Chambersa.

- O dwa następne cappuccino.

- O następne cztery.

To mnie upewniło, że pan Chambers nie może być typowy. Wiedziałam już, że nie jest młody. I przedstawiono mi go jako człowieka otwartego na ludzi, który uważa, że

warto dać szansę komuś takiemu jak ja. Było więc niemal pewne, że nie siedzi na wielkim białym koniu i nie rzuca okruchów wieśniakom. Rozejrzałam się po sali, a w pewnym momencie nawet wstałam, żeby spojrzeć ponad roślinami, i powiedziałam:

- Tamten. Wysoki, postawa wojskowego, trochę przy kości, gęste białe włosy. W rogu, ubrany w szary wymięty garnitur. Z trzema innymi mężczyznami.

Florze opadła szczęka.

- Jego też spotkałaś, jak błdziłaś? Roześmiałam się.

- Nie oszukiwałabym, Floro. Przyznałabym się, że go znam. Spójrz na nich. On jest ubrany najgorzej i nie stara się zrobić na nikim wrażenia. A jednak pozostali mężczyźni obrócili się krzesłami w jego stronę. Ta trójka, być może nieświadomie, naśladuje jego gesty. Blondyn, który siedzi plecami do nas trzyma jedną nogę w przejściu. Ten drugi facet - łokieć na stole. A ten najbliżej nas bawi się zakrętką pióra. Tylko Chambers robi wszystkie te rzeczy.

- Rany! Czy ta nowojorska firma, w której pracowałaś, nie była przypadkiem agencją detektywistyczną?

- Nie - odparłam ze śmiechem. - Bas kupował małe nierentowne firmy, składał w inny sposób i zwykle sprzedawał dalej. Czytałam książkę o języku ciała.

- Muszę ją dostać!

- Ja też.

Podniosłyśmy wzrok na Jamesa Smitha, który stał przy naszym stoliku.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Cześć, Floro - a potem zwrócił się do mnie: - Nie chciałem podsłuchiwać.

Chciałem tylko spytać, jak poszło z panią Oakley?

- Bardzo dobrze. Mam pracę. Dziękuję, że skierował mnie pan do właściwego biura.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A jak tam język ciała pani Oakley?

Ponieważ patrzyłyśmy na niego tępo, dodał.

- Jakieś tiki nerwowe? Zdradźcie coś. - Pokazał zęby w uśmiechu i zniżył głos. - Mam wielki szacunek i podziw dla pani Oakley, ale przypomina mi moją szkolną dyrektorkę. Przy niej przychodzą mi do głowy najbardziej idiotyczne figle.

Może zrozumiał, że zdradził zbyt wiele dwóm pracownikom niższego szczebla, bo szybko dorzucił.

- Oczywiście, jest ona nieoceniona dla Chambers'Emporium.

Nie wyglądał na faceta, którego ktoś jest w stanie onieśmielić, ale mnie wydał się trochę nieśmiały. Wzięłam więc jego słowa za ironiczny żarcik i roześmiałam się. Nie ma nic gorszego niż wychylić się z dowcipem, którego nikt nie łapie, a dla nieśmiałych to po prostu koszmar.

- Caron ją rozśmieszyła - powiedziała Flora. James Smith uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Spore osiągnięcie. Z pani talentami i znajomością ludzi może mnie pani wysadzić ze stołka.

Oczywiście żartował, więc powiedziałam:

- Praca w księgowości jest super, mnóstwo premii. Nawet dzisiejszy lunch mam za darmo. Więc jeśli kiedyś zechce pan się ze mną zamienić, panie Smith...

- Ja też czytałem przygody Tomka Sawyera. Jemu wyszło to na dobre. -

Uśmiechnął się cudownie, jeden kącik warg powędrował ciut wyżej. - Chambers to stara rodzinna firma, ma mnóstwo dróg awansu, Caron. I proszę, mów mi James. - Wskazał wzrokiem grupkę po drugiej stronie sali. - Czekają tam na mnie. Muszę pamiętać, żeby pilnować łokci i kolan.

Kiedy odszedł, Flora powiedziała:

- Jezu, Caron! Będziesz mówiła do niego James? Do dyrektora finansowego?

- Oczywiście. I gdyby zgodził się na zamianę stanowisk, też bym to zrobiła. W każdym razie, wydaje się sympatyczny i bardzo wątpię, czy martwi się o to, że stażystka z księgowości wysadzi go z siodła.

- James Smith, lat trzydzieści sześć, mieszka niedaleko nas w Hampstead, typowany na następcę prezesa, nieżonaty, choć telefon w domu czasem odbiera kobieta. U Chambersa od siedmiu lat. Metr osiemdziesiąt, niebieskie oczy, szkoła państwowa, potem Oxford.

Roześmiałam się.

- I ty mi mówisz o agencjach detektywistycznych!

- To informacje poufne, Caron. Z akt pracowniczych, znaczy się. Szkoda, że jest tam ta kobieta, bo mogłabyś go złapać. Jest naprawdę cudowny.

- Floro! Na razie skończyłam z mężczyznami. Poza tym życie mnie nauczyło, że łączenie pożytecznego z przyjemnym prowadzi najwyżej do działu księgowości. Zresztą, James jest po prostu miły dla nowego pracownika.

- Cóż, mnie nigdy nie poprosił, żebym mówiła mu po imieniu.

- Bo pewnie nigdy mu nie zaproponowałaś, żeby zamienił się z tobą na posadę. Jest po prostu trochę nieśmiały. Dziwne, że taki młody facet kandyduje na prezesa, tym bardziej że pan Chambers wydaje się dość staroświecki.

- Pan Chambers wie, że trzeba się zmodernizować. I ostatnio chodzą nawet słuchy, że firmie źle się wiedzie i grozi jej przymusowe przejęcie. Ale pan Chambers zapewnia, że pracownicy z długim stażem na tym nie ucierpią. Pewnie uznał, że pan Smith, a raczej James, nikogo nie wyrzuci. Masz rację, jest troszkę nieśmiały, ale tobie udało się go rozruszać. Niezła zdobycz.

- Mówisz, jakby był rybą. Zresztą czy u Chambersa nie obowiązuje zakaz biurowych romansów?

- Właściwie nie. Pani Chambers dopiero niedawno przeszła na emeryturę. Ale nadal jest pełnoprawnym partnerem, ona i pan Chambers razem zakładali interes. Nie ma więc jednoznacznej polityki.

- A jak to wygląda w praktyce?

- Praktyka to właściwe słowo. - Flora uśmiechnęła się. - Jakbyśmy trenowali do londyńskiego maratonu miłości. Dyskretnie, ale i tak wszyscy wszystko wiedzą.

- Górne piętro też?

Flora namyślała się przez chwilę.

- Oficjalnie wolni są tylko dwaj faceci. James Smith, choć nikt nie wie, jak z nim jest naprawdę. Asystentka z góry próbowała się z nim parę razy skontaktować i telefony odebrała kobieta. No i jest Jack Howard, niedawno rozwiedziony, i to nie bez powodu. Jeżeli wszystkie plotki o nim są prawdziwe, był w tyłu sypialniach, że kwalifikuje się na głównego doradcę meblowego Laury Ashley.

Jadłyśmy, gadałyśmy i co chwila ktoś podchodził do naszego stolika, żeby się przywitać i przedstawić. Wszyscy wyglądali na sympatycznych, bardzo serdecznych i dosyć rozrywkowych.

- A jak było w Stanach - zapytała Flora, kiedy dojadaliśmy ciasto czekoladowe. - W tej firmie, z której podkupił cię Bas? Mieli regulamin w sprawie randek?

- Jasne. Surowy zakaz. W ten sposób firma zabezpieczała się przed procesami o molestowanie.

- Musiało być nudno.

- Byłoby, gdyby ktokolwiek się tym przejmował. Wyobraź sobie, kiedy ktoś ci mówi „nawet nie myśl o seksie”, o czym przede wszystkim pomyślisz? Ale w mojej pierwszej pracy byłam jedyną kobietą w zespole. Wszyscy faceci do mnie startowali, a reszta patrzyła sokolim wzrokiem, czy komuś udało się dobiec do mety. W sumie miałam czternaście męskich przyzwoitek.

- A o co Jamesowi chodziło z tym Tomkiem Sawyerem?

- Nie czytałaś? Zakochałabyś się w tej książce. Tomek Sawyer z takim zacięciem opowiadał koledze o malowaniu płotu, że tamten błagał, żeby dać mu spróbować.

Flora pochyliła się nad stołem i zniżyła głos.

- Caron, a czy ta książka o języku ciała dotyczy też romansów, czy tylko interesów? Chodzi mi o ocenianie reakcji mężczyzny.

- Do tego nie potrzeba książki, Floro. Najpierw oczy im mętnieją, potem zaczynają się ślinić. Na końcu wypycha im spodnie.

- Ale ja czułabym się niezręcznie, obserwując męskie spodnie.

Zapomniałam, że Flora bierze wszystko dosłownie.

- Żartowałam. A jeżeli chodzi o książkę, to tak, oczywiście. Jest zresztą mnóstwo książek na ten temat. Ale pamiętaj, ja ją przeczytałam i nie uchroniło mnie to przed draniem. No i jeszcze jedno: możesz mieć do czynienia z ludźmi, którzy też ją znają. I czasem robi się to absurdalne. Rozmawiałam kiedyś z jedną z kontrahentek Basa. Naśladowała moje gesty i sposób mówienia. Ja mówiłam, na przykład, raport finansowy wygląda nieźle. A po chwili ona, że jej zdaniem raport finansowy wygląda nieźle. Ja, że teraz interes ruszy z kopyta. Ona, że ma przecucie, że teraz interes ruszy z kopyta. Powtarzała za mną wszystko jak mała. Chodzi o to, żeby zmuszać tę drugą osobę do mówienia, w tym przypadku mnie. Po pewnym czasie czułam się tak, jakbym gadała do lustra. Gdyby знаła się na ludziach trochę lepiej, wiedziałaby, że ją nabieram, gwałtownie macham rękami, krzyżuję nogi i tak dalej.

Po lunchu wróciłam do domu i zadzwoniłam do matki, powiedzieć, że dostałam pracę. Włączył się automat, ale nagrywanie wiadomości dla moich rodziców nigdy nie było bezpiecznym przedsięwzięciem. Matka radziła sobie z urządzeniami elektronicznymi. Musiała się nauczyć, jako żona mojego ojca. Ale to tato zwykle je kupował, że niby taki nowoczesny. Nie wiadomo jednak, co by zrobił, widząc mrugające światełko. Spryskał je płynem na komary? Zadzwonił po straż pożarną?

Dopiero o szóstej zadzwoniłam się do mamy. Pogratulowała mi i powiedziała:

- Caron, dzwonił tu ten okropny człowiek, Bas. Chciał, żeby mu podać twój adres. Rozmawiał z twoim ojcem, który oczywiście powiedział mu, żeby prowadził własne badania. Ale potem zadzwonił jego adwokat.

- Adwokat Basa? - W moim żołądku balet królewski odstawiał *Jeziro Łabędzie*. - Czego chciał?

- Twojego adresu. Muszę powiedzieć, że to do niego pasuje - załatwiać sprawy sercowe przez adwokata.

- Nic nie zdziała, mamó. Nie może przecież wystąpić o rozwód, skoro nie jesteśmy małżeństwem. Poza tym, żyjemy w wolnym kraju. Niech się goni. Nie ma prawa was niepokoić. Jeżeli jeszcze ktoś zadzwoni, rzućcie słuchawkę.

- Trzymamy karty przy piersi, kochanie. Ale ten adwokat był okropnie nachalny. Aż irytująco. Zadzwoniłam więc do biura Basa, żeby go zniechęcić, powiedzieć, żeby się wycofał z gry. Uważaj na siebie, Caron, bo nie wiadomo, co on ma w kartach. Jego sekretarka powiedziała, że jest nieosiągalny, pojechał do Londynu. Nie wiedziała, kiedy wróci.

Rozłączyła się, a ja pograżyłam się w czarnych myślach. Otworzyłam butelkę dobrego wina, które kupiłam, żeby zrewanżować się Florze za opróżnienie jej barku poprzedniego wieczoru i za pomoc w znalezieniu pracy. Skoro ją zdobyłam, życie powinno ofiarować mi także zwycięski kupon na loterii.

Ale nie! Człowiek się wysila, robi parę kroków do przodu i ciach! Dostaje po głowie. Czulałam się tak, jakby mój anioł stróż ugryzł mnie w łydkę.

Zresztą, nie ma sensu obwiniać życia. Jeżeli nie bierzesz odpowiedzialności za jego bieg, tracisz zdolność zaradzenia złu. Możecie mi wierzyć, przyjęcie biernej postawy wobec Basa nie różniło się niczym od ofiarowania misiowi grizzly ostatniego kawałka czekolady. Lepiej zjeść ją samemu i uciekać, ile sił w nogach.

Istniała szansa, że przyjechał do Londynu na jednodniowe spotkanie z agentem z Hongkongu. Londyn leżał w połowie drogi i służył za miejsce spotkań, kiedy trzeba było coś podpisać albo uzgodnić osobiście. Bas nie myślał chyba, że zdoła mnie odzyskać? Czy w ogóle tego chciał? Czy może po prostu robił piekło tak sobie, żeby mieć ostatnie słowo? Zgadzałam się z Florą, że prawdopodobnie nie mógł mnie pozbawić odprawy. Jego adwokat brał więcej za godzinę. Więc cokolwiek Bas planował, dotyczyło obrazu. Ale to był mój obraz. Pomijając nawet kwestię sprawiedliwości, gdybym mu go oddała dla świętego spokoju, żeby pozbyć się drania raz na zawsze, uznałby to za słabość. Ciekawe, o co jeszcze by mnie wtedy oskarżył. O sprzeniewierzenie? Nękanie żony? Stać go było na zatrudnienie zespołu pisarzy, którzy podsuwaliby mu pomysły. Bo czytanie książek to nie dla Basa.

Dopiero po telefonie jego żony pojęłam całą głębię mojej naiwności. Zrozumiałam, jak sprytnie Bas zaaranżował sprawy, zwłaszcza finansowe, na swoją korzyść. I gdybym miała opisać Basa za pomocą dwóch słów, brzmiałyby: „Lubi wygrywać”. Bas gotów był wszcząć wojnę tylko po to, żeby ją wygrać.

Sprawa była prosta. Będę musiała walczyć. Flora wybrała się po pracy na zakupy, ale mogła wrócić lada chwila. Przebrałam się więc szybko w dżinsy i podkoszulek, żeby przespacerować się po Heath, trochę odparować. Nie powinnam zawracać Florze głowy swoimi problemami.

Mijając South Hill Green, czulałam się trochę jak mysz, która ma stawić czoło tygrysowi. W moim rodzinnym domu była kiedyś mysz. Mama i eksterminatorzy nie mogli się jej pozbyć latami. A gdy znikła, nikt nie był pewien, czy się po prostu nie wyniosła i nie zamieszkała u kogoś, kto miał lepszy ser.

Spacerowałam i zastanawiałam się, w jaki sposób Bas mógłby mnie znaleźć. Londyn to nie autokar turystyczny. No i łatwiej znaleźć tygrysa niż mysz. Jak każda mądra mysz będę miała oczy szeroko otwarte i nos przy ziemi. Dom, rachunki i telefon były na nazwisko Flory, a przed drzwiami nie tłoczyli się reporterzy spragnieni wywiadów z najnowszym pracownikiem działu księgowości Chambers'Emporium.

Więc wszystko jasne. Bas mnie nie znajdzie, zajmie się innymi sprawami i zapomni. Nie ma powodu do zmartwienia. A jednak cała ta argumentacja nie była dla mnie w pełni przekonująca. Przechodząc przez Heath, patrzyłam na boki. A właściwie w

górze. Bas nigdy nie chodził pieszo. Helikoptery były bardziej w jego stylu. W sumie czułam się jak dwie laski dynamitu wetknięte koło ogniska.

Chodzenie zawsze mnie uspokajało, a przynajmniej zużywało energię potrzebną do myślenia. Szłam coraz szybciej i szybciej. W końcu musiałam zwolnić. Przy małym jeziorku dzieci karmiły kaczki pod okiem rodziców, starsze pary spacerowały wolniutko, punkowa młodzież prezentowała nowe kolczyki w uszach i nosach, ludzie gonili za psami goniącymi za ludźmi. Wszystko wydawało się takie zwyczajne. Kolejny psikus zwanego życia. Jak tylko opuścisz gardę i trochę się odprężysz, podkrada się zniechota. Szłam sobie, szczęśliwa jak skowronek, beztraska po raz pierwszy od powrotu do Londynu. Sława i chwała, wszystko w zasięgu ręki. Przyszłość mieniła się jak światła w dyskotecie.

Wtem gdzieś za mną mężczyzna krzyknął: „Caron!” i omal nie wskoczyłam na najbliższe drzewo.

## *Rozdział 5*

Niechętnie przyznaję się do tchórzostwa, ale z jakiegoś powodu ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki. Życie pełne jest wyborów i choć było już za późno, by nie usłyszeć wołania, miałam mnóstwo czasu, by je zignorować. Przy odrobinie szczęścia mogłam je ignorować przez resztę życia. A przynajmniej zostawić daleko za sobą. Niestety, za sobą na ścieżce słyszałam już dudniące kroki.

Regularnie uprawiam jogging. Fakt, mógłby to powiedzieć również ktoś, kto robi to systematycznie w sylwestrowy wieczór. Ja przynajmniej myślę o tym codziennie. Kiedy krok robi się sprężysty, człowiek łapie rytm, ogarnia go euforia i biegnie się lekko. Na to pędziłam jednak zbyt szybko, ale nie tak szybko jak goniący mnie facet. No i trudno mówić o euforii, kiedy gość z tyłu jest na liście płac Basa. Chciałam wydostać się z parku i ulicą wzdłuż Heath dostać się na High Street, gdzie było więcej ludzi. Wbiegłam na niewielkie wzniesienie w pobliżu kępy drzew i zobaczyłam, że resztę drogi mam z góry.

Czasem, kiedy człowiekowi wydaje się, że opanował sytuację, odpręża się i staje nieostrożny. Myśląc już o ruchliwej ulicy i o tym, że będę musiała zmienić tempo, żeby wyminąć samochody, potknęłam się i pofrunęłam w powietrzu. Wylądowałam na ścieżce z rozrzuconymi rękami i nogami. Nie miałam sił, żeby wstać, i pomyślałam, że lepiej przygotuję się na śmierć. Ale na to też byłam zbyt zmęczona.

- Caron, jesteś cała?

Ostrożnie przekręciłam głowę i spojrzałam w górę. Nade mną stał James Smith. Poczulałam się jak skończona idiotka, jak ktoś, kto właśnie wygrał na loterii i zapalił kuponem cygaro. A kiedy człowiek czuje się naprawdę głupio, odruchowo atakuje.



- Do diabła, James, dlaczego gonisz mnie po Heath?

Pomógł mi usiąść, ale byłem jak z gumy, a głowa opadła mi na jego ramię. Łapałam powietrze otwartymi ustami, James obejmował mnie w pól. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że trzyma szmacianą lalkę, trochę poszarpaną przez wściekłego psa. - Nie gonilem cię.

- Gonisz. Gonienie polega na tym, że biegnie się za kimś, żeby go złapać.

Podał mi chusteczkę, żebym mogła otrzeć pot z czoła. Dlaczego, u diaska, on się nie spocił? Nie był nawet zadyszany.

- Mój okrzyk cię przestraszył - tłumaczył cierpliwie - więc pobiegłem za tobą, żebyś wiedziała, że to tylko ja. Bo chyba, nie istnieje żaden powód, żebyś uciekała przede mną, prawda? O ile wiem, różnica zdań między nami ogranicza się do tego, że nie chcę się zamienić na posady.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam jego szeroki uśmiech. Serce zwolniło rytm i pracowało już tylko jak generator szpitala Royal Free. Wzięłam głęboki oddech i też się uśmiechnęłam.

- Zmieniłeś zdanie?

Zaśmiał się, a potem spoważniał.

- Jesteś cała?

- Jeszcze nie wiem. Rozprostowałam ręce i nogi.

- Chyba w porządku.

Rozejrzałam się szybko za komandosami Basa.

- Wszystko dobrze, Caron - powiedział James. - Nikogo nie ma. Nie chcę się narzucać, ale czy ktoś cię prześladowuje?

- Co?

- No wiesz, chodzi za tobą, podgląda. Wyglądasz trochę jak ta spikerka telewizyjna, którą prześladował jakiś facet.

Kiedy się nie odezwałam, bo oddychanie pochłaniało wszystkie moje siły, dodał:

- Z początku myślałem, że to wyścig, zabawa. Ale musiałem nieźle wyciągać nogi, żeby cię dogonić.

- Super! Nie dość, że uciekam, to nie robię tego dość szybko. Serdeczne dzięki.

Roześmialiśmy się, ale stwierdziłam, że lepiej będzie, jak wstanę. Ta rozmowa stawała się krepująca. Zdumiewające, że kiedy pragnie się uniknąć tylko jednego tematu, prowadzą do niego wszystkie rozmowy. Łokcie i kolana miałam podrapane, jedno krwawiło. Mogłam z tym żyć. Mogłam nawet uniknąć dzięki temu dalszej rozmowy. Zrobiłam krok na próbę i przewróciłabym się, gdyby mnie nie złapał.

- Cholera, kostka nie pracuje.

Ponieważ było to widoczne gołym okiem, nie dodałam, że krew ścieka mi strumyczkiem do butów.

Popatrzył wokół, jakby miał nadzieję, że następną osobą, jaką zobaczy, będzie lekarz goniący pielęgniarkę. Choć dotykał mojej kostki bardzo delikatnie, miałam wrażenie, że ją zmasakruje.

- Myślę, że to tylko zwichnięcie, Caron. Ale kolaniem trzeba się zająć. Mieszkam niedaleko. Myślisz, że dasz radę przejść kawałek?

Nie mieszkał tak blisko, jak życzyłyby sobie moja kostka.

Szliśmy wolno, ja uwieszona jego lewego ramienia, podtrzymywana prawym. Ciągłe mówił, chyba po to, żeby odwrócić moją uwagę, bo przy każdym kroku mamrotałam; „Auu!”

- Twoja rodzina nie będzie miała nic przeciwko temu, że sprowadzasz rannych z Heath?

- Moja rodzina? - Roześmiał się. - Nasłuchwałaś się biurowych plotek. Kobieta po drugiej stronie linii. Faktycznie, mieszka u mnie kobieta i nie mogę się doczekać, kiedy ci ją przedstawię.

Pokazał zęby w uśmiechu.

- Ale mam nadzieję, że dochowasz tajemnicy. Plotki są mi bardzo na rękę.

Uśmiechnął się, widząc, że nie rozumiem.

- Kiedy poznasz lepiej firmę, sama zaczniesz opowiadać, że jesteś mężatką. Bo nie jesteś, prawda?

Był o wiele subtelniejszy od Basa i bardziej tajemniczy. Trzyma kobietę zamkniętą na strychu? Są naturystami i będę musiała zostawić ubranie na progu?

- Nie jestem mężatką. Na samą myśl o małżeństwie chce mi się... - O, cholera! Znów powiedziałam za dużo.

- Biec na oślep przed siebie? Odrzucony konkurent? Lepsze to niż nieznany prześladowca.

Niezupełnie, pomyślałam. Z obcym stanęłabym twarzą w twarz, wypróbowała parę ciosów karate, jakie demonstrowali w telewizji. W przypadku obcego faceta można wezwać policję. Zawołać: „Ratunku, mordują!” Sprawa ma się inaczej, kiedy chodzi o kogoś, z kim mieszkasz. Wtedy ludzie mówią: „Oj, drobna sprzeczka” - chyba że gość już masakruje cię lewarkiem.

Mimo wszystko zaskoczyło mnie, że zaczęłam uciekać. To nie leżało w moim charakterze. Ostrzeżenie zwykle nieustraszonej mamy musiało podziałać na mnie silniej, niż przypuszczałam. Ale przecież nie sądziłam, że Bas spróbuje mnie skrzywdzić w sensie fizycznym. Z drugiej strony, podkopywanie mojej pewności siebie i ograniczanie szans zdobycia nowej pracy było groźniejsze, ponieważ trudniej z tym walczyć niż z zagrożeniem fizycznym. Prawdziwa siła nie leży w bicepsach.

Znaleźliśmy się na skraju Heath i przeszliśmy przez ulicę. Nie jechał nią ani jeden samochód. Zupełnie niepotrzebnie martwiłam się o ruch uliczny, co spowodowało

upadek. Oddychałam już normalnie, a moje ego podpełzło z poziomu kostek do poziomu kolana. I jedno, i drugie ciągle krwawiło.

- James, powiedz mi coś więcej o kobiecie z telefonu. Zdaje się, że uznał to za żart.

- Z pewnością jest piękna i urocza - dodałam szybko, na wypadek gdyby naprawdę była jego kochanką.

- Hmm. Piękna i urocza. Sama się przekonasz. Jesteśmy prawie na miejscu.

Wskazał elegancką kamienicę z białego kamienia na Well Walk. Z uwagi na podwyższone piwnice do frontowych drzwi prowadziły schody. Kiedy znaleźliśmy się na szczycie, James wyszeptał:

- Przygotuj się.

Drzwi otworzyły się, gdy tylko przed nimi stanęliśmy.

- Podejrzewam, że ona czatuje przy oknie - mruknął James.

Zamiast uroczej kochanki w progu stała wiekowa staruszka. Zgarbiona i żylasta, z białymi kędzierzawymi włosami wysypującymi się z koczka, powitała nas z serdecznością, z jaką zwykle wita się akwizytorów. Stała twardo na środku, spoglądając koso najpierw na Jamesa, potem na mnie.

- Gdyby się pani trochę przesunęła, pani Stone, ja i mój gość, Caron Carlisle weszlibyśmy do środka.

Ta uwaga nie odniosła zamierzonego skutku. Potem pani Stone zauważyła moje kolano. Natychmiast się odsunęła, nie wiem, czy przez wzgląd na moje zagrożone zdrowie, czy też z obawy o czystość dywanu. Chwyciła mnie za ramię i odmaszerowała razem ze mną do kuchni. Pchnęła mnie na drewniane krzesło i przyjrzała się uważnie mojej twarzy.

- Wygląda na to, że jeszcze żyjesz. Zwróciła się do Jamesa:

- Nie stój tak, młody Jamesie, przynieś apteczkę.

Powstrzymałam uśmiech i popatrzyłam na młodego Jamesa. Wzniósł oczy do nieba, a potem otworzył szafkę i wyjął apteczkę. Staruszka zaczęła wydawać rozkazy, przynieś to, przynieś tamto, na koniec kazała mu zagotować wody. Zaniepokoiłam się, czy nie zamierza odbierać porodu.

Może i wyglądała jak zła czarownica, ale wiedziała, co robi. Najpierw oczyściła skaleczenia, potem naląła na nie gencjany.

Skrzywiłam się, ale byłam pewna, że moje rany zachowają się zgodnie z jej życzeniem i zagoją natychmiast. Potem kazała Jamesowi zanieść mnie do frontowego pokoju. Podniósł mnie, szczerząc zęby w uśmiechu, i zaniósł gdzie trzeba. Pani Stone umieściła moją puchnącą już stopę w misce z gorącą wodą. Szczęśliwie nie był to wrzątek.

Przysunęła się, mierząc mnie krótkowzrocznymi oczami, uśmiechnęła się impertynencko i powiedziała:

- Będiesz żyła.

Podziękowałam jej wylewnie, a ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Brandy - powiedziała, zwracając się do Jamesa. Potem mamrocząc „zupa” wyszła z pokoju.

- James, ona jest wspaniała. Skąd ją wytrzasnąłeś? Uśmiechnął się sucho.

- Odziedziczyłem ją razem z domem. Mój niezonaty wuj pozostawił list jako dodatek do testamentu. Cytuję: „Ufam, Jamesie, że zaopiekujesz się starą Stone, pozwolisz jej pracować jak długo zdoła, jeżeli będzie tego chciała. Albo wyposaż ją odpowiednio i odeślij na emeryturę, zgodnie z jej życzeniem”. Moja stara niania, rozumiesz, zgodnie ze swoim nazwiskiem, jest jak kamień u szyi. A raczej kamyczek w bucie. Niby nic takiego, ale trudno go ignorować.

Wręczył mi kieliszek koniaku. Upiłam łyżeczkę. Ogień spłynął mi wzdłuż przetyku. Jeżeli kiedyś zwątpisz, czy jeszcze żyjesz, spróbuj brandy. Jeżeli nic nie poczujesz, zadzwoń do przedsiębiorcy pogrzebowego.

James usadowił się w głębokim skórzanym fotelu naprzeciwko sofie, na której przycupnęłam. Wszystkie meble, a także obrazy, wyglądały tak, jakby nie tylko James, ale również jego wuj je odziedziczył. Pokój sprawiał trochę posępne wrażenie. Odniosłam wrażenie, że gdyby ktoś spróbował przestawić krzesło, odgryzłoby mu spory kawałek ręki.

James kołysał koniakiem w kieliszku, mój był na to zbyt pusty.

- Adwokat twierdzi, że dałoby się obejść obostrzenia wuja, inaczej je zinterpretować, ale czuję się zobowiązany przestrzegać raczej jego intencji niż litery prawa. Choć regularnie, mniej więcej raz w tygodniu, proponuję jej przejście na emeryturę.

- Ale dlaczego? Jest wspaniała. Dba o dom, gotuje. Większość ludzi dałaby się zabić za kogoś takiego.

- To dlatego, że nie muszą z nią mieszkać. Kiedy byłem w podstawówce, czasem spędzałem wakacje u wuja. Pani Stone już wtedy była stara, a dziś traktuje mnie dokładnie tak samo jak „młodego Jamesa”. Jesteś pierwszą przyprowadzoną przeze mnie osobą, której nie próbowała odstraszyć. Na razie.

- Inni prawdopodobnie nie krwawili. Jeżeli jeszcze kiedyś tu przyjdę, zepchnij mnie z werandy, zanim ona otworzy drzwi. Naprawdę ją lubię. Nie cackano się ze mną w dzieciństwie, dlatego ma to dla mnie swój urok.

- Szkoda. - James roześmiał się. - Kiedy usłyszałem twój wywód o rozpracowywaniu ludzi, języku ciała i takich tam, miałem nadzieję, że wymyślisz, jak się jej pozbyć. Zaproponowałem jej mieszkanie na parterze i niezwykle hojną emeryturę, ale ona nie chce o tym słyszeć.

Na to weszła pani Stone.

- Nie chcę słyszeć o emeryturze, młody Jamesie, jeżeli o tym mowa. - Odwróciła się do mnie z szerokim uśmiechem, który miał zirytować Jamesa. - Nie wie, jak bardzo mnie potrzebuje. Umarłabyś, gdyby mnie tu dzisiaj nie było.

- Pani Stone, wiem jak korzystać z apteczki.

- Może i tak, ale nie wiesz, jak ugotować zupę. Stała podparta pod boki, czekając, aż skosztuję zupy. - Naprawdę pyszna, pani Stone. Po prostu pyszna. Już czuję się dużo lepiej.

Rozważała coś przez chwilę, po czym zwróciła się do Jamesa:

- Trzeba przygotować gościnny pokój. Nie wolno jej ruszać. To może trwać tygodnie. Miesiące.

Zakrztusiłam się i oplułam zupą.

- Dzisiaj muszę być w domu, pani Stone, ale bardzo dziękuję. Jestem pewna, że ta zupa postawi mnie na nogi.

- Zaraz zabandażuję ci kostkę. A ty, Jamesie, pewnie chcesz obiad.

- Tylko zupę. Jeżeli jest.

- Jeżeli jest? - Pokiwała głową ze smutkiem. - Co ty byś beze mnie zrobił?

Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, James powiedział:

- Bez niej umarłbym szczęśliwy.

- Rozchmurz się, James. Musisz po prostu wozić w samochodzie kule dla swoich znajomych. Albo zafunduj sobie od czasu do czasu jakiś wypadek. Ta zupa jest tego warta.

- To by ją tylko rozzuchwaliło. Co wieczór stawia przy moim łóżku kubek kakao, a ile razy zdarzy mi się wypić kieliszek przed snem, napomyka o AA. Nie mogę przecież krzyczeć na starszą panią. A ona jest uparta jak muł. - Uśmiechnął się bezradnie. - Nie mogę być twardy i stawiać żądań, powiedziec jej, że ma być tak i tak. Ona mogłaby być moją prababką. I nie powinna obsługiwać kogoś, kto jest młody i zdrowy.

Aż trudno było uwierzyć, że mówi to dyrektor finansowy Chambers'Emporium. James był bez wątpienia inteligentny. Prezesem, dyrektorem, a nawet kierownikiem szkoły można zostać przez przypadek albo podstępem, głównym dyrektorem finansowym - nigdy. W jego wieku nominacja na najwyższe stanowisko w firmie to był nie lada sukces. Przyszło mi do głowy, że może okazuje słabość, chcąc podtrzymać mnie na duchu po tej szalonej ucieczce.

- Tak czy inaczej, James, jesteś jej dłużnikiem - powiedziałam ze śmiechem. - To prawdopodobnie dzięki niej zaszedłeś tak wysoko, zamiast zostać playboyem. Gdzieś musiałeś się wykazać. Lepsza ona niż jakaś zrzędząca żona. O wiele lepsza. Nie znalazłbyś żony po osiemdziesiątce. A zrzędzące żony zwykle przeżywają swoich mężów.

Świetnie się bawiłam tą rozmową, z Jamesem w roli przyjaciela. Moje dość skąpe doświadczenie życiowe mówiło, że niezależnie od tematu rozmowy, mężczyźni i tak myślą o seksie. Bas myślał o interesach i seksie, w takiej kolejności. Ale oto miałam przed sobą Jamesa, z całą powagą rozważającego sposoby pozbycia się starej rodzinnej służącej. Może wszyscy mężczyźni mieli coś interesującego do powiedzenia, kiedy już człowiek przebił się przez ich hormony. W encyklopedii jest napisane, że hormony to drobne chemikalia szwendające się po krwiobiegu. Ale mnie przypominają Chiński Mur, albo jeszcze lepiej - Ścianę Płaczu.

Jedliśmy zupę, pierwszą i drugą porcję, z gorącymi bułeczkami, które smakowały tak, jakby zrobiono je w domu, podczas gdy James wyliczał przywary i dziwactwa pani Stone. Zrywaliśmy boki ze śmiechu.

W rozmowie z mężczyzną lepiej nie nawiązywać do byłych narzeczonych, żeby nie wyjść na ewentualną kandydatkę. Ale jeżeli próba się uda, związek może pomyślnie ewoluować w stronę przyjaźni. Naprawdę lubiłam Jamesa i chciałam, żeby został dla mnie bratem, którego nigdy nie miałam.

- Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, James, ale co z kobietami? Pani Stone wyrzuca je o północy, czy rozbija się obozem pod drzwiami sypialni?

- Prawdopodobnie robiłaby jedno i drugie, gdybym kiedyś spróbował. Zatrzymałem moje dawne mieszkanie. To znaczy, nie mieszkalem tam sam, rozumiesz. Niezupełnie sam. Jestem tu ze Stone dopiero od roku. I na szczęście można wyjechać gdzieś na weekend. Pani Stone nie śpi i nie bierze urlopów. Zastanawiam się, czy nie odstąpić jej premierowi w charakterze tajnej broni.

Kiedy pani Stone zabandażowała mi nogę w sposób absolutnie profesjonalny, poprosiłam Jamesa, żeby zadzwonił po taksówkę. Zanim zdążył zaproponować, że mnie odwiezie, przygwoździła go wzrokiem.

- Młody Jamesie!

Kiedy jej dziękowałam, już w drzwiach, naprawdę mnie uściskała.

- Tylko żebyś nie umarła w domu, Caron.

- Pani Stone, Caron nie umrze - powiedział James cierpliwie.

- Wszyscy umrzemy. Caron, chcę, żebyś tu jeszcze kiedyś zaszła. Nie do niego. Urwała, żeby zmierzyć wzrokiem biednego Jamesa.

- Ja tu będę. I zawsze znajdzie się talerz zupy. Czasem czuję się samotna. Młody James nie jest zbyt towarzyski. - Rzuciła Jamesowi jeszcze jedno szybkie spojrzenie. - Wiesz, że statystycznie jestem już tak wiekowa, że mam większe szanse zobaczenia kostnicy niż młodego Jamesa w domu?

Znaleźliśmy się na zewnątrz.

- Do diaska! - zawołał James. - Samotna? Płaciłbym ludziom, żeby ją odwiedzali, gdyby zechciała kogoś wpuścić. Wiesz, Caron, będę musiał postąpić wbrew woli wuja albo nając płatnego zabójcę.

Zapalił silnik.

- Mówiąc poważnie, masz jakiś pomysł?

- Zastanowię się. Czeka! Wiem. Wydaj ją za męża!

- Za kogo? Brada Pitta? Hugh Granta?

Śmiałyśmy się tak, że James byłby przegapił ulicę Flory.

- Wobec tego sam się ożeń - powiedziałam. Zatrzymał samochód przed domem i popatrzył na mnie z szerokim uśmiechem.

- Czy to oświadczyły?

- Żeby pozbyć się pani Stone, musiałbyś się ożenić z wdową z tuzinem dzieci.

## *Rozdział 6*

Na szczęście Flora czytała w łóżku, kiedy James przywiózł mnie do domu. Udało mi się dokuśtykać do pokoju, wrzasnąć: „halo” i „dobranoc”, więc nie miała okazji zobaczyć moich bandaży. Przydałaby mi się pomoc pani Stone przy ściąganiu dżinsów przez opuchniętą kostkę, pod warunkiem, że nie rozwiązałyby problemu za pomocą siekiery. Tacy kompetentni ludzie potrafią czasem przedobrzyc.

Dziesięć sekund później, kiedy przyłożyłam głowę do poduszki, byłam w zaskakująco pogodnym nastroju. Po tym, co James opowiedział mi o swoich przeżyciach z panią Stone i po zapoznaniu się z nią samą, moja ucieczka przez Heath nie wydawała mi się już tak żenująca. Tak czy siak, musiałam wyzbyć się protekcjonizmu.

No dobra, więc można być tylko człowiekiem. Można się bać. Byle to nie przeszło w stan chroniczny. Zasnęłam z myślą o Jamesie. Myślałam o tym, jak mnie wyprowadził z Heath, o jego silnych ramionach, o tym, jak miło przytulić się do pluszowego misia. O serdecznym, przyjacielskim, niegroźnym, na wskroś platonicznym, idealnie bezpiecznym związku.

Rano miałam wrażenie, że dwa słonie tańczyły na mnie jak noc długa. Pachniało kawą. Otulona w szlafrok pokuśtykałam do kuchni.

- Dzień dobry, Floro.

- Caron! Co się stało?!

- Biegałam i upadłam. To tylko zwichnięta kostka i podrapane kolano. Nic mi się nie stało. Jestem tylko trochę zeszywniała.

Musiałam wspomnieć o Jamesie, ponieważ temat mógł wypłynąć później przy jakiejś okazji. Nie chciałam przez resztę życia pamiętać, żeby o tym nie mówić.

- Zgadnij, kto przybył mi z odsieczą?

- Leonardo DiCaprio? - Cudowna Flora już nastawiła wodę, żeby mogła wymoczyć nogę.

- James Smith. Byłam u niego w domu. Flora uśmiechnęła się radośnie.

- Widziałaś tę kobietę? Cudowną kochankę, która odbiera telefony?

O rany! Jak dochować wiary jednocześnie Florze i Jamesowi?

- Właściwie to nie widziałam nikogo takiego. Ale poznałam starą gosposię.

- Ta kobieta pewnie pracuje - odparła Flora w zamyśleniu. - James wygląda na takiego, co woli władcze kobiety w typie dyrektorskim.

To mnie zaskoczyło.

- A nie kury domowe, które pieką pyszne ciasteczka?

- Nie sądzę. Już ci mówiłam, że z tobą był wyjątkowo rozmowny. Wieść niesie, że nie przepada za biciem piany. To znaczy, jest miły i mówi wszystkim „dzień dobry”. Ale się nie spoufala. Zamknięty w sobie. Wierz mi, nikt z nim nie zadziera.

- Ale, Floro, to może po prostu oznaczać, że ceni sobie prywatność. Gdyby był taki nieprzystępny, jak mówisz, pan Chambers nie uważałby, że może zmodernizować firmę, jednocześnie zachowując jej charakter.

Flora zarumieniała się lekko, a mnie się zrobiło przykro, że ją skrytykowałam.

- Caron, chodziło mi o to, że on się nie udziela towarzysko i nikt go dobrze nie zna. Nie powinnam plotkować. Był dla nas bardzo miły. I pomógł ci w Heath.

- Ktoś tak ambitny i inteligentny musi sobie zdawać sprawę, że taka reputacja, jaką ma ten facet, o którym wspomniałaś, ten Jack Howard, nie pomogłaby mu w karierze. Wchodząc w układy towarzyskie, trzeba potem brać czyjąś stronę, a to też komplikuje życie.

Uśmiechnęłam się na myśl, że pan Chambers pokłada w Jamesie taką ufność, ponieważ wie o pani Stone.

Zabrakło mi czasu na długie moczenie stopy i musiałam pogodzić się z faktem, że będę kuśtykać pierwszego dnia pracy. Z konieczności raczej niż z wygody wezwałam taksówkę, żeby zawiozła do firmy mnie i Florę. Długo nie mogłam się zdecydować, czy włożyć krótką spódnicę i afiszować się bandażami, żeby nie wyjść na niemrawą z natury, czy założyć spodnium w nadziei, że jeżeli zignoruję swoje obrażenia, wezmą sobie i pójdą. Wybrałam kamuflaż. Ludzie w księgowości siedzą prawdopodobnie za biurkiem jak dzień długi i wpatrują się w cyfry, aż uszy zarasta im pajęczyna.

Flora radośnie wyskoczyła z samochodu i dołączyła do grupki czekającej na otwarcie drzwi. Zrozumiałam, że przyjeżdżając taksówką, popełniłam pierwszy błąd. Drugim było jedwabne spodnium od Diora w kolorze kremowym. Niestety, nie miałam innych spodni tak szerokich, żeby zmieścił się w nich opatrunek. Taksówkarz od razu zauważył moją zabandażowaną kostkę. To naturalne, w tym zawodzie trzeba nieustannie wypatrywać noży i pistoletów zatkniętych za skarpetki pasażerów. Wysiadł z wozu i



otworzył przede mną drzwi, podając mi ramię. Jak na ósmą trzydzieści w czwartkowy rano było to trochę zbyt ostentacyjne.

Ukoronowaniem mojego wejścia był deszcz, który zaczął padać, jak tylko taksówka odjechała. Flora oczywiście miała parasolkę, ale poszła przywitać się z kolegami z pracy. Czułam, jak moje włosy zmieniają się w kapryfolium, w te świeżutkie skręcone pędy, które tylko szukają, czego by się tu złapać.

Podbiegła Flora z parasolką.

- Caron, chodź, zmieścimy się obie. - Ale była o wiele niższa ode mnie, więc kiedy próbowała zakryć mnie, sama mokła.

- Dzięki, Floro, ale jestem już tak mokra, że to bez znaczenia.

Odrzuciłam mokre kosmyki, bo miałam wrażenie, że pies liże mnie po twarzy.

- Wszystko ma znaczenie, powtarzam to każdemu, kto chce słuchać. Zniszczysz sobie ten piękny kostium, a z pensji nie kupisz drugiego przez wiele lat.

To sprowadziło mnie na ziemię. Nie byłam już wielką panią dyrektor, ale niskopłatną, przesadnie wystrojoną pracownicą. Pracownicą bardzo, bardzo mokrą. Musiałam co prędzej wyzbyć się poczucia wyższości wobec grupy, do której udało mi się z wielkim trudem dostać.

Zdjęłam zakiet, czarny T-shirt był mniej wytworny. I trochę przyciasny, bo ostatnio przesadziłam z ciasteczkami morelowymi. Zerkając na swój skromny biust, pomyślałam, jakie to szczęście, że ciastka nie są w kształcie melonów albo fig.

W Chambersie wszyscy wydawali się sympatyczni. Wiem, że nie można się kierować pierwszym wrażeniem, ale przy pierwszym spotkaniu trudno o coś innego. I nie wiem, jak zamierzałam ukryć swoją kostkę, skoro Flora pokazała ją palcem i powiedziała:

- Patrzcie, skręciła sobie nogę. Okropnie kuleje. I kolano też. Ale kolana nie widać.

Chciałam już zawołać: „Nie mów nic o Jamesie!” To, że poprzedniego dnia zdradziła mi poufne informacje o pracownikach, kazało mi wątpić w jej dyskrecję, a nie chciałam, żeby wypaplała wszystko o mnie. Jeżeli ktoś ma zapotrzebowanie na tanią dramaturgię, niech sobie poogląda telenowelę. Ale znów źle oceniłam Florę. Dzięki temu, że tak zręcznie skierowała uwagę na moje obrażenia, ludzie zapomnieli spytać, gdzie pracowałam przedtem. Zamiast tego pytali, co mi się stało. Pewna kobieta powiedziała: „Mam nadzieję, że ciężarówka też ucierpiała”. Stary kawał, ale wspólny śmiech uczynił mnie natychmiast częścią grupy.

Pracownicy zdawali się dzielić na dwa obozy; ludzi w zaawansowanym wieku średnim i zupełnie starych, oraz młodą mniejszość. Pragnienie, by zmodernizować Chambersa, musiało być nagłe i bardzo niedawne.

Rzut oka na zakulisowe życie magazynu był fascynujący. Wiedziałam z kina i telewizji, że linie lotnicze i hotele mają własny świat, prawie nieznaną szerokiej publiczności. Chambers był do nich trochę podobny. Wszyscy przeszli szybko na swoje

stanowiska, ekspedienci przypinali plakietki identyfikacyjne. Wymieniano pozdrowienia i żarty, a wielka sala aż buzowała od śmiechu. Wszystko, nawet narzekania i jęki, zdawało się potwierdzać, że wszyscy się znają. Ustawiano rekwizyty, zapalano światła, jakby był to teatr, do którego wkrótce zawita publiczność.

I może kupowanie jest formą terapii, która odbywa się na scenie wielkiego sklepu, kiedy klient staje się na chwilę gwiazdą, ośrodkiem zainteresowania. Nawet te miejsca, gdzie ekspedienci starali się ignorować klienta, miały kusić. Wszystko powstało z myślą, żeby czuł się rozpieszczany: zapach drogich perfum, grube wykładziny, dobrze ubrane manekiny, wystawy za szkłem. Czar prysnął, kiedy odezwała się młoda kobieta z zielonymi pasemkami we włosach, łąpczywie popijająca kawę.

- Cholera! - powiedziała. - Zaraz trzeba będzie wpuścić sfore.

W drodze do wind Flora przedstawiała mnie swoim znajomym. Jedna z kobiet, starsza i bardzo elegancka, wskazała ruchem głowy zielone pasemka i uśmiechnęła się szeroko.

- Wygląda na to, że jednego psa już mamy - powiedziała. Kiedy ją minęliśmy, Flora powiedziała:

- Jest najstarsza na parterze i bije wszystkich na głowę w sprzedaży.

W księgowości poznałam kierowniczkę, panią Brown. Mogłaby być wzorem nauczycielki, przyjacielska, ciepła i miła, ale również stanowcza i apodyktyczna. Dobre serce w konkubinacie z podejrzliwym umysłem.

Razem ze mną w dziale było dwanaście osób, jeżeli wliczyć panią Brown. I była to grupa jakby wybrana do politycznie poprawnej fotografii. Dwie mniejszości etniczne, trzy kandydatki do kampanii Chleba Emerytom, jedna punkowa z różowymi włosami i kolczykiem w nosie, jeden mężczyzna. Pełny przegląd typów: niscy, wysocy, chudzi, grubi. Największa grupa składała się z kobiet w moim wieku, które tak jak ja wołałyby zacząć na dyrektorskim piętrze.

Biurka stały w rzędach, a mnie skierowano do ostatniego. Z uwagi na obecność szafek katalogowych mieściły się tam tylko dwa biurka. Starsza pani podniosła wzrok i powiedziała:

- Mów do mnie Melody. - Chuda jak tyczka zakończona strzechą siwych loków, przyglądała włosy i dotknęła krawędzi warg, zapewne sprawdzając, czy szminka się nie rozmazała.

Pani Brown kazała mi się „urządzić”, a ponieważ nie zostawiła mi nic do roboty, zwróciłam się do sąsiadki:

- Powiedz mi, Melody, czy to dobrze, czy źle siedzieć w ostatnim rzędzie?

Należała do kobiet, którym uśmiech zmiata z twarzy dziesięć lat.

- Sądzę, że jest to sam dół firmowej drabiny, kochanie. Ale mnie się tu podoba. Komu z oczu, temu z serca, nieprawdaż? Najlepiej jak pani Brown całkiem o nas zapomni.

Roześmiałam się, choć miałam wrażenie, że Melody mówi całkiem serio.

- Nie lubisz księgowości? Zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Naprawdę nie wiem. - Widząc, że nie rozumiem, dodała: - To nie jest prawdziwa księgowość, kochanie. Prawdziwa księgowość jest dołączona do poszczególnych działów. Import, eksport, planowanie, dokładnie nie wiem. Cyfry nigdy mnie specjalnie nie ekscytowały.

- Jeżeli to nie jest księgowość - zapytałam zbita z tropu - to co to jest?

- No, księgowość. To znaczy, taką nosimy nazwę. I czasami mamy do czynienia z liczbami. Robimy faktury i te arkusze kalkulacyjne.

Prychnęła, jakby arkusze zalatywały skunksem. Potem powiedziała z dumą:

- Byłam kiedyś gwiazdą zespołu maszynistek. Zgadłabyś?

- O tak, z pewnością. Prawdę mówiąc, zgadłabym od razu. Ale co tu robicie poza arkuszami kalkulacyjnymi? - Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak siedzimy w tylnym rzędzie i obrębiamy ubrania sprzedawane w sklepie.

- Och, różne rzeczy. Niektórzy starsi dyrektorzy nie przyjmują do wiadomości, że świat opanowały komputery. Czasem trzeba napisać list. I ponieważ robimy tu różne rzeczy, czasem się nas wypożycza.

- Jak książki w bibliotece? Pożyczają się nas? Ale to nie jest agencja pracowników tymczasowych, prawda?

Melody uśmiechnęła się pogodnie.

- To dobra nazwa dla naszego działu. Ale tylko w ramach firmy, oczywiście. I nie mogą nas wypożyczać na piętra handlowe.

- Więc księgowość w Chambersie to w gruncie rzeczy administracja? Różności?

Melody jeszcze raz się uśmiechnęła i skinęła głową.

- A skoro mowa o różnościach, tak się cieszę, że nie jesteś stara. Starzy ludzie mnie męczą.

W ciągu następnej godziny zajrzałam do wszystkich pustych szuflad. Włączyłam komputer i sprawdziłam, czy działa telefon. Fotel okręcał się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Bardzo ekscytujące. Flora uprzedzała wprawdzie, że niewiele oczekuje się od pracowników pierwszego dnia pracy, ale to była jednak lekka przesada. Obróciłam się do Melody. Wyglądało na to, że śpi.

Zakaszła i podskoczyła nerwowo na krześle.

- Pora na lunch?

- Wątpię. Mogę ci zadać parę pytań? Wiesz o firmie chyba wszystko?

Ponieważ nie zamknęła oczu od razu, uznałam to za zachętę.

- Ciekawi mnie, jak długo trzeba tu czekać na awans?

- Och, o to bym się nie martwiła, kochanie. Wszyscy dostajemy roczne podwyżki, czy awansujemy, czy nie. Uwierzyłybyś, że mam najwyższą niedyrektorską pensję w firmie?

- Bez trudu. Ale to jest mój pierwszy dzień. Kiedy najwcześniej mogę się spodziewać awansu? Zakładając, że będę sumiennie pracować i będę mnie często wypożyczać?

- Co pół roku przeprowadzają ocenę pracownika. Przyjrzała mi się uważnie.

- Nie zdziwiłabym się, gdybyś przeniosła się rząd wyżej już w styczniu.

- W styczniu? Nie wcześniej? A do innego działu?

- Pan Chambers zawsze powtarza, że wszystko jest możliwe. Ale musiałabyś się wstrzelić w wolny etat. Jaki dział masz na uwadze, Caron?

Stwierdziłam z przerażeniem, że stoi nade mną James. - Na to pytanie mogę odpowiedzieć za nią, Melody. Caron już upatrzyła sobie mój stołek. Melody była skonsternowana.

- Twój stołek? I ty też będziesz na nim siedział? Cóż, przypuszczam, że na górze mają szersze krzesła. Mężczyźni często mi to sugerowali, kiedy byłam w zespole maszynistek.

- Melody - wtrąciłam się - to dlatego, że krzesła kobiet były zawsze zbyt wąskie. Zresztą, pan Smith żartuje.

- James - poprawił mnie James. - Dlaczego sądzisz, że żartuję?

- Jeżeli nie żartujesz, pamiętaj, że w tym budynku pracują dwieście czterdzieści dwie osoby. A ja jestem dwieście czterdziesta pierwsza pod względem starszeństwa.

- Zostawiłaś miejsce dla mnie?

- O ile wiem, jest już zajęte przez młodego człowieka, który rozwozi kawę, herbatę i ciastka. Chodziło mi o to, że skoro ja jestem na samym dole, a ty na samej górze, obejmujemy pełne spektrum pracownicze. To przydaje mojemu stanowisku nieoczekiwanej ważności.

- Bezwzględnie.

James zwrócił się do Melody.

- Widzisz, przy jej rozumowaniu raz dwa zajmie moje stanowisko. Chciałem powitać cię w firmie - znów mówił do mnie. - I spytać, jak twoja kostka i kolano.

Melody, już całkiem rozbudzona, powiedziała:

- Patrzcie państwo! Co zrobiłaś jej w kostkę i kolano, James? Ja tylko zażartowałam z tym dzieleniem krzesła.

Twarz Jamesa lekko poróżowiała.

- Zapewniam cię, że nic jej nie zrobiłem, Melody.

- To skąd wiesz o jej kolanie? Musiałbyś ją rozebrać, żeby zobaczyć kolano.

- Na rozmowę kwalifikacyjną przyszedłam w spódnicy - powiedziałam szybko. -  
Wszyscy widzieli moje kolano i kostkę. - Jamesowi wyraźnie ulżyło, ale tylko na chwilę,  
bo szybko dodałam: - Widzisz, Melody, biegałam po parku, kiedy usłyszałam za sobą  
kroki. Więc biegałam i biegałam, przerażona. Robiło się ciemno i biegałam coraz szybciej.  
Myślałam, że to ktoś potężny, jakiś mężczyzna, duży i silny jak James.

Oczy Melody zognomniały. Przeniosła wzrok ze mnie na Jamesa.

- Ale okazało się, że to był pies - zakończyłam. - I on ugryzł cię w kostkę i w  
kolano?

- Nie. To był złoty labrador. Chciał być przyjacielski, więc skoczył mi na plecy. W  
rezultacie potknęłam się i wylądowałam na pniu drzewa. Więc tak naprawdę to robota  
tego drzewa.

- Nabierasz mnie, kochanie?

Popatrzyłam na nią z udanym oburzeniem.

- Ależ skąd! Ciebie?

- To dobrze. A teraz przeproszę was, bo czas na lunch. Przyjemnie się z tobą  
gawędziło, James. Zajrzyj jeszcze kiedyś do nas. Zawsze tu jesteśmy.

Kiedy Melody odeszła James z uśmiechem potrząsnął głową

- Jestem twoim dłużnikiem.

Zabrzmiało to tak, jakby spleta miała nastąpić, jak tylko zaopatrzy się w naboje.

- Wczoraj byłem tak pochłonięty uzalaniem się nad sobą, że zapomniałem ustalić,  
kiedy świętujemy twoje wejście do firmy. Jesteś wolna na lunch?

Wyobraziłam sobie, jak wchodzimy razem do kantyny. Na szczęście James  
powiedział:

- Może spotkamy się przed wejściem, za dziesięć minut? Jeżeli wolisz - dodał z  
uśmiechem - możemy udawać, że przez przypadek.

Musiałam się roześmiać. Najbardziej w świecie lubię mężczyzn, którym nie trzeba  
wszystkiego tłumaczyć. Na przeciwległej szali stawiam facetów, którzy potrafią czytać w  
moich myślach. Nie to, żebym miała wiele do ukrycia, ale moje myśli nie zawsze są miłe.

- Dobrze. Ale nie będę mogła iść nigdzie daleko.

James stał przy krawężniku i przywołał taksówkę, gdy tylko mnie zobaczył.

- Wyprowadzenie mojego wozu zajęłoby zbyt dużo czasu. Tak będzie prędzej.

Dokąd chciałabyś pojechać? - zapytał już w taksówce.

Tu wymienił kilka nowych, bardzo eleganckich restauracji. Dokładnie takich, jakie  
najchętniej odwiedza Bas.

- Mam tylko godzinę. W grę wchodzi samoobsługa. Może McDonald? - dodałam  
desperacko.

- Nie mówisz poważnie, Caron. Mamy świętować twoje przyjęcie do firmy.

- Właściwie to chodzę tylko do miejsc, na które mnie stać. W tej chwili, jak wiesz, moje możliwości są dość ograniczone.

- Ja stawiam. Poza tym, czuję się częściowo odpowiedzialny za twój wczorajszy upadek. I tak cierpliwie wysłuchałaś mojego biadolenia. Zresztą pomysł był mój, więc ja płacę.

- Wolisz Burger Kinga?

- Chyba nie. Czy to ma coś wspólnego z powodem twojej wczorajszej ucieczki?

- Przecież uprawiałam sport. Myślałam, że to oczywiste. Jedzenie hamburgerów z frytkami nie ma ze sportem nic wspólnego,

Myślałam gorączkowo.

- Chciałabym pójść gdzieś, gdzie nie spotkam nikogo znajomego i nie będę musiała wyjaśniać, dlaczego kuleję.

Nagle doznałam olśnienia.

- Wiem! Kupmy kanapki na wynos i zjedźmy w taksówce.

- Caron - tłumaczył James cierpliwie. - To nie jest powóz w parku.

- Użyj wyobraźni, James. - Taksówka utknęła w korku. Dotarliśmy zaledwie do pierwszej przecznicy. - Zanim dokądś dojedziemy, trzeba będzie wracać. O, są delikatesy. Poproszę kanapkę z tuńczykiem i sałata. Do tego porcję frytek. I czarną kawę. Kiedy będziemy jedli, zdecydujesz, co dalej.

Taksówkarz musiał ruszyć, ponieważ zmieniło się światło. Zanim wróciliśmy po Jamesa sterczącego na chodniku, kończyła się moja przerwa na lunch. James miał trzy torby z jedzeniem, jedną dla kierowcy.

- Poproszę do Regent Park - powiedział. - Wsiądziemy, a pan poczeka przy włączonym liczniku.

Wolnych ławek w parku nie brakowało, a to dlatego, że znów padał deszcz. Moim włosom wydało się, że są krzakami róży i zaczęły rosnąć. James doskonale pasował do scenerii, ponieważ wyglądał jak gradowa chmura.

- Czy nie uroczo, James? - Odgryzłam duży kęs kanapki. Zaczął się śmiać.

- W każdym razie inaczej. Zdecydowanie nie tak to sobie wyobrażałem.

Świętowanie przełożymy na inny dzień. Wybierzemy się na kolację. Zgoda?

- Oczywiście. - Otworzyłam paczkę frytek. - Wiesz, James, wydajesz mi się dość nieśmiały.

Rozchmurzył się.

- Dzięki. Miło to słyszeć.

- Lubisz uchodzić za nieśmiałego?

- O tak. Jeżeli alternatywą jest reputacja zimnego drania. Nie jestem zbyt rozmowny.

- Nie wyglądasz również na kogoś, kto otwarcie umawia się z pracownikami Chambers'a. Dlaczego ja?

Odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Z tobą jest inaczej, Caron. Spotkałem cię, zanim zaczęłaś pracować u Chambersa. Więc umawiam się z dawną znajomą, która pracuje w tej samej firmie.

- James, to trochę naciągane. Stąpasz po cienkim łożdzie. Uśmiechnął się.

- Prawda jest taka, że ty jesteś inna. Zrozumiałem to, kiedy rozmawiałaś z Florą o języku ciała. Większość kobiet myśli tylko o tym, czy nie ma za grubych ud, w co się ubrać i jak umalować. Ale nie masz nic przeciwko przyjaźni?

Był niespokojny i bardzo poważny. Postanowiłam mu nie mówić, że rano przez godzinę zastanawiałam się, co na siebie włożyć.

- Nic a nic. Ja też potrzebuję przyjaciela. Przyjaciela.

- Zapewniam cię, że tylko o to mi chodzi. - Zamyślił się. - Nie wiem, jak to ująć... Jestem dobry w tym, co robię. Ale ty masz umiejętność postępowania z ludźmi. Tak sobie myślałem...

- James, to uroczy komplement. Dziękuję. Ale nie znasz mnie zbyt długo. I nie każdy by się z tobą zgodził. Choć przypuszczam, że większość inteligentnych ludzi przyznałaby ci jednak rację, mam nadzieję.

James się roześmiał.

- Widzisz? Znowu ci się udało. Obróciłaś potencjalnie żenującą sytuację w żart. - Otarł chusteczką deszcz z twarzy. - Zdaję sobie sprawę, że nie sposób się tego nauczyć przez osmozę. Ale ja...

Był taki zabawny. Ubiegał się o najwyższe stanowisko u Chambers'a, był zdecydowanie ambitny, a jednocześnie na tyle uczciwy, żeby odczuwać potrzebę samodoskonalenia. I dość ufny, żeby mi o tym powiedzieć.

Bas ani razu nie przyznał się do słabości. Słabość mnie specjalnie nie pociąga, ale wysoko cenię szczerość.

- Wiesz, James, uważam, że spokojnie możesz zostać taki, jaki jesteś.

Przypuszczam, że ludzie niezwykle cię szanują. Wiedzą, że jesteś uczciwy i dobrze wykonujesz swoją pracę. Nie ma sensu dodawać sztucznego blasku czemuś, co świeci samo z siebie.

- Dziękuję, że to powiedziałaś. Ale z tobą łatwo mi się rozmawia. To znaczy dłużej niż pięć minut. - Przyjrzał mi się uważnie. - Może się mylę, ale pomyślałem sobie, po wczorajszym, że ty też potrzebujesz przyjaciela. Ja mógłbym nauczyć się być bardziej towarzyski, a ty - co tylko chcesz.

Kiedy to powiedział, pomyślałam o tym stałym związku, o którym wspomniał przedtem. Nie rozmawiał z tą kobietą, nie spotykali się z ludźmi? Do licha, a Bas to robił? Czy nie składał się wyłącznie z interesów i seksu? Może wcale nie chodziło tu o zdobycie

najwyższego stanowiska w firmie, lecz o powody, dla których związek Jamesa się rozpadł.

James wyznał mi tyle, że czułabym się nie fair, udając, że ja nie mam żadnych problemów. I naprawdę go lubiłam, zwłaszcza w charakterze przystojnego, seksownego kumpla, który nie pragnie zaangażowania. Przyjaźń z premią. On miał partnera, z którym mógł ćwiczyć rozmowność, ja miałam ochroniarza. Wyciągnęłam do niego rękę.

- A więc przyjaźń.

Z naszej ławki widzieliśmy, jak taksówkarz podskakuje nerwowo i pokazuje na zegarek.

- Pamiętaj, Caron, że zawsze możesz ze mną porozmawiać - powiedział James, wstając. - O wszystkim.

- Sam będziesz wiedział, kiedy pojawi się mój problem - zażartowałam. - Każę ci stać z jedną ręką wsuniętą znacząco pod marynarkę.

Podał mi ramię, żeby odciążyć moją kostkę.

- To chyba potrafię, nawet z moimi miernymi umiejętnościami towarzyskimi. Co jeszcze?

- Nie zdziw się, kiedy przedstawię cię jako głównego inspektora policji.

## *Rozdział 7*

Tego wieczoru dotarłam do domu przed Florą. Kiedy się przepracowało u Chambersa pół roku obowiązywał nieregulowany czas pracy, więc Flora brała nadgodziny, żeby uzupełnić dane komputerowe działu kadr. Chciałam przygotować dla niej miłą kolację, niestety, mam wybitny antytalent kulinarny. Myślałam, że tymczasowa bieda okaże się czynnikiem pobudzającym, ale zwiększyła jedynie ilość mrożonych dań, jakie kupowałam. Wiedziałam już, że Flora zwykła przyjmować rolę kwoki w swoich relacjach z ludźmi. Ale rozpromieniła się, widząc, że tym razem ona będzie kurczątkiem. Otworzyłam butelkę wina, a parująca lazania wyglądała bardzo apetycznie.

Wzniosłyśmy toast za to, że przeżyłam swój pierwszy dzień w pracy

- Floro - zapytałam - czy mogę obarczyć cię jeszcze jednym osobistym problemem?

- Po wczorajszym telefonie mamy musiałam ją ostrzec, na wypadek gdyby wojujący Bas stanął w drzwiach. Zadając to pytanie, myślałam, że jej oczy zrobią się szkliste i bez wyrazu, ale Flora wydawała się zachwycona. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zastępuję jej lektury listów do redakcji, do kącika porad dla zawiedzionych w miłości.

- Chodzi o Basa. Mama powiedziała, że jest w Londynie. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć, na wypadek gdyby się tu zjawiał.



Nie zatrzymałam żadnej fotografii, żeby nie utrudniać sobie zapominania, ale opisałam go Florze.

- Caron, wiesz, kogo on mi przypomina? Jacka Howarda. Już ci o nim mówiłam. Dopiero co się rozwiódł i jeżeli wierzyć plotkom, śpi z kim popadnie. Wysoki, przystojny blondyn, na luzie. Widziałas go tego dnia, kiedy przyszedł na rozmowę. W kantine. Siedział plecami do ciebie. Ten, który naśladował łokieć pana Chambersa.

- Pokaż mi go kiedyś. Chciałam cię spytać, czy twoim zdaniem Bas może mnie tu znaleźć. Rachunki są na ciebie, a gdzie mieszkam, wiesz tylko ty, moi rodzice, ich sąsiedzi i Chambers. Pomyślałam, że z twoim doświadczeniem w sprawach personalnych będziesz miała większe rozeznanie. Żebyśmy były przygotowane.

- Nie sądzisz chyba, że on cię zaatakuję? Krew, morderstwo? - Jej oczy przypominały dwie anteny satelitarne.

- Nie wiem, co może zrobić. Nie przejawiał skłonności do agresji. Może przyjechał do Londynu w interesach. Może zdobył nowego klienta. Prawdopodobnie chce mi tylko spać życie. To do niego bardziej podobne. Nie zaryzykowałby telefonu do Chambersa i podania fałszywych referencji, bo to grozi procesem, ale mógłby dać im coś do zrozumienia. Mógłby na przykład napomknąć z ubolewaniem o moim stanie psychicznym. Co zrobiłaby pani Oakley, gdyby do niej zadzwonił?

- To zależy. Gdyby to był piątek, prawdopodobnie by się roześmiała. Niestety, piątek jest tylko raz w tygodniu. Powinnyśmy zadzwonić na policję?

- Z czym? Powiedz mi, w jaki sposób ty, znając dane personalne, zabrałabyś się do szukania kogoś? Kogoś, kogo resume jest wątpliwe?

- Nie zatrudnilibyśmy takiego. Więcej wiem z powieści kryminalnych. Czy Bas złamałby prawo?

- Prawdopodobnie. Wielu ludzi, którzy się szybko wzbogacili, nagina prawo. A on jest bardzo bogaty. Może nająć prywatnego detektywa, ale Londyn jest za duży, żeby przeszukiwać ulice na chybił trafił.

- Ma twój amerykański numer ubezpieczenia ale to mu się na nic nie zda, skoro używasz brytyjskiego. Nie sądzę, żeby dotarł do Chambersa. Najlepszym śladem byłby telefon, e-mail, bank i takie instytucje, w których podaje się adres. Mógłby ukraść rachunek telefoniczny twoich rodziców? Żeby sprawdzić numery?

- Wolałby, żeby go na tym nie złapali, ale tak, potrafiłby nająć kogoś, kto otwierałby pocztę. A tato nic by nie zauważył, nawet gdyby dostał korespondencję potwierdzoną i zalaną kawą. Czy mając twój numer telefonu, może zdobyć u operatora twój adres?

- W kryminałach każdy detektyw by to zrobił. Sypiają z policjantką, albo nawet z dwoma, albo mają kumpla w telekomunikacji.

- Takie poszukiwania bardzo by się Basowi spodobały. Flora uniosła brwi.

- Założmy, że jest w Londynie od trzech dni. Z iloma policjantkami mógłby się umówić i przespać?

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Pracują na zmiany. No, niektóre mają mężów i dzieci, i nie są zainteresowane. Inne mogą być nastawione podejrzliwie. Powiedzmy - tuzin.

- Tuzin?

- Może więcej. Nie podchodziłby przecież do nich na ulicy i nie pytał o godzinę. Poszedłby na posterunek pod fałszywym pretekstem, wdał się w rozmowę, postawił drinka. Mógłby nawet powiedzieć, że jestem jego byłą żoną, chorą na amnezję, i musi mnie szybko znaleźć.

- Prawda! - powiedziała Flora. - Albo że podejrzewa cię o seryjne morderstwa. To budzi zainteresowanie.

- Tak, ale raczej nie zachęca do pójścia do łóżka.

- Wiesz, Caron, myślę, że w książce zatrudniłby prywatnego detektywa, który zna policjantkę. Detektyw już miałby kontakty. Nie chcę cię martwić, ale w tym scenariuszu znalezienie cię nie zabrałoby londyńskiemu policjantowi wiele czasu.

- Ile?

Flora zamyśliła się głęboko.

- W książce? Może ze dwadzieścia minut.

- Cholera! Dzięki za pomoc, Floro, ale to paskudna wiadomość. Dobrze chociaż, że wiem zawczasu. Potrzebny mi plan, na wypadek gdyby mnie znalazł.

- Ale jak ustalisz plan, skoro nie wiesz, co on zrobi? Z tego, co mówisz, wynika, że może zrobić wszystko, więc potrzebujesz miliona planów.

- Problem w tym, że mając milion planów, nie mam żadnego. Ale muszę zrobić coś konkretnego. Dla własnego spokoju.

- Możemy się napić.

- Wiedziałaś, że coś wymyślisz, Floro.

Wypiłyśmy całą butelkę wina, od czasu do czasu rzucając spojrzenia w stronę drzwi. Kilka razy Flora sprawdziła okna, „bo może będzie padać”, powiedziała. Cieszyłam się, że druga lokatorka jeszcze się nie zjawiała, bo denerwowałybyśmy się we trzy. Spytałam o nią i Flora powiedziała:

- Przyjeżdża jutro.

Byłyśmy w kuchni i nakładałyśmy kawałki sera na krakersy, kiedy zadzwonił telefon.

- O nie! - jęknęłam.

- Spokojnie, Caron. To pewnie Evelyn, w sprawie jutrzejszej przeprowadzki.

Flora wróciła w dwie sekundy.

- Mężczyzna. Do ciebie.

- Cholera, cholera i jeszcze raz cholera!

- Nie martw się, Caron. W książce to byłby akwizytor. Falszywy alarm. Bas nie mógł się jeszcze dowiedzieć, jak cię zna leżąc. Nie tego samego wieczoru, kiedy to ustaliłyśmy. To by mu zajęło co najmniej dwa rozdziały.

- Na wypadek, gdyby on o tym nie wiedział, chcę żebyś słuchała. Jeżeli to jest on. Żebyś mogła zaświadczyć.

Sięgnęłam po słuchawkę, spodziewając się, że Flora przycupnie gdzieś obok, ale ona po prostu wcisnęła guzik telefonu konferencyjnego. Kto sobie w domu instaluje telefon konferencyjny? Chyba tylko ona. I mój tatuś.

- Halo?

- Halo, Caron, skarbie. Tu Bas. Wydaje mi się, że zapomniałaś zostawić nowy adres i numer telefonu. - Głos był słodki jak miód i pełen żądań.

- Jak zdobyłeś ten numer? Roześmiał się.

- Mówiąc hipotetycznie, ktoś mógł zadzwonić do telekomunikacji i zareklamować rachunek. Powiedzmy rachunek twojej matki. A potem sprawdzić po kolei wszystkie numery, żeby zobaczyć, do kogo dzwonią twoi rodzice. Znasz biurokratów, trzeba się naczekać, żeby uzyskać informację, a mój czas jest bardzo cenny.

- Czego chcesz?

- Ależ, Caron, skarbie, ciebie. Mówiłem ci już - nie chcę, żebyś odchodziła.

- Nie wrócę, Bas. Nie sądziłam, że będziesz miał czelność o to prosić. I nie o mnie ci chodzi. Chcesz odzyskać obraz.

- Chcę ciebie i obraz. Jeżeli wrócisz, możesz zachować Picassa.

- Bas, on już jest mój! Kupiłeś mi go w zeszłym roku na urodziny. Tylko ostatni drań żądałby zwrotu prezentu urodzinowego.

- Ten obrazek jest zapisany na firmę, skarbie.

- Bas, pozbawiłeś mnie poborów, pozbawiłeś dorobku zawodowego, odmawiając mi referencji, pozbawiłeś moralności jako żonaty facet. Nie dostaniesz obrazu. Odpieprz się i nie dzwoń do mnie więcej. To koniec!

- Czekaj, Caron! Nie rozłączaj się! To jeszcze nie koniec. Mówiłem, żebyś nie robiła głupstw. Dlaczego nie słuchałaś? - Znów się roześmiał. - Wierz mi, skarbie, to jeszcze nie koniec. Skończy się, jak spakujesz wszystko, co zabrałaś, wszystko! A potem grzecznie tutaj wrócisz.

Chciałam już rzucić słuchawkę, kiedy Flora szeptem kazała mi spytać, gdzie jest i co zamierza.

- Gdzie jestem? Skarbie, w tej chwili jestem całkiem niedaleko ciebie. Chciałem cię zaprosić jutro na kolację. Musimy porozmawiać.

- Nie chcę z tobą rozmawiać, Bas! Słoń ci usiadł na uszach?

Roześmiał się.

- Droga Caron, zabawna jak zawsze. Pytałaś, co chcę zrobić? Wiem z całą pewnością, że nadal mnie kochasz. Nikt mnie jeszcze nie zostawił. Musisz mnie kochać. Ale jeżeli chcesz się bawić w gierki, będziemy się bawić.

- Jakie gierki, Bas? - Z trudem się opanowałam, żeby nie wrzeszczeć. Flora miała rację. Potrzebowałyśmy jak najwięcej informacji.

- Na tym właśnie polega zabawa. Sama musisz się zorientować. Będziesz zaskoczona.

- Bas, to chyba nie jest groźba? Był rozbawiony.

- Caron, skarbie, chyba mnie znasz. Czy mógłbym cię skrzywdzić, tknąć palcem? Nawet by mi się nie śniło... osobiście. Rozumiemy się?

- Znam cię, fakt, aż za dobrze. Ale jeżeli ktoś mnie tknie, ty czy ktokolwiek inny, drogo za to zapłacisz. Mówię serio. Trzymaj się z daleka. Albo pozwę cię do sądu i to tak szybko, że nie zdążysz połapać jaj. A teraz się odpierdol!

Rzuciłam słuchawkę i zakląłam głośno. Potem szybko wystukałam 1471, żeby sprawdzić, skąd dzwonił. Flora już wyciągała z biurka notatnik.

- Wiem, co powiedzą - że zastrzegł numer. Zgadza się?

- Tak. Zresztą dzwonił pewnie z komórki, więc może być wszędzie. Wiem, że to dla ciebie kłopot, Floro, ale czy nie dałoby się zmienić numeru telefonu?

- Zdobędzie nowy. I może lepiej wiedzieć, co knuje. Za każdym razem, gdy zadzwoni, czegoś się dowiesz. - Przyłożyła koniec długopisu do papieru. - Spiszę to wszystko, Caron. Jako materiał dowodowy. Och, to takie ekscytujące! - Popatrzyła na mnie i powiedziała: - Przepraszam, Caron. Chyba nie sądzisz, że on najmie jakiegoś zbira, co? Albo kogoś, kogo wyrzucili z SAS? Żeby cię, no wiesz, zamordował?

- Sądzę, że Bas zrobiony jest z kurzego gówna. Błefuje. Przede wszystkim chce wygrać, a moja śmierć mu tego nie zapewni.

- Pewnie nie, jeżeli nie będzie mógł nikomu o tym powiedzieć.

Zapadła cisza, Flora pisała, a ja spacerowałam po pokoju, puszczając uszami dym.

W pewnej chwili Flora przerwała swoje zajęcie, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

- Caron, czy mnie się wydaje, czy on kazał ci zwrócić wszystko, co zabrałaś? Wzięłaś coś poza Picassem?

- Ubrania. Ale wątpię, czy Bas chce się bawić w przebieranki. Kilka książek, moje płyty kompaktowe. Zostawiłam mu odtwarzacz, bo zajmował zbyt dużo miejsca.

Flora zakleiła kopertę.

- Szkoda, że nie mam magnetofonu w telefonie. Ale kiedy się wprowadziłaś, nie miałam pojęcia, że robi się tak interesująco. Evelyn będzie trochę nudna, przez porównanie. Uprawia karate i umawia się na randki przez agencję towarzyską.

- Może nauczy nas karate. Dzięki, Floro. Za to, że jesteś taka odważna i za to, że jesteś jaka jesteś. Wiele osób by wymiękło, kazało mi się wynosić. Bo sprawiam kłopot.

- Och, to żaden kłopot, Caron. Ale czy mogłabyś pomóc mi przesunąć trochę mebli pod drzwi? Tylko na dzisiejszą noc.

Potem poszłam do kuchni zrobić kawę. Kiedy wróciłam, Flora stała w drzwiach mojej sypialni.

- Nie mogę uwierzyć, że mam w domu prawdziwego Picassa. To zaszczyt, Caron. Podałam jej kawę z dwoma herbatnikami na talerzyku.

- Nie znasz przypadkiem jakiegoś malarza?

- Artystę, jak Picasso? Nie malarza pokojowego? A wiesz, że znam? To Mervin Thomas, z księgowości.

- Średniego wzrostu, szczupły, czarne włosy w kucyk? Gwoli ścisłości - jedyny mężczyzna w dziale?

- Tak. Mervin jest uroczy. - Flora naprawdę się zarumieniła. - Podobno jest bardzo utalentowany. Chcesz oddać Picassa i powiesić na jego miejsce coś innego?

- Jak dobrze znasz Mervina? Bo chcę zrobić kopię.

- No wiesz, może być potwornie utalentowany, ale nie wiem, czy tak jak Picasso.

- To bez znaczenia. Podejrzewam, że Bas przede wszystkim spróbuje ukraść obraz. Nie robi tego osobiście, a najęty włamywacz będzie dysponował jedynie zdjęciem. Wątpię, czy nawet Bas zdołałby namówić kuratora Tate Gallery na karierę przestępczą.

- Ale co ci z tego przyjdzie? Bas się zorientuje, kiedy zobaczy obraz.

- On pewnie nie, ale jego doradca artystyczny, owszem. Chodzi o to, że jeżeli Bas go ukradnie, zdobędziemy dowód. Kradzieży. Będę mogła wyrzucić na niego jakiś nacisk. Kazać mu się trzymać z daleka.

- To znaczy, że mamy zainstalować kamery wideo, a potem śledzić zbira, aż doprowadzi nas do Basa? Stanąc z nim twarzą w twarz? I wtedy nadjedzie wóz policyjny, błyskając światłami?

Musiałam się roześmiać.

- Flora, nie mam na to pieniędzy, zresztą obawiam się, że tak się dzieje tylko w książkach. I nie możemy zawiadomić policji, że naszym zdaniem ktoś spróbuje ukraść kopię Picassa, ale nie wiemy kto ani kiedy.

Usiadłyśmy przy kuchennym stole.

- Myślisz, że gdybym po prostu oddała Basowi obraz, odczepiłby się i zniknął z horyzontu?

- Rany, to by była fatalna fabuła. Nie, nie sędzę, żeby to cokolwiek zmieniło. Moim zdaniem, on się świetnie bawi tym, że może cię wystraszyć. W książce zmusiłby cię w końcu, żebyś padła na kolana i błagała, żeby cię wziął z powrotem. Potem w ostatnim rozdziale wzgardziłby tobą i uciekł ze skąpo odzianą blondynką.

- Może sobie wybić z głowy klękanie. Zresztą nawet w książce bohaterka nie wróciłaby przecież do takiego łajdaka. Do kogoś, kto ją dręczył przez całą książkę?

- Zapominasz o wszystkich środkowych rozdziałach. Najpierw byłby okropny. Potem by się poprawił, błagał o wybaczenie. Bohaterki są na to bardziej podatne niż na odrę. - Zadumała się. - Nie pamiętam ani jednej, która miała odrę. Potem próbowałby wzbudzić w niej zazdrość. Dokładnie nie wiem, Caron, ja nie piszę książek. Ja tylko czytam.

- Powinnaś spróbować, Floro. Rozpracowałaś Basa bezbłędnie. Oczywiście, nie można wykluczyć, że czytał te same książki. Bo nie wierzę, żeby spał z wszystkimi autorkami powieści kryminalnych.

- Dzięki, Caron. Ale muszę cię ostrzec. Czasem ktoś przypadkowo morduje bohaterkę. Oczywiście, nie odnosi się do Mills i Boon. Ale w kryminałach wykorzystuje się czasem takie sytuacje. Bohaterka umiera na początku, żeby fabuła mogła się rozwinąć.

- Cóż, wolałabym rozwinąć własną. Tak tylko pytam - powiedziałam trochę nerwowo - ale w którym rozdziale byłybyśmy teraz? Może w siedemnastym i niebezpieczeństwo zostało zażegnane?

- Och, nie, Caron! Jesteśmy mniej więcej w drugim. Długiej powieści.

- W którym bohaterka jest już martwa? - Przyjrzałam się Florze, żeby sprawdzić, czy nie żartuje. Nie żartowała. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie należało raczej przedyskutować sprawy z panią Stone.

Zrozumiałam, że bohaterka jest nie tylko martwa, ale poćwiartowana piłą łańcuchową, bo Flora, zamiast odpowiedzieć, nagle zapragnęła się czegoś napić. Wstała szybko i chwyciła dzbanek do kawy.

- Jeszcze kawy, Caron?

Rozmowa o książkach, choć tak ponura, raczej podniosła mnie na duchu. Przypomniałam sobie artykuł, którego autor sugerował, że należy wyobrazić sobie problem i go pomniejszyć. Na przykład jeżeli twoim problemem jest szef, musisz pomniejszyć go do rozmiaru orzecha albo szklanej kulki. Książki Flory mogły stać się literackim ekwiwalentem, dzięki któremu zmieniałabym Basa w papierowy charakter. Potem można by go wyrwać z książki, i spalić kartkę albo użyć jej do zawinięcia ryby z frytkami.

- A do kawy dodaj lepiej trochę brandy.

- Chcesz brandy w kawie?

- To byłoby zbyt okrutne wobec bohaterki, pozwolić jej umrzeć z samą kawą w żołądku. Pomyśl o autopsji.

## *Rozdział 8*

Rano byłam trochę rozczarowana, że Bas i jego komandosi nie próbowali zdobyć fortecy. Oczyszciliby przynajmniej jedno wejście, a tak musiałam zawlec ciężkie meble, którymi zabarykadowałyśmy drzwi, z powrotem na miejsce.

Kiedy się obudziłam kostka mnie prawie nie bolała, ale z każdą minutą było gorzej. Niemal słyszałam, jak mój mózg szepcze: „Zobaczysz, zapłacisz mi za to”. Odnosząc pustą butelkę do śmieci, uznałam, że nasze pijackie próby obrony twierdzy miały tylko ten skutek, że zwiększyły dramatyzm sytuacji. A potrzebne było coś, co ukreśli sprawie łeb.

Zamknęłam oczy, żeby sprawdzić, czy technika wyobrażania sobie działa w praktyce. Pomyślałam o kwiatach, cudownych świeżych kwiatach, ich zapach przesyca powietrze, w tle miękko rozbrzmiewa muzyka. Zimne stopy Basa wystają z czarnego plastikowego worka. Cóż, nie zawsze budzę się w pogodnym nastroju, czasem nie jest to nawet nastrój miłosierny.

Okropna była myśl, że każdy mężczyzna na ulicy może figurować na jego liście płac. Gdyby Bas stawił się osobiście, to na pewno nie w normalny sposób, prawdopodobnie zjechałby po linie z dachu. Nigdy tego nie próbował, ale z dachu Flory nawet mnie by się udało. Niestety, należało się raczej spodziewać, że będzie się trzymał z boku i najmie jakiegoś sługusa, który da się złapać za niego.

Robiąc kawę i smarując tosty marmoladą, zastanawiałam się, czy Bas jest jeszcze w Londynie. Swoje interesy, liczne i rozległe, mógł prowadzić skądkolwiek, niekoniecznie z nowojorskiego biura. On mógł być w Singapurze albo na spotkaniu w Rzymie, a ja trzęsę się ze strachu w Londynie. Idiotyczne.

Flora jeszcze nie wypłynęła, więc zaniósłam jej kawę i postawiłam przy łóżku. Nie odsunęłam zasłon, jak to robią na filmach. Zawsze przy takiej scenie, boję się, że rozespany bohater wstanie i udusi pokojówkę.

W Nowym Jorku rano uprawiałam jogging. Teraz musiałam poczekać, aż kostka wyzdrowieje. Przedtem czekałam, aż pojedę na farmę piękności. Potem, aż znajdę własne lokum. Potem, aż znajdę pracę. Miałam dużą szansę zdobycia złota na antyolimpiadzie.

Brakowało mi szaleńczej energii Nowego Jorku. To miasto ładuje ci baterie, czy tego chcesz, czy nie. Wszyscy pędzą gdzieś na złamanie karku. Ma się bezwzględne przekonanie, że jeżeli człowiek się nie pospieszy, zostanie w tyle. I zwykle zostaje na froncie zawodowym, na ścieżce do joggingu, zatyka ulice, zapełnia chodniki.

Londyńczycy też odwalają kawał roboty, różnica bierze się pewnie stąd, że nowojorskie budynki są wyższe. Londyn ma takie same tłumy i takie same chodniki, ale widać o wiele więcej nieba. Poczucie zamknięcia nie jest tak dotkliwe. W Londynie ludzie też cię otaczają ze wszystkich stron, ale nie masz wrażenia, że dyszą ci w kark.

Niepokój rodzi się w umyśle, chodzi tu bardziej o strefę psychologiczną i wolność mentalną niż rzeczywistych prześladowców, którzy podkradają się od tyłu. Kiedy prawdziwy grizzly zaczyna kąsać cię w ramię, nie masz już czasu na odczuwanie niepokoju.

Kiedy ja snułam te rozważania, Flora wstała i zajęła mi łazienkę. To negatywna strona filozofii. Pobudza szare komórki, ale sprawia, że traci się poczucie czasu. Prawdopodobnie wszyscy domorośli filozofowie w Anglii szorują teraz zęby nad zlewem w kuchni.

- Flora! - wrzasnęłam w stronę łazienki, próbując rozsupłać włosy. - Dobrze znasz Mervina Thomasa? Tego malarza z księgowości?

- Wiek - trzydzieści trzy! - odwrzasnęła Flora. - Akademia sztuk pięknych, szkoła deklamacji. Podwyżki co sześć miesięcy. Metr siedemdziesiąt osiem, brązowe oczy, ciemnobrązowe włosy. Przybrał nazwisko walijskiego poety. Ale teraz zajmuje się malarstwem. Czasem deklamuje poezję, ale głównie maluje.

- Świetny materiał na nekrolog, ja muszę wiedzieć, czy mu ufasz. Żebyś wiedziała, ile mogę powiedzieć w związku z kopiowaniem Picassa.

Zapadła długa cisza, która okazała się równa czasowi, jaki Flora spędziła na rozmowie z Mervinem.

- Ale jego zawsze otaczają dziewczyny, Caron!

- Oczywiście. Poza nim w księgowości są same dziewczyny. Powiedziałaś mu trzy razy „cześć”. Co się wtedy stało?

- Raz odpowiedział „cześć”, raz „jak się masz” i raz „witaj”.

- Och, Floro! Więc spokojnie możemy mu powierzyć nasz los, tak?

- On jest naprawdę cudowny, Caron! Nie zauważyłaś?

- Jeszcze go nie poznałam. - Zabrzmiało to dość niewyraźnie, bo akurat wciągałam T-shirt przez głowę. - Siedzi w pierwszym rzędzie, obok pani Brown. A Melody wyraźnie sugerowała, żeby jej unikać.

Flora się roześmiała.

- Och, Melody nie jest wcale taką senną królową, jaką udaje. Wszystko widzi i ma gorącą linię z największymi plotkarzami w Chambersie.

- Super. Więc może ją spytam o Mervina.

Kolejna długa cisza. Tak długa, że zdążyłam włożyć spodnie i buty.

- Flora, czy mi się wydaje, czy lubisz Mervina? Kolejna długa cisza. Zapominając o gorącej wodzie, a raczej jej braku, wrzasnęłam:

- To może zaaranżuję lunch w trójkę, żebyśmy mogli przedyskutować sprawę kopii?! Upieczemy dwie pieczenie przy jednym Picassie.

Drzwi łazienki otworzyły się gwałtownie i ukazała się Flora w jednym ręczniku owiniętym wokół ciała, drugim wokół głowy. Zatrzepotała rzesami.



- Nie chciałabym być nachalna. Nie uważasz...

- Floro, to ja go poproszę, więc ja będę nachalna. - Pokazałam zęby w uśmiechu. -

No, no, kto by pomyślał, ty i Mervin. To wspaniale!

Zbladła i wyglądała bardzo poważnie.

- Naprawdę myślisz...?

- Moja w tym głowa. - Na to Flora wyraźnie się zasepiła, a mnie zrobiło się byle jak. - Nie martw się - dodałam szybko. - To nie oznacza, że ty stracisz pracę, a Mervin będzie cię potem prześladował. Naprawdę potrafię ułożyć twoje życie o wiele lepiej niż własne. Jestem bardziej obiektywna, rozumiesz?

Flora uśmiechnęła się radośnie.

- Dzień, w którym Mervin próbowałby wyłamać moje drzwi, byłby najszcześniejszy w moim życiu. - Pobiegnę się ubrać i krzyknęła przez ramię: - Mam spotkanie w porze lunchu i będę zajęta aż do późna. Więc to nie może być dzisiaj.

- Doskonale. Będę miała czas na przygotowanie gruntu. - Zanuciłam *Oto nadchodzi panna młoda*. Flora otworzyła drzwi i rzuciła we mnie mokrym ręcznikiem.

Ledwo pomyślałam o wzięciu kolejnej taksówki do pracy, kiedy moja książeczka czekowa spróbowała wydostać się z torebki i dać mi fangę w nos. Flora wołała jechać autobusem niż metrem. Też trzeba się było przesiadać, ale autobus obchodził się lepiej z moją kostką. Metro zorganizowało, zdaje się, spisek polegający na nieustannym wyłączaniu wind. I prawdopodobnie opłacają jasnowidza, który podaje im z wyprzedzeniem moją osobistą trasę przejazdu.

Kiedy szliśmy przez Chambers'Emporium w stronę wind, zielone pasemka powtórzyły żart, a starsza superekspedientka powtórzyła swoją odpowiedź. To obudziło we mnie poczucie przynależności, choć wołałam się nie zastanawiać, do czego właściwie tu należę.

Dotarłam do księgowości parę minut przed dziewiątą i postanowiłam nawiązać znajomość z Mervinem. Ale Flora miała rację, kobiety otaczały go niby stadko motyli. Brylował, a one tłoczyły się wokół niego, spijały słowa z jego ust, śmiały się. Trochę się przestraszyłam, czy nie zawyżyłam szans Flory.

Melody siedziała już na swoim posterunku z taką miną, jakby zamierzała go utrzymać za cenę życia. Flora powiedziała, że Melody była pierwszą pracownicą zatrudnioną przez Chambersów i że prawdopodobnie zachowa posadę do emerytury. Albo do końca świata, pomyślałam, jeżeli ma tę samą wytrwałość co gospoś Jamesa. I Bas, który będzie mnie nękał, aż kompletnie stetryczeje. To mi przypomniało o obrazie, więc zwróciłam się do Melody:

- Co sądzisz o naszym jedynym panu? - zapytałam, ruchem głowy wskazując Mervina. Jestem taka subtelna!

Włożyła okulary i zerknęła na malarza.

- Jest go o wiele więcej, niż się wydaje.

To było mało prawdopodobne, bo w jego czarnych ciuchach nie zmieściłoby się już absolutnie nic.

- Gdzie jest ta reszta?

- Nie powiedziałabym, że przypomina Jamesa Smitha, tego miłego młodego człowieka, który złożył nam wczoraj wizytę. Z pewnością nie przypomina też pana Chambersa. Dla Mervina można umrzeć. Już sama myśl, że się zatrzyma przy moim biurku, sprawia, że przytomnieję. Poznałaś go już, kochanie?

- Jeszcze nie. Więc jaki on jest?

- Bardzo inteligentny, wcale nie taki szpanerski i artystowski, za jakiego chce uchodzić. I słyszałam, że ma talent. Natomiast pracy tutaj wcale nie traktuje poważnie.

Powstrzymałam uśmiech, a przynajmniej próbowałam. - Nie to co my?

- Zdecydowanie nie. Ty masz ambicje, Caron, cudowna rzecz u kobiety. I nie widzę powodu, dlaczego nie miałabyś - za jakieś trzydzieści lat - zająć stołka Jamesa, o ile on nie będzie nadal na nim siedział. A ja już osiągnęłam wielki sukces.

Myśl o trzydziestu latach w księgowości pozbawiła mnie głosu, więc Melody mówiła dalej:

- Sukces zależy wyłącznie od celów, jakie sobie człowiek stawia. Nigdy nie chciałam kierować tą firmą. Chciałam być lojalna i służyć firmie najlepiej, jak umiem. I to właśnie robię. Nie uwierzyłabyś, ilu pracowników przewinęło się przez ten dział, niektórzy przeszli na stałe do wielkiego Chambersa w niebie, a ja ciągle tu jestem.

Uśmiechnęłam się. Trudno było jej nie lubić. Jej definicja sukcesu była trafiona w dziesiątkę. Oczywiście, przy takim założeniu każdy, kto nie miał krzty ambicji, osiągał natychmiastowy sukces. Im mniej ambicji, tym sukces był większy. Nie rokowało to najlepiej ludziom pragnącym gorącej wody w nieograniczonych ilościach.

- Melody, nie wiesz przypadkiem, czy któraś z tych kobiet, z którymi Mervin rozmawia, jest jego dziewczyną?

Znów włożyła okulary i popatrzyła na mnie.

- Dlaczego pytasz? Jesteś zainteresowana?

Zauważyłam, że zakłada okulary raczej do myślenia niż patrzenia. Pracowała zazwyczaj bez szkieł, ale zakładała je w chwili, gdy coś ją zainteresowało. Może w jakiś niewytłumaczony sposób ucisk na uszy pobudzał jej szare komórki i wyostrzał pamięć.

- Co? A, nie! Nie ja. Pytam przez ciekawość.

- To dobrze. Nie, nie wydaje mi się. Możliwe, że lubi być w centrum uwagi, ale sądzę, że po prostu nie wie, jak się od nich opędzić. Założę się, że w pracy odgrywa rolę artysty, a potem jedzie do bliźniaka na przedmieściu i ogląda telewizję. Oczywiście, jeżeli wytrwa na stanowisku, jak ja, z czasem będzie sobie mógł pozwolić na dyskoteki i kluby nocne.

Brwi podjechały mi do góry. Czyżby Melody bywała w nocnych klubach?

Z radością dowiedziałabym się też, jak jej zdaniem wygląda moja przyszłość, ale bałam się zaryzykować bez podwójnej whisky. Zanim zdążyłam o cokolwiek spytać, pani Brown przyniosła nam coś do roboty. Mnie dała kasety z listami do przepisania, a Melody otrzymała górę arkuszy kalkulacyjnych. To nas wprowadziło w buntowniczy nastrój.

- W takich razach zaczynam podejrzewać, że wyznaczono nagrodę za moją głowę. Wypłacą ją temu, kto zdoła mnie stąd wysiudzić przed emeryturą.

- Dwie nagrody, Melody. - Zaśmiałam się. - Myślisz, że mogłybyśmy się zamienić? Ty napiszesz listy, a ja zrobię arkusze?

- Moja droga! Dotrzesz na samą górę może już w dwadzieścia lat. Och, moja droga, tak! Ale co będzie, jak ona zobaczy?

- Zrzucimy wszystko na podłogę, Melody, a potem każda podniesie tę drugą kupkę. Myślisz, że szefowa może sprawdzić w komputerze, kto co zrobił?

- Pani Brown tego nie sprawdza. Przekazuje wszystko dalej. Zresztą, przypuszczam, że nie miałyby nic przeciwko zamianie, jeżeli przyspieszy tempo pracy.

- Zdecydowanie przyspieszy - powiedziałam. Trudno byłoby tego uniknąć po zastoju ostatnich dni.

Wózek z kawą docierał do księgowości codziennie o jedenastej. Pani Brown poszła na jakieś zebranie i ledwo zamknęły się za nią drzwi, wszyscy rozeszli się po sali. Mervin znów znalazł się w oblężeniu. Z determinacją nastoletniej fanki zespołu rockowego przebiłam się przez tłumek i przedstawiłam malarzowi.

- Chciałam zamówić obraz - powiedziałam, zniżając głos.

Uśmiechnął się, wziął mnie pod ramię i skierował w stronę wózka kawowego, z dala od tłumu.

- Dzięki za ratunek, Caron. Czasem mi się zdaje, że one ćwiczą na mnie struny głosowe.

Roześmiałam się.

- Byłam kiedyś jedyną kobietą w zespole, ale wydaje mi się, że mężczyznom nie chodziło o ćwiczenie strun. Ale do rzeczy, zanim wróci pani Brown. Czy twój styl przypomina Picassa?

Mervin miał uroczy uśmiech. I w cztery oczy wydawał się o wiele sympatyczniejszy niż jako król księgowości.

- W tej chwili nie maluję nic, co mogłoby się sprzedać. No wiesz, odrobina owczej wełny pływająca w kałuży sików, a dla kontrastu tabliczka czekoladopodobna. - Z trudem sięgnął do kieszeni, ryzykując, że spodnie mu trzasną. Były dość obcisłe. - Zbliża się moja pierwsza wystawa - powiedział, wyciągając kartkę. - Byłoby super, gdybyś przyszła na prywatny pokaz. Zorientowałabyś się w stylu.

- A masz dwa bilety? - zapytałam prędko.

Kiedy ja sprawdzałam termin wystawy, on ponownie sięgnął do spodni i podciągnął je mocnym szarpnięciem. Jestem prawie pewna, że usłyszałam trzask. - Mervin, potrzebuję kopii obrazu jeszcze przed twoją wystawą. To pilne. Potrafisz namalować Picassa?

- Jestem gotów spróbować wszystkiego z wyjątkiem odsiadki. Wiesz, chodzi o to, że kopiowanie jest zgodne z prawem, nawet wierne kopiowanie, jeśli nie próbuje się sprzedać kopii jako oryginałów.

- Nie chcę ich sprzedawać ani w ogóle nic nielegalnego, przysięgam. Jak myślisz, ile by ci to zajęło?

- Zależy. Prawdziwa kopia, taka, no wiesz, że nawet znawca się nie połapie... Bardzo długo.

- Nic z tych rzeczy, Mervin. Możesz zrobić wydruk komputerowy i ochlapać go farbą. Potrzebuję tylko drobiazgu na ścianę w sypialni. Coś jak rekwizyt sceniczny.

Zobaczyłam panią Brown nadciągającą korytarzem.

- To *Zielone sznurowadło* Picassa. Znasz? Jedno oko w czubku buta i drugie, różowe spoglądające z obcasa w inną stronę. Dziwny but, wygląda raczej jak śpiewaczka operowa goniąca resztką pary.

Ubawiłam go.

- Nie tak opisują to historycy sztuki, ale tak, znam ten obraz.

- Kopia będzie strasznie droga?

- Nie dla koleżanki z pracy. Zwłaszcza jeżeli mam tylko coś napaćkać. To nie będzie sztuka, prawda? Coś ci powiem. Wezmę wymiary i zrobię zdjęcie. Namaluję kopię i jeżeli ci się spodoba, postawisz mi drinka.

- Mervin, te kobiety nie ćwiczą. One cię naprawdę kochają bo jesteś cudowny.

- No wiesz, żadna mi jeszcze nie zaproponowała malowania.

Przypomniałam sobie o Florze.

- Może umówimy się kiedyś w kantynie na lunch? - zapytałam.

Uśmiechnął się ponad moim ramieniem.

- Już po kawce, pani Brown?

Wróciłam na swoje miejsce i zadzwoniłam do Flory. - Niespodzianka!

- Słucham?

- Słucham, słucham! Mam dla ciebie uroczą niespodziankę. Czekałam przed budynkiem po pracy. Kto się tam śmieje?

- Pani Oakley. Mówiłam ci, że zawsze się śmieje w piątki. - Z kim?

- Jest w gabinecie sama. Co to za niespodzianka? Mogę zgadywać do trzech? Ale powiedz mi, czy rozmawiałas z Mervinem.

- Później, Floro. Dziękuję, że załatwiłaś te sprawy personalne. - Uśmiechnęłam się do pani Brown równie słodko jak Mervin.

Arkusze kalkulacyjne tak mnie wciągnęły, że omal nie przegapiłam lunchu. Kłopot z liczbami polega na tym, że kładziesz je na papier, a one tam zostają. A ty wiesz, co one robią. Możesz je pomniejszyć, zwiększyć albo się ich pozbyć. Mogą być równie absorbujące jak krzyżówka. Oczywiście, arkusze kalkulacyjne to nie to samo co praca z prywatnymi liczbami, na przykład z własnym saldem bankowym. Już odnosiłam wrażenie, że biedny Chambers jest czymś w rodzaju dziadka mojego konta. Wszystko jest względne i podczas gdy mój rachunek zapadał się w wydmy piaszczyste, finanse Chambersa nurkowały w oceaniczną głębię. Może James powinien zapomnieć o doskonaleniu relacji z ludźmi i zająć się kruszeniem liczb za pomocą młota dwuręcznego.

Podniosłam głowę i stwierdziłam, że nade mną stoi James, a wszyscy inni poszli na lunch. Zdumiewające. Myślałam, że jedynym sposobem przywołania Jamesa jest wzmianka o awansie.

- Jak twoja kostka, Caron?

- O wiele lepiej, dzięki. Chciałabym znów zacząć biegać.

- Świetnie. Może pobiegamy razem? Po Heath. Zaczniemy od pięciu kilometrów dziennie.

Cholera!

- No, nie chciałabym robić nic na siłę. Wolę poczekać, rozumiesz.

- No tak. Więc może moglibyśmy pospacerować. Albo siedzieć na ławce i patrzeć, jak inni biegają.

- Lepiej nie zwlekaj z lunchem, bo zamkną. - Zerknął na zegarek. - Mam zebranie. A, pani Stone pyta o twoje zdrowie.

- A nie o moją śmierć?

Roześmialiśmy się. Szybko złożyłam arkusze i wyszłam z nim na korytarz.

- Może umówimy się w ten weekend? - zaproponował.

- Wspaniale! - zawołałam przez ramię, prawie biegnąc, bo sobie przypominałam, jaka tania jest stołówka i jak bardzo dyrektor mojego banku życzył sobie, żebym się w niej stołowała.

Melody była tak zadowolona z naszej zamiany, że wróciła z lunchu z kilkoma tabliczkami czekolady Harrodsa dla mnie.

- Jesteś absolutnie pierwszą siedzącą obok mnie osobą, która lubi te paskudne arkusze, Caron.

Po godzinie zaintrygowały mnie jeszcze bardziej. Jeżeli odsyłano do wewnętrznej agencji pracowników zastępczych takie rzeczy, to prawdziwi księgowi musieli robić wyliczenia dla świętego Piotra przy Niebiańskiej Bramie. Przerzuciłam jeszcze kilka arkuszy i natrafiłam na jeden ze stemplem „poufne”. Był na samym dole, albo żeby zachować tę poufność w tajemnicy, albo przez przypadek. Przerwałam pracę i

popatrzyłam na Melody, która nuciła radośnie, wstukując listy z szybkością karabinu maszynowego.

- Melody, czy te arkusze były przeznaczone konkretnie dla ciebie?

- Tak, kochanie.

Wtedy załapałam. Arkusze podesłano Melody albo przez wzgląd na jej wieloletnią lojalność, albo dlatego, że nie poznałaby się na ich znaczeniu. Może jedno i drugie.

- Melody - wyszeptałam, nachylając się w jej stronę. - Chyba powinnam ci powiedzieć, że te papiery są ściśle tajne.

- Wiem, kochanie, więc, proszę, nie mów o nich nikomu. I nawet nie myśl o tym, żeby mi je oddać.

- Wiesz, z którego biura pochodzą?

- Wiem od kogoś na samej górze, że idą do pana Chambersa. Ale to nie on mi je przysyła, skoro nie chce, żebym przeszła na emeryturę.

Kiedy skończyłyśmy, przy czym Melody pobiła mnie na głowę, zaniósłam wszystko do pani Brown. Uniosła brwi i popatrzyła na zegarek.

- Imponujące, Caron. Musisz działać na Melody jak katalizator.

- Dziękuję, ale w rzeczywistości jest odwrotnie. Ona jest urocza.

- Zostało piętnaście minut do końca pracy, więc może zaniesiesz jej filiżankę kawy? I sobie też. Maszyna jest w korytarzu.

Kiedy Flora wyszła z budynku, pomachałam zaproszeniem.

- Ta-da! - zawołałam.

- Rany! Bilety na prywatny pokaz Mervina! Kathy z sąsiedniego biura też dostała. Pokazała mi. O Boże, chyba zemdleję. Naprawdę rozmawiałaś z Mervinem!

- Przecież powiedziałam, że porozmawiam.

- Ale tak prędko! Myślałam o przyszłym miesiącu. Boże, nie wytrzymam! - Przycisnęła bilet do piersi. - To jak niespodziewana Gwiazdka. Marynowana Cebulko, nadchodzimy!

- To jakaś ksywka Mervina?

- To pub tuż za rogiem. Mervin chodzi tam dwa razy w tygodniu. W poniedziałki nie. Więc mogłybyśmy wpaść tam w przyszłym tygodniu, poćwiczyć. Nie mogę się doczekać, żeby z nim porozmawiać. Poznać go lepiej przed wystawą. Pójdiesz ze mną?

- Myślę, że przyda mi cię małe ćwiczenie. Floro, byłaś już kiedyś w pubie?

Przyjechał autobus, wsiadłyśmy.

- Oczywiście, że byłam - powiedziała Flora. - Nie chodzę często, bo samej to żadna przyjemność. Ty też jesteś sama. Może kogoś poznasz. Przychodzi tam mnóstwo samotnych, i mnóstwo ludzi z Chambers'Emporium.

W autobusie nie mogłyśmy usiąść obok siebie, więc Flora tylko wgapiła się w swoje zaproszenie i wzdychała. Ja patrzyłam przez okno, wyglądając podejrzanych mężczyzn ścigających autobus.

Muzykę usłyszałam, zanim Flora zdążyła włożyć klucz w zamek. Albo zostawiłyśmy włączone radio, albo ktoś był w środku. Zanim moje ciśnienie przeskoczyło Alpy, Flora powiedziała:

- Wygląda na to, że Evelyn przyjechała.

Evelyn miała jaskrawoczerwone, krótko przystryżone włosy, piękną twarz i szeroki uśmiech. Ale nie to było jej cechą dominującą. Najbardziej rzucał się w oczy jej rozmiar. Wyglądała jak wersalka postawiona na sztorc i rozłożona na boki. Nie znaczy to, że była gruba. Raczej dobrze, solidnie zbudowana. Ja i Flora wyglądałyśmy przy niej jak te papierowe wykroje, które można czasem znaleźć w katalogach. Jeżeli pojawi się Bas, Evelyn z pewnością otrzyma zadanie otworzenia drzwi.

Zerwała się z sofy w mgnieniu oka i dzierżąc dwa otwarte piwa w rękę, wykonała solidny zamach nogą. Jednocześnie wydała okrzyk: „jeee!”

- Ostrożnie, Evelyn - powiedziała Flora. - Mogłabyś uderzyć w stół i go uszkodzić.

- Gdybym uderzyła w stół, leżałby teraz na chodniku przed domem, w dwóch kawałkach. Myślałyście o tym, żeby zacząć uprawiać karate?

Wręczyła nam po piwie, co było miłym, gestem, niestety, nie przepadam za piwem. Zerknęłam na stół i uznałam, że może spróbuję je polubić.

Evelyn i Flora znały się już, oczywiście, z egzaminów wstępnych, jakie urządziła Flora. Więc Evelyn i ja spędziłyśmy parę minut, wymieniając podstawowe informacje. Pracowała na zastępstwa i tego dnia rozdawała darmowe próbki sera w supermarkecie, ubrana w strój dojarki.

- Świadczenia dodatkowe, dziewczęta. Dzisiaj jemy ser! Flora powiedziała, że możemy wykorzystać to, co jest w lodówce i przygotować normalną kolację.

- To nie będzie konieczne. Mam czterdzieści dwie próbki, a kierownik sklepu dał mi jeszcze kilka paczek krakersów. Są też małe pomidorki i marynowane buraczki. Mówię wam, pełna wyzerka.

- O jednym powinnaś widzieć, Evelyn. Może zjawić się tu mój były chłopak. To znaczy może się włamać albo coś w tym rodzaju. Więc bądź czujna. Może też kogoś przysłać. Fałszywego inkasenta, gościa od spisu ludności. Więc miej oko na dziwnych mężczyzn.

- Wszyscy mężczyźni są trochę dziwni. Jak ten gość wygląda?

Flora opisała Basa i w jej ustach wypadł jak bohater romansu. Na nic się zdały moje próby odmalowania go jako diabła wcielonego.

- Gdzie on jest? Z przyjemnością go poznam. Skoro ty już go nie chcesz.

- Evelyn, to skończony łajdak. Poza tym ma żonę i czworo dzieci. Nie chciałabyś go znać.

Roześmiała się.

- Poradziłabym sobie. Widzę, że wiele się ode mnie możecie nauczyć. Gdybym znalazła tego gościa, nie musiałabym płacić agencji towarzyskiej. Zresztą, podejrzewam, że ci faceci z agencji też nie są kawalerami. - Łyknęła piwa. - Nie szukam męża, tylko partnera na wieczór. Żeby się zabawić. Mogę ci pomóc, Caron. Ten misiek wygląda na takiego, co lubi dobrze pożyć, będę go wypatrywała w eleganckich knajpach.

Flora otworzyła szeroko oczy.

- Ci mężczyźni z agencji zabierają cię do takich restauracji? Myślałam, że raczej do pubu albo kawiarni.

- Chyba że nie chcą, żebym dopiła pierwszego drinka. Evelyn oznajmiła, że jest głodna i poszła do kuchni po ser.

Popatrzyłyśmy na siebie z Florą, próbując oswoić się jakoś z naszą amazońską koleżanką. Jeżeli mam być szczerą, byłyśmy odrobinę przytłoczone. I wtedy usłyszałyśmy pisk. Kiedy wpadłyśmy do kuchni, nasza bohaterka siedziała na stole, wierzgając nogami, i krzyczała:

- Mysz! Do diabła, widziałam pieprzoną mysz!

Flora naprawdę nieźle się wkurzyła.

- Uspokój się, Evelyn. Nie mam myszy w domu. - Podparła się pod boki, jakby rzucała Evelyn wyzwanie.

- Właśnie, że masz! - piszczała Evelyn. Należała do osób, które jak już zaczną, nie przestają. - Widziałam. Znikła pod kuchenką. O Jezu, a jak wyjdzie?!

Nie mam dużej cierpliwości do histeryków.

- Załatwisz ją ciosem karate, Evelyn.

Flora uśmiechnęła się, a Evelyn umilkła, przypomniawszy sobie, jaka jest dzielna. Ale ze stołu nie chciała zejść.

- To był pewnie duży pajak, Evelyn - powiedziałam.

- Cholera! Bardziej od myszy boję się tylko pajaków!

- No dobrze - powiedziałam. - Czego się nie boisz? Bo może to jest to.

- Daj spokój - odezwała się Flora, kiedy Evelyn milczała - nie możesz się bać wszystkiego!

- No więc - wymamrotała Evelyn - na ogół wolę jak istoty żyjące mają tylko dwie nogi.

- OK. Wszystkie pracowałyśmy ciężko cały dzień i jesteśmy głodne. Więc musisz zejść ze stołu.

Delikatnie stuknęłam nogą w kuchenkę.

- Jestem ekspertem, Evelyn. Gdyby coś tam było, przynajmniej by wyjrzało.



To ją trochę uspokoiło. A kiedy zeszła na podłogę i wróciła biegiem do pokoju, popatrzyłyśmy na siebie z Florą i pokiwałyśmy głowami. Ponieważ nie należę do osób, które przegapiają okazję, zawołałam:

- Na twoim miejscu nie siedziałabym zbyt długo w wannie, Evelyn. Pająki uwielbiają łazienki.

- Przepraszam, Caron - powiedziała Flora. - Powinnam spytać ją o myszy i pająki przy pierwszej rozmowie.

- Nonsens. Nie mogłaś tego przewidzieć. Zresztą Evelyn jest w porządku. Jest jej ciężko, bo wprowadziła się, kiedy my już się zaprzyjaźniłyśmy. Chciała po prostu wyrzucić wrażenie.

- Swoim fobiami? Pewnie w ogóle nie umawia się z facetami z agencji towarzyskiej i nie zna karate.

- Proponuję, żebyśmy na razie tego nie sprawdzały. Dajmy jej szansę. Sama mówiłaś, że może się okazać interesująca.

Kiedy zaniósłszy jej talerz zjedzeniem i usadowiłyśmy się na sofie, była skruszona i powiedziała, że jej przykro. Ale potem rzuciła okiem na swój talerz i odstawiła go na stolik do kawy, jak najdalej od siebie.

- Co znowu? - zapytała Flora.

- Ułożyłaś te kawałki papryki na sałacie w ten sposób, żeby przypominały pająka. Żeby się na mnie odegrać.

- A niech cię, Evelyn! To nieprawda. Specjalnie się starała, żeby twój talerz ładnie wyglądał. Więc jedz! I to wszystko, do ostatniej okruszyny.

Uśluchała natychmiast, co nasunęło mi myśl, że jej awersja do myszy może być wywołana niezwykle podobieństwem charakterów.

Potem oglądałyśmy film na wideo. Każda z nas widziała go już ze trzy razy, ale był zabawny. Dowodził, że stereotypy są nieprawdziwe. Panuje ogólne przekonanie, że kiedy ludzie wchodzi w stałe związki, automatycznie zaczynają życie w domowych pieleszach, a tymczasem ja i Bas wychodziliśmy prawie co wieczór, prawda, że głównie na bankiety służbowe. A jeżeli chodzi o samotne kobiety, które przebalowują weekend, wystarczyło spojrzeć na nas trzy na kanapie. Stanowiłyśmy żywy dowód na to, co może zdziałać przepracowanie i brak gotówki.

Zadzwoił telefon. Ku wyraźnemu niezadowoleniu Flory Evelyn dopadła go pierwsza.

- To do ciebie, Caron. - Zanim zdążyłyśmy pomyśleć z Florą o przesunięciu mebli, Evelyn dodała: - To jakaś kobieta.

Dzwoniła dawna sąsiadka moich rodziców.

- Tylko słówko, Caron. Kręcił się tu jakiś mężczyzna, pytał o ciebie. Kilka dni temu. Do nas akurat nie przyszedł, ale wiem, że podawał się za twojego kolegę i mówił,

że cię szuka. Podobno wyglądał podejrzanie. I zupełnie nie w twoim guście. Nie pasuje wiekiem i jest okropnie niechlujny, tak mi powiedziano. Pomyślałam, że może powinnaś o tym wiedzieć.

Pogadałyśmy jeszcze chwilę, a kiedy odłożyłam słuchawkę, powiedziałam dziewczętom co i jak.

- Mamy uważać na mężczyznę w średnim wieku, brązowe włosy, brak znaków szczególnych.

- To może być każdy - powiedziała Evelyn. - I wygląda na nudziarza. Ja będę szukała twojego przystojnego bogatego byłego. A wy możecie uważać na tego drugiego.

- Słuchaj, Evelyn - zdenerwowałam się. - Nie proszę cię, żebyś z nim spała, wyszła za niego, ani posadziła w ogródku, z nadzieją że wyrośnie z niego tulipan. Proszę tylko, żebyś mnie uprzedziła, jeżeli zacznie się tu kręcić ktoś obcy.

- Doprawdy, Evelyn! - dodała Flora. - Ty, ja i Caron mieszkamy razem, w jednym domu. Jeżeli nie będziesz współpracować i zachowywać się bardziej po koleżeńsku, kupię jedzenie dla pajaków, żeby się tu sprowadziły.

- Tak, a ja ci kupię białą myszkę, Evelyn.

## *Rozdział 9*

Następnego ranka obudziłam się jak zwykle o świcie, ale potem uświadomiłam sobie, że jest sobota, więc zrobiłam kawę i wróciłam z nią do łóżka. Dom był cichy i ani się spostrzegłam, jak zasnęłam i obudziłam się o dziesiątej. W kuchni słyszałam Florę i Evelyn. Wabiona zapachem kawy i bekonu zawędrowałam tam z pustym kubkiem, licząc na dolewkę. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że mistrzyni patelni Flora siedzi przy stole, podczas gdy Evelyn miota się wokół kuchenki. Wyglądało to jak program kulinarny puszczonego na szybkich obrotach. Odwróciła się i powiedziała:

- Dzień dobry, Caron. Nie wiem dokładnie, czym was wczoraj zdenerwowałam, ale zaraz wam to wynagrodzę. Harmonia w domu, oto moje nowe motto.

- Evelyn przygotowuje nam śniadanie - powiedziała Flora, kiedy usiadłam naprzeciwko niej. Próbowwała się uśmiechnąć, ale była w tym równie przekonująca jak sałata, która przeleżała miesiąc w lodówce. Zrozumiałam, że chociaż umowa obejmowała prawo użytkowania kuchni, lepiej z tego prawa nie korzystać. Flora odbierała to jak brutalne naruszenie jej terytorium. W zupełności mi to odpowiadało, jako że moim ideałem kuchni jest czerwona budka z telefonem i długą listą firm cateringowych.

Ale nawet ja potrafię rozpoznać woń spalenizny i wiem, że nie jest dobrze, kiedy kuchnię spowija siwy dym. Oczy zaczęły mi łzawić, pewnie myślały, że trzeba gasić pożar. Zamrugałam parę razy i powiedziałam Florze: „Dzień dobry”.

W końcu jednak Evelyn postawiła talerze na stole. Z początku myślałam, że to żart, a ściśle rzecz biorąc - akt zemsty. Bekon, grzyby i pomidory były niemal czarne, sadzone jaja miały brzegi tak twarde, że mogły robić za fiszbiny. Kawa była dobrą prawdopodobnie dlatego, że Flora dopadła ekspresu przed Evelyn.

Zanim zdołaliśmy coś powiedzieć, Evelyn usiadła i zaczęła łapczywie jeść.

- Och, to jest pyszne. Umieram z głodu. - Puściła w obieg spalone tosty. -  
Dlaczego nie jecie?

Próbowałam poruszyć jajko, ale chyba zapuściło korzenie w talerz.

- To ładnie z twojej strony, Evelyn, ale ja... eee... nie jadam śniadań. Piję tylko kawę. Ale to wygląda apetycznie.

- To prawda - powiedziała Flora z trudem. - Zeskrobywała z tostów warstwę spalenizny, a kiedy skończyła, tost miał grubość welonu ślubnego, tyle że nadal nie był biały.

- No dobra - powiedziałam. - Skoro jesteśmy wszystkie razem, może przedyskutujemy zasady domowe. Chętnie wezmę na siebie zakupy i takie rzeczy, jeżeli ktoś podejmie się gotowania. Albo chętnie zrezygnuję z jedzenia. I myślę...

- Ja będę gotować - powiedziała Evelyn.

- ...i myślę, że właścicielka domu powinna mieć tu decydujące słowo. Flora?  
Wiem, że to duże poświęcenie, ale świetnie gotujesz.

Evelyn sięgnęła po moją porcję.

- Jeżeli naprawdę nie jesz, szkoda, żeby się zmarnowało. - Przerzuciła jedzenie na swój talerz. - Ja gotuję najlepiej, to oczywiste. Nie macie pojęcia, ile się trzeba natrudzić, żeby tak gotować.

- Wierzę, Evelyn - powiedziałam.

- Ja też. - Flora przesunęła swój talerz w stronę Evelyn. - Przepraszam, ale zdaje się, że złapałam jakiegoś żołądkowego wirusa

- Do diabła, nie wspominaj nawet o wirusach! - Przerzuciła na swój talerz porcję Flory. - Nie smakuje wam, co?

- Smakuje - powiedziała Flora słabo.

- Nie, nie smakuje. - Usłyszałam swój głos. - Ktoś ci to musi powiedzieć, Evelyn.  
To najgorsze śniadanie, jakie widziałam w życiu.

Evelyn trzasnęła kubkiem w stół.

- A ty pewnie gotujesz *cusine bluevell*?

- Mówi się *nouvelle*, a gotuję beznadziejnie. Nawet nie próbowałabym przyrządzić tak skomplikowanych potraw. A jeżeli już, to ugotowałabym jedno, poczekała, aż zjemy, i dopiero wtedy zabrała się do drugiego. Zresztą na śniadanie zrobiłabym kanapki z masłem orzechowym.

- Caron - powiedziała Flora - Evelyn, że tak powiem, próbowała. Starła się.

- Właśnie, Caron. Jesteś jędzą.

- Wcale nie. Skoro mieszkamy razem, musimy być ze sobą szczerze. Pomyślałam, że tak będzie lepiej, inaczej nas zabijesz.

Czułam, że to wypadło niezręcznie, więc zaczęłam z innej beczki.

- Słuchaj, Evelyn, chciałam tylko pomóc. Jeżeli zabijesz Florę i mnie, pójdziesz do więzienia. Aby cię chronić, mianuję Florę kuchmistrzynią, to znaczy główną dowodzącą w kuchni. Głosujmy! - Wysoko podniosłam rękę.

Flora wykręciła swoją, nie wiedząc, jak się zachować. Ale Evelyn uniosła rękę.

- Ja też głosuję na Florę. - Łzy zalały jej twarz. - Jestem do niczego - powiedziała urywanym głosem, szlochając spazmatycznie. - Wiem o tym. Dziękuję ci za szczerść, Caron. A teraz zjadłam górę tego świństwa i na pewno umrę. Prawdziwa przyjaciółka powiedziałaby mi, zanim to zjadłam.

- Evelyn, nie umrzesz - powiedziałam. - No, może będziesz miała niestrawność albo bóle żołądka. Zawartość cholesterolu i kalorii też była duża. Ale był to tylko jeden posiłek. Powiedzmy, trzy. - Przy śniadaniu nawet rozmów nie lubię, co dopiero takich melodramatów. Oper Verdiego nie wystawia się w porze śniadaniowej właśnie dlatego, żeby widownia nie wdarła się na scenę i nie pomogła przy zabijaniu.

Flora pierwsza sięgnęła po papierowe ręczniki i cierpliwie poklepywała Evelyn po ramieniu. Nasza Amazonka zużyła całą rolkę. Potem jej kanaliki łzowe wyschły.

- Tak chciałam dobrze gotować. Wydawało mi się, że to śniadanie jest w porządku. Nie sądzicie, że mogłabym się trochę przyuczyć?

Uśmiechnęłam się słodko do Flory.

- Nie kończyłam żadnych kursów, Evelyn - powiedziała - ale jeżeli chcesz, żeby udzielić ci paru lekcji...

To wszystko zrobiło się trochę nudne jak na mój gust. Wstałam.

- A więc wszystko ustalone. I bez obrazy, Evelyn. A teraz muszę się ubrać.

W pokoju padłam na łóżko o wiele bardziej zmęczona, niż kiedy wstałam. Przypomniałam sobie poradnik, w którym napisano, że każdy może zmienić swoje życie. Ale może chodziło tylko o to, że kupno tej książki zmieniało twoje saldo w banku. Jeżeli Evelyn będzie przeżywała dramaty co minutę, wkrótce mnie wykończy. Poradnik nie wspominał o kobietach w typie

Evelyn, ale była taka dziewczyna w moim akademiku. Próbowałam sobie przypomnieć, co się z nią stało.

Pamiętam tylko, że omawialiśmy jej przypadek na zebraniu rady akademiku. Po długiej czezej debacie ktoś zaproponował, żeby ją usunąć. Myślałam, że to żart, ale wszyscy ochoczo podnieśli rękę. Dziewczyna pewnie w końcu wydorosła albo dostała robotę w prasie brukowej. A może została politykiem.

Moja kostka czuła się niezłe, więc postanowiłam wybrać się na krótki spacer. Założyłam świeży bandaż, krzyknęłam: „Do widzenia” i wyruszyłam w stronę Hampstead High Street. Po kolejnej kawie i ciastku morelowym U Louisa wędrowałam ulicą, oglądając wystawy. Moja książeczka czekowa dostała spazmów. Wymieniałam uśmiechy z ludźmi, którzy siedzieli w kafejkach i popijali przedpołudniowe cappuccino. Potem zatrzymałam się przy stoisku z owocami. Było to istne dzieło sztuki, cudowne kompozycje kolorów, kształtów i zapachów. Pochyliłam się, żeby powąchać cytryny. Na końcu stały wiaderka z kwiatami i postanowiłam kupić bukiet dla pani Stone. Tak wspaniale zajęła się moją kostką.

Po pięciominutowym spacerze nacisnęłam dzwonek. Drzwi otworzyły się natychmiast i wyjrzała pani Stone. Jej twarz zmarszczyła się w uśmiechu, a na widok kwiatów aż pojaśniała.

- Wejdz, Caron! Muszę je natychmiast wstawić do wody. - Śpiesząc w stronę kuchni, powiedziała przez ramię: - Wiesz, że kwiaty umierają w chwili, gdy się je zetnie? Że te już nie żyją? To tylko dowodzi, że śmierć może być piękna. Są naprawdę urocze.

Na płycie stał dzbanek herbaty tak mocnej, że mogłaby wyjść bez niczyjej pomocy i wskoczyć do naszych filiżanek. Kiedy usiadłyśmy przy starym sosnowym stole, pani Stone otworzyła puszkę domowych ciasteczek.

- Amerykańskie kakaowe. Zrobiłam je na wypadek, gdybyś wpadła. Poczęstuj się, są świeże. Robię codziennie blaszkę. Resztę możesz wziąć ze sobą do domu. Nie spytasz o Jamesa? - zapytała, kiedy ugryzłam ciastko i westchnęłam z rozkoszy.

- Właściwie przyszłam do pani. Podziękować za opatrzenie kostki i kolana. Funkcjonuję już w miarę normalnie. I żyję - dodałam prędko, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Okazało się, że pani Stone jest zapaloną ogrodniczką i wkrótce oprowadzała mnie po ogródku na tyłach domu.

- Zasadziłam te drzewa pierwszego roku tutaj. Uwierzyłam bez trudu, bo drzewo miało ze trzy metry.

- A te krzewy wyrosły z maleńkich sadzonek.

Był to uroczy ogród, pełen iglaków, które ubarwiają zimę i pachnących, kolorowych kwiatów. Komórka na tyłach ginęła niemal pod krzewem jaśminu. Pani Stone pokazywała mi zioła i co chwila zrywała jakąś gałązkę do bukietu, który miałam zabrać do domu.

Podziękowałam i powiedziałam, że muszę już iść.

- Wpadłam bez zapowiedzi i nie chcę zabierać pani czasu. - Nonsens, najpierw się napijemy kawy.

- Może wody. I jeszcze jedno ciasteczko. - Co tam kalorie, czasami grzeczność jest ważniejsza.

Przy stole w kuchni siedział James nad gazetą.

- Młody Jamesie, co ty tu robisz? - zirytowała się pani Stone.

- Mieszkam tu - odparł zaskoczony.

- Nie w kuchni. Caron przyszła do mnie. Patrz! Przyniosła mi kwiaty. - Dumnie uniosła wazon z kwiatami. Ani się umywały do tych, które miała we własnym ogrodzie.

- Witaj, Caron - powiedział James. - Cieszę się, że wpadłaś.

- Wystarczy - ucięła pani Stone. - Ja nie przeszkadzam, kiedy ty masz gości.

- Właśnie wychodzę - wtrąciłam, próbując zażegnać kłótnię.

- Widzisz, coś narobił, młody człowieku? Zburzyłeś moje życie towarzyskie.

- Przepraszam, to znaczy chciałam tylko zjeść ciastko. - Zjedz, ile chcesz. Czy Amerykanie naprawdę jedzą ciastka na śniadanie? Próbowałam wyjaśnić pani Stone...

- O mój Boże, obiecałam, że wrócę na czas, żeby przygotować lunch. Było tak miło, że straciłam rachubę czasu. - Jeszcze raz podziękowałam pani Stone za zioła, dużą puszkę ciastek i doniczkę nieuśmierconych kwiatów.

- Odprowadzę cię do drzwi, Caron - powiedział James. Zrobiłam do niego minę.

- Albo i nie - poprawił się.

Pani Stone uściskała mnie serdecznie w drzwiach i powiedziała, żebym wpadała, kiedy tylko zechcę.

- Póki jeszcze żyjesz. Rozumiem, że to trudniejsze, kiedy człowiek jest już martwy.

Obie roześmiałyśmy się jak z dobrego żartu. Szybko wyszłam na ulicę i nie zdziwiłam się, że za rogiem czeka James.

- Przykro mi, Caron.

- James, pani Stone jest urocza. Dlaczego ty nigdy nie przynosisz jej kwiatów?

- Cóż, i tego próbowałam, ale gdera wtedy, że je zabiłem. A cholerny ogród jest pełen kwiatów, które jej kupiłem. Ma nieograniczony kredyt u ogrodnika. Nie tylko dostarczają jej sadzonki, ale przyjeżdżają po nią do domu i odwożą z powrotem.

James i pani Stone najwyraźniej byli ulepieni każde z innej gliny. Zero szans na porozumienie.

- Chciałem cię o coś zapytać, Caron. Odprowadzę cię kawałek, bo wiem, że się spieszysz do tego gotowania. - Uśmiechnął się. - Założę się, że świetnie gotujesz.

- Nie stawiaj więcej niż piąta.

Roześmiał się, a ja pomyślałam, jak bardzo życie się komplikuje, kiedy mówisz prawdę, a ludzie myślą, że żartujesz.

- Chodzi mi o tę zaległą kolację. Wiem, że to krótki termin, ale może zjemy ją dzisiaj? Jesteś wolna?

Przypomniałam sobie o Evelyn i powiedziałam: - O tak!

Potem przypomniałam sobie o Basie i powiedziałam: - O nie!

- Czy to się sprowadza do „może”?

- Co powiesz na piknik?

- Myślałem raczej o tej nowej restauracji na Tamizie. Ma dość dobre recenzje.

- Więc będzie pełno ludzi, mnóstwo przyjezdnych Amerykanów. Piknik w Heath byłby super. Trochę jak po upadku, to znaczy wiesz, powrót na konia.

- Tak sądzisz?

- No wiesz, po tym, jak się tak przestraszyłam. To znaczy dostałam przyływu adrenaliny i zaczęłam biec.

- A tak. Trening, o ile pamiętam, tak to nazwałaś.

Był jakoś podejrzenie rozbawiony, więc zaczęłam mocniej utykać.

- Nie wolałabyś zjeść pod dachem, Caron?

- Zdecydowanie wolę pod gołym niebem. Uśmiechnął się.

- Więc dzisiaj po południu? Może wczesnym wieczorem, skoro przygotowujesz lunch?

- Wolałabym po zmroku. Miałam na myśli nocny piknik.

- Dni są tak długie, Caron, że musielibyśmy się umówić niemal o północy.

- James, jesteś genialny! Cudowny pomysł, piknik w Heath o północy. Tak, na to jestem skłonna się zgodzić. Urządzimy sobie piknik pod tym samym drzewem, gdzie spadłam z konia. To znaczy z kostki.

- Caron, ale ja nie...

- Tylko nic nie mów, bo to genialny pomysł. Każde przyniesie swój kosz piknikowy i zrobimy sobie niespodziankę.

- To dopiero będzie niespodzianka, jeżeli oboje przyniesiemy wyłącznie truskawki.

- Uwielbiam truskawki. To jedna z rzeczy, które świetnie przyrządzam. Wyjmuję się truskawki z koszyka, myje i kładzie na talerzu. Każdy cukrzy sobie sam. Dodaję śmietankę z prawdziwym panache. Płaci się za nie fortunę w Ritzu, więc musi to wymagać ogromnego talentu.

Flora była w domu sama.

- Gdzie Harmonia Domowa?

Flora wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Harmonia poszła do agencji towarzyskiej przejrzeć zdjęcia ewentualnego partnera na dzisiejszy wieczór. Spytałam, czy mogłaby przynieść album do domu, ale powiedziała, że tego nie wolno robić.

- Myślałam, że twoje serce należy do Mervina.

- Jestem tylko ciekawa. Chętnie bym sobie popatrzyła, kto się tam zgłasza. No i mogłybyśmy sprawdzić, czy jest ktoś podobny do Basa.

Była zachwycona łupem, który przyniosłam z wyprawy, i tym, że umówiłam się z Jamesem. Spróbowała ciastko kakaowe i powiedziała:

- Ta gospośnia ma prawdziwy talent.

- Wiem. Dlatego potrzebuję twojej pomocy, Floro. Mamy przynieść z Jamesem koszyki piknikowe, a przy arcydziełach pani Stone mój udział wypadnie jak kupka kompostu.

- Mam koszyk.

- Chodzi o jedzenie. Czy mogłabyś zrobić listę zakupów, a potem trochę mi pomóc?

- Nie musimy robić zakupów. Moja mama przyniosła góry jedzenia. Robi to co sobota. Od niedawna mieszkam sama, a ona jest przekonana, że samotne dziewczęta żywią się chipsami. Uwielbiam robić koszyki. Często je przygotowuję na prezenty gwiazdkowe.

Uściskałam ją z całych sił.

- To cudownie, Floro! Ja za to zrobię pranie, zakupy i zetrę kurz. No, kurzu nigdy nie widzę, więc może poprzestanę na praniu i zakupach.

Flora się roześmiała.

- Zrewanżuję ci się za to, że wyrzuciłaś Harmonię z kuchni. Kiedy próbowałam jej wyjaśnić, że musi nalać wody do czajnika, zanim go włączy, powiedziała, że nie ma zamiaru zaprzętać sobie głowy drobiazgami. I że Delia Smith z telewizji uczy ludzi gotować w pół godziny.

Zadowolona z życia, usadowiłam się przy stole z kawą i gazetą. Nie spytałam, czyja to gazeta, na wypadek, gdyby Evelyn miała coś przeciwko temu, że wypełnię krzyżówkę. Flora gawędziła radośnie, przygotowując koszyk. Krzyżówka była trudna i dziwiłam się, że Evelyn kupiła w sobotę „Timesa”. W soboty robi się to wyłącznie dla krzyżówki.

Nie zwracałam większej uwagi na paplaninę Flory. Ale rozbawiło mnie to, co opowiadała o swojej matce. Zawsze ciekawią mnie matki innych ludzi. Kiedy Flora się wyprowadzała, jej matka zwróciła się do niej w te słowa: „Skoro wolisz mieszkać sama w tym obskurnym domu, z mojej strony spodziewaj się pomocy na tym samym poziomie. Gotowana fasola, sardynki w puszcze, biały chleb, paczki chipsów”.

- Mama świetnie gotuje - mówiła Flora - i ma bałwochwalczy stosunek do jedzenia, więc to była najgorsza rzecz, jaką mogła mi powiedzieć.

Ponieważ Flora zrobiła kosz i lunch, ja przyrządziłam na obiad pyszną zupę pomidorową z puszki. Sekret w tym, żeby dodać kilka kropel mleka, zgodnie z zaleceniem na opakowaniu. Zajadałam się właśnie próbkami serowymi, kiedy Evelyn wróciła do domu i poszła prosto do siebie.

Wyłoniła się godzinę później. Wyglądała jak modelka. Pięknie ułożyła włosy, choć w moim rozumieniu piękne uczesanie oznacza, że włosy nie sterczą na wszystkie strony.



Jej układały się tak, jakby spała w czepku kąpielowym. I to by tłumaczyło, dlaczego mózg ma trochę skurczony.

Pogratulowałyśmy jej wyglądu i Evelyn sprawiała wrażenie zadowolonej. Cóż, nawet tygrys byłby zadowolony, słysząc tyle komplementów. Z tym, że nikt nie ufa tygrysowi na tyle, by sprawdzić, co on o tym sądzi.

Potem zaczęła się miotać po pokoju i mrużyć:

- Do diabła! Gdzie jest mój „Times”? Niech to jasna cholera!

- Pomyślałam, że już zdążyłaś go przejrzeć i wyrzuciłam. Jutro kupię ci nowy.

Klnąc, pobiegła do kuchni i wróciła z gazetą.

- Do diabła, kto rozwiązał krzyżówkę?!

- Flora nie - powiedziałam. - Zresztą mówiłaś, że idziesz na randkę.

- Ty idiotko! Cholerstwo po to mi właśnie potrzebne.

- To właśnie robisz z mężczyznami z agencji? - zapytała Flora ciekawie. - Czytacie sobie gazety?

Evelyn potrząsnęła wściekle głową.

- Nie czytamy sobie gazet. Gazeta jest na pokaz. Chodzi o to, że gość przychodzi i widzi, jak wpisuję wszystkie odpowiedzi.

Muszę przyznać, że byłam pod wrażeniem, bliska polubienia tej Evelyn.

- Boże, Evelyn, tak szybko rozwiązujesz krzyżówki?

- Po co mam rozwiązywać? Po prostu wpisuję, co mi przyjdzie do głowy. Facet nie umawia się po to, żeby sprawdzać odpowiedzi, no nie?

- Taki, któremu to zaimponuje, może sprawdzić. W każdym razie wyświadczyłam ci przysługę. Jeżeli sprawdzi, odpowiedzi są poprawne.

Widać było, że Evelyn nie cierpi prostych rozwiązań. Spojrzawszy na zegarek, ruszyła do drzwi, rzucając na odchodnym:

- Zwykle wpisuję odpowiedzi zielonym atramentem. Czarny jest taki pospolity.

Robiło się późno i powiedziałam Florze, że nie musi ze mną czekać. Ale nie chciała iść spać. Chyba podobała jej się myśl, że do domu przyjdzie mężczyzna i chciała rzucić okiem na Jamesa.

- Zdajesz sobie sprawę, Caron, że odkąd się wprowadziłaś, miałyśmy trzy telefony od mężczyzn lub w sprawie mężczyzn? A minął dopiero tydzień.

- Na litość boską, Floro! Jeden zawierał bezpośrednią groźbę, a dwa ostrzeżenie o zagrożeniu. Chyba że to ma być kryminał, nie romans.

Odezwał się dzwonek u drzwi i Flora znalazła się tam pierwsza, co mnie jakoś nie zdziwiło.

- Dobry wieczór, Floro. Przepraszam, że dzwonię o tej godzinie.

- Och, nic nie szkodzi. Bawcie się dobrze.

Te dwa zdania kosztowały ją dwie godziny snu i dodatkową kąpiel. Paskudnie się czułam, zostawiając Florę samą, ale gdybym poprosiła, by poszła z nami, wprowadziłabym ją w zakłopotanie. Obiecałam sobie, że się poważnie zastanowię nad sprawą Mervina.

James napomknął o mojej kostce i wziął oba kosze. Wyglądał trochę jak juczne zwierzę.

- James, jeden kosz z pewnością nam wystarczy. Szybko przyznał mi rację i próbował oddać mi mój.

- Nie, James, jeden zostawimy, będzie niespodzianką na jutro.

James uśmiechnął się szeroko i oddał mi swój kosz, wyjąwszy z niego butelkę szampana. Flora otworzyła drzwi, zanim zdążyłam wyjąć klucze.

- Ta-da! - powiedziałam. - Jutrzejszy lunch.

- Ale, Caron! Zadałam sobie tyle trudu.

- Nie, nie. To koszyk Jamesa. Sprawdź, co tam jest - dodałam niepotrzebnie, bo już zaglądała pod serwetkę. - I wsadź do lodówki to, co się może zepsuć.

Parę minut później byliśmy w Heath. Słońce dawno zaszło, zmierzch wydawał się gęsty i mętny, nad stawami unosiła się mgła. Lekki wiaterek poruszał gałęziami drzew, a ich cienie falowały na ścieżce. Odzwyczaiałam się od angielskiego zmierzchu, który trwa całymi godzinami, tłucze się po ciemnych krańcach dnia. Minał nas mężczyzna z psem, ale poza tym nikogo nie było widać. Nadal słyszałam chrzęst liści, lekkie kroki lisa, a może królika. Albo sługusa Basa. Zaczęłam mówić głośno, grubym głosem.

- Caron, dlaczego krzyczysz?

- To stary numer. Forma odstraszenia. Jeżeli ktoś nas słucha, pomyśli, że jest nas dużo i zrezygnuje z niecnych zamiarów.

- Nie mów, że nieustraszona Caron boi się ciemności - zauważył James z tym swoim ukośnym uśmiechem.

- Ja? W życiu! Chodzi mi o to, że gdyby ktoś nas zaatakował, chciałbyś odstawić bohatera i dostał w skórę.

- Naprawdę? Chciałbym odstawić bohatera?

- To nie będzie konieczne - powiedziałam jeszcze głośniejszym głosem. - Mam czarny pas karate.

- Dziękuję za ostrzeżenie - zaśmiał się James. - Naprawdę masz czarny pas?

- Kilka - odparłam szeptem. - Skórzane, w różnych kolorach. Włoskie.

Przyszło mi do głowy, że gdyby ktoś mnie śledził, przed ewentualnym atakiem powstrzyma go obecność Jamesa. James, zgięty pod ciężarem koszyka, przełożył go z ręki do ręki.

- Co tam zapakowałaś? - zapytał. - Cegły?

Nie miałam pojęcia, co jest w środku, więc próbowałam sobie przypomnieć, co mówiła Flora.

- Współlokatorskie frykasy. Gotowana fasola w puszcze, sardynki, krojony biały chleb. Zapomniałam co jeszcze. A tak! Samotne dziewczyny żywią się chipsami.

- W takim razie mam nadzieję, że nie zapomniałaś otwieracza do konserw. Czy Flora by zapomniała?

- Jestem pewna, że nie. Zresztą, możesz użyć zębów, James. Śmiejąc się, dotarliśmy na miejsce.

- To nie to drzewo, Caron. Tamto.

- Nie wydaje mi się, James. James przykucnął.

- Może znajdziemy ślady naszych stóp.

- James! Nie ma znaczenia, które drzewo. Może być jakiegokolwiek. Umieram z głodu.

Rozłożyliśmy obrus, a na nim zawartość kosza. Zostało jeszcze dość miejsca, żeby wygodnie usiąść.

- Widzisz cokolwiek, Caron?

Usłyszałam cichy wystrzał korka w chwili, gdy namacałam kieliszki. Dziwne, Flora zapakowała swoje najlepsze kryształki. Z pewnością nie były to plastikowe kubeczki, które rezydowały w kuchni.

- Jest zbyt ciemno, James. Celuj starannie, bo mnie oblejesz.

Oparci o pień drzewa, popijaliśmy szampana.

- Nie jestem specjalnie głodny - powiedział James. - Chyba wystarczy mi wino. A może weźmiemy mój wóz i pojedziemy do Savoya?

- To nieładnie z twojej strony. Nie możesz tak po prostu wzgardzić moją gościnnością. Jedz.

Niechętnie wybrał paczuszkę.

- Zacznę od tego sławnego przysmaku - sardynek. - Po chwili odezwał się znacznie weselszym tonem. - To najbardziej płaska sardynka, jaką w życiu widziałem.

- Pewnie się sprasowała w koszyku.

- Jest nie tylko płaska, ale różowa. I wiesz co, to jest wędzony łosoś z ziołami. Zaraz, czy to fasola? Gotowana fasola o smaku oliwki? O, tu mamy całą gałązkę fasoli, fioletową jak winogrona. A ten biały chleb smakuje dokładnie jak francuska bagietka

- Teraz o wiele lepiej, James - zaśmiałam się. - Fajny z ciebie kumpel. - Sięgnęłam po sardynkę i kawałek chleba, i zawołałam: - O rany, to rzeczywiście wędzony łosoś. Myślałam, że żartujesz.

James śmiał się tak, że omal się nie udławił.

- Ja żartuję? - wykrztusił. - Twierdzisz, że to zaczarowany koszyk piknikowy? Wkłada się sardynki, a wyjmuje wędzonego łososa?

- I pieczoną wołowinę. Właśnie znalazłam kawałek. A do tego pojemniczek z sosem do mięsa. I odrobina musztardy.

Kiedy wpakowałam sobie do ust plaster łososa, James przestał się śmiać.

- Caron, przygotowałaś ten piknik, czy nie przygotowałaś?

- Masz całkowitą rację - trzeciej możliwości nie ma.

Przez chwilę zajmowaliśmy się wyłącznie jedzeniem, od czasu do czasu wydając okrzyki zachwytu. James sięgnął po kawałek tarty.

- Zgadniesz, czy jest z jabłkiem, czy z wiśniami? - zapytał.

Pochyliłam się, zabrałam mu ją z ręki i nadgryzłam.

- Stwierdzam z całym przekonaniem, że z jabłkiem. Z dodatkiem rabarbaru.

- Wiesz, Caron, gdybym nie wiedział, że dopiero niedawno zaczęłaś pracować w księgowości i wynajmujesz pokój, pomyślałbym, że pojechałaś do delikatesów na High Street i kazałaś przygotować koszyk piknikowy. Bo nie sądzę, żebyś miała czas pojechać do Fortnum.

- Z Fortnum to racja. Ale zadzwoniłam do nich, podając nowy adres dla regularnych dostaw. Wiesz, śniadania i kolacje. Chyba że urządzam akurat przyjęcie dla trzydziestu osób w mojej sypialni.

Oparci o pień drzewa sączyliśmy szampana.

- Pamiętaj, że jesteśmy przyjaciółmi, Caron - odezwał się James. - Nie chcesz porozmawiać? Na przykład o tym, jak spadłaś z kostki?

Podsunęłam pusty kieliszek.

- To był twój pomysł, więc ty mów pierwszy. Jeżeli, oczywiście, chcesz przedyskutować, dajmy na to - cztery poprzednie lata. To musiało złamać ci serce.

- Nie, nie, z moim sercem wszystko w porządku. Chodziło raczej o to, co zostało powiedziane. A twój koń? Przepraszam - kostka? Czy to złamało ci serce?

- Nie, nie, z moim sercem wszystko w porządku. I nie chodziło o to, co zostało powiedziane, a raczej o to, co zostało zrobione. I powiedziane o tym, co zostało zrobione. A także o to, że koń nic nie powiedział, jeżeli wiesz, co mam na myśli. O tym, co zostało zrobione. Zanim poznałam konia.

- Cóż, cieszę się, że zrzuciliśmy to z serca i wszystko sobie wyjaśniliśmy.

Było to tak absurdalne, że boki nas rozboleły od śmiechu. Ale nie wracaliśmy już do tematu.

- Wiesz, James, trochę się martwię, że tak bardzo polegasz na moich umiejętnościach postępowania z ludźmi. Przypominają angielską pogodę - są bardzo zmienne - choć zdecydowanie z przewagą słońca nad deszczem.

Roześmiał się.

- Uważam, że jesteś zachwycająca. Dla mnie liczy się to, że ci ufam i łatwo mi się z tobą rozmawia. I jestem pewien, że tak pozostanie, nawet gdybyś zaczęła śnieżyć albo sypać gradem. Masz w repertuarze błyskawice?

- To moja specjalność, choć jeszcze nie podpaliłam żadnej stodoły. A jaką ty masz pogodę, James?

- Pani Stone powiedziałaaby, że więcej we mnie wschodu niż zachodu słońca, ale trzeba brać pod uwagę, że ona nadal widzi we mnie trzynastolatka. Podobno jestem też dość kompetentny w charakterze bryły lodu. I nudny jak deszcz.

- James! To okropne i na pewno nieprawda. Jesteś ciepły, miły i pełen życia. I masz poczucie humoru. Jesteś ciepłym letnim dniem, bez tych niskociśnieniowych frontów z zachodu!

- Powitałbym z radością Golfstrom, który by mnie trochę rozgrzał. Ale mam nadzieję, że widzisz mnie takim, jakim naprawdę jestem.

- Jasne, że tak. Tylko wiesz co? Może przez jakiś czas powinniśmy trzymać się innych tematów, nie tego poprzedniego, znaczy o koniach i bryłach lodu. Jako przyjaciele możemy rozmawiać o różnych sprawach. Na przykład o pracy.

- Nie rzucasz ciężkimi przedmiotami, kiedy mężczyzna zaczyna mówić o pracy?

- Uwielbiam rozmawiać o pracy. Ludzie spędzają w pracy większość życia i jeżeli uważają, że to za nudny temat, powinni zmienić zajęcie. To, co robię teraz, nie jest specjalnie ekscytujące, ale i w księgowości bywa zabawnie.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Podaj kieliszek. - Wysączył z butelki ostatnie krople. Szampan był taki dobry, że z radością pomogłabym mu wyjąć butelkę.

- Sprawa jest dość delikatna, nie chcę cię urazić, ale czy w pracy moglibyśmy przyjaźnić się trochę dyskretniej? Nie zamierzam spędzić reszty życia w ostatnim rzędzie biurek, a wolałabym, żeby nie mówiono, że zrobiłam karierę przez łóżko.

- Wątpię, czy ktokolwiek pomyślałby o tobie w ten sposób, Caron - powiedział James z nagłą powagą. - Zresztą, nie każdą karierę da się zrobić przez łóżko. Czy... eee... koń miał... eee.... łóżko?

- Prawdopodobnie takie samo jak bryła lodu. A więc zgoda? Żadnych osobistych pytań, dopóki wszystko się nie ułoży?

- Ja nie mam nic przeciwko temu, żebyś mi zadawała pytania, Caron. Po prostu nie najlepiej odpowiadam.

- Ale kiedy ja odpowiem na twoje pytania, możesz mnie przestać lubić.

Wyczułam, że się uśmiecha.

- Nie wydaje mi się.

Umilkł na dłuższą chwilę, a potem powiedział:

- Och, Caron! Droga Caron, powinienem był się domyślić. Istnieje coś takiego jak chwilowa amnezja, psychiczna niedyspozycja, nic poważnego, to znaczy... Zresztą kogo obchodzi, że nie pamiętasz, co było w koszyku, a ja...

- Do diabła, James! - zawołałam. - Nie jestem szurnięta. To nie była amnezja, tylko zwyczajne pytanie bez odpowiedzi... - urwałam, słysząc, że się śmieje, i uderzyłam go w ramię. - Umowa stoi? Żadnych pytań?

- Absolutnie, Caron. Teraz trzeba ją przypieczętować, żeby była ważna.

- Co? Mamy przysięgać na Biblię, czy jak?

Zanim zdążyłam wyrobić sobie pogląd, czy to na pewno dobry pomysł, James pochylił się i otoczył mnie mocno ramionami.

- Miałem raczej na myśli przyjacielski pocałunek.

## *Rozdział 10*

Choć wróciłam do domu dopiero o drugiej w nocy, rano obudziłam się z kurami. Starając się nie hałasować, na wypadek gdyby Evelyn przeżyła noc, zrobiłam sobie kawę i wróciłam do łóżka.

Rozmyślałam o Jamesie i pocałunku. Był to zdecydowanie przyjacielski pocałunek. To znaczy nie mógł być wrogi, skoro trwał aż do utraty tchu. I poświęcałam mu bardzo dużo uwagi jak na kogoś, kto skończył z mężczyznami. Był taki ciepły, uroczy i cudowny, że przeraził mnie prawie na śmierć. Czulałam, że moje hormony nastrajają się niby Londyńska Orkiestra Symfoniczna.

Potem James zaczął pakować kosz, nie zdradzając ochoty na następny pocałunek. Nie podobał mu się pierwszy? A może miał mi tylko zaostrzyć apetyt? Było tak, jakbym zjadła tylko jedną truskawkę albo jednego orzeszka. Nie do wytrzymania.

Całą drogę powrotną trzymaliśmy się za ręce, jak na prawdziwych przyjaciół przystało. Poza tym było tak ciemno, że mogliśmy się zgubić. Istniała, oczywiście, możliwość, że James miał fobię na tle kojarzenia się w pary, jak ja, i pocałunek też go przeraził. Ale trudno uwierzyć, że był tylko niewinnym całuskiem.

Na palcach wróciłam do kuchni po drugą kawę. Nic się tam nie działo, za to na stole leżała papierowa torba z croissantami i przypiętą kartką „Harmonia w Domu”. Obok stał słoik dżemu agrestowego z drukowaną etykietką o tej samej treści. Ciekawe, czy Flora kupiła go dla kawału, czy to zupełny przypadek.

Łazienka była pusta, więc dałam szybko nura do środka i zaryglowałam drzwi. Usłyszałam jeszcze głos Flory z frontowego pokoju: „Zauważył krzyżówkę?” Najwyraźniej próbowała wypytać Evelyn o wczorajszą randkę. Wołałam wykorzystać gorącą wodę, a o randce posłuchać później.

Gorąca kąpiel to rozkosz sama w sobie. Wróciłam do pokoju odświeżona, bez cienia poczucia winy, choć wiedziałam, że woda nieprędko się znów zagrzeje. Przez jakiś czas sprzątałam pokój. Nigdy nie zostawiam rozrzuconych rzeczy. Moja wysoce

kompetentna matka uważała, że wszystko, co leży luzem, jest do wyrzucenia, i oddawała to Armii Zbawienia.

Ubrałam się w dżinsy i T-shirt i wyciągnęłam na łóżku z jedną z książek Flory. Był to romans. Zanim zaczęłam czytać, sprawdziłam na ostatniej stronie, czy bohaterka przeżyła. Wtem usłyszałam, jak Flora mnie woła, a po niej Evelyn, dużo głośniej.

Zbiegłam na dół, zanim zdążyła rozgrzać struny głosowe. Obie z Florą przypierały do muru niskiego zmęczonego mężczyznę w średnim wieku.

- Mam twojego faceta, Caron - powiedziała Evelyn. - Nie jest taki wysoki, jak mówiłaś, i nie wspomniłaś o łysinie. Teraz już chyba, nie powiesz, że nie współpracuję?

- O co chodzi? - zapytał mężczyzna. - Szukam Caron Carlisle. Przesyłka.

Ten mały człowieczek w niczym nie przypominał osobnika, którego w mojej wyobraźni nasłał na mnie Bas. Myślałam, że wybierze Jamesa Bonda albo kogoś w tym typie. Potem przyszło mi do głowy, że pewnie wynajął go z drugiej ręki, przez miejscową agencję.

Ogarnęła mnie ulga, że przynajmniej wiem, z kim mamy do czynienia, choć na pierwszy rzut oka gość wydał mi się trochę onieśmielony. Wzięłam się w garść i powiedziałam:

- Przesyłka w niedzielę? To mało prawdopodobne. Floro, Evelyn, on nie może wejść do mojej sypialni.

- O co pani chodzi? Dostarczamy przesyłki dwadzieścia cztery godziny na dobę, na cały świat. Podpisze pani?

- W książkach nie wolno podpisać nic, czego nie widział adwokat - powiedziała Flora.

- Jakoś nie widać tej paczki - zauważyła Evelyn. - Co pan dostarcza? Śpiewające telegramy?

- Albo pani podpisze, a ja przyniosę, albo zabieram to z powrotem. - Facet robił się coraz bardziej nerwowy.

- Dlaczego nie ma pan uniformu albo chociaż plakietki? - zapytałam na wypadek, gdyby był autentyczny.

- Cały dzień w ciężarówce i jeszcze mam nosić kostiumy? Pani podpisze i się zmywam. Ostatni raz mówię.

Ten gość był tak niepodobny do hollywoodzkiego stereotypu zbrodniarza, że naprawdę wzbudzał podejrzenia.

- A skąd u pana ten ślad amerykańskiego akcentu? - zapytałam.

- A u pani? Widać oglądamy te same filmy. Dobra, ja spadam.

- Zaraz, chwileczkę! - powiedziała Evelyn. Przysunęła się bliżej, rozplaszczając faceta na ścianie.

- Caron, mam zadzwonić na policję? - zapytała Flora.

- Sam zadzwonię, jeżeli nie zabierzecie ode mnie tej baby!

To mnie zaskoczyło. Bas mógłby blefować w ten sposób, ale prawdziwy zbir z pewnością nie.

- Słuchajcie, on nie próbował dostać się do sypialni. Może powinnam sprawdzić, co tam ma.

Evelyn blokowała drzwi, podczas gdy ja z Florą obejrzałyśmy papierek.

- Wiesz, Flora, to wygląda jak zwyczajny kwit.

- W każdym razie nie są to papiery rozwodowe ani intercyza przedmałżeńska.

Podpisz - dodała szeptem - jakimś zakrętasem, jak gwiazdy filmowe albo lekarz na recepcie.

- Wtedy będzie nieprzydatne w sądzie - odszepnęłam. - A i tak zostawię odciski palców.

- Kobieto, głuchy nie jestem. Może sobie pani założyć rękawiczki do podpisywania.

To było tak żenujące, że po prostu podpisałam. Zakrętasem. Mężczyzna zabrał kwit i pobiegł do drzwi.

- Pójdę z nim, żeby nie próbował uciec. Mężczyzna stanął jak wryty.

- Nie wniosę tu paczki, jeżeli weźmiecie mnie potem na zakładnika. Koniec dyskusji. Jeszcze jedno słowo, a zostawię ją na środku drogi. A potem przejadę ciężarówką.

Wrócił po kilku minutach, niosąc zabytkowy bujany fotel z małą paczuszką przywiązaną wstążką do oparcia. Zrobiło mi się niedobrze.

- Cholera! Kupiliśmy go z Basem. To jakiś podstęp. Evelyn ponownie zablokowała drzwi.

- Pan otwiera paczkę, na wypadek gdyby to była bomba - zwróciła się do posłańca.

- I to na zewnątrz - dodała Flora.

Tak długo kręcił głową, że omal mu się nie urwała.

- Cholerstwo przejechało pół świata - powiedział. - Było na statkach, w samolotach, w tyle ciężarówki. Gdyby miało wybuchnąć, to by buchło.

- Nawet ja wiem, że się nie mówi „buchło” - powiedziała Evelyn.

- Myślę, że ten pan chciał powiedzieć: wybuchło, Evelyn. Wybuchło to czas przeszły od wybuchnąć.

- Wcale nie. Buchło od buchnąć, znaczy zwędzić.

- To słowo o zupełnie innym znaczeniu, Evelyn. Nie ma nic wspólnego z wybuchaniem jako takim.

- Dobra już dobra! - zawołał posłaniec. - Mówię tylko, że do tego czasu pieprzona paczka na pewno wyleciałaby w powietrze.



- Tak czy inaczej - wtrąciła Flora - czytałam o bombach, które można przesłać w liście. Wysyłanie jej w paczce tych rozmiarów byłoby bez sensu. Ktoś, kto wynajmuje płatnego zabójcę, musi o tym wiedzieć.

- Proszę pani - przerwał jej posłaniec. - Jestem tu od piętnastu minut, czyli według regulaminu należy mi się przerwa na kawę.

- Przepraszam - powiedziała Flora. - Nie chciałam być niegościnna.

- Ja tylko mówię, że ta baba musi mnie stąd wypuścić. - Najpierw otworzysz pan paczkę - warknęła Evelyn. Mężczyzna popatrzył na nią, po czym podszedł do fotela. Jednym ruchem zerwał paczkę, rzucił ją na podłogę i usiadł w fotelu.

Evelyn, Flora i ja wpatrywałyśmy się w pakunek, czekając w napięciu. Najchętniej byśmy uciekły, ale zahipnotyzowało nas, jak te zające w świetle reflektorów. Policzyłam wolno do pięćdziesięciu, zanim dotarło do mnie, że posłaniec coś mówi.

- Wobec tego napiję się kawy tutaj. Z mlekiem. Pięć kostek cukru. I dwa herbatniki. Nie ma pani czasem pączków?

Flora już ruszyła w stronę kuchni.

- Nie, nie trzeba - powiedziałam. - W porządku. Udowodnił, że paczka nie wybuchnie. Może iść.

- Nigdzie się nie ruszę. Muszę się napić kawy o jedenastej. Zresztą chcę się dowiedzieć, co jest w paczce. Musicie mieć dziwnych przyjaciół.

Bardzo nie chciałam dotykać paczki przysłanej przez Basa. Ale nie mogłam nikogo prosić, żeby zrobił to za mnie. Może to bomba, która wybucha dopiero przy drugim podejściu? Odwinęłam papier bardzo wolno i ostrożnie. Flora wróciła z tacą akurat w chwili, gdy wyciągnęłam pudełko czekoladek z doklejoną karteczką.

- To prawdziwe amerykańskie ciasteczka? - zapytał posłaniec. - Bardzo smaczne. Jedno schowam na później. Otworzycie te czekoladki, czy jak?

Najpierw rozwinęłam kartkę. Było na niej napisane dużymi drukowanymi literami: *ZAUFAM CI.*

- Wiedziałam! - krzyknęła Flora. - Czekoladki są zatrute.

- W tygodniu normalnie pracujecie? Chodzicie normalnie do biura? - zainteresował się posłaniec.

- Może posłaniec powinien przetestować czekoladki - podsunęła Evelyn.

- To na nic - orzekła Flora. - Nawet jeżeli przeżyje. Trucizna może być w ostatniej.

- Nie chciałbym się narzucać, ale czy mógłbym prosić o drugą kawę? - zapytał posłaniec. - Jest o niebo lepsza niż w zajeździe przy autostradzie. Tak spędzacie każdy weekend?

- Bas coś knuje. To moje ulubione czekoladki - gorzka czekolada z truskawkowym nadzieniem.

- Gorzka czekolada zabiłaby smak arszeniku - powiedziała Flora.

- Wątpię, czy Bas chciałby popełnić zbiorowy mord. Są tu dwadzieścia cztery czekoladki, on wie, że zjadłabym jedną. No, jedną co jakiś czas. W każdym razie nie wszystkie naraz. A skoro wie, gdzie mieszkam, wie też, że podzielę się z wami.

- To prawda - zgodziła się Flora.

Nie wiedząc, co zrobić z bombonierką, położyłam ją na najwyższej półce pustego regału, który Flora oddała mnie i Evelyn. Nie chciałam ryzykować, że ktoś je zje, a trzeba je było przechować jako ewentualny dowód. Potem Przeszliśmy przez piekło, próbując pozbyć się posłańca. Wyglądało na to, że zamierza spędzić z nami cały dzień.

Evelyn w końcu udało się go doprowadzić do drzwi. Kiedy wychodził, powiedziała:

- Gdybyś nie był pan taki krótki...

Naprawdę lubiłam ten fotel. Wyszukałam go w sklepie z antykami. Był prawie dokładnie taki jak ten, który stał w moim rodzinnym domu, zanim się zarysował i mama oddała go dobroczynności. I był mój, nie Basa. Więc usiadłam, żeby się trochę pobujać i przemyśleć sprawy. Flora krzątała się w kuchni, a Evelyn ciągle odprowadzała posłańca. Był bardzo miły, zważywszy, przez co przeszedł. Zaczęłam się zastanawiać, czy Bas nie wyrządza większej szkody swoimi gierkami, niż gdyby po prostu wszedł tu z karabinem. Ale oczywiście to mógł zarezerwować sobie na później.

Kiedy wróciła Evelyn, Flora zawołała nas na lunch. Rozłożyła na stole zawartość Jamesowego koszyka. Kurczak o smaku cytrynowym, domowe bułeczki i masło, truskawki i śmietanka, małe główki karczochów ze specjalnym maślano-cytrynowym sosem. I mnóstwo poręcznych paluszków z marchewki, selera, rzodkiewki i cebulki.

Evelyn wyraziła uznanie Florze, która powiedziała, że podziękowania należą się mnie.

- Kurde blaszka! Też bym chciała nie umieć gotować, Caron.

Musiałam coś powiedzieć, bo Flora patrzyła wyczekująco.

- Właściwie dostałam kosz w prezencie. - Teraz patrzyły na mnie obie. - A właściwie został z wczorajszego pikniku. -

Teraz już nie tylko patrzyły, ale jeszcze przestały jeść. - James i ja mieliśmy po jednym koszyku. Flora była tak dobra i przygotowała mój. Ale uznaliśmy, że nie warto o północy targać dwóch ciężkich koszy do parku i...

Evelyn wycelowała we mnie widelcem.

- Urządziłaś sobie z facetem piknik o północy? A mówiłaś, że skończyłaś z mężczyznami.

- On jest tylko przyjacielem.

- Równie przystojny jak ten, na którego mamy uważać?

- Jest różnica, ale tak. W pewnym sensie jest nawet bardziej atrakcyjny.

Evelyn machnęła ku mnie kurzą piersią.

- Powiedz mi kiedy ta przyjaźń mu się sprzykrzy, dobrze?
- Nie opowiedziałaś nam w końcu o swojej wczorajszej randce - wtrąciła szybko

Flora.

Evelyn spojrzała na mnie spode łba.

- W sumie dobrze, że rozwiązałaś krzyżówkę. Facet ją sprawdził.
- Cieszę się, że mogłam ci pomóc, Evelyn.
- Tego bym nie powiedziała. Przez ciebie cały wieczór gadałam o cholernych słowach.

Jadłyśmy z Florą coraz szybciej, bo Evelyn pałaszowała już dokładkę.

- Następnym razem wybierz coś, co cię będzie interesowało - poradziłam.
- Myślisz, że tak będzie lepiej?
- Warto spróbować, Evelyn - powiedziała Flora. - Wiesz, Caron, twój fotel jest piękny. Podoba mi się, że jest malowany. Nie tylko w jakieś tam wzorki, ale prawdziwy pejzaż na siedzeniu, morze na oparciu, kwiaty po bokach. Nie jestem ekspertem, ale to się chyba nazywa sztuka prymitywna. Musiał kosztować majątek.

- Tak, wygląda drogo - przyznała Evelyn. - I co, będzie przysyłał meble sztuka po sztuce? A potem sam się wprowadzi? To nam oszczędzi szukania go.

Roześmiałyśmy się wszystkie trzy. Może Evelyn wymagała tylko zmiany diety.

- Nie wiem - powiedziałam. - Wątpię, czy czekoladki są zatrute. Wydaje mi się, że on chce nas zdenerwować.

Wytrącić z równowagi. Czasem posyłał swoim rywalom prezenty, kwiaty albo coś związanego z biznesem. To zwykle osłabiało ich czujność, dając Basowi przewagę. Robił to tuż przed zastawieniem pułapki.

- Potrafiłaś przewidzieć, co szykuje? W końcu znasz go lepiej niż konkurencja.
- Czasem potrafiłam. Ale umysł Basa przypomina cyrk o trzech arenach, tyle się dzieje naraz. Nigdy nie wiesz, czy masz do czynienia z klaunem, słoniem czy tygrysem.
- Gdyby w agencji mieli taki wybór, wybrałabym tygrysa.
- A on by cię pożarł, Evelyn. Więc co by zrobił Bas, gdyby to były negocjacje?
- Kto wie? Pewnie coś, czego się najmniej spodziewamy.
- Taki bogaty przystojny facet! Złapie go jakaś superpanienka i zajmie dokumentnie. Wtedy nie będzie miał czasu na te swoje gierki. Tylko pamiętaj, ja jestem wolna. - Spojrzała na zegarek i wstała. - Umówiłam się na kawę. A jeszcze muszę zajść do drogerii i kupić kondomy o smaku truskawkowym.

Flora była wstrząśnięta.

- Sama Caron mówiła, że bym je miała na stole jak on przyjdzie.

Kiedy usłyszałyśmy trzaśnięcie frontowych drzwi, Flora zapytała:

- Myślisz, że Evelyn żartuje? Nabiera nas?
- Mam nadzieję.

Wtem Evelyn wtargnęła z powrotem do kuchni. Wyglądała na uszczęśliwioną.

- Mam drugiego! I cholerną nadzieję, że ten jest prawdziwy, znaczy się sztuczny.

Fałszywy kwiaciarz!

W pierwszej chwili nie wiedziałam, o czym ona mówi. „dzwonek u drzwi” to była druga pozycja na liście napraw, jaką sporządziła Flora, zaraz po „wymienić bojler”.

Dzwonek znów zadziałał, a pukania nie słyszałyśmy.

- Pospieszcie się, zanim ucieknie! - zawołała Evelyn. - Mogę go zabrać od razu i dokładnie sprawdzić.

Flora chwyciła kulę do kręgli i pobiegła do drzwi. Wróciła oburzona i zła.

- Evelyn, to James. Przyjaciel Caron. I mój. Nie waż się go tknąć.

- Cholera! Mówiłyście, żeby mieć oko na facetów, teraz mówicie, żeby nie mieć.

To jak mam współpracować?

Ta wymiana zdań toczyła się pełnym głosem, więc pospieszyłam do holu. James stał w progu z bukietem kwiatów i głupią miną.

- Przepraszam, Caron. Chyba coś się porobiło. Flora przybiegła z kulą do kręgli, a ta druga kobieta...

- Flora, Evelyn! - wrzasnęłam. - Patrzcie, kto przyszedł. To James!

Nie cofnęło to wprawdzie spraw na metę, głównie dlatego, że znajdowały się już poza stadionem. Nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że gdyby umieścili w domu Flory kamery Wielkiego Brata żadna z nas nigdy więcej nie musiałaby pracować.

Usłyszałam, jak Evelyn mówi (cytat): „Miło pana poznać, zapewne”. A droga Flora rozpoczęła ceremonię powitalną.

Wkrótce Evelyn wyszła, a Flora i ja piłyśmy kawę z Jamesem. Teoretycznie z Jamesem, bo nie usiadł i ciągle powtarzał, jak mu przykro, że przyszedł nie w porę. W pewnej chwili zobaczył bujany fotel.

- Jest piękny! Mogę usiąść? Wytrzyma?

Ale odważył się dopiero, gdy obie z Florą solennie zapewniłyśmy, że nic się nie stanie, przy czym ja miałam cichą nadzieję, że fotel się pod nim załamie, co zapobiegnie dalszym pytaniom. Cóż, taki malowany mebel to świetny temat do rozmów.

James pogratulował Florze gustu, a ona pokazała na mnie. Cholera, cholera i jeszcze raz cholera! Fotel był jedną z tych rzeczy, których nie da się kupić z mojej obecnej pensji. Nie dałoby się go kupić nawet z tej pensji, której nie wypłacał mi Bas.

- Serdeczne dzięki za kosz piknikowy, James. Właśnie przed chwilą zjadłyśmy lunch. Był wspaniały.

Uśmiechnął się.

- To dzieło pani Stone, jak zapewne wiesz. Pani Stone to moja gospodyni - zwrócił się do Flory. - Właściwie od niedawna nazywa się Stoner. To ona przysłała ci te kwiaty, Caron. Naprawdę wywarłaś dobre wrażenie.

- Stoner? Dlaczego Stoner? - zapytałam, kiedy Flora poszła do kuchni napełnić dzbanek do kawy.

- To wszystko twoja zasługa. Kiedy zobaczyłem, jak sobie z nią radzisz, uznałem, że ja też muszę znaleźć sposób. Zapewniłem ją, że nie chodzi o emeryturę i poprosiłem o szczerą. Zapytałem, co muszę zrobić, żeby przestała mówić do mnie „młody James”. Zaproponowałem drugą pomoc do sprzątania. Potem kolejną podwyżkę. Nadal odmawiała. Więc zapytałem, co mam zrobić.

- Chwyciło?

- Najpierw oznajmiła, że tylko śmierć może to zmienić, a ona nie zamierza umrzeć pierwsza. Potem zmiękła i powiedziała, że będzie do mnie mówić „młody James” tak długo, jak długo ja będę ją nazywał panią Stone. Powiedziała, że to ją postarza, więc skoro ona czuje się staro, ja mogę się czuć młodo. Stańło na Stoner.

- Czy ja też mam ją tak nazywać? Mam mówić do starszej pani per Stoner?

- Koniecznie. Mówi, że chce wypracować sobie nowy image, odnaleźć nowy sens życia. Planuje też zasadzić nowe drzewo. - Uśmiechnął się sucho. - Myślisz, że planuje kolejne siedemdziesiąt lat?

Śmiałyśmy się, kiedy Flora wróciła z talerzem amerykańskich ciasteczek kakaowych. James wstał i przesunął stół, żeby mogła postawić tacę. Odmówił ciastek, rzucając mi wymowne spojrzenie. Popijając kawę, podziwiał książki Flory i zobaczył bombonierkę. Zauważyłyśmy to i popatrzyłyśmy na siebie niespokojnie.

- To moje ulubione. Ale trzymacie je pewnie na święta? - To było najbardziej bezczelne przymówienie się, jakie w życiu słyszałam. Do świąt zostało dobre pół roku.

- Prawdę mówiąc, James, one są trochę nieświeże. Jestem pewna, że są przeterminowane.

- W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko, jeżeli się poczęstuję? Skoro nie zamierzasz ich sama jeść?

Miał czekoladkę prawie w ustach, kiedy obie z Florą zerwałyśmy się na równe nogi.

- Stop, James! - zawołałam. - Mogą być zatrute. Uniósł brwi i popatrzył na nas pytająco.

- No, wiesz - wyjąkała Flora - choćby arsenikiem. Człowiek dowiaduje się, kiedy jest za późno. Niewykluczone zresztą, że są całkiem niewinne. Ale ty jesteś naszym przyjacielem.

- I dlatego mi ich nie dacie?

- Nie dlatego - powiedziałam. - Nie dałybyśmy ich nikomu. Leżą tam, bo trzeba czymś zapełnić regał.

- Caron, czy ja coś przeoczyłem? To jakaś zabawa?

- Prawdopodobnie, ale nie ja ustalam zasady.

Patrzył na nas, jakbyśmy byli staruszkami, które zabijają ludzi zaproszonych na herbatkę i grzebią ich w piwnicy. Flora szybko wstała, mówiąc, że ma chyba jeszcze w kuchni kawałek piernika. Jestem pewną że gdyby lekarz powiedział jej, że umiera, ustawiłaby łóżko między piecykiem a zlewem.

Nie zdążyła nawet wyjść z pokoju, kiedy James zauważył karteczkę obok czekoladek. Moja czujność psychologiczna zawiodła tym razem. Powinam przecież pamiętać, że coś, co leży na środku pustej przestrzeni, budzi natychmiastowe zainteresowanie. Właśnie dlatego muzea wsadzają nijakie, ponure obrazy w olbrzymie ramy.

James rozwinął kartkę, nie pytając nawet o pozwolenie.

- Caron, jeżeli ta wiadomość przyszła razem z bombonierką, dlaczego uznałaś, że „zaufaj mi” oznacza truciznę w czekoladkach?

- Myślę, że to dość prosty wniosek.

- Wobec tego, co oznaczałaby wiadomość: „Nie ufaj mi”?

- To samo. Z pewnością widziałeś na filmach ludzi mówiących zaufaj mi. To zawsze oznacza, że należy schować pieniądze.

- Ale to nie jest film. Dlaczego tak to odebrałaś?

- Doprawdy, James! Zastanów się. Kiedy ktoś mówi: zaufaj mi, musisz brać pod uwagę jego intencje. Czy on mówi, zaufaj mi, w piątek zwrócę ci te pięć funtów, czy zaufaj mi, usmażę cię na wolnym ogniu. Widzisz różnicę?

Usiadł obok na kanapie i wziął mnie za rękę.

- Caron, czy bombonierkę przysłał, no, wiesz, koń? - Nie chcę o tym mówić, James. Głupio się czuję.

- To co mówisz, nie brzmi głupio. Może trochę niejasno i tajemniczo.

- Bo to trochę skomplikowane. Spojrzał na zegarek.

- Nie spiesz się. Przypuszczam, że zostało mi jakieś czterdzieści lat.

- OK, to ma związek z moim byłym. Kiedy koń zmienił się w osła. Mówi, że chce mnie odzyskać, ale wątpię, czy tak jest naprawdę. Prawdopodobnie jest zły, ponieważ odeszłam, a on lubi, kiedy wszystko jest, tak jak on chce. Takie ma zasady. Nie przypuszczam, żeby naprawdę chciał mi zrobić coś złego. Przysłał mi mój fotel z Nowego Jorku. Dopiero co. Z czekoladkami i karteczką. Myślałyśmy, że przysłał posłańca, rozumiesz, w roli włamywacza. Powinieneś zobaczyć tego biednego człowieka, kiedy go osaczyłyśmy. Evelyn myślała, że jesteś kolejnym fałszywym dostawcą. Przyznasz, miałeś w ręku kwiaty, no więc wszystko jasne.

James milczał przez parę minut, patrząc na mnie uważnie.

- Nic nie jest jasne - powiedział w końcu. - Zastanawiam się tylko, jak skłonić cię do wyjaśnień, z których mógłbym cokolwiek zrozumieć. Dlaczego włamywacz? Dlaczego miałby przysłać włamywacza?

Cholera! Byłby z niego świetny prawnik. Rzuć w niego tysiącem słów, a wyłowi to jedno właściwe. Uśmiechnęłam się z wahaniem, a potem zaczęłam mówić bardzo wolno, żeby zdążyć przemyśleć każde słowo.

- Sądzę, że tak wygląda rozstanie, James. Ludzie kłócą się o to, kto bierze pajęczyny. Ja zabrałam tylko ubrania i te rzeczy, które mieściły się w limicie bagażu, albo prawie się mieściły. Ale równie dobrze mogłam zostawić wszystkie ubrania albo zatrudnić firmę przewozową, która oczyściłaby mieszkanie. Jemu chodzi wyłącznie o to, żeby mieć ostatnie słowo.

- Tak, ale co to znaczy ostatnie słowo? Chcę wiedzieć, czy nic ci z jego strony nie grozi.

- James, gdyby twoja była przysłała ci czekoladki, zjadłbyś je i poczęstował przyjaciół?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Gdyby ona je przysłała, prawdopodobnie byłyby zatrute. Ale moja sytuacja jest inna.

- Fakt - tobie nie przysłano fotela.

- Ten drań cię osaczył, Caron. Musisz przyznać, ani ja, ani Stoner nie witamy dostawców kulą do kręgli.

- Jestem po prostu ostrożna. On na pewno wkrótce kogoś pozna i zapomni o mnie.

- Trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł cię zapomnieć, Caron.

W tym momencie James otrzymałby nominację do „Przyjaciela Roku” ale zaraz uświadomiłam sobie, że to wcale nie musi być komplement. Podczas gdy my rozmawialiśmy, Flora wchodziła i wychodziła do kuchni. W pewnej chwili dobiegł stamtąd odgłos głośnego mielenia. Potem usiadła.

- Floro - zwrócił się do niej James. - Co ty o tym sądzisz? Istnieje zagrożenie?

- Nie ze strony czekoladek. To na pewno. Ale uważam, że on ciągle kocha Caron i chce ją odzyskać. Takie jest moje zdanie. Więc wątpię, czy będzie ją chciał skrzywdzić. Nie celowo. Nie osobiście.

James zastanawiał się przez chwilę.

- Jeżeli nie będziecie ze mną szczerze - powiedział - w tej chwili zjem całe to cholerne pudełko czekoladek.

- Nie zrobisz tego - odparłam. - Ja je zjem, żebyśmy mogli zapomnieć o sprawie.

- Spóźniliście się. Już się nimi zajęłam. Byłam przerażona, James też.

- Wszystkie? - wykrztusiłam z trudem. - Wszystkie dwadzieścia cztery?

Skinęła głową i nagle jakby wyczuła nasze napięcie.

- Chyba nie sądzicie, że je zjadłam? Taka głupia to ja nie jestem. Wrzuciłam je do młynka na odpadki pod zlewem. Ale zatrzymałam pudełko, Caron. Możesz je postawić z powrotem na swoim regale, jeżeli chcesz.

James spojrział na zegarek.

- Masz spotkanie? - zapytałam z nadzieją. Wiedziałam, jakie będzie jego następne pytanie. Dlaczego Flora pozbyła się czekoladek, skoro nie wierzyła w ich szkodliwość? Ale James powiedział tylko:

- Muszę kupić parę rzeczy dla Stoner w South Hill Green. Chciałabyś się wybrać na pogawędkę... to znaczy na spacer?

Ponieważ do South Hill Green było tylko kilka kroków, James przeszedł od razu do sedna.

- Caron, mieliśmy być przyjaciółmi. Dlaczego nie wspomniałaś mi, że jesteś w niebezpieczeństwie?

- Bo masz podejrzliwy umysł?

Wstąpiliśmy do sklepu, James kupił mleko i masło.

- Odprowadzić cię do domu? - zapytał z troską. - Na wszelki wypadek?

- James to jest tak blisko, że praktycznie mógłbyś mnie tam dorzucić.

Popatrzył na swoje buty, szukając inspiracji.

- Właściwie, to przyszedłem dzisiaj do ciebie, żeby uprzedzić, że w ciągu następnych paru tygodni będę wyjeżdżał w krótkie podróże służbowe. Rzadko będę na miejscu. Skoro jesteście przyjaciółmi, powinienem ci to powiedzieć, żebyś sobie nie pomyślała tego, co mogłabyś sobie pomyśleć. Mówiąc ci o tym, staram się lepiej komunikować.

Czułam, że powinnam go pocieszyć, zapewnić, że przedtem też się dobrze komunikował, ale nie byłam nawet pewna, co on mówi. Słowa były mi znane, ale tak jak w krzyżówce, każde zdawało się mieć więcej niż jedno znaczenie.

- To w związku z twoją byłą, James? Powiedziała coś okropnego, na przykład że lepiej by się jej rozmawiało z bryłą lodu?

- Nie. Powiedziała „z górą lodową”. Choć miała na myśli jedynie komunikowanie się. A mówiąc ściślej, moje umiejętności werbalne, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Znowu nie byłam pewna, ale chwilę później zrobił demonstrację, choć nie wiem, czy tak to rozumiał. Ujął mnie za podbródek, przesunął dłoń w górę, tak że jego palce dotknęły mojego ucha. Miałam takie wrażenie, jakbym przeszła po syntetycznym dywanie, a potem dotknęła metalowej klamki. Potem pochylił się i ucałował czubek mojego nosa. Chyba tam właśnie celował, bo przecież usta miałam w takim miejscu, że ślepy by zauważył.

- Byłbym o wiele spokojniejszy, Caron, gdybym wiedział, że zadzwonisz do mnie, jeżeli zdarzy się coś jeszcze.

- Jeżeli ktoś dostarczy kanapę albo pianino? - Byłam po prostu okropna.

- Cokolwiek podejrzanego, Caron. Cokolwiek. A gdybyś chciała o czymś porozmawiać, pamiętaj, że co dwie głowy, to niejedna.



Nadal trzymał mnie pod brodę. Stałam tak z odchyłoną głową, widziałam skrawek błękitnego nieba. Ścierpła mi szyja. Wiedziałam, że długo nie wytrzymam.

- James, może to powiedzenie odnosi się także do ust? - Wspięłam się na palce, żeby go pocałować.

Otoczył mnie ramionami i poczułam, jak karton mleka wgniata mi się w plecy. Wspaniałe uczucie. Pocałunek był taki ciepły, czuły, kojący i bezpieczny, taki inny niż histeria i paranoja ostatnich dni. Jego dłonie pasowały do mnie jak ulał. Czułam zapach jego wody po goleniu. Moje serce krzychało: „Bierz co dobre, dziewczyno!”, ale logika szeptała „idiotka”. Odsunęłam się szybko.

- James, przepraszam. Jesteśmy przyjaciółmi, więc nie powinnam...

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie uznałbym tego za wrogi atak. Jeżeli mam być całkiem szczery, nie jestem pewien, co robią przyjaciółki. To znaczy, nie znam granic takiej przyjaźni. Kiedy to nie jest związek miłosny ani nic w tym rodzaju.

- Jeśli o mnie chodzi, też nie jestem pewna.

Cholera, ta przyjaźń rozwijała się szybciej niż mój związek z Ekspresowym Basem. Byłam śmiertelnie wystraszona. Nie wyzwoliłam się do końca od jednego faceta i nigdy nie zdołam się wyzwolić, jeśli związę się z następnym. Zdaje się, że po prostu tchórzyłam, szukając podpory u kolejnego faceta, zamiast stanąć na własnych nogach.

- James, czy mi się wydaje, czy na filmach mieszane pary przyjacielskie rozmawiają o swoich romansach i wypłakują się sobie na ramieniu? Często grają też w scrabble'a?

- Scrabble'a nie próbowałem. I nie jestem pewny, czy chcę wziąć sobie kochankę tylko po to, żeby utrzymać przyjaźń z tobą.

- Och, nie to miałam na myśli. Raczej coś przeciwnego. Może powinniśmy zagrać w szachy, żeby ogłosić pata.

- Uzgodniliśmy, że nie będziemy się zagłębiać w przeszłość. To mi odpowiada. Właściwie, jestem tym zachwycony. Chcesz sobie popłakać? Na moim ramieniu? Zawsze do usług. Jest już rozgrzane.

Moja logika domagała się określenia ścisłych zasad, na przykład godzinne spotkanie raz w tygodniu. Z przyzwyczajeniem. Wieczór w kinie, pod warunkiem że w pierwszym rzędzie. Ale moje nogi jakoś nie chciały się ruszyć z miejsca.

- Problem w tym, że kiedy jestem z tobą, wcale nie chce mi się płakać. Nawet jeżeli przedtem miałam na to ochotę. Chociaż nieczęsto mi się zdarza. Wolę walczyć, niż się mazgać. Zazwyczaj.

Uśmiechnął się.

- Ze mną jest tak samo, Caron. Rozśmieszasz mnie.

- James! Jak mam to rozumieć?

- Rozśmieszasz w tym sensie, że czuję się szczęśliwy. Jest mi lekko na duchu.

Działasz ożywczo.

- Więc ciągle się przyjaźnimy, prawda? I możemy ustalić własne zasady. I nikt się nie obraża, kiedy druga strona stawia granice? Jeżeli czujemy, że to jest konieczne?

Uśmiechnął się szeroko, nie wypuszczając mojej dłoni.

- Absolutnie. A tu jest numer mojej komórki, gdybyś chciała się ze mną skontaktować podczas mojej nieobecności. Jeżeli nie będę mógł przyjechać natychmiast, wyślę kogoś z pomocą. I nie zapomnij - dodał, kiedy wzięłam wizytówkę - że możesz śmiać się albo płakać na moim ramieniu, kiedy tylko zechcesz. „Uroczą elegancją kobiecej przyjaźni”, jak powiedział Samuel Johnson.

Uśmiechnęłam się.

- To mi pochlebia, James. Ale musimy być czujni. Wolę: „Przyjaźń często rani serce. Zostań moim wrogiem dla dobra tej przyjaźni”. William Blake.

Rozbawiłam go.

- Pozostanę przy Johnsonie. Powiedział też: „Jeżeli człowiek nie nawiązuje przyjaźni na drodze życia, wkrótce zostaje sam. Człowiek, drogi panie, powinien nieustannie czuwać nad stanem swoich przyjaźni”. Powiesz mi, kiedy nasza przyjaźń zacznie się psuć, żebyśmy mieli czas coś zrobić, prawda?

- I wzajemnie, James.

Cmoknął mnie w policzek i odszedł. Idąc ten kawałeczek do domu, myślałam o ukrytych głębiach natury Jamesa. Dla Basa poezja kończyła się na „na górze róże, na dole fiołki”, a jedyne cytaty pochodziły ze stron finansowych. Ale byłam też trochę podenerwowana. „Przyjaźń kobiety zawsze kończy się miłością” (John Gay).

## ***Rozdział 11***

Niemal z ulgą wróciłam w poniedziałkowy rano do pracy, żeby trochę odpocząć. W domu była Evelyn i straszyl duch Basa. Dodać do tego moje rozhuśtane uczucia do Jamesa i mamy pełny obraz. W porównaniu z tym wszystkim praca na pełny etat wydawała się kaszką z mleczkiem. Zaraz po dziewiątej pani Brown została wezwana na zebranie. Oznaczało to, że ci, którzy nie mieli zaległości z poprzedniego tygodnia mogą się objąć aż do jej powrotu.

Zamierzałam wykorzystać ten czas na wyliczenie własnego salda bankowego, ale dałam spokój po trzydziestu sekundach. Bez perspektywy natychmiastowego awansu, przy krótkim stażu pracy, który mnie już wydawał się wielowiekowy, życie zdawało się stać w miejscu, a galopowały jedynie moje pieniądze. Miałam wrażenie, że potknęłam się na samym starcie, a one gnały przed siebie, jakby chciały wygrać Ascot.

Ponieważ zaczęłam życie zawodowe w szeregach niższej kadry kierowniczej, byłam przekonana, że kariera to taka drabina. Wspinasz się po prostu coraz wyżej i tyle. W sferze kierowniczej może i tak było, ale na samym dole człowiek miał wrażenie, że nogi grzęzną w ruchomych piaskach. Albo raczej w bagnie. Można się poruszać w poziomie, albo - jak w moim przypadku - przenieść się o jedno krzesło wyżej w księgowości, ale skok z mokradła na drzewo był nie lada wyczynem. Po czymś takim wędrówka z jednego drzewa na drugie była już stosunkowo łatwa. Prawdopodobnie dlatego małpy zawsze się uśmiechają.

Niestety, bagnisko było tak oddalone od gałęzi, że prawdziwy talent był z góry zupełnie niewidoczny. Co gorsze, nie istniała najmniejsza szansa, że pani Brown dostrzeże we mnie diament ukryty pośród złóż węgla brunatnego.

Przyniosłam kawę dla siebie i Melody. Czytała czasopismo. Wiedziałam już, że zasypia tylko wtedy, gdy pojawia się groźba arkuszy kalkulacyjnych. Przez większą część dnia była zupełnie przytomna.

Powrót pani Brown wyrwał mnie z zamyślenia.

I wkrótce stało się jasne, że muszę się rozstać z nadzieją na spokój w miejscu pracy. Na skutek kryzysu w firmie - o którym dotąd nie wspomniała, ale który przysporzył jej zmarszczek na czole - miała górę roboty tak wysoką, że Everest wyglądał przy tym jak pryszcz na świńskim zadzie. Sprawdzano księgi rachunkowe, zarządzono generalną inwentaryzację, może coś więcej, o ile mogłam wywnioskować z przydzielonej mi góry papierów. Dokładniej - przydzielonej Melody. Jeżeli chodzi o mój przydział, jakiś dyrektor z fobią komputerową przysłał tyle biurowych okólników, że Melody mogła nucić radośnie przez tydzień.

Tym razem nie było nic poufnego, ale i tak sporo się dowiedziałam o firmie. Najwyraźniej Chambers był firmą eksportowo-importową. Niektóre towary były częściowo wytwarzane za granicą, a następnie wykańczane w kraju, inne sprowadzono gotowe do sprzedaży. Chambers prowadził również sprzedaż wysyłkową na dużą skalę i niektóre zamówienia pochodziły z Londynu, inne od producentów zagranicznych, częściowo na towary gotowe, częściowo na półfabrykaty. Aż dziwne, że na metkach odzieżowych nie pisano: „Made in England, China, Singapore, Italy, Texas”. Albo po prostu: „Kurde, nie wiem!”

Nie mogłam uwierzyć, że na całym świecie jest tyle biustonoszy w rozmiarze D. Wszystkie kobiety w Japonii nosiły czwórkę Chambersa? A połowa Australijek zielone jedwabne majtki?

Pani Brown wspomniała o nadgodzinach, więc Mervin zebrał zamówienia na kanapki i przepracowałyśmy lunch.

- Wiesz, kochana - odezwała się Melody - że jedna moja godzina ponad plan to więcej niż tygodniowa pensja w czasach, kiedy zaczynałam tu pracować?

Moja nie wystarczyłaby nawet na taksówkę, którą w Nowym Jorku jeździłam do banku. Pod koniec dnia cyfry na ekranie komputera zdawały się zlepiać i przypominały duszone ziemniaki. Z utęsknieniem myślałam o spotkaniu z Florą i wypadzie na drinka.

Ale zadzwoniła, że jej mama ma gripę, więc pójdzie do niej i wróci bardzo późno. Zostałam więc w pracy jeszcze na godzinę. Jak prawie wszyscy w biurze. To mi nasunęło podejrzenie, że pierwszy rząd dostaje o wiele większe wynagrodzenie niż ostatni. To znaczy ja, bo Melody mogła już pewnie kupić jacht.

Choć pani Brown nie wydała dekretu o automatycznej przerwie na kawę co dwie godziny, zdawała sobie świetnie sprawę, że jeżeli personel nie oderwie się od ekranów komputerowych, dostanie zęza zbieżnego albo zwyczajnie świra. Więc nie sprzeciwiała się, kiedy od czasu do czasu ktoś wstawał i spacerował po sali. Podczas jednej z takich przerw Mervin przyniósł mi dużą usztywnioną kartonem kopertę.

- Jak tak dalej pójdzie, pod koniec tygodnia będziemy bogaci albo martwi - powiedział z uśmiechem. - Tu masz falsyfikaty *Zielonego sznurowadła* Picassa.

Nie chciałam, żeby się zleciał cały personel, więc zaproponowałam, że wyjdziemy na korytarz. - Mervin! Są wspaniałe!

- Wypróbowałem różne odcienie i grubość farby. Wybierz, który ci się najbardziej podoba, a ja ją podrasuję.

- Ależ, Mervin, one są doskonałe.

- Tylko dla krótkowidza z odległości stu metrów. - I wystarczy. Biorę wszystkie sześć.

- Ale Caron, to będzie sześć drinków.

- Umowa stoi. Nie chcesz wypić wszystkich od razu, prawda? Roześmiał się.

- Nie wiem - powiedział z udaną powagą. - Naliczam wysokie odsetki. Jeżeli nie spłacisz mnie do świąt, jesteś mi winna siedem drinków.

Jadłam jogurt na kolację, kiedy do domu wpadła podekscytowana Evelyn.

- Wyjeżdżam do Manchesteru, Caron. To może być moja wielka szansa!

- Mężczyzna? - zapytałam z uśmiechem. Była wyraźnie urażona.

- Myślę nie tylko o mężczyznach. Czasem. A kiedy zostaną odkryta, bogaty facet nie będzie mi już potrzebny.

- Zamierzasz obrabować bank?

- Chciałabym. Dostałam trzytygodniowe zlecenie na czterdzieści dwa gatunki sera. Festyn handlowy. Nie tylko gospodynie domowe na zakupach. Mogą tam być producenci hollywoodzcy.

- Evelyn, nie chciałabym cię rozczarować, ale... Zresztą, może masz rację. Kto wie? Trzymaj się blisko stiltona i brie. Chcesz zostać gwiazdą filmową?

- Modelką. Jestem dość wysoka, ale nie dość szczupła. Ale pewna siedemdziesięciolatka została zatrudniona przez agencję do reklam telewizyjnych. Może i ja wejdę w modę.

- Nie jesteś gruba, Evelyn.

- Mam grube kości. Ale poza tym wydaję się chyba normalna, przeciętna, no nie? Będę się podobała bardziej niż te zwykłe modelki?

Obejrzałam ją ze wszystkich stron i powiedziałam:

- Ludzie rodzą się coraz więksi. Nie rezygnuj, Evelyn. Powodzenia.

Podczas gdy się pakowała, zrobiłam jej jogurtową kolację z dwóch dań, truskawkowego i morelowego. Trudno uwierzyć, ale weszła do kuchni bez swoich myszoodpornych butów. Zaczynałam podejrzewać, że jej fobie były trochę jak jej karate: ćwiczyła jak na przesłuchanie do kabaretu. Zwątpiłam w prawdę starego przysłowia, że zażyłość rodzi pogardę, bo naprawdę zaczynałam lubić Evelyn.

Zaniosłyśmy jej bagaże do samochodu znajomej, która też wybierała się do pracy w Manchesterze. Evelyn zabrała na te trzy tygodnie więcej rzeczy, niż ja przywiozłam ze Stanów na resztę życia.

Późnym wieczorem zadzwonił James.

- Caron, zamierzałem zaprosić cię na kolację pod koniec tygodnia, ale sprawy w pracy się skomplikowały.

- To zmienia personel górnego piętra u Amerykanów? - Co?

- Nie znasz tego powiedzonka, że kiedy Ameryka złapie katar, Wielka Brytania dostaje zapalenia płuc? Księgowość przypomina szpital polowy.

Roześmiał się.

- Prawdę mówiąc, chodziło mi nie tylko o kolację. Każdy musi jeść, to nie jest takie istotne. Ale ty mówisz „do widzenia” w bardzo szczególny sposób.

- A! - powiedziałam. - Więc podoba ci się myśl, że się mnie pozbędziesz?

- I to bardzo.

Przyszedł e-mail od matki. Mój laptop rezydował teraz na biurku Flory, ponieważ pozwoliłam jej i Evelyn korzystać z poczty elektronicznej. Właściwie korzystała z niej tylko Flora, Evelyn wolała tradycyjną pocztę. Kochana mama pytała, jak się czuję, a potem: *„Jak sobie radzisz, dziecko? Pamiętaj, że nie musisz rzucać kart na stół, kochanie. Oczywiście, nie stać nas na asa, ale zawsze możemy podesłać ci parę waletów. Daj znać. Ucałowania, mama i tata”*.

Byłam im wdzięczna, ale sama nie wiedziałam, co lepsze: przyznać się rodzicom do luk w budżecie, czy poinformować Basa, że nie jestem naczelną gorylicą na wielkim drzewie. Wystukałam: „Nie wykorzystałam jeszcze wszystkich kart, mamó. Ale dziękuję. Ucałowania, Caron”.

Flora wróciła po jedenastej. Była bardzo zmęczona, nie do tego stopnia jednak, żeby docenić jogurtową kolację, obojętnie z ilu dań by się składała, zaproponowałam więc, że zrobię pyszną zupę grzybową z puszki, a do tego grzanekę z masłem.

- Dzięki, Caron. Jadłam u mamy. Spytałam, jak się czuje mama.

- Nie za dobrze. Zaproponowałam, że zostanę na noc, ale powiedziała, że to tylko grypa. - Uśmiechnęła się. - Dziwne. Najpierw nie chciała, żebym się wyprowadziła, a teraz nie chce, żeby ktoś jej się kręcił po domu. Ma dobrych sąsiadów i z pewnością zadzwoni do mnie, gdyby czegoś potrzebowała.

- Napijesz się wina? - Przyjrzałam się resztkom w butelce. - Nie wygląda to dobrze.

- Nie szkodzi. Jestem tak zmęczona, że wszystko mi jedno. Chcę się tylko trochę rozluźnić przed pójściem spać.

Nigdy nie widziałam, żeby była zmęczona, a przynajmniej nigdy się do tego nie przyznała.

- Zgadnij, co mam? - powiedziałam, żeby ją rozruszać. Pobiegłam do swojego pokoju i rozłożyłam na łóżku wszystkie kopie Picassa. Prowadząc Florę do pokoju, kazałam jej zamknąć oczy, potem zapaliłam światło.

- *Voilà!*

Uśmiechnęła się szeroko.

- Chyba jestem bardziej zmęczona, niż myślałam.

- Bo masz picassowskie halucynacje? To byłoby coś poważniejszego niż zmęczenie. I co sądzisz?

Z nabożeństwem podnosiła obrazek po obrazku.

- Są piękne. Ale dlaczego sześć?

- Kochany Mervin namalował aż tyle, żebym miała wybór. Ale ja powieszę wszystkie. Włamywacz dostanie oczopląsu. - Kiedyś zapłacę mi za nadgodziny i będę mogła sobie pozwolić na ramy.

- Och, Caron, czy ja mogę je oprawić? - zapytała Flora.

- Floro, jesteś tak zmęczona, że nie wiesz, co mówisz.

- Może Mervin zechce tu przyjść, obejrzyć swoje prace. Pomyśli, że jestem filisterką, bo nie mam żadnych oryginalnych obrazów. Będę mogła mu przynajmniej pokazać, że potrafię wybrać gustowne ramy. Może stać mnie będzie na któryś z jego obrazów na wystawie.

- Umówmy się, że pożyczysz mi forszę na ramy. A po wizycie włamywacza reszta kopii będzie twoja. Pomyślałam, że oryginał ukryję, odwrócę twarzą do ściany i zakleję kartką z czasopisma. Powieszę w łazience. A kopie oprawię każdą inaczej. Jeżeli złodziej potrafi odróżnić Picassa od dziury w bucie, wybierze jedną z nich.

- Ale czy nie lepiej oprawić falsyfikat w oryginalną ramę?

- Nie chcę jej stracić. Ta rama też jest sporo warta.

- W tej chwili trochę trudno mi to wszystko przyswoić, Caron. Ale jestem pewna, że to dobry plan.

W jej głosie nie było pewności, ale ja też padałam ze zmęczenia.

- Floro, co ten Bas knuje? - zapytałam, kiedy sączyłyśmy wino. - Cały dzień się nad tym głowię. Rozumiem, że przysłał bombonierkę i kartkę z wiadomością. Przez czystą złośliwość, choć trudno mu to będzie udowodnić. To znaczy, coś byśmy udowodniły, zjadając czekoladki i umierając. Ale fotel? Bas jest genialnym strategiem, rzadko robi coś niepotrzebnie. Więc fotel musi coś oznaczać, ale co? Mógł mieć nadzieję, że osłabi moją czujność, że postrzegę to jako akt pojednania. Ale przecież nie z kartką o treści: „Zaufaj mi”.

Flora długo się namyślała.

- Nawet w pornosach, a tam robią to wszędzie, nie czytałam o bujanych fotelach. Zresztą w kryminałach też robią to wszędzie. Tyle że nie to samo. Ale nie pamiętam też żadnego morderstwa w bujanym fotelu. Na ogół wykorzystują łóżka.

W obu gatunkach literackich. - Siorbnęła kawy. - Myślisz, że istnieje związek między fotelem, wiadomością, czekoladkami i Picassem?

Zmarszczyłam czoło. Kiedy robi się to zbyt często, człowiek dostaje tych poprzecznych zmarszczek, które wyglądają jak tory kolejowe.

- Chyba nie. Na Picassie sprawa się zaczyna i kończy. Ten, kto go dostanie, będzie się mógł zaśmiać drugiemu w nos. Ale jaki sens w tym, żeby mi przysłać fotel, a potem go ukraść?

- To chyba nie ma większego sensu. - Flora uśmiechnęła się. - Ale przynajmniej jest.

- Tak. Bas zna pewnie to chińskie przysłowie, a raczej klątwę: Obyś żył w ciekawych czasach.

Przez następne tygodnie sprawy dziwnie się układały. W biurze panował coraz większy chaos, za to w domu cudownie błogi spokój. Powinnam być za to wdzięczna losowi, ale nawet na wdzięczność nie miałam już sił. Byłam tak zmęczona nadgodzinami, że najczęściej zasypiałam, zanim Flora zdążyła wrócić od mamy. Leżąc w łóżku, słyszałam rozmaite tajemnicze, złowieszcze poskrzypywania i zgrzyty, zbyt zmęczona, by spać. Flora powiedziała, że to tylko odgłosy starego domu układającego się do snu. Dla mnie brzmiało to bardziej jak wycie zgłodniałego wilkołaka.

Nareszcie, trzeciego tygodnia zostałam wypożyczona z księgowości. Caron - książka biblioteczna. Przez prawdziwą księgowość, znaczy się, dział, gdzie pracują prawdziwi księgowi. Praca była podobna, ale powitałam z ulgą zmianę scenerii.

Wróciłam do macierzystego biura, kiedy nadgodziny się kończyły i wtedy właśnie dostałam - a raczej dostała Melody - coś naprawdę interesującego. Na samym spodzie

znajdował się dokument poufny, a reszta była podsumowaniem sześciu miesięcy. Robiąc, co do mnie należało, zauważyłam pewne błędy. A raczej możliwość ich wystąpienia. Nie miałam pewności, ponieważ z mojego biurka nie mogłam dostrzec lasu przez te wszystkie krzaczki siedzące przede mną.

Nie wiedziałam co robić. Mówienie o tym Melody miało się z celem. Ale nie mogłam przecież świadomie tego zignorować.

Nie miałam też ochoty dać się złapać i wrócić do wystukiwania listów. W końcu napisałam karteczkę i przypięłam do poufnego arkusza. Napisałam, że pewne faktury, wystawione na duże sumy, należałoby sprawdzić. Wyglądało na to, że z reguły płaci się je dwa razy. Nie napomknęłam, że za rzeczony sumy można by kupić około miliona biustonoszy w rozmiarze D.

Jeżeli się pomyliłam, kierownictwo uzna, że to robota Melody, która będzie zachwycona. Zapaskudziłaby arkusze wielbłądzim łajnem, gdyby mogła je kupić w Harrodsie.

Zresztą, chodziło zapewne o zwyczajny błąd, bo Chambers był przecież taką miłą, kameralną, rodzinną firmą. Z drugiej strony, tym łatwiej byłoby nastroić księgowość na niewłaściwą tonację. Dopiero gdy oddałam wszystko pani Brown, inna myśl przyszła mi do głowy. Jeżeli nie był to tylko niewinny błąd, wiedza o nim mogła być niebezpieczna dla kogoś takiego jak ja. Uprzątając biurko, powiedziałam swojemu mózgowi, żeby poszedł się zdrzemnąć. Nikt nie może oczekiwać, że będę się martwić jednocześnie fotelem, biustonoszami i Picassem.

Szłyśmy po pracy do metra, kiedy Flora nagle się zatrzymała. Czekałam, aż coś zrobi: zacznie szukać w torebce drobnych, przypomni sobie, co zostawiła w biurze. Ale ona po prostu stała, jakby zabrakło jej benzyny na autostradzie.

- Wszystko w porządku, Floro?

- Muszę coś wyznaczyć. A raczej oznajmić. Sama nie wiem.

- Chcesz iść na kawę, żeby o tym porozmawiać?

- Chcę iść do Ritza.

- Litości, Floro! Będziemy musiały zamówić jedną colę i dwie słomki. Albo szklanek wody z kranu.

- Nie. Nie będziemy musiały. - Zrobiła się czerwona na twarzy. - Albo z zażenowania, albo po prostu nie przepadała za wodą z kranu. - Caron, umówiłam nas.

Chciałam powiedzieć super, zapytać z kim, w ogóle wykazać zainteresowanie i zabrać ją z Oxford Street, gdzie wpadali na nas ludzie śpieszący do domów.

- Z Basem - uzupełniła.

Pomyślałam, że nie tyle zabrakło jej benzyny, ile silnik do reszty się schrzanił. Odwróciła się do mnie i zaczęła szybko mówić.



- Zadzwoił do mnie do biura i był taki uprzejmy. Uroczy. Chce tylko z tobą porozmawiać, wszystko załagodzić.

Złapałam ją za łokieć i podprowadziłam do wystawowego okna, gdzie niebezpieczeństwo stratowania było mniejsze.

- Flora! To podstęp. Oczywiście, że Bas jest uroczy. Do tego przystojny i seksowny. Na to się właśnie nabrałam, a teraz on bajeruje ciebie.

- Ale, Caron, ja chciałam tylko pomóc. No wiesz, żeby wszystko wyjaśnić. To lepsze niż życie w stanie ciągłego obłączenia. Jeżeli się nie uda, dowiem się przynajmniej, jak on wygląda, kto na nas czyha.

Nagle zrozumiałam, jaką byłam egoistką, wciągając Florę w coś, co mogło okazać się nieprzyjemne, nawet niebezpieczne.

- Przepraszam, Floro. Masz absolutną rację. Więc kiedy mam się z nim spotkać?

- My, Caron. Postawiłam warunek, że przyjdziemy obie. Żebym mogła cię chronić, jeżeli będzie trzeba. Skoro to ja zgodziłam się na spotkanie...

Chciało mi się śmiać. Flora w roli ochroniarza! Równie dobrze mogłabym zagrozić włamywaczowi pluszowym misiem.

- No cóż, nie stać mnie na taksówkę, więc musimy pojechać metrem, Floro.

- Nic z tego. - Cofnęła się na róg, do miejsca, gdzie sterczała przedtem. Przy krawężniku zatrzymała się długa limuzyna. Kierowca zostawił włączony silnik, wysiadł pośpiesznie i otworzył nam drzwi.

Flora uśmiechnęła się szeroko.

- Przecież bym się nie zgodziła, gdyby to nas miało kosztować, Caron. Spójrz! - Otworzyła szafkę, ukazując pełny barek, butelkę szampana i kubeczek lodu.

- I telewizor, Caron. I telefon. Rany!

Byłam wściekła na Basa, że wykorzystuje w ten sposób Florę. I naprawdę się bałam, że spróbuje przeciągnąć ją na swoją stronę.

- Z zewnątrz nas nie widać, wyobrażasz sobie? Ludzie myślą, że jedzie ktoś ważny.

- Jesteśmy ważne, Floro! Ciekawi mnie raczej, w jaki sposób kierowca nas rozpoznał. Bas rozproszdził nasze zdjęcia po całym Londynie? Śledzi każdy nasz krok?

Kiedy limuzyna zatrzymała się w rzędzie taksówek przy bocznym wejściu Ritza, byłam strasznie zdenerwowana, nawet przerażona. Nie obawiałam się bezpośredniego ataku, to nie byłoby w stylu Basa. Ale już raz uległam jego czarowi. O wiele łatwiej było nie lubić go na odległość.

Stał tuż przy wejściu i uśmiechał się. Potrząsnął dłonią Flory, potem szybko pochylił się i pocałował ją w policzek. Twarz Flory przybrała kolor marynowanych buraczków, uśmiechnęła się jak anioł. Zebrałam się w sobie, kiedy Bas powtórzył powitalny rytuał ze mną. Ritz był całkowicie po jego stronie, wyszłabym na głupią

próbując wyrwać rękę albo wszczynając kłótnię. Bas postępował zgodnie z podręcznikiem uwodzenia: przede wszystkim wpackować ofiary w sytuację, kiedy nie wypada się sprzeciwić.

Bas zaprowadził nas do sali, gdzie pija się popołudniową herbatę. Pora herbaty minęła i teraz popijano tu przedkolacyjne drinki. Byłam w tej sali jako dziecko i pamiętam, jak mnie zaintrygował wystrój: złocenia, lustra, posągi i małe stoliki otoczone krzesłami z różową, aksamitową tapicerką. Był to królewski teatr. Jako dziecko uznałam, że jest jak Hollywood bez kowbojów. Zresztą, wtedy myślałam, że rodzina królewska jest również częścią Hollywood. Wybierając tę salę, Bas popełnił błąd. Miałam wrażenie, że jesteśmy aktorami w kostiumowym dramacie telewizyjnym.

Kelner wyrósł jak spod ziemi i zaprowadził nas w róg sali, gdzie stały dwa stoliki. Przy jednym znajdowały się dwa krzesła, przy drugim jedno i kelner odsunął je dla Flory.

- Bas! To niegrzeczne! Nie sądzisz chyba, że Flora będzie siedziała sama?!

- Jest mi tu całkiem dobrze - odparła Flora, patrząc jak kelner nalewa jej szampana.

Kiedy nalał również mnie, powiedziałam:

- Wolę dzin z tonikiem.

Gdyby Bas zamówił dzin z tonikiem, poprosiłabym o szampana, byle choć w części odzyskać panowanie nad sytuacją. Drink pojawił się tak szybko, jakby kelner trzymał go za plecami. Bas musiał przewidzieć moją reakcję.

- Streszczaj się, Bas. Mamy z Florą plany na wieczór.

Tylko się roześmiał. Flora już mu pewnie powiedziała, że mamy wolną resztę życia. Potem pochylił się nad stolikiem i zrobił ruch, jakby chciał mnie wziąć za rękę, ale zrezygnował.

- Caron, skarbie, kocham cię i chcę, żebyś wróciła do domu. Tęskniłem za tobą bardziej, niż potrafię wyrazić.

Przydałby mu się lepszy scenarzysta.

- Bas, nie wróć. I prosiłabym, żebyś przestał mnie prześladować.

Odchylił się ze śmiechem na krzesło.

- Skarbie, myślałem, że lubisz ten bujany fotel. Przysłałem ci też twoje ulubione czekoladki. Jesteś piękna jak zawsze.

- Nie było dość czasu, żeby osiwieć i stracić zęby. Zostało ci pięć minut, więc mów, co masz do powiedzenia.

Przymrużył oczy, zeszytywniał. W filmie już by wiedział, że czeka go pojedynek na rewolwery w samo południe.

- Nie lubisz przecież tej skromniutkiej posadki, skarbie. Jest grubo poniżej twoich możliwości. A ten domek, w którym mieszkasz! Jutro przyślę ludzi z firmy przewozowej. Nic nie musisz robić, skarbie. - Po krótkiej pauzie uderzył otwartą dłonią w stół. - Do cholery, Caron, nie mam na to czasu. Chcę, żeby wszystko było jak przedtem!

Flora znalazła się przy nas w mgnieniu oka.

- Chciałam sprawdzić, czy też macie migdały i oliwki - powiedziała i wróciła na swoje miejsce.

- Do cholery, Caron! - wyszeptał Bas. - Musimy mieć przyzwoitkę?

- Są legalne, Bas.

- Jeżeli jeszcze ich nie zakazali, powinni to zrobić, skarbie. Najwyższy wymiar kary, krzesło elektryczne. Pozwól, że o coś zapytam, Caron. - Znow był uosobieniem czaru. - Dlaczego wzięłaś z naszego mieszkania właśnie te rzeczy?

- Ponieważ należą do mnie, Bas! A coś ty sobie myślał? Picasso też.

- To nie jest wystarczający powód, skarbie. Wszystko jest naszą wspólną własnością, przynależy do naszego wspólnego życia. Ale dlaczego właśnie te rzeczy? Mamy wiele cenniejszych. I nie wzięłaś wszystkich swoich ubrań.

Jednym haustem dopiłam dzin, sygnał dla Basa, że szykuję się do wyjścia. Cała ta rozmowa była kretyńska.

- Chcę, żebyś wróciła, skarbie - powiedział z groźbą w głosie. - Sprowadzę cię z powrotem!

Flora już była przy mnie.

- Próbowaliście oliwek? - zapytała.

- Wróc chociaż na dwa tygodnie, skarbie - powiedział. - Jeżeli nam nie wyjdzie, zostawię cię w spokoju.

- Możesz zostawić mnie od zaraz - Wstałam. - Bas, to nie o mnie ci chodzi. Po prostu musisz zawsze zwyciężać, prawda? Dzięki za drinka. - Ruszyliśmy do drzwi. Kiedy schodziliśmy ze schodków, Flora obejrzała się.

- On tam ciągle stoi, patrzy za nami.

Na nasz widok kierowca limuzyny wysiadł i otworzył nam drzwi.

- Może powinniśmy jechać metrem? - zapytała Flora. - Bo jeśli Bas zadzwoni do kierowcy i każe nas uprowadzić?

Roześmiałyśmy się.

- Nie, pojedziemy limuzyną, niech Bas płaci. Szkoda, że nie miałam plastikowej torebki, żeby zapakować orzechy.

- Zauważyłam, że byłaś zbyt zajęta, żeby jeść, więc wzięłam trochę w serwetkę. I tak chciałam zabrać serwetkę na pamiątkę. Myślisz, że możemy tu rozmawiać? - zapytała szeptem, kiedy już siedziałyśmy w wozie. - Może tu jest podsłuch?

Chciałam się roześmiać, ale pomyślałam: kto wie?

- Bas i do tego jest zdolny - odszepnęłam. - Mógłby to zrobić, żeby poznać moją reakcję i opracować swój następny ruch.

Jechałyśmy w milczeniu i dopiero kiedy limuzyna zatrzymała się przed domem, Flora westchnęła:

- Szkoda, że nie wypiliśmy szampana.

Wysiadając, wyjęłam z barku schłodzoną butelkę bąbelków i pomachałam kierowcy. - Dziękujemy bardzo! Usadowiliśmy się z kieliszkami przy kuchennym stole.

- On jest czarujący, Caron. I taki władczy. Rozumiem, dlaczego się w nim zakochałaś. Biję od niego siła i pewność siebie. Ale dlaczego tak mu brakuje twoich ciuchów?

- Bas nigdy nie mówi nic na próżno. Pewnie chciał powiedzieć, że życzy sobie powrotu do tego, co było. Albo ześwirował.

- Czy istnieje jakakolwiek szansa, że wróci do domu i zostawi cię w spokoju? Podda się?

- Taa, kiedy piekło zamarnie i różowe słonie będą jeździły po nim na łyżwach.

- To dziwne, że nie awanturował się o Picassa. Wspomniał za to o innych rzeczach. To ty wymieniłaś Picassa.

- Ludzie tego pokroju myślą o kilku sprawach jednocześnie. Dlatego wyprzedzają innych o dwa kroki. Pewnie nie chce, żebym wiedziała, jak bardzo brakuje mu tego obrazu.

- Więc nadal jesteśmy w lesie i nie wiemy, jaki będzie jego następny ruch?

- Las płonie, Floro, a pożar wymknął się spod kontroli. Pomysł miałaś dobry - dowiedzieć się, co on planuje. Ale teraz został odtracony po raz drugi.

- O rany! Nadal uważam, że on cię kocha i chce, żebyś do niego wróciła. Zadał sobie wiele trudu, a te gierki okropnie dużo go kosztują.

- To jego największa przyjemność, Floro.

- Litości, Caron, gdyby Bas był w książce, musiałabym go przenieść z romansu do kryminału.

- Wolę zostać detektywem, niż wrócić do Basa. - Rozlałam resztkę szampana do kieliszków. - Byłaby z nas niezła para detektywów, Floro.

- Tak sądzisz?

- Lepsze to niż rola ofiary, zdecydowanie. Uszy do góry. Flora sączyła szampana.

- Dzięki Bogu, że nie pijemy piwa. Detektywi, którzy piją piwo, mają przerabane. Ktoś ich zawsze pobije, torturuje, a czasem nawet uprowadzi. Mają rany postrzałowe, blizny po nożu na policzkach. A ich życie miłosne leży odłogiem.

- Co się przytrafia tym, którzy piją szampana?

- No, po pierwsze - piją szampana. Siedzą w rodowych dobrach i dużo myślą. Ale nie pamiętam, żeby któryś z nich pracował osiem godzin dziennie w domu towarowym.

## *Rozdział 12*

W końcu nadszedł dzień Marynowanej Cebulki. Pub był zatłoczony, ale znalazło się kilka wolnych stolików, ponieważ większość bywalców takich lokali woli stać.

Usiadłyśmy

z Florą przy elektrycznym kominku migoczącym czerwonym światłem. Ludzie wrzucali do niego pety.

Flora zaproponowała, że przyniesie drinki, jeżeli ja przypilnuję stolika.

- Dla mnie dzin z tonikiem, Floro. Niech będzie podwójny.

- Caron, czy to nie pochłonie większości twoich nadgodzin?

- Pochłonie, ale może mi pomóc wymyślić inny sposób zdobycia pieniędzy.

Byłam jednak zbyt zmęczona. Powtarzałam sobie, co wyczytałam w poradniku, że trzeba działać i myśleć pozytywnie, jeżeli chce się otrzymać awans, czy w ogóle cokolwiek zdziałać. Zachowywać się tak, jakby sprawa była już wygrana. Krótko mówiąc, jeżeli się uśmiechnę i wyprostuję, poczuję przypływ energii życiowej. Niestety, równocześnie uświadomiłam sobie, że zamiast rozumować jak przebojowy dyrektor, już myślę jak pracownik księgowości. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jeżeli ta zasada działa w obie strony.

Wkrótce moje pozytywne myślenie złapało gumę i rozmowa sprowadziła się do tego, że Flora wysłuchiwała moich jęków. Na szczęście dla Flory jakiś atletyczny typ pochylił się nad naszym stolikiem i położył temu kres. Zapytał, czy może nam postawić następnego drinka. Szybko powiedziałam „nie”, ale Flora równie szybko powiedziała „tak”. Facet wrócił z drinkami i usiadł. Był to tak oczywisty podryw, że siedziałam bez słowa, znudzona, marząc tylko o tym, żeby sobie poszedł. Flora, uprzejma z natury, musiała odpowiadać na jego pytania.

Nie zwracałam na nich większej uwagi, kiedy nagle sobie uzmysłowiłam, że gość podrywa Florę, żeby mnie podrażnić. Jej mówił, że ma ładne włosy albo figurę, co ona zdawała się brać za dobrą monetę, a mnie trącał. Raz nawet mrugnął. Facet bezwzględnie zasługiwał na to, żeby go pogrzebali żywcem.

Pochyliłam się ku niemu i powiedziałam:

- Drogi przyjacielu, Flora cię podpuszcza. Jest szefem centrum technologii informatycznej i takich jak ty ma na pęczki. - Żeby go dobić, dodałam: - A ciebie w szczególności ma za dupka i drania. - Twarz paliła mnie z wściekłości.

Faceta najpierw przytknęło, potem uśmiechnął się kwaśno.

- Może urocza pani wypowie się sama.

- No cóż - zaczęła Flora - Nie powiedziałbym „duppek”. Nie lubię tego słowa.

Chciałam nią potrząsnąć, a tymczasem dupek uśmiechał się chełpliwie.

- Ale właśnie tak - dodała z wahaniem - mogę powiedzieć, że jesteś zwykłym draniem.

Facet szczerwieniwał, wymamrotał coś, co brzmiało jak: „Kurwa, niech to szlag!” i zmył się.

- Dobra robota, Floro! To było genialne!

- Naprawdę? - uśmiechnęła się radośnie. - Rany! Na szczęście matka mnie nie słyszała.

- Matki tu nie ma, zresztą pewnie byłaby z ciebie dumna. I pamiętaj, że nie będzie cię obserwować, gdy się umówisz z Mervinem.

Flora oblała się rumieńcem.

- Od początku czułam, że on mnie nabiera, Caron. Ale w takich sytuacjach nigdy nie wiem, co powiedzieć, więc jestem miła.

- Szybko się uczysz. Tylko tak dalej. Bo jeżeli położysz się na środku jezdni z tablicą „przejdź mnie”, znajdą się kierowcy, którzy docisną pedał gazu. A przed Mervinem pójdziemy na zakupy. Ubierzemy cię na tę wystawę.

Popatrzyła stropiona na swój najnowszy namiot.

- Sporo za to zapłaciłam. Jest bardzo stylowa, nie sądzisz?

- Gdybyśmy przez cały czas byli mili, ludzkość nie zaszłaby daleko, Floro. A twoja sukienka jest w porządku, ale nie nadaje się na wystawę. Ciekawe, co tam jest pod spodem? Jakieś krągłości?

Flora się roześmiała.

- Pod spodem jest mnóstwo mnie. Zresztą, chcę faceta, który pokocha mnie taką, jaka jestem. Wtedy może sobie obejrzeć to, co jest pod spodem.

- Nonsens. To prawo działało dawno temu i w małych społecznościach, gdzie wybór był ograniczony i nieunikniony. Dzisiaj trzeba się reklamować. Pokazać swoje atuty. Musisz wzbudzić odrobinę zainteresowania. To trochę tak, jak z twoim nawykiem uprzejmości. Skąd, u licha, facet ma wiedzieć, jaka jesteś naprawdę, skoro obsypujesz się cukrem pudrem?

- Może mogłabym przejść na polewę czekoladową? - Flora uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Ale ty nienosisz obcisłych rzeczy. Twoje ubrania jakby cię opływały. Pewnie dlatego, że jesteś chuda. O, przepraszam, chciałam powiedzieć smukła i wiotka.

- Nie szkodzi - zaśmiałam się. - W obcisłych ciuchach składałabym się wyłącznie z żeber i kolan. Przypuszczam, że ty masz biust. Podkreślając go, odwrócisz uwagę od innych części ciała, jeżeli naprawdę uważasz to za konieczne. Mężczyźni uwielbiają duże piersi, a kobiety płacą za nie majątek.

- Ale ja jestem taka przy kości. Chyba nawet gruba. Nie sądzisz, że ta sukienka to kryje?

- Tak naprawdę nie wiadomo, co kryje, a mężczyźni z reguły wyobrażają sobie najgorsze. Wykorzystaj to, co masz. Przestań się garbić i próbować wtopić w tło. Widziałam kobiety bardziej puszyste, które szły przez życie przebojem.

- Nie ja, Caron.

- Może jeszcze nie teraz. Ale poczekaj, aż wrócimy z zakupów. Zorientuj się, ile możesz wydać.

- Ty też musisz sobie coś kupić. Do tego czasu zdążysz trochę zarobić na nadgodzinach. Wiem, że miałaś ciężkie przejścia z Basem, ale nie chciałabyś znaleźć męża?

- Fakt, że Bas był mężem, mocno mnie zniechęca. Zresztą mam na to mnóstwo czasu. Kiedy faceci są po czterdziestce i trzecim rozwodzie, wiedzą już co nieco o życiu.

- To by mi odpowiadało - stwierdziła Flora. - Kiedy zwolnią, łatwiej będzie któregoś złapać.

- Niedobrze, że tak nisko się oceniasz. - powiedziałam ostrożnie. - Masz wiele zalet. Mervin nawet nie wie, ile dobrego go spotka.

Sącząc dzin, zauważyłam mężczyznę, który mi się przyglądał.

- Flora, znasz tego gościa? Wysoki blondyn w granatowym, lnianym garniturze. Prawdziwy czaruś. Gapi się na nas.

Flora odwróciła głowę.

- Jack Howard, wiceprezes, lat czterdzieści dwa, wzrost metr osiemdziesiąt dwa, dyplom Cambridge, przespał się z połową firmy. To ten Romeo, o którym ci mówiłam, ten, który naśladował łokieć pana Chambersa. Spójrz, znów to robi, a pana Chambersa tu nawet nie ma. Myślisz, że ćwiczy?

Roześmiałam się, choć nie byłam pewna, czy Flora żartowała.

- Nie mów, że znasz jego życie erotyczne z akt personalnych.

- Pat powiedziała Anne, która powiedziała Dorothy, która powiedziała mnie. Ale nie mam wątpliwości, że to prawda. Ma przejąć interes po panu Chambersie.

- Mówiłaś, że James.

- Oni obaj. Nawet jeśli Jack Howard sam rozpuścił te plotki, nikt nie próbował ich zdementować. Chodzą słuchy, że nie lubią się z Jamesem i ten, który zostanie szefem, zwolni tego drugiego. Boże, on tu idzie!

Nie do wiary, jak bardzo przypominał Basa. Nawet chodził tak samo, z jedną ręką w kieszeni marynarki, trzymając kciuk na zewnątrz. Przełałam na niego całą pogardę i gniew na Basa i kiedy stanął przy naszym stoliku z jego czaszki sterczały już różki.

Może była to kwestia wyczerpania, ale obarczyłam go winą nawet za harówkę ostatnich tygodni. Niczego tak nie pragnęłam, jak wstać i grzotnąć go pięścią w szczękę. Nie był to odpowiedni czas i miejsce na wybuch nienawiści, ale nie potrafiłam się opanować.

- Dobry wieczór, Floro - powiedział, po czym zwrócił się do mnie: - Chyba się nie znamy. Jestem Jack Howard.

- Caron Carlisle.

Ze śmiechem podał mi rękę.

- Ale szczęściarz z tego Jamesa Smitha. Zdaje się, że widziałem, jak rozmawiacie.

Dziwię się, że w dniu mojej rozmowy kwalifikacyjnej nie ustawili ławek w korytarzu i nie sprzedawali biletów. Przy takiej frekwencji!

- James skierował mnie do działu kadr, gdzie miałam rozmowę kwalifikacyjną. Wtedy się poznaliśmy.

Znów się roześmiał.

- Niezły pomysł, przed pójściem na rozmowę o pracę poznać dyrektora.

Był to tylko żart i w innej sytuacji pewnie bym się roześmiała. Ale po Basie sama myśl, że mogłabym coś zawdzięczać facetowi, była mi wstrętą. Więc uznałam uwagę za obelgę.

Facet usiadł nieproszony na miejscu, które niedawno opuścił pierwszy blond dupek. Jack był drugi. (Bas w tym układzie awansował na Króla Dupków). Zaproponował drinki, ja powiedziałam „nie”, Flora powiedziała „tak”. Zamiast się pofatygować, przywołał młodego człowieka w garniturze, prawdopodobnie kogoś ze średniego kierownictwa i wysłał go do baru. Zamówił także dżin z tonikiem, choć powiedziałam „nie”.

Jack Howard był bardzo przystojny i emanował seksem, ale kompletnie ignorował Florę i gapił się na moją klatkę piersiową. Siedział o wiele za blisko.

- To nie jest mój największy atut, spójrz wyżej. Zawisł wzrokiem na moich ustach.

- Usta też piękne.

- Jeszcze wyżej - powiedziałam. - I cudowne oczy.

- Ciepłej, ale nie gorąco. Roześmiał się.

- Cudowne! Kobieta, która szczyci się umysłem. To cię zdecydowanie wyróżnia.

- A ty lepiej o tym pamiętaj.

Flora zeszywniała, a Jack odwrócił się z ulgą do swojego sługusa, który przyniósł drinki. Zauważyłam, że nie zwrócił facetowi pieniędzy.

- Było mi bardzo miło - powiedział, wstając. - Teraz musicie mi wybaczyć. -

Potem popatrzył na mnie - A więc pracujesz w księgowości. Przynajmniej chwilowo. Nie zapomnę cię, Caron. Lubię wyzwania.

Kiedy poszedł, Flora zawołała:

- Boże, Caron, co ty wyprawiasz?! Większość kobiet oddałaby wszystko, żeby go dostać. I co on takiego zrobił? Ten gość ma władzę. Może cię zwolnić w kilka sekund.

- Za co? - zapytałam trochę za głośno. - Za to, że się nie dałam poderwać w barze? Zgłosiłabym to do trybunału pracy.



Ale już wiedziałam, że zareagowałam o wiele za ostro. Jak mówią w Nowym Jorku, mężczyzn podrywających kobiety w barze jest na kopy. A ja nawet nie byłam pewna, czy Jack Howard mnie podrywał. Mógł podziwiać materiał, guziki, albo zwyczajnie gapił się bezmyślnie, a potem jedynie kontynuował to, co ja zaczęłam.

- Przepraszam, Floro. To nie twoja wina. To nie jest nawet wina Jacka Howarda. Jest po prostu bardzo podobny do Basa.

A teraz nie mogę iść i powiedzieć: przepraszam, myślałam, że gapisz się na moje cycki. Cholera, potrójna cholera! Nie mogę stracić pracy z powodu takiego idiotyzmu. - Nie doprowadziłby do takiej sytuacji, że mogłabyś go oskarżyć o molestowanie - powiedziała Flora. - U Chambersa przestrzega się wszystkich zasad jak religii. Ale kiedy VIP się na ciebie uweźmie, zawsze coś wynajdą. A ty masz okres próbny. Nie muszą nawet podawać powodu zwolnienia. Wystarczy, że Jack Howard strzeli palcami. I już cię nie ma.

Wyobraziłam sobie Jacka strzelającego palcami. Zabrzmiało to jak trzask gilotyny. Szlag mnie trafiał na myśl, że Bas będzie triumfował. Nie musiał się nawet fatygować, żeby spać moje zawodowe szanse; sama zrobiłam to lepiej. A pani Oakley zaufała mi, nawet się roześmiała. Referencje z firmy, w której utrzymałam się tak krótko, będą gorsze niż koperta bawolego gówna.

Przy stoliku zatrzymał się kolejny mężczyzna i zapytał, czy chcemy drinka. Flora uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Chciałybyśmy tylko, żebyś sobie poszedł.

- Okropnie mi wstyd, że zmarnowałam ci wieczór, Floro. Ale wszystko będzie dobrze, wierz mi. - Zacerpnęłam głęboko powietrza i uzmysłowiłam sobie, że pozytywne myślenie może być wyczerpujące aż do utraty wszelkiej energii.

- To ja powinnam pocieszać ciebie, Caron. Ale nic nie przychodzi mi do głowy. No, zawsze jest nadzieja, że Jack Howard wpadnie jutro pod autobus.

- Sama słyszałaś, co powiedział. Że lubi wyzwania. Więc nie wyszarpie mnie z za biurka z wrzaskiem: „Precz, na ulicę!” Dopóki on myśli o strategii, ja mam czas obmyślić własną.

Florze najwidoczniej kamień spadł z serca.

- Tego nie wzięłam pod uwagę. Oczywiście, że coś wymyślisz. Jack Howard nie ma z tobą szans. Wprawdzie ciężko będzie walczyć z księgowości, ale przypomnij sobie, jak było z Dawidem i Goliatem.

Przypomniałam sobie i omal nie rozlałam drinka, wyobraziwszy sobie Jacka Howarda w roli Goliata. Gdybym chociaż, jak Dawid, była przeświadczona o słuszności swoich racji.

- Wiem, co zrobię, Floro. Napiszę do Jacka Howarda. Wykonam pierwszy ruch. Flora namyślała się przez chwilę.

- Musisz być ostrożna, żeby za dużo nie powiedzieć. Jeżeli chce się ciebie pozbyć, takie wyznanie stanowiłoby dowód w sądzie.

- Nie napiszę nic w rodzaju: myślałam, że jest pan barbarzyńskim myśliwym polującym na mój biust. To będzie coś w rodzaju „zaufaj mi”, coś, co można zrozumieć na wiele sposobów. - Już wyciągnęłam długopis i kartkę i zaczęłam gryzmolić.

- Pamiętaj, to musi być coś takiego, co nie pogorszy sprawy.

- Tak, tak - mruknęłam. Kreśliłam i dopisywałam. - I muszę wziąć pod uwagę, że jego sekretarka przeczyta to pierwsza. - W końcu podsunęłam jej kartkę.

Flora przeczytała na głos:

- *„Drogi panie Howard, jestem winna panu przeprosiny. Przypomniał mi pan moją dawną miłość i przypuszczam, że wyładowałam na panu złość przeznaczoną dla niego. Z poważaniem, Wie Pan Kto, a jeśli nie, jest Pan prawdopodobnie winny pierwotnego zarzutu, wobec czego przeprosiny są zbyt ciężkie”.*

- Wiem, Floro, Szekspir to nie jest.

- Tradycyjnymi przeprosinami też bym tego nie nazwała. - Popadła w zadumę. - Ale wiesz co, Caron, może podziałać. Przypomina mi to stare pytanie: „Czy przestał pan bić swoją żonę”, na które nie ma bezpiecznej odpowiedzi. No i nie podpisałaś się. Jeżeli jego życie erotyczne naprawdę jest takie rozpasane, może być amatorem tych sadomasochistycznych praktyk.

- Chcesz powiedzieć, że to go rozwścieczy? Wiesz, Floro, byłoby o wiele prościej, gdyby on był winny.

- Może nie powinnaś nic robić. Poczekać, zobaczyć co się stanie.

- Muszę przejąć inicjatywę, Floro. To jedyna szansa dla Dawida.

- Więc mu to wyślij. Mnie by się nie udało, ani nikomu kogo znam, ale tobie powinno ująć na sucho. - Jeszcze raz przebiegła wzrokiem treść. - Może, jeśli wszystko inne zawiedzie, wpadnie w szal i spróbuje cię zastrzelić.

- I to poprawi sytuację?

- Mówiłaś, że lepiej gdyby był winny.

- Pewnie. On nie miałby racji, a ja miałabym kulkę w głowie.

- Jedno jest pewne. Ze swoją reputacją nie będzie mógł przekazać tej kartki do trybunału pracy.

Dotarliśmy do domu i Flora zabrała się do otwierania drzwi.

- Nie znam Jacka Howarda - powiedziała - ale byłoby dobrze, gdyby miał poczucie humoru.

- Więc może nam się poszczęści. Nie sędzę, żeby Romeo lubił błysnąć dowcipem, ani nawet markiz de Sade. Ale przypuszczam, że diabeł odznacza się wybitnym poczuciem humoru.

## Rozdział 13

Długo nie mogłam zasnąć, nie tylko ze strachu przed utratą pracy. Zrobiłam coś tak głupiego, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie gonię w piętke. To znaczy, szybciej niż dotąd. Mimo podobieństwa Jack Howard nie był przecież Basem, więc moja reakcja musiała być wywołana czymś innym. Kiedy myśli płaczą mi się i sklejają jak zimny makaron, lubię je z siebie wyrzucić, spróbować uchwycić ich bieg. Wywalić wszystko na papier, oczyścić umysł. Byłam na stronie czwartej, kiedy zaczął się wyłaniać jakiś sens.

I nagle wszystko stało się jasne. Moją prawdziwą ukrytą obawą było to, że tak naprawdę firmą Basa zarządzał nie mój umysł, a moja spódniczka. Czy to możliwe, że byłam jedynie sekretarką z przerostem ambicji, która sypia z szefem i bazuje na jego talencie? Czy moje nadzieje na awans, choćby w księgowości, były nierealne?

Sporządziłam listę naszych aktywów. To prawda, że Bas miał pieniądze i kontakty. To on namierzał firmy i zachwalał je przyszłym nabywcom. Ja opracowywałam rzecz na komputerze, przeliczałam, ustalałam rentowność. Wykonywałam kosmetykę, ustalałam, jak udoskonalić nasze nabytki, żeby uzyskały lepszą cenę.

Dekoratorstwo wnętrz, architektura krajobrazu, ogólne uatrakcyjnienie produktu. Byłam trochę jak przedsiębiorca pogrzebowy upiększający zwłoki, z tym że moje zwłoki musiały wstać i przejść się elegancko po wybiegu. Rzecz prosta, nie sadziłam osobiście drzew i nie kładłam dywanów, ale wynajmowałam specjalistów, którzy realizowali moje projekty. Przypomniałam sobie, jakie to przynosiło efekty i od razu poczułam się lepiej. Być może Bas zapłacił za mój skuter, ale to nie on go prowadził.

Mój obecny problem był więc prawdopodobnie wynikiem uzalania się nad sobą. A incydent z Jackiem Howardem jedynie wyrazem mojego przeświadczenia, że Bas mnie oszukał, zgodnie z zasadą, że człowiek dostaje to, o co się sam prosi. Prosi o bogactwo, pieniądze znajdują go same. Nastawi się na biedowanie, a ukradną mu ostatni kawałek chleba. Będzie się litował nad sobą, a dowody, że ma rację, będą wyrastały jak grzyby po deszczu.

Cóż, Bas zabrał mi kasę, ale nadal miałam moje dziś i moje jutro. I jeżeli utonę w łożach nad sobą, to na własną prośbę. Bałam się nie tylko dlatego, że byłam biedna, bezradna i upokorzona przez kogoś, kto miał władzę i pieniądze. Upokarzałam sama siebie, obniżałam własną wartość do takiego stopnia, że czyjeś pieniądze i czyjaś władza stanowiły dla mnie problem. Bas zaczynał od zera i w moim wieku nie miał pewnie więcej ode mnie. Zanim dobił trzydziestki, przejechał się już po kilku ważnych ludziach. Więc nie chodziło wyłącznie o to, że to on, a nie ja miał władzę pieniądza. Pieniądze nie tworzą człowieka, raczej na odwrót.

Trochę perspektywy nigdy nie zaszkodzi, pomyślałam, rzucając okiem na obłazącą tapetę i myśląc o moim saldzie bankowym. Jasne, potrzebowałam obecnej pracy, ale na

niej świat się nie kończył. Jedno było pewne. Nienawiść do Basa dowodziła, że nie uwolniłam się od niego w sensie psychologicznym. Naprawdę, powinnam znaleźć sobie coś, co pochłonie mnie bardziej niż zemsta. Księgowość nie mogła mi tego zapewnić. Już sama myśl o niej sprawiła, że zasnęłam.

Rano czułam się jak na kacu i natychmiast pożałowałam, że nie wypiałam więcej. Przynajmniej kac byłby zasłużony. Gorąca kąpiel jakoś wcale mnie nie wzruszyła. Przemknęło mi tylko przez głowę, że może jest moją ostatnią. Ubrałam się na czarno, w to samo, co na rozmowę kwalifikacyjną. Gdybym miała w domu habit zakonnicy, włożyłabym go bez wahania.

W skrzynce znalazłam pocztówkę z Paryża. Reprodukacja Picassa, ale nie tego mojego. Nie miałam siły się na tym zastanawiać. Wcisnęłam pocztówkę do torebki i ruszyłam do pracy. Było jeszcze wcześnie i przyszło mi do głowy, że może jestem jedyną ludzką istotą, która stawi się przed plutonem egzekucyjnym wcześniej, niż należało.

Nadrabiając miną, wysłuchiwałam porannych żarcików. Spryskałam się próbką perfum Dora. Ale nawet piękny zapach nie rozproszył mojego przygnębienia. Naprawdę potrzebowałam pracy, która pozwoliłaby mi wykorzystać naturalne talenty, a nie wymagała wystawiania pod latarnią.

Dzięki Florze, która tak gorliwie oprowadzała mnie po firmie pierwszego dnia, wiedziałam, gdzie jest pokój pocztowy. Poprosiłam siedzącego tam faceta o znaczki, na co odparł, że tu się ich nie sprzedaje. Zadawałam więc kolejne pytania, czekając, aż któreś z nich spowoduje, że odwróci się do mnie plecami. Wreszcie, kiedy sprawdzał opłatę pocztową do Tybetu, wsunęłam kopertę z moim listem do odpowiedniej przegródki. Potem, już siedząc za biurkiem, zaczęłam się zastanawiać, czy mimo wszystko nie powinnam posłuchać Flory i nie robić nic. Czekanie jest jedną z najgorszych rzeczy, a ja z każdą minutą upewniałam się, że sama dałam Jackowi Howardowi broń do ręki.

Po południu mój system nerwowy przypominał galaretkę. I wtedy usłyszałam głos pani Brown:

- Caron, pozwól na słówko.

Podeszłam z nią do jej stanowiska. Pani Brown nigdy się nie spieszyła i teraz też przemówiła dopiero, gdy usadowiła się wygodnie za biurkiem.

- To dość niezwykle w przypadku nowego pracownika, Caron, ale zgłoszono na ciebie zapotrzebowanie z innego biura. - Zakaszła cicho. - Zauważyłam, że lunch jadłaś przy biurku. Nie ma potrzeby tak się przepracowywać. Wszystko w swoim czasie, moja droga.

- Z jakiego biura, pani Brown? - Musiało to być ważne biuro, ponieważ pani Brown okazywała mi wyraźne atencje, miłe, choć spóźnione. Najwyraźniej nie wiedziała, że zapotrzebowanie nie jest wyrazem uznania dla mnie.

- Wiceprezesa Jacka Howarda.

- Prosił o mnie z jakiegoś konkretnego powodu?

- Och, nie prosił konkretnie o ciebie, Caron. Powiedział tylko, że podobno jesteś niezła w obliczeniach. - Zarumieniła się lekko. - Właściwie powiedział, że podobno jesteś niezła, ale to był oczywiście żart. Pan Howard lubi sobie czasem pożartować.

Więc będzie to śmierć przez stare kawały, pomyślałam idąc na górne piętro. Tym razem recepcjonistka tkwiła na swoim miejscu przy windach, na wypadek gdybym znów chciała się zgubić. Idąc wolno korytarzem, sprawdzając nazwiska na drzwiach, natknęłam się na gabinet Jamesa. Stał obok biurka swojej asystentki i wydawał jej dyspozycje. Kiedy mnie zobaczył, podszedł do drzwi.

- Witaj, Caron. Miło cię widzieć. - Zniżył głos i uśmiechnął się szeroko. - Znów się zgubiłaś, czy chcesz popłakać na moim ramieniu?

- Doprawdy, James, gdybym to dzisiaj zrobiła, potrzebna by ci była kamizelka ratunkowa.

- Spróbuj. Dobrze pływam.

- Tylko żartowałam. Szukam biura Jacka Howarda. Mam tam zastępstwo.

Widać Flora miała rację, mówiąc, że się nie lubią, bo przez chwilę wydawało mi się, że oboje będziemy potrzebowali szalupy ratunkowej.

- Drugie drzwi na prawo, Caron. Nie będzie mnie teraz przez dwa dni. Masz jeszcze mój numer?

Zapewniłam go, że tak. Czułam na sobie jego niespokojny wzrok, kiedy szłam korytarzem. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie trzymają Jacka Howarda w klatce.

Miejsce sekretarki było puste, a kiedy zapukałam do drzwi gabinetu, otworzył je osobiście.

- Julie poszła na zakupy, Caron. Zapraszam. - Weszłam i stanęłam jak robot, któremu wyczerpały się baterie.

- Siadaj, proszę.

Zapadła cisza, podczas której gromadziłam mentalne naboje, nie mając pojęcia, w co nimi strzelać.

Potem Jack Howard podniósł w dwóch palcach mój liścik i przez chwilę trzymał go między nami.

- Jak widzisz, otrzymałem twoje przeprosiny. - Uśmiechnął się. - O ile są to przeprosiny.

Milczałam. Nie chciałam się przyznać do listu, dopóki nie poznam jego reakcji. Upuścił kartkę na biurko. Wylądowała z hukiem. W każdym razie tak mi się zdawało.

Odchylił się na oparcie fotela.

- Jeżeli to ma dla ciebie znaczenie, nie wezwałem cię tu, żeby cię zwolnić. Po pierwsze, to wcale nie jest łatwe. I tak się składa, że w tej chwili nie byłoby mi to na rękę.

Uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech.

- To dobra wiadomość. Proszę posłuchać, panie Howard, ja...

- Jack. Jesteśmy rodzinną firmą.

- A więc, Jack, chciałam powiedzieć, że w pubie zareagowałam o wiele za ostro.

Przykro mi. Czy tak lepiej? - Ku mojemu zdziwieniu nie odpowiedział, wyglądał tak, jakby gorączkowo myślał.

- Sądzisz, że moglibyśmy zacząć od początku, Caron?

Odpnęłam się zupełnie, bo sytuacja była groteskowa. Pomyślałam, co by ten biedny człowiek zrobił, gdybym teraz powiedziała: „Patrz wyżej, nie na moje cycki”. Jak od początku, to od początku.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś nie pozostawiał miecza wiszącego nad moją głową. Dzisiaj nie chcesz mnie wylać, a w przyszłym tygodniu?

Niemal widziałam, jak pracują jego szare komórki, ważył każde słowo. Potem uśmiechnął się, dokładnie tak samo jak ja.

- Możesz założyć, że w przyszłym tygodniu też mi to nie będzie odpowiadało.

Wstał, wsadził jedną rękę do kieszeni i zaczął spacerować po pokoju. Ale nie przypominał już Basa, przynajmniej nie tak bardzo. Bas na jego miejscu miałby już rozpalony grill i pytał, na jakim ogniu chcę zostać obsmażona.

- Z pewnością słyszałaś plotki, Caron. Twój liścik na to wskazuje.

Roześmiałam się.

- Romeo z Chambers'Emporium? - Wyglądało na to, że próbuje uspokoić siebie, nie mnie, co było dość zastanawiające.

- No właśnie. Zacząłem pracę w tej firmie od samego dołu. Wtedy to nie miało większego znaczenia. Ale na moim obecnym stanowisku takie zachowanie może być postrzegane jako nadużycie. I słusznie. Ale łatwiej zmienić człowieka niż opinię o nim.

Nie wierzyłam własnym uszom. Wyglądało na to, że on mnie przeprasza. To musiał być podstęp. Może jednak był jak Bas. Może postanowił wykorzystać sytuację, żeby pokazać nie jest Romeo, że tak naprawdę jest myszką Miki. Co chwila spoglądał na mnie, sprawdzając, jak odbieram jego słowa. Nie było to zachowanie kryształowo uczciwego człowieka. Prędzej piekło zmieni się w paczkę mrożonych krewetek, niż pomogę jeszcze jednemu Basowi. Ale coś musiałam powiedzieć.

- Dziękuję, że zechciałaś się tym ze mną podzielić. - W książkach często radzą, żeby wspominać o dzieleniu się. - Przyznaję, że nie miałam racji.

- Wobec tego, mogę spytać, co zrobił ten gość, którego ci przypominam? I co ty z nim zrobiłaś? - Wziął z biurka mój liścik. - Nie jest to dzieło pokornej kobietki. Chyba go nie zamordowałaś?

Roześmialiśmy się.

- Właśnie dlatego, że nie mogłam go poćwiartować, zaatakowałam ciebie. Ale zwykle używam jedynie słów, Jack.

Potem wymieniliśmy trochę uprzejmości, pytania o moją o jego pracę.

- Z pewnością zajdziesz wysoko, Caron - powiedział. - Jesteś inteligentną i interesującą kobietą. Nie chciałbym powtórzyć pubowego fiaska, ale czy dałabyś się zaprosić na kolację?

- Ale czy to nie byłoby złamanie zakazu firmowych randek? - zapytałam, zaskoczona i trochę zbita z tropu.

- Tylko wtedy, gdyby któreś z nas się upiło i zaciągnęło do łóżka to drugie. A potem wszystkim o tym opowiedziało. Nie sędzę, żeby któraś z tych ewentualności dotyczyła ciebie, Caron. Naprawdę chciałbym cię lepiej poznać. Zostawilibyśmy incydent w pubie całkowicie za sobą. To, że jesteś w księgowości, nie ma żadnego znaczenia. Dla wszystkich jest oczywiste, że nie pozostaniesz tam długo. Gwarantuje to już twoja smykałka do liczb.

Ciekawe skąd wiedział, że ją mam? Czy całe górne piętro wiedziało, że robię arkusze za Melody? Mało prawdopodobne.

A zlecenia, które dostawałam w prawdziwej księgowości, były dość proste.

I co, u licha, z tą randką? Co miałam powiedzieć? Oboje tak starannie dobieraliśmy każde słowo, że chyba powinniśmy zatrudnić tłumacza. Nadal nie ufałam Jackowi i dlatego go nie lubiłam. Z drugiej strony, wykazał się ogromną delikatnością i rozstrzygnął sprawę zdecydowanie na moją korzyść. Wszystkie poradniki nazwałyby to komfortową sytuacją, pod warunkiem że przyjąłabym jego zaproszenie. Wyraźnie dał do zrozumienia, że od tego zależy wymazanie moich win. Przemyślałam wszystko błyskawicznie, żeby nie wywołać niezręcznej ciszy. Tłumacz w każdym razie miałby czas przekartkować słownik.

- Byłoby miło, Jack. Ale czy moglibyśmy odczekać parę tygodni? Jeszcze się na dobre nie wprowadziłam, urządzam się dopiero i to pochłania wszystkie moje wolne chwile.

Pytanie, jakim cudem miałam czas na pub, zawisł między nami w powietrzu. I jak ja się tam teraz pokażę z Florą?

- Widzisz, Flora z kadr bardzo mi pomaga przy wypełnianiu tych skomplikowanych formularzy. Wypada mi chociaż postawić jej drinka. Oczywiście, zapraszam cię do naszego stolika, jeżeli akurat wpadniesz do pubu. Jestem ci winna drinka. - Świadomość, że Flora będzie świadkiem każdego jego posunięcia, powinna go trzymać z dala od pubu.

Chyba to załatwiło sprawę, bo Jack uśmiechnął się przyjaźnie.

- Znakomicie. - Zajrzał do kalendarza. - A więc za dwa tygodnie? Czy to ci odpowiada? Może teatr, a potem kolacja? - Zerknął na zegarek. - Jesteś tu dość długo, by

usatysfakcjonować panią Brown. Powiemy, że sprawdzałaś pewne obliczenia. Nie mam dla ciebie żadnej pracy, ale zostań dłużej, jeżeli chcesz. - Uśmiechnął się i błysnął oczami.

Odwzajemniłam uśmiech.

- Lepiej wróć do swojego biurka. I dziękuję, Jack.

Czułam ogromną ulgę. Ale z drugiej strony, nie miałam ochoty na randkę z sobowtórem Basa. I co z moim drogim przyjacielem Jamesem? Chyba nie będzie zachwycony, kiedy wypuszczę się w miasto z jego osobistym wrogiem? Jak tak dalej pójdzie, to zanim uporządkuję swoje życie, moje zęby będą sypiały w szklance na nocnym stoliku.

Natychmiast zadzwoniłam do Flory.

- Wszystko w porządku, Floro. Nadal mam pracę. Flora aż się zachłysnęła.

- To cudownie, Caron! Nie mogę uwierzyć! Okropnie się martwiłam.

- Szczegóły później, bo idzie pani Brown. Stawiam pizzę w drodze do domu.

Musiałam zacząć myśleć pozytywnie. Albo to zadziała, albo moje konto w banku ulegnie całkowitej atrofii.

- Jak poszło, Caron?

- Bardzo dobrze, pani Brown. Sprawdzałam tylko pewne liczby. Ja je odczytywałam, a pan Howard sprawdzał.

Kiedy pani Brown wróciła do siebie, Melody spytała, co się dzieje.

- Nie mogę ci powiedzieć, Melody. Mówiłaś, żeby przy tobie nie wspominać o liczbach.

Dmuchała na paznokcie, żeby lakier szybciej wysechł.

- W każdym razie uważaj na tego Jacka Howarda, Caron. Jest za sprytny, żeby mu to wyszło na dobre. Ten młody człowiek zrobi wszystko, żeby zdobyć awans. Słyszałam też, że ma bardzo dużego wacusia.

W pizzerii pachniało pięknie czosnkiem, co zdecydowanie zaostriło mój apetyt. Zamówiłam margheritę z pepperoni i anchois. Czekając, aż Flora coś sobie wybierze, dotknęłam świecy zatkniętej w otwór pustej butelki po winie. Tylko raz byłam we Włoszech, ale nie widziałam obrusów w biało-czerwonej kratę i świec w butelkach. Może istniały tylko w filmach, na zawsze skazując Włochów na stereotyp.

Flora zamówiła dodatkowe pieczarki i zieloną paprykę. Wzięłyśmy też całą butelkę czerwonego wina i Flora już nalewała do kieliszków.

- A teraz, Caron - powiedziała z szerokim uśmiechem - opowiadaj o Jacku Howardzie, bo pękne z ciekawości.

Zdałam jej wierną relację ze spotkania, uzupełnioną o to, co powiedziała pani Brown i Melody. Florze opadła szczęka.

- Mój Boże, on się w tobie zakochał! Może bardziej niż James.



Wytrzeszczyłam oczy.

- James to przyjaciel, Floro, twój też. Jest naszym sąsiadem. A Jack ledwie mnie zna. Co ci przyszło do głowy? Przecież nic takiego nie powiedział, ani w pubie, ani w biurze.

- Ej, Caron, myślałam, że jesteś światową kobietą. Zakochany facet nie musi od razu błyskać brylantem ani padać na kolana. Tyle wiem z książek. - Zjadła kawałek pomidora. - Nie wylał cię, zaprosił do teatru i na kolację. We wszystkich książkach to oznacza prawdziwą miłość. To oczywiste. W romansach mężczyzna musi wybierać między seksem a miłością. Koktajle są dla seksu, ale teatr to zawsze miłość.

- Nie nadałam za tobą. - Roześmiałam się.

Flora machnęła widelcem z pieczarką.

- Wymień jeden romans, gdzie bohaterowie poszli do opery albo teatru, albo mieszkali w rodowych dobrach, i nie skończyło się to prawdziwą miłością.

Przetrasnęłam szare komórki. Nic.

- To nie fair. Romansidła z zasady bazują na prawdziwej miłości. Bohaterowie i tak się w sobie zakochują, cokolwiek by robili.

Flora rozpromieniła się.

- I tu cię mam! Zakładamy, że jest tylko dwoje bohaterów. Tej drugiej kobiecie dostaje się tylko seks. Drugi facet musi się obejść smakiem.

Nie wyglądałam na przekonaną, więc Flora mówiła dalej:

- Gdyby twoje spotkanie z panem Howardem odbyło się w książce, oznaczałoby prawdziwą miłość, bez dwóch zdań. Jest wiceprezesem, a jednak mówił z wahaniem. Czy tak się zachowuje facet, który chce jedynie seksu? Co więcej, podkreśla twoją inteligencję. W książkach to nieomylna oznaka miłości, choć fabuła nie w pełni to potwierdza, to znaczy, facet nigdy nie chce tylko rozmawiać z ukochaną.

- Ale, Floro, wybór nie ogranicza się tylko do seksu i miłości. Jack mógłby na przykład liczyć na to, że zacznę plotkować i przedstawię go wszystkim w korzystnym świetle.

- Przecież wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby wiedzieć, że nie będziesz plotkować w księgowości. Wcale bym się nie dziwiła, gdybyś nawet mnie o tym nie powiedziała. Nie spodziewałam się tylu smakowitych, fascynujących szczegółów. Mam nadzieję, że niczego nie pominęłaś? Jakiegoś pocałunku albo czegoś w tym rodzaju? Prawie żadna bohaterka nie otrzymuje zaproszenia do teatru przed pocałunkiem.

- W żadnym razie! - powiedziałam, krztusząc się ze śmiechu. - Bałby się mnie dotknąć po tym liściku.

- To było takie sprytne - zauważyła Flora z podziwem. - Nikt inny nie wpadłby na pomysł, żeby napisać niegrzeczny list w formie przeprosin. Myślisz, że Mervinowi to by się spodobało?

- Pewnie! Zdaje się, że ma duże poczucie humoru, czego nie da się powiedzieć o Jacku Howardzie.

- Kiedy facet się zakochuje, poczucie humoru traci w pierwszej kolejności. Ale co z tobą, Caron? W książce miałabyś poważne rozterki, ale w prawdziwym życiu większość kobiet skorzystałaby z okazji.

- A ty byś skorzystała, Floro? Uważnie napełniła kieliszki.

- Jest wspaniałą partią. I nie tylko dlatego, że ma pieniądze, to znaczy, musi je mieć, pracując na górze. I kto wie, czy nie dostanie prezesury. Ale podejrzewam, że przyciągałby kobiety nawet, gdyby nie był bogaty. Może i przespał się z połową firmy, ale nikt się nie skarżył, a większość tylko czeka na bis.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Floro.

- Prawdopodobnie bym się na niego zdecydowała, to znaczy, gdybym nie mogła dostać Mervina. Ale to dlatego, że moje możliwości są dość ograniczone. Gdybym mogła wybierać spośród wszystkich mężczyzn na świecie, nie padło by na niego. Dałabym mu kosza. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Zaczynam wierzyć, że mogę się zmienić. Kto by pomyślał wczoraj w pubie, że dziś dam kosza Jackowi Howardowi?

- No cóż, ja też go nie chcę. I jeżeli masz rację, w co nie wierzę, to będzie poważny problem. Jeśli dojdzie do tego, że go będę musiała odtrącić, wyleje mnie jak nic. W tych książkach... Jak długo bohaterka może grać na czas, odwlekać decydujący moment?

- Czasem przez trzysta stron. Ale nie sądzę, żeby Jack zgodził się na więcej niż pięćdziesiąt. Może mniej. W tej chwili byłabyś mniej więcej na trzeciej i to pod warunkiem, że przedtem był długi opis jego biurowych zasłon. Może już w tej chwili jest u jubilera i kupuje pierścionek z brylantem.

Zakrztusiłam się winem.

- Kiedy dokładnie jest wystawa Mervina? Dopiero za parę tygodni, prawda? Może odłożę randkę z Jackiem do tego czasu? Na wystawie nie będzie przecież padał na kolana z brylantem w zębach.

- Szkoda - zażartowała Flora. - Pora i miejsce odpowiednie. Myślisz, że się zgodzi, skoro chce zmienić swój wizerunek? Cały dział tam będzie. Musiałby być bardzo pewny siebie, traktować cię już jako przyszłą żonę, którą się trzeba pochwalić.

Nagle spoważniała i w milczeniu popijała wino. Gdyby była barometrem, człowiek wiedziałby dokładnie, kiedy wziąć płaszcz przeciwdeszczowy.

- Ludzie w księgowości nie uważają chyba Mervina za drugiego Jacka Howarda? Myślisz, że Mervin spał ze wszystkimi?

- No co ty, Floro! Na pewno o wiele łatwiej byłoby zaciągnąć do łóżka Jacka Howarda. Może właśnie dlatego nie wydaje się atrakcyjny, bo to takie łatwe. Łatwe i bez znaczenia. Tak czy owak, nie sądzę, żeby był we mnie zakochany. - Pomyślałam, że przecież nie mogę mieć aż takiego pecha.

Wyjęłam z torebki pocztówkę z Picassem i położyłam na stoliku. Flora już ją widziała rano, ale nie miałyśmy czasu tego obgadać.

- Co o tym sądzisz, Floro?

Wzięła pocztówkę i obejrzała dokładnie.

- Żadnej wiadomości. Nic nie napisał. Przypomnienie? Że nie zapomniał?

- Jeżeli tak, to by oznaczało, że pocztówka nie ma żadnego związku z fotelem i czekoladkami. To jasne.

Flora odwróciła pocztówkę wierzchem do góry.

- Od fotela upłynął miesiąc. Czy to może coś znaczyć? Roześmiałam się.

- Wiadomość, że Bas miesiączkuje, sprawiłaby mi ogromną przyjemność.

Zjawił się kelner i zamówiliśmy lody z likierem.

- Floro, zauważyłaś, że nie napomknął nawet o naszym spotkaniu w Ritzu? Został odrzucony, więc prawdopodobnie będzie udawał, że nic się nie stało. Jak sądzisz?

- Sądzę, że będzie nam potrzebny bardzo duży autobus, żeby przejechać tych wszystkich ludzi.

- Musimy uważać, żeby nas coś nie przejechało.

## *Rozdział 14*

Wychodziłyśmy z Florą do pracy o tej samej godzinie, więc razem jadłyśmy śniadanie. W nocy wróciła z Manchesteru Evelyn i jej pojawienie się w kuchni przerwało naszą cywilizowaną ciszę, wczesnoporanny czas ziewania i kawy. Nie była jakoś specjalnie hałaśliwa, ale samym swoim wejściem sprawiała, że pomieszczenie się kurczyło.

- Więc jak poszło, Evelyn? - zagadnęłam. - Jadąc do Hollywood, nie zapomnij zabrać mnie i Flory.

- Mam być modelką. Już mówiłam, że nie chodzi mi o Hollywood.

- Ale byś im nie odmówiła, prawda? - Flora uśmiechnęła się. - Nie sprawiłabyś im zawodu?

- Nikomu nie lubię sprawiać zawodu, powinnyście już to wiedzieć.

- Poznałaś jakiś przydatnych mężczyzn? - zapytałam. Nasypała sobie płatków kukurydzianych do miseczki i udało się jej jakimś cudem nie trafić do naszych kubków z kawą.

- Jedyne facet, który coś zaproponował, kamer bał się jak ognia.

- Przynajmniej oszczędziłaś na opłatach w agencji towarzyskiej. - Flora pokazała zęby w uśmiechu.

- Chyba nie myślicie, że umawiam się z mężczyznami, o których nic nie wiem!

Flora i ja wymieniliśmy zdumione spojrzenia. Ale nie było czasu omawiać miłosnego życia Evelyn, bo praca wzywała wielkim głosem. Nieco później, kiedy mijałyśmy stoiska z ubraniami i kobietę o zielonych pasemkach, Flora wyszeptała:

- Któregoś dnia musimy przyprowadzić do pracy parę pudli.
- Żeby położyć kres tym żartom, musiałabyś przyprowadzić owczarki alzackie.

Na schodach wpadłyśmy na Mervina.

- Dzień dobry, Mervin - powiedziała Flora.

- Dzień dobry, Floro - odpowiedział Mervin. Ja się tylko uśmiechnęłam i skinęłam mu głową, żeby nie zakłócić miłosnej sceny roku.

Praca tego dnia wyglądała tak jak zwykle: arkusze kalkulacyjne, cyfry na prawo, cyfry na lewo. W końcu Melody zrobiła sobie przerwę, a ja przyniosłam kawę. Stos przerobionych kaset na jej biurku nasuwał przypuszczenia, że ktoś tam na górze pisze pamiętniki albo inne wiekopomne dzieło. *Jak dopasować stanik do klienta* albo może *Zemsta biustonosza*.

- Caron, nie pisałaś czasem do pana Chambersa?

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie natknęła się na taśmach na jakiś list miłosny.

- Ja? Nie. Dlaczego?

- Jesteś pewna?

- No, może coś napisałam. Mówiłaś, że te poufne materiały idą do niego. Kiedyś dołączyłam kartkę. Napisałam, że trzeba sprawdzić niektóre pozycje. Ale z całą pewnością nie zaczęłam od słów: „Mój najukochańszy panie Chambers”.

- To musi być to. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie do domu.

- Och, nie! Nie mów, że muszę wrócić do listów.

- Nie, nie, to nie wchodzi w rachubę. Zapewniłam go, że jesteś ucieleśnieniem dyskrecji.

- I to wszystko? Róbcie tak dalej? Super!

- Tak, kochanie. Powiedział, że spodobała mu się twoja karteczka i żebyś przysyłała następne, ilekroć zechcesz. Pomyślałam, że to może być coś interesującego, coś niezwiązanego z arkuszami. Ciekawe, dlaczego tak mu zależy na dyskrecji.

Uff, ulżyło mi! Nie myliłam się, coś z tymi arkuszami było nie tak. Ale jeżeli nieprawidłowości wynikały ze zwykłych błędów, po co ta cała tajemniczość? Przysyłanie Melody poufnych raportów to jedno, a prośenie urzędniczkę niższego szczebla, żeby miała oczy otwarte i zamkniętą buzię - to już zupełnie inna para kaloszy. Wszystko wskazywało na to, że pan Chambers zamierza sprawdzić kogoś na górze. Trochę się zaniepokoiłam, bo James jako dyrektor finansowy siedział na samym szczycie.

Następnego dnia Flora obudziła mnie o szóstej rano filiżanką herbaty.

- Dzięki za herbatę, ale nie wiedziałas, że wstawanie tak wcześnie w soboty jest niezgodne z prawem?

- Idziemy po zakupy.
- Nie możemy iść po zakupy przed otwarciem sklepów.
- Możemy czekać na ulicy, aż otworzą.

Nie było sensu dyskutować, skoro już się obudziłam. I kochana Flora trzymała Evelyn z dala od łazienki, aż nadeszła moja kolej. W ten sposób chciała mi z góry podziękować za wyprawę do sklepów.

Pierwsze kroki skierowałyśmy do własnej firmy na Oxford Street, rzecz niemal naganna w dniu wolnym od pracy. Kiedy prowadziłam Florę do stoiska kosmetycznego, wyszeptała:

- Nawet ze zniżką pracowniczą nie mogłabym...
- Cicho-sza. - Nigdy przedtem nie widziałam tej ekspedientki, jej stoisko nie leżało na ekspresowej trasie spóźnionych pracowników. Ale Flora mnie przedstawiła.

- Flora chciałaby prosić o próbny makijaż - powiedziałam. Kobieta wskazała Florze fotel, przykryła ją wielkim czystym ręcznikiem i zapytała, o jaki wygląd nam chodzi.

- Dyskretny makijaż, taki, którego nie widać.
- A! To będzie Kosmetycznie Naturalny Nieskrępowany Styl Numer Czternaście.
- To jaki jest numer pierwszy? - zapytała zaleźniona Flora.
- Bal Debiutantki.
- Masz coś odpowiedniego na wystawę malarstwa? - zapytała Flora niepewnie.
- W Galerii Narodowej czy Tate?
- Poprosimy o wygląd naturalny - powtórzyłam. - Posłuchaj, Floro, lepiej jak ludzie myślą, że wyglądałybyśmy o wiele ładniej, gdybyśmy się trochę postarały.

Zniknął ciężki podkład, ciemne kreski wokół oczu, fioletowe cienie i czerwone policzki. Teraz Flora była bledsza, bardziej delikatna, miała podkreślony kontur twarzy i kości policzkowe. Bładoszary cień pogłębiał zieloną barwę oczu. Róż, niemal w odcieniu podkładu, nadawał jej wygląd kogoś, kto spędził sporo czasu na powietrzu i ma teraz naturalne zdrowe kolorki. Całkowite przeobrażenie.

Flora nie była zachwycona.

- Nie jestem podobna do siebie.
- Jesteś bardzo podobna - powiedziała kosmetyczka. - I wyglądasz o wiele szczuplej. Spróbuj się przyzwyczaić. A teraz, w kwestii zakupów...
- Ponieważ Flora nie jest pewna - wtrąciłam szybko - pójdziemy na kawę i przedyskutujemy sprawę. A tak przy okazji - świetna robota.

Przed sklepem Flora powiedziała: - Nawet jeżeli ten makijaż jest świetny, i tak nie dotrwa do wystawy Mervina. Roześmiałam się.

- Idziemy prosto do Bootsa, póki jesteś umalowana, i dobierzemy identyczne odcienie.

- Fakt, że taki makijaż zabiera o wiele mniej czasu niż ten, który robię co rano - powiedziała Flora, nadal nie do końca przekonana. Zauważyła, że spoglądam krzywo na wystawy Chambersa.

- O co chodzi, Caron?

- O wystawy! Widziałam lepsze w sklepach z używaną odzieżą. Dlaczego ich nigdy nie zmieniają?

- Rzeczywiście nie przyciągają wzroku. Ale niedługo zmienią je na święta. Dział artystyczny jest dość mały, może na więcej ich nie stać.

Po wizycie w Bootsie zaciągnęłam Florę do okropnie drogiego fryzjera. Jak przewidywałam, na ten dzień nie było już żadnego wolnego terminu.

- Chcemy tylko skorzystać z komputera, żeby wybrać fryzurę przed wizytą.

Facet podszedł do mojej propozycji sceptycznie.

- Nie pozwalamy klientom bawić się komputerem. No, uczennica mogłaby trochę pomóc. Ale muszą być panie przygotowane na to, że będzie biegała tam i z powrotem.

- Świetnie - powiedziałam, zanim Flora zdążyła zaprotestować.

Trudno było szcesać do tyłu gęste, niesforne włosy Flory, ale komputer musiał zobaczyć całą twarz. Potem przykładałyśmy do niej różne uczesania, które pokazywały się na ekranie.

- Jakbym była w telewizji - powiedziała podekscytowana Flora. - Nie miałam pojęcia, że tak można. To znaczy, czytałam o tym, ale nigdy nie próbowałam. Super! - Uśmiechnęła się radośnie.

Ale jej uśmiech przygasł przy następnym uczesaniu.

- Nie mogłabym! Wyglądam jak punkowa!

Uważałam, że wygląda świetnie w krótkich włosach, lekko wystrzępionych na górze, z gładziutką grzywką. Kasztanowe pasemka świetnie się komponowały z jej naturalnym kolorem włosów.

- A dlaczego nie? Mervin też trochę wygląda na punka. - Naprawdę?

- Zauważyłaś, żeby chodził w garniturze w paseczki i meloniku?

- Ale ja zawsze miałam długie włosy. Potem będą strasznie długo odrastać.

- Myśl rozsądnie, Floro. Kiedy będziesz miała osiemdziesiąt lat i zrobisz podsumowanie życia, chcesz, żeby twoim jedynym powodem do dumy było to, że nigdy nie ścięłaś włosów? Wszyscy popękają z zazdrości.

- Nabierasz mnie.

- Pewnie. Popatrz na ekran i zapomnij, że to ty. Co byś pomyślała o tej osobie?

Spojrzała ostrożnie.

- Wygląda na kogoś o wiele bogatszego ode mnie, to po pierwsze. I ludzie z pewnością by ją zauważyli. Widać jej uszy. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. - Urwała i patrzyła na mnie przez bardzo długą chwilę. - Wiesz, Caron, gdyby miała na sobie

jaskrawopomarańczową suknię przetykaną fioletową nitką, bardzo długie kolczyki, może papugi w jaskrawych kolorach... Mogę sobie wyobrazić, że na wystawie Mervin podszedłby raczej do niej niż do mnie.

Wzdrygnęłam się na myśl o tej kreacji.

- Zdecydowałyśmy się - powiedziałam szybko do fryzjera. - Możemy prosić o wydruk?

Kiedy wyszłyśmy, powiedziałam do Flory:

- Możesz zanieść to zdjęcie do własnej fryzjerki. Jak myślisz, kiedy będzie mogła cię przyjąć?

Flora nadal zerkała na zdjęcie z powątpiewaniem, zamykając to jedno, to drugie oko.

- Może dzisiaj. Zanim stracę odwagę. To jest tuż za rogiem. Jedna z fryzjerek jest sąsiadką mojej mamy. - Uśmiechnęła się promiennie. - No i ty tam będziesz, dopilnujesz, żebym się nie załamała. Jesteś absolutnie pewna, że to jest w stylu Mervina?

- Szukamy stylu Flory. Kiedy będziesz miała świadomość, że świetnie wyglądasz, Mervin i reszta też dojdą do takiego wniosku, to jasne jak słońce na niebie.

Sąsiadka mamy popatrzyła na zdjęcie i pomachała nim jak flagą.

- Super, Floro! Naprawdę, naprawdę super. Koniec z krzakami na głowie. Będziesz wyglądała dobre dziesięć lat młodziej.

Flora skręcała się z zażenowania, ale ja odetchnęłam z ulgą. Starłam się narzucić Florze wszystkie te zmiany, opierając się wyłącznie na tym, co przeczytałam w czasopiśmie kobiecych. Ja sama nie zmieniłam fryzury od czasów studenckich. Zaczęłam się zastanawiać, czy moja fryzjerka też wydałaby okrzyk radości, gdybym postanowiła zmienić uczesanie.

Podczas gdy Flora pozbywała się loków, ja czytałam czasopisma przy stoliku, ale tylko jednym okiem, bo drugim wyglądałam na ulicę. W końcu wstałam i podeszłam do okna. Niepokoiło mnie, że kierowca limuzyny, który zawiózł mnie na spotkanie z Basem do Ritza, rozpoznał nas na ulicy. Ogólny rysopis mógł nie wystarczyć, żeby wyłowić dwie osoby z tłumu w godzinach szczytu. Może po prostu czekał, aż ktoś podejdzie do wozu.

Wszyscy przechodnie wydawali mi się podejrzani. Tak to już jest. Kiedy człowiek ma nogę w gipsie, nagle cały świat jest pełen innych gipsowiczów. Bo z reguły dostrzegamy to, na co jesteśmy nastawieni. Gość gapiący się w drzwi zakładu był podejrzany, ale równie podejrzani wydawali mi się ci, którzy patrzyli w inną stronę.

Wyszłyśmy od fryzjera. Flora ze zwieszoną głową okropnie przybita.

- Głowa do góry, Floro. Wyprostuj się, bo dostaniesz migreny. O co chodzi? Wyglądasz świetnie.

Była bliska łez.

- Wiem, Caron. Naprawdę mi się podoba. Tylko jestem przerażona, że przedtem wyglądałam tak okropnie. Nie miałam pojęcia.

Objęłam ją ramieniem i razem przebijałyśmy się przez tłum.

- Nie wyglądałaś okropnie, tylko inaczej. Stary wygląd był dobry, ale teraz potrzebny ci inny.

Pocieszałam ją, ale oczywiście miała rację. Przedtem chowała się pod szopą kręconych włosów i grubą warstwą makijażu. Jest coś trochę przerażającego w człowieku, którego nie można zobaczyć. Teraz wreszcie było ją widać. Kolosalny postęp, choć może czuła się obnażona.

Kiedy posuwałyśmy się Oxford Street, zaglądając do sklepów, z nadzieją opowiedziałam Florze o Jean Muir.

- Jako sławna projektantka może sobie kupić co tylko zechce, a ubiera się wyłącznie na granatowo.

Rezultat był taki, że gdyby Flora wygrała na loterii, nie zwiększyłoby to w najmniejszym stopniu wyników sprzedaży Jean Muir. Kiedy tak chodziliśmy od sklepu do sklepu, Flora skłaniała się ku palecie Chagalla, ja stawiałam na Rembrandta. Droga kompromisu wybrałyśmy Matisse'a i Flora wyszła ze sklepu w nowym stroju.

- Dobrze wyglądam? Ta góra jest taka kusa!

- Wyglądasz znakomicie. Kiedy Mervin cię w tym zobaczy, będzie chciał malować twój biust.

Flora uściskała mnie z wdzięcznością.

- Caron, zmieniłaś mnie w zupełnie inną osobę.

- Sama się zmieniłaś, bo do tego dojrzałaś. Jestem z ciebie dumna, Floro.

W domu pospiesznie zrzuciłam buty. Powinno istnieć prawo nakazujące robienie zakupów na bosaka. Kiedy już się upewniłam, że mam czucie w palcach, zrobiłam kipisz w lodówce, szukając jogurtu. Wróciłam do salonu w chwili, gdy Flora zamykała frontowe drzwi. W rękę trzymała paczkę.

- Dla ciebie, Caron. Podpisałam. Poślaniec był inny. Przyjechał furgonetką Parcel Express. Tym razem to nie fotel.

Nadawcą był Chambers'Emporium, ale otwierając paczkę, wstrzymałam oddech. Nie mogłyśmy dzwonić po brygadę antyterrorystyczną przy każdej dostawie, ale jeśli Bas chciał nas przyprawić o migotanie przedsiónek, odnosił świetne wyniki. Otworzyłam pudełko owinięte w różowy papier i przewiązane różową wstążką. Uniosłam wieko i obie z Florą wybałuszyłyśmy oczy.

Flora odezwała się pierwsza.

- Nawet u Mills i Boon nikt nie dostał pary różowych jedwabnych majtek. Mają metkę Chambersa.



- Może to pomyłka? Albo rodzaj abażuru? - Rozejrzałam się za wizytówką. - Nic. Zakładam, że przysłał ją premier.

- Co to może znaczyć, Caron?

W tym momencie pojawiła się Evelyn, zwabiona naszymi głosami.

- A to co? Mówiłaś, że Bas jest łotrem, a na razie to ci tylko przysyła prezenty. Jeden gość na targach w Manchesterze chciał mi kupić majtki.

- To podstęp, Evelyn.

- Wiem. Musisz zdjąć stare, żeby włożyć nowe. A w międzyczasie, no, wiesz... musisz być ostrożna. Ale tego Basa tu nawet nie ma. Majtki na nic.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - odpowiedziałam na pytanie Flory. - Może chce mi przypomnieć, że wie, gdzie pracuję? Ale już to przecież wiemy, bo dzwonił do ciebie przy okazji Ritza. To jest zwykłe molestowanie.

- Jedwabiem? - odezwała się Evelyn. - Skóra, to mogłoby być molestowanie. Zwłaszcza z łańcuchami.

- Czy któryś z tych facetów z agencji dał ci kiedyś coś takiego? - zapytała Flora.

- Nieeee. Dziewczynie w moim rozmiarze nikt nie daje skóry. Ani łańcuchów.

- No to masz szczęście, Evelyn. Tylko na ciebie te majtki będą pasować. Ale bądź czujna. Z Basa jest podstępny drań. Im dłużej nas nabiera, tym gorszą szykuje niespodziankę.

- Pomyślmy, Caron - powiedziała Flora. - Na razie mamy bujany fotel z czekoladkami, pocztówkę Picassa i parę jedwabnych majtek od Chambersa. Jeżeli pocztówkę oddzielić od reszty, jaki może być związek między bujanym fotelem a parą majtek?

- Gdyby to był stanik - wtrąciła Evelyn - mógłby zapobiec podskakiwaniu cycków podczas kołysania.

- Cycki podskakują raczej podczas gimnastyki na materacu. Naprawdę nie wiem, Floro. Ale mam przecucie, że Bas tak wszystko urządzi, że kiedy się w końcu połapiemy o co mu chodzi, będzie już za późno.

## *Rozdział 15*

Caron - powiedziała pani Brown - za pół godziny jesteś proszona do innego biura, więc nie ma sensu zlecać ci teraz pracy.

Uśmiechnęłam się do Melody i niechętnie zapytałam, czy pomóc jej przy przepisywaniu listów.

- Nie, dziękuję, kochanie. Ten okólnik jest taki interesujący.

- Tak? Zachichotała.

- Najwyraźniej ktoś w dziale perfumeryjnym, odbierając telefony, mówi „hej” i góra niepokoi się, czy to właściwe.

- Góra naprawdę zajmuje się takimi sprawami?

- Tylko wtedy, gdy dzwoni żona kogoś z szefów.

To mi przypomniało o randce z Jackiem Howardem. Zamiast teatru i kolacji chciałam zaproponować wystawę Mervina. Jeżeli zwyczajnie zadzwonię, jego sekretarka zacznie plotkować. A więc kolejny liścik.

Bez nagłówka. Zaczęłam urzędowo:

*Odnosnie do wcześniejszych ustaleń - czy jest możliwa zmiana? Wystawa malarstwa w tym samym terminie?*

Zastanawiałam się, czy jego sekretarka uzna, że wcześniejsze ustalenia dotyczyły konferencji służbowej. A może wszystko to było tak niejasne, że nawet Jack Howard nie zrozumie, o co chodzi? Wsadziłam list do koperty, nie podpisując się. Miałam tylko tyle czasu, żeby pobiec do pokoju pocztowego, a stamtąd do prawdziwej księgowości.

Spędziłam przyjemny ranek w prywatnym gabinecie. Praca była odrobinę bardziej skomplikowana niż moja zwykła działka, wyjąwszy oczywiście poufności przeznaczone dla Melody. Wszystko to wyglądało dość obiecująco. Wkrótce rzucę ich na kolana. „Och, Caron, prosimy, prosimy, przejdź do prawdziwej księgowości za podwójną pensję!” A ja odpowiem: „Tylko podwójną?” Niestety, wychodziło na to, że bardziej opłaca im się mnie wypożyczać, niż zatrudniać.

Zjadłam lunch w kantine z Harveyem Harrisem, księgowym, który dziś nadzorował moją pracę.

Wyglądał jak aktor kandydujący do roli bibliotekarza. W średnim wieku, nieśmiały, cichy, druciane okulary, chude ciało i rzednące proste włosy, staromodny garnitur. Z reguły stwierdzał oczywistości, jeśli w ogóle coś mówił. Był jednak miły i traktował mnie jak równą sobie. Prawdopodobnie nigdy nie spotkał kobiety, która znalazłaby się na liczbach i uważał, że tak naprawdę jestem mężczyzną.

- Harvey - zagadnęłam przy potrawce z tuńczyka - czy używamy innego systemu księgowania niż Amerykanie? Niektóre metody w Chambersie wydają mi się dziwne.

- Och, nie, właściwie nie - powiedział. - Różnice są prawie niezauważalne. Wielki biznes to teraz sprawa globalna. Nasz system ma obecnie małe kłopoty. - Zadrżał, jakby to był grzech śmiertelny. Pokazał, że ma zasznurowane usta, po czym próbował powiedzieć mi coś więcej. - Kłopoty nie w znaczeniu kłopotów.

- Oczywiście, że nie. - Staralam mu się jakoś pomóc. - Moje pytanie też nie było w znaczeniu pytania.

Zakaszłał, jakby następna informacja utknęła mu w gardle i nie mógł jej wykrztusić.

- Po prostu przystosowujemy się do większego i lepszego systemu. - Zjadł trochę potrawy i dodał: - Dziwne, że coś zauważyłaś pierwszego dnia.

Przestał przeżuwać i wpatrywał się we mnie podejrzliwie.

- Och, nie chodzi mi o Chambersa. Niczego tu nie zauważyłam. Jestem dopiero na stażu. Ale myślę o tym, żeby wziąć wieczorowe kursy i czytałam podręcznik.

Odetchnął z ulgą.

- Dobra myśl. Zajdziesz o wiele wyżej jako księgowa niż urzędniczka. To godne podziwu, że chcesz się dalej kształcić, Caron. - Wstaliśmy od stołu. - Może mógłbym ci pomóc. Zdradzić parę sekretów naszego fachu. Wyrównać twoją drogę do sukcesu - powiedział, wkładając marynarke.

Poklepałam go po ramieniu i podziękowałam wylewnie. Zrobił się czerwony jak zachód słońca. Miałam nadzieję, że rumieniec zniknie, zanim dojdziemy do jego działu.

Wróciłam do siebie tuż przed piątą, a na biurku stał bukiet kwiatów tak wielki, że trzeba było przesunąć komputer. Nad kwiatami unosił się żółty balon, przywiązany do wazonu.

Róże czerwone, żółte, różowe, do tego mieczyki, goździki, chryzantemy i irysy. Odważna i krzykliwa kompozycja. Gapili się na mnie wszyscy. Zwłaszcza pani Brown, która starała się ukryć uśmiech.

Najlepiej byłoby poczekać, aż wszyscy pójdą, i dopiero wtedy otworzyć kopertę. Ale nic z tego, publiczność czekała w napięciu. Czy James stracił rozum? Bas?

Zdjęłam kopertę z kwiatów. Była niezaklejona. Zwykle kwiaciarze przestrzegają tego jak katechizmu. Z pewnością nikt nie zajrzałby niepostrzeżenie do środka, za dużo ludzi się tu kręci. Ale gdyby się wszyscy zmówili... Miałam wrażenie, że jestem w jednym z tych programów telewizyjnych, gdzie najmniejszy błąd może cię kosztować milion. Przeciągasz sprawę o dwie sekundy i bip! Kończysz z pięcioma funtami i obieraniem do ziemniaków.

*Tak. Godzina osiemnasta. WK*

Kim, do diaska, jest WK? I nagle załapałam. Wiesz Kto. Pierwszy list do Jacka Howarda podpisałam WPK - wie pan kto. A myślałam, że gość nie ma poczucia humoru. Musiałam się roześmiać. Wstałam z krzesła i pomachałam kartką.

- To od mojej starej ciotki. Pomyliła datę moich urodzin, ale pamiętała godzinę. Nazywa się Wirginia Kardley. Czy to nie cudowne?

Melody poklepała mnie po ręce.

- Urocze, kochanie, choć twoja ciocia ma niezwykły gust. Ale z drugiej strony, ty też jesteś niezwykła. Do zobaczenia jutro.

Moje oświadczenie rozbawiło wszystkich, choć oczywiście nikt mi nie uwierzył. Zaczęli wychodzić, kiedy zjawiała się Flora.

- Rany Julek! Co się dzieje? Przyszłam zobaczyć kwiaty.

- Skąd o nich wiesz?

- Co najmniej połowa firmy dzwoniła do mnie z pytaniem, kto z pracowników ma inicjały WK. - Przysunęła sobie krzesło Melody i usiadła. - Od kogo?

- Myślę, że WK to skrót od Wiesz Kto. Tak podpisałam pierwszy list do Jacka Howarda. A dzisiaj wysłałam drugi, zmieniając teatr na wystawę Mervina. Oczywiście, nie wymieniłam jego imienia.

- Fakt, napisałaś tylko... - I tu zacytowała dosłownie mój liścik.

- Cholera! Ta firma puści z torbami British Telecom, A Jack Howard musi sobie poszukać dyskretnej sekretarki.

- To nie ona, skąd! Prawdopodobnie pokój pocztowy. - Pokazała palcem na kwiaty. - To dowodzi, że miałam rację. Facet wsiąkł.

- Tu nie chodzi o miłość, Floro. To żart, facet się zgrywa. Spójrz na te kwiaty! Są tak ostentacyjne, że to raczej parodia bukietu.

- Ja widzę najpiękniejszy bukiet w świecie. Zmieniłam zdanie. Jeżeli się oświadczy, wyjdę za niego. Rany, Caron, nie rozumiem, dlaczego nie skaczesz z radości.

- Floro, uwierz mi, to nie jest prawdziwa miłość. Znamy się z Jackiem Howardem bardzo krótko, ale jestem pewna, że nie podejrzewa mnie o taki gust. Muszę przyznać, że się pomyliłam, oskarżając go o brak poczucia humoru.

- Myśl sobie, co chcesz, ale Jack przeskoczył mnóstwo rozdziałów i jest już przy końcu książki. Wyobraź sobie, jak te kwiaty rozjaśnią twój pokój.

- Nie możemy zabrać ich do domu. Nie damy rady ani metrem, ani autobusem. Stałybyśmy się pośmiewiskiem Londynu. Tutaj też nie mogą zostać. Wiem, postawię je na bocznym stoliku pani Brown, żeby wszyscy mogli się nimi dalej cieszyć, skoro tak ich to bawi. - Sama doszłam do wniosku, że to dobry żart.

James wyrósł przy nas jak spod ziemi.

- Tylko nie mów, że ty też słyszałaś. Uśmiechnął się.

- Plotki są jak mgła, szybko się rozprzestrzeniają. - Obszedł bukiet ze wszystkich stron, przyglądając mu się z udanym skupieniem. - Caron! To zachwycające. Trumna jest pod spodem?

Kiedy sobie poszedł, zauważyłam, że Flora nadal spogląda na kwiaty z uwielbieniem.

- Wybierz parę do domu, a resztę przeniosę - powiedziałam. - A potem powiesz mi, czy ktoś zauważył twój nowy wygląd.

- Dziękuję - Flora wyjęła kilka najbardziej jaskrawych kwiatów. - Czy ktoś zauważył? Równie dobrze mogłabym wypisać sobie na czole: „Patrzcie na mnie!”

- I jak się czułaś?

- Nigdy sobie nie wyobrażałam, że to będzie takie przyjemne. Moja szefowa, stara Oakley, była najmilsza ze wszystkich. Wcale nie dała mi do zrozumienia, jak fatalnie wyglądałam przedtem. - Choć byliśmy same, Flora rozejrzała się i przysunęła razem z krzesłem. - Sprawy ruszyły. No wiesz, z Mervinem.

- Wspaniale!

Flora nie przestawała się rozglądać.

- Zrobiłam, co radziłaś, i napisałam ten niegrzeczny list. Przyniosłam go tu, żebyś sprawdziła, czy dobrze mi wyszło, ale ciebie nie było. Potem Melody powiedziała mi, że tak ładnie wyglądam, więc zebrałam się na odwagę i wysłałam go. Proszę, zrobiłam kopię.

*Drogi Mervinie. Strasznie się cieszę na twoją wystawę. Cieszyłabym się jeszcze bardziej, gdybyś mnie sam zaprosił, ale wybaczam ci, ponieważ kiedy rozdawałeś zaproszenia, mało się jeszcze znaliśmy.*

*Flora Finton,  
dział kadr, czwarte piętro.*

- No wiesz, bardziej niegrzecznie już nie potrafię. Nie mam wprawy. A ty mówiłaś, że trzeba powiedzieć, co się naprawdę myśli, a ja tak właśnie myślę. Nie ma tego polotu, co twój niegrzeczny list, ale też Mervin nie pracuje na najwyższym piętrze.

Byłam zachwycona i rozbawiona. Może nie doceniałam Flory. - I co zareagował?

- Przysłał mi zaproszenie, specjalnie dla mnie. Teraz mam dwa. - Pokazała je z dumą. Chwilę potem oblała się rumieńcem. - I przysłał liścik:

*Droga Floro, przepraszam, że nie przekazałem ci tego zaproszenia wcześniej. Po wystawie idziemy całą paczką na kolację, może zechciałabyś do nas dołączyć?*

- Floro, to cudownie!

- Nie myślisz, że on to zrobił ze zwykłej uprzejmości? - zapytała niepewnie. - Że wymusiłam na nim zaproszenie?

- Ha! - Trąciłam Florę w ramię. - Prawda wygląda tak, że jesteś w rozdziale czwartym, przeskoczyłaś dwa. Zanim się obejrzyysz, będziemy kupowały... - Tu zanuciłam marsz weselny.

- Och, daj spokój, Caron. Zaraz zemdleję.

- Widziałaś go dzisiaj?

- Och, nie. Gdyby przyszedł do mojego biura, schowałabym się pod biurko. Nie dam rady co minuta mówić czegoś mądrego.

- Doskonale. Trzymaj dystans przez jakiś czas, niech cię uwielbia z daleka, niech ujrzy na tle tych panienek, które pchają mu się do łóżka.

- Tak chcesz to rozegrać z Jackiem Howardem?

- Niezupełnie. Będę go unikać jak zarazy do czasu wystawy Mervina. Tam przykleję się do ciebie, żeby nie być z nim sam na sam. Potem biorę nogi za pas.

Ale Flora się nie roześmiała.

- Wiesz, Caron, nawet jeżeli go nie kochasz, przynajmniej na razie, bo to się zawsze zmienia w ostatnim rozdziale, mógłby załatwić ci awans.

- Żeby musiała siedzieć w jego gabinecie przez cały boży dzień? Dziękuję bardzo!

- Chodzi mi o ten dzień, kiedy cię wezwał. Nikt nie wie, że to były sprawy prywatne. Inne biura też cię wypożyczały. To mogłoby prowadzić do awansu.

- Floro, nie pojedę na górę wierzchem na świni, koniec kropka. Tu pracują setki ludzi, jakiś etat musi się wkrótce zwolnić.

- Może się wydawać, że pracuje tu dużo ludzi, ale to głównie sprzątaczkę, agenci ochrony, różni tacy. Są zatrudniani przez różne firmy, niekoniecznie przez nas. - Namyslała się nad czymś ze zmarszczonym czołem. - Ale ktoś może umrzeć - powiedziała w końcu.

- Za karawanem też nie jadę. Gdybym tylko wpadła na jakiś dobry, naprawdę dobry pomysł, mogłabym zebrać środki na założenie własnej firmy. To jedyna droga do pieniędzy. Każda inna praca przysparza ich tylko szefowi.

Następnego dnia dotarłam do pracy przed Melody i zastałam straszny bałagan na jej biurku. Wyglądało to jak morze miodu. No cóż, wyglądało to jak gęste siki, ale pachniało jak miód. Na środku leżał kartonik wielkości kartki pocztowej, pusty, za to z grubą czarną obwódką. Niby nekrolog, tyle że bez słów. Czyściłam to wszystko papierowymi ręcznikami, kiedy zjawiała się Melody.

Popatrzyła na biurko, potem włożyła okulary, żeby ze mną porozmawiać.

- Znowu. Ostatnim razem ktoś rozlał kawę na taśmy.

- Zgłosiłaś to?

- Mówiłam ci, że ktoś próbuje się mnie pozbyć. Lepiej go ignorować.

- Zasługuje raczej na to, żeby go usmażyć w prodiżu.

- Całkiem możliwe, kochanie. Ale wywołując burzę, tylko go uszczęśliwię.

Pani Brown przyniosła nam dzienną dawkę pracy, dla Metody w zalakowanej brązowej kopercie. Oddałam jej kopertę sądząc, że musi to być coś osobistego.

Otworzyła, zerknęła do środka i oddała mi ją z powrotem.

- Liczby, Caron.

Faktycznie były to liczby, ale przeterminowane przynajmniej o sześć miesięcy. Pieczętka „poufne” znajdowała się na ostatniej stronie, tam gdzie zwykle. Kartkując dokument, zastanawiałam się, czy odbywa się oficjalna rewizja ksiąg. To by wyjaśniało, dlaczego sprawdzam stare raporty.

Analizując pozycję po pozycji, znów natknęłam się na duże i mało prawdopodobne kwoty, które miały tendencję do rozplywania się w powietrzu. Tym razem nie chodziło o biustonosze, lecz o ogromną partię towaru przesłaną do Austrii. Nie mogło tam być aż tyle jodłujących kobiet noszących czerwone bufiaste portki. Przez cały dzień tylko sprawdzałam, niczego nie wytwarzając, a potem włożyłam wszystko z powrotem do koperty i zakleiłam taśmą. Załączyłam również notatkę wskazującą podejrzone pozycje, razem z uwagą że trzeba by sprawdzić rachunki z dwóch lat, żeby cokolwiek udowodnić. Trochę się wychylałam, ale pomyślałam, co mi tam. Jeżeli Chambersa szlag trafi, trudno, stracę pracę.

Następnego dnia rano Melody była jakaś niespokojna. Zwykle stuka w maszynę z szybkością karabinu maszynowego i nuci pod nosem, teraz wystukała tylko parę słów i popatrzyła na mnie.

- Jesteś jednym z tych cudownych dzieci, Caron? Tych małych geniuszy?

- Zawsze tak myślałam i mówiłam - zażartowałam. - Ale nie jestem pewna, czy to powszechna opinia. Dlaczego pytasz?

Włożyła okulary i zaczęła malować paznokcie.

- Mogę spytać, co robiłaś, zanim przyszedłaś do Chambersa?

No i klops! Nie miała dostępu do moich akt personalnych, więc skąd wie, że przedtem nie pracowałam w księgowości? Po gorączkowym namyśle uznałam, że nie pozostaje mi nic innego, jak zaufać Melody.

- Prawda jest taka, Melody, że pracowałam przedtem dla amerykańskiej firmy. Nie aprobowałam tego, co robili, więc odeszłam. Nie dali mi dobrych referencji, więc zaczynam wszystko od początku. - Nie mogłam przecież powiedzieć, że nie aprobowałam tego, że mój szef sypia ze swoją żoną.

- To duża ulga, kochanie. - Melody zdjęła okulary i zaatakowała komputer, nucąc *Greensleeves*.

Nie pamiętałam słów, więc nie mogłam wydedukować o co dokładnie chodzi. Ale nawet ja mogłam wysnuć teorię łączącą *Greensleeves* z arkuszami kalkulacyjnymi.

Wszystko wyjaśniło się następnego ranka. Najpierw Melody spytała, czy mogłabym jej przynieść kawę. Zwykle czekałam z tym, aż przepracujemy pół godziny. Potem wzięła moją torebkę i coś do niej włożyła. Ponieważ mam cierpliwość komara, poszłam od razu do toalety. W torebce znajdowała się mała koperta z czterema nieoznakowanymi dyskietkami.

Wróciłam do biurka.

- Melody - zagadnęłam - znasz pana Chambersa. Czy łączą go stosunki zawodowe z jego komputerem?

Uśmiechnęła się.

- W tym jest trochę podobny do mnie. Uważa, że to taki gorszy rodzaj telewizora, bo nie nadaje telenowel. Ale jest nie w ciemny bity - dodała. - I wie, co robić z rezultatami. - Ruchem głowy wskazała moją torebkę.

- To może mi zająć kilka dni. Może nawet tydzień. - Jestem pewna, że to nie szkodzi, kochanie. Niektóre telenowełe ciągną się przez dwadzieścia lat.

Po pracy wstąpiłam do Stoner na pogawędkę. Zaprosiła mnie na obiad i siedziałam przy kuchennym stole, podczas gdy ona dawała popis gotowania.

Wszedł James.

- James, jak miło cię widzieć! - zawołałam radośnie, zanim Stoner zdążyła go wyrzucić. - Siadaj i patrz ze mną na Stoner. Powinna mieć własny program kucharski w telewizji.

- Z pewnością - odparł. - Możesz jej to jakoś załatwić?

- Czy mogłabym cię opuścić, James? - powiedziała Stone. - Nawet dla sławy i pieniędzy? Zostanę tutaj, aż mnie wyniosą.

Po raz pierwszy strzałki, którymi w siebie ciskali, zamiast octu miały na ostrzach odrobinę dżemu truskawkowego.

- Chciałem do ciebie zadzwonić, Caron - powiedział James. - Umówić się na obiad. Ale na górze pracujemy niemal na okrągło i nigdy nie mogę się wyrwać na czas.

- Ale to jest obiad, James. I nikt nie gotuje lepiej od Stoner. Wolę zjeść tutaj niż w jakiejś eleganckiej restauracji. Te tłumy i amerykańskie bizneswoman! - Spróbowałam zmienić temat. - Nie wiem, czy to jest tajemnica, więc jakby co, to nie odpowiadaj. Wieść niesie, że Chambers jest podmiotem przymusowego przejęcia.

James zmarszczył czoło.

- Powiedz mi, jak się dowiesz, kto ma nas przejąć. Roześmiałam się.

- Jest aż tak źle?

- Prawdopodobnie gorzej.

Stoner upiekła przepyszny kurczaka z nadzieniem. Do tego były ziemniaki pieczone i duszone, trzy inne jarzyny i świeża zielona sałata. Na deser truskawki z górą śmietany i ciasto domowego wypieku. Na miejscu Jamesa kłaniałabym się Stoner w pas.

Odprowadził mnie do domu przez park.

- Szkoda, że nie jesteś ubrana do joggingu, Caron.

- O ile dobrze pamiętam, odbębniłam swoje pięć kilometrów przed śniadaniem.

Roześmiał się i wziął mnie za rękę. - Pewnie byś ze mną wygrała. Ostatnio jestem przywiązany do biurka.

- To się z pewnością wkrótce uspokoi. Wtedy sobie odpoczniesz.



- Myślałem o tym, Caron. Może wybralibyśmy się razem na weekend?
- Jako przyjaciele? - Byłam zaskoczona.
- Na pewno nie jako wrogowie - zaśmiał się.
- James, nie sądzisz, że to trochę za wcześnie? Chodzi mi o konia i lodową górę?

Nie pamiętam, jak mieliśmy nazywać to, o czym nie powinniśmy rozmawiać. Kostka i góra lodowa?

- A ja czuję się tak, jakby w końcu odnalazł mnie Golfstrom. Całkowicie rozmrożony. A ty? - Zatrzymał się i popatrzył na mnie. - Nie masz już chyba tych problemów z przesyłkami?

- Zdarzają się, choć od jedwabnych różowych majtek nic nie przyszło. - Zamknęłam sobie usta dłonią ale było już za późno.

- Jedwabnych majtek? Caron, mamy do czynienia z maniakiem?

Miałam ochotę się trochę podroczyć.

- Nie sądzisz, że różowe jedwabne majtki są w dobrym guście? Miały metkę Chambersa.

- Jestem pewien, że wyglądasz świetnie we wszystkim. I jeżeli kiedykolwiek będę miał okazję zobaczyć, to znaczy...

- Zobaczyć, jakie majtki noszę?

- Tak, to właśnie miałem na myśli. Cóż tych kolorów akurat nie brałbym pod uwagę. Masz je teraz na sobie?

- James! W życiu nie włożyłabym majtek przysłanych przez kostkę konia. I czy wyglądam na kogoś, kto lubi róż? Nadawca raczej nie jest maniakiem, ale chyba nie powinnam całkowicie go ignorować. To wszystko musi do czegoś prowadzić. W tej chwili nie czuję się zagrożona.

- Mam nadzieję. Nie wtedy, gdy jesteś ze mną. Ale powiesz mi, gdyby coś się stało? Nie chcę cię denerwować, wracając ciągle do tego tematu.

- Oczywiście, że ci powiem, James. Dotarliśmy do skraju parku.

- Czyja teraz kolej? - zapytał.

- Kolej na co?

- To chyba oznacza, że moja. - Odwrócił mnie wolno ku sobie i ogarnął łagodnie ramionami. Z początku staliśmy tylko w niebiańsko ciepłym uścisku. Potem uniósł moją twarz i pocałował mnie. Był to jeden z tych pocałunków, kiedy nie wiesz, gdzie ty się kończysz, a on zaczyna, i nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz poruszyć nogami. Było tak miło, że kiedy skończyliśmy, zebrało się nam na bis.

- Więc kiedy wszystko się uspokoi, co powiesz na weekend? - zapytał, kiedy zabrakło nam tchu.

- Uzgodniliśmy, że tworzymy własne zasady przyjaźni. A przy twojej intensywnej pracy będziesz potrzebował trochę R i R. Pamiętaj, że to skrót od ravioli i relaksu.

Pokazał zęby w uśmiechu.

- A nie od romansu i Rip Van Winkle'a? - Rip Van Winkle'a?

- Spędzał mnóstwo czasu w łóżku.

## *Rozdział 16*

Sobota była ciepła i słoneczna. Flora, Evelyn i ja siedziałyśmy przy stole, próbując zdecydować, co zrobić z tak pięknym dniem. Ktoś zapukał do drzwi.

- Floro - powiedziała Evelyn, wstając - kiedy będziesz miała dzwonek jak normalny człowiek?

Flora poczuła się urażona, że ktoś taki jak Evelyn nie uważa jej za normalnego człowieka.

- Nie martw się - wtrąciłam. - Ja kupię Florze dzwonek na Gwiazdkę.

Evelyn wróciła po paru sekundach.

- Kolejna przesyłka. Ale nie martw się, furgonetka od Harrodsa i na nazwisko Flory.

- Ale ja nie zamawiałam niczego w Harrodsie - powiedziała Flora. - Ani w ogóle nigdzie.

Posłaniec powiedział, że przywiózł meble ogrodowe, grill, kosz prowiantu i szampana na dwanaście osób.

- Mam instrukcje, żeby wszystko zainstalować. Ale jedzenie trzeba wsadzić do lodówki. Gdzie mam postawić ten kosz? - Wszedł do domu, a za nim drugi facet z identycznym koszem.

- Stać! - krzyknęła Flora. - To pomyłka. To nie dla mnie.

Posłaniec uśmiechnął się.

- Dla pani, jeżeli nazywa się pani Flora Finton. Instrukcje są jasne. Poczekać na pierwszą suchą, słoneczną sobotę, dostarczyć cały kram i zainstalować. Adres się zgadza.

- Pewnie wzięłaś udział w konkursie i wygrałaś - orzekła Evelyn. - Wpuść panów.

- Wiedziałabym, gdybym wzięła udział w konkursie, coś bym o tym wiedziała.

Jeżeli to pomyłka, a my wszystko zjemy, będę musiała zapłacić.

- Floro - zapytałam - czy to możliwe, żebyś wzięła udział w konkursie, nie zdając sobie z tego sprawy? Czasem przy zakupach albo zamówieniu piszą drobnym druczkiem, że kupujący weźmie udział w losowaniu.

Flora namyślała się przez chwilę.

- Zapisałam się ostatnio do Klubu Romansu.

- To jest to, kretynko! - powiedziała Evelyn. - Romans, szampan, Harrods, kosze piknikowe. Wszystko pasuje. Szkoda, że nie przysłali paru facetów do kompletu.

Posłańcy wyraźnie się spłoszyli.

- Miałam na myśli kogoś na poziomie, nie jakiegoś starego chłopca - wyjaśniła Evelyn.

Flora nadal miała wątpliwości i spytała posłańca, czy nie było wizytówki albo listu. Przejrzał jakieś papiery i powiedział:

- Przepraszam, nie zauważyłem tego przedtem.

Podał jej grubą kremową kopertę, jedną z tych, jakie byśmy chętnie kupowali, gdyby potem stać nas było jeszcze na znaczek.

Flora wyjęła kartkę papieru w tym samym kolorze co koperta.

*Droga Floro Finton, gratulacje! Mamy przyjemność dostarczyć Ci wspaniałą nagrodę, ponieważ...*

Czekaliśmy w milczeniu na dalszy ciąg.

- Ponieważ co, Floro?

- To wszystko. Nie ma drugiej strony. A powinna być. Nigdy nie słyszałam o Nagrodzie Ponieważ.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Posłaniec zapewnił Florę, że nagroda jest jej, a Harrods poniesie konsekwencje ewentualnej pomyłki.

- Zaprowadzę ich do ogrodu - powiedziała Evelyn.

- A co z pajakami? Insektami? - zapytała Flora ze złośliwym uśmiechem, zanim Evelyn zdążyła zrobić krok. - Mówiąc, że ich nie ma, miałam na myśli wnętrze domu.

Evelyn wzruszyła ramionami.

- Nie obeszloby mnie nawet, gdybyś miała w ogrodzie cmentarz. Skoro szykuje się feta, możecie na mnie liczyć. Może jeżeli przyzwyczaję się do ich kuchni, Harrods zatrudni mnie do rozdawania próbek. To byłoby lepsze od czterdziestu dwóch serów.

Zajęliśmy się prowiantem.

- Musiałam jej coś powiedzieć - tłumaczyła po cichu Flora, kiedy odkładałyśmy jedzenie do lodówki. - Irytuje mnie, że co rano szuka po domu pajęczyn. - Wyjęła z kosza szynkę. - Boże, Caron, nakarmiłabym tym armię.

- Tak. Jeżeli to ma być wyżerka na dwanaście osób, ci z Harrodsa mieli chyba na myśli wygłodzonych żołdaków. Chyba trzeba wyprawić przyjęcie. Zadzwoń do Mervina. Ja zaproszę Jamesa i Stoner, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. Ale nie mogę przecież powiedzieć Mervinowi, że zdobyłam nagrodę Klubu Romansu.

- Więc powiedz Klubu Książki.

Kazała mi najpierw zadzwonić do Jamesa, sprawdzić, jak zareaguje na Nagrodę Ponieważ.

- Chcesz, żeby przyszła Stoner? - zapytał James. - Jestem pewien, że będzie zachwycona. Dostarczę ją w przeciągu dziesięciu minut. Ma zabrać ze sobą zestaw nocny? Mogę się bez niej obejść. Na jedną noc. Na tydzień. Na rok?

- James, jesteś okropny. Roześmiał się.

- Nie odkładaj słuchawki, pójde ją zapytać. Wrócił po paru chwilach.

- Jest zachwycona. Przyjde niedługo, ale na razie mam tu Henry'ego, który jest pomocnikiem ogrodnika.

- Jaki jest ten Henry? Może też wpadnie? Nie nadałby się dla Evelyn?

- Jakich facetów lubi Evelyn?

- Między osiemnastym a osiemdziesiątym rokiem życia. Mamy mnóstwo jedzenia, więc przyprowadź go, nawet jeżeli ma sto lat.

- Evelyn nazwałaby go pewnie byczkiem. Student medycyny, dorabia jako ogrodnik, żeby opłacić chesne. Z pewnością ucieszy się z darmowego posiłku, a może nawet polubi Evelyn. - zaproponował, że przyniesie wino, ale powiedziałam, żeby niczego nie brał i przyszedł możliwie głodny i spragniony.

Potem powiedziałam Florze o Henrym.

- I James nawet nie spytał, co to jest Nagroda Ponieważ.

- Bo mamrotałaś pod nosem.

- To ty też mamroc. Zjawila się Evelyn.

- Pokazałam posłańcom co i jak. Co mam dalej robić? Kiedy Evelyn ofiarowuje swoją pomoc, często chce mi się płakać.

- Możesz wypatrywać przez frontowe okno swojego nowego chłopaka - powiedziałam.

- Wolałabym, żebyście nie żartowały z ważnych spraw, takich jak mężczyźni i insekty.

- Ona mówi poważnie - zapewniła ją Flora. - Ma na imię Henry i jest studentem medycyny.

Zanim przyszedł James, wypiliśmy już pół butelki wina.

- Stoner raczej by umarła, niż przyszła z pustymi rękami, więc jej chłopczyk zjawi się tu zaraz z kwiatami. Potem wróci po Stoner, która koniecznie chce się przejechać jego furgonetką.

- Ten gość, Henry, jest chłopakiem twojej gospodyni? - Gdyby wzrok mógł zabijać, kwiaty od Stoner trzeba by położyć na Jamesie.

- Jest jej pomocnikiem - roześmiał się James - ale ponieważ ostatnio zmieniła nazwisko na Stoner...

- Jeżeli facet jest dojrzały i studiuje medycynę, z pewnością mnie polubi.

- Ale ty nigdy nie chorujesz - zauważyła Flora. - Kurczę, chyba nie myślisz, że lekarze lubią chorych ludzi?

- Owszem, lubią - powiedziała Flora dobrodusznie.

- Może Evelyn ma rację, Floro - wtrąciłam. - Gdyby lubili chorych ludzi, zostawiliby ich własnemu losowi, żeby nie zdrowieli.

- Henry jest miły i dobrze wychowany, żeby użyć słów Stoner. I jest dość duży, by cię podnieść i unieść w dal, Evelyn. Więc bądź ostrożna.

- Chrzanić ostrożność! Możecie mi coś doradzić? Jakies wskazówki? Agencja zwykle je daje.

- Nie sądzę, żeby udawanie niedostępnej było w twoim stylu? - zapytałam.

- Jak mam udawać trudną do zdobycia, kiedy nawet go nie znam? Myślcie intensywniej. I szybciej.

- Sądzę... to znaczy, sugeruję, żebyś tym razem nie kładła kondomów na stole - poradziła Flora.

Przed domem zatrzymała się furgonetka.

- Jest! - krzyknęła Evelyn. - Pomogę mu przy kwiatach. Następnie pobiła światowy rekord w biegach na sześćdziesiąt metrów. Rzuciliśmy się z Florą do okna.

- Rany, Caron! Henry jest wysoki, szeroki w barach i seksowny. Rude włosy, broda i uroczy uśmiech. Założę się, że ma też błękitne oczy. Przypomina mi lekarza z romansu Mills i Boon.

- A czy tamten lekarz lubił kobiety pokroju Evelyn? - zapytał James.

- W żadnej książce nie ma kobiety pokroju Evelyn - stwierdziła Flora. - Była jedna w kryminale, ale zginęła na dwudziestej trzeciej stronie. Myślcie, że przestraszy tego biednego człowieka na śmierć?

- Pamiętaj, że on ma zostać lekarzem - zauważył James. Wpadła Evelyn, niosąc trzy cudowne rośliny w doniczkach. - Nie uwierzycie! Ten Henry ma prawdziwy talent.

- Uwierzymy! - zawołaliśmy chórem.

- Dlaczego nie wstąpił chociaż na kawę? - zapytała Flora.

- Musiał wrócić do Stoner. Dostarczy ją tutaj, a potem pojedzie do domu się przebrać. Przyjdzie dość późno.

James puścił do mnie oko.

- Uwważaj, Evelyn! Może Henry czeka, aż zapadnie zmrok. Jak wampiry.

Zjawił się Mervin z butelką wina i kwiatami.

- Przywiozłem też kamerę, żeby upamiętnić to wydarzenie. Gratuluję, Floro. - Spojrzał na Florę, która miała na sobie jeden z nowych strojów, szerokie spodnie i skąpą kamizelkę. - Wyglądasz wspaniale, Floro. Dlaczego nie przychodzisz tak do pracy?

- To znaczy, w nowych rzeczach?

- Ja przychodziłbym też w nowych włosach.

Okazało się, że pracownicy Harrodsa już kończą. Czytałam o tym, że bogacze po prostu zamawiają przyjęcie. Całe przyjęcie. A ci goście przywieźli nawet sztuczną trawę, którą rozłożyli na chwastach Flory. Po ustawieniu cudownych tekowych mebli otoczyli cały teren kwiatami i zainstalowali lampy solarne. Rozpalili węgiel pod grillem i wyglądało na to, że są gotowi przystąpić do gotowania. Flora powiedziała, nie, dziękuję. I

miała rację. Ogród był tak maleńki, że przy meblach i gościach, posłańcy musieliby robić za ogrodowe gnomy i stać przy płocie.

Kiedy przyjechała Stoner, uściskałam ją serdecznie.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Jesteś pewna, że mam ci mówić Stoner?

Roześmiała się.

- Szkoda, że nie widziałas miny Jamesa, kiedy mu to zaproponowałam. Duża rzecz! Wiesz, Caron, to nie było normalne, żeby mężczyzna w jego wieku myślał cały czas o emeryturach.

Henry przyszedł, został wszystkim przedstawiony, po czym Evelyn przyłgnęła do niego niczym bluszcz do dębu. Flora podała wędzonego łososa i do zakąsek rozpiliśmy pierwszego szampana. Mężczyźni zgłosili się na ochotnika do grillowania. Nie lubię podziału obowiązków według płci, ale gotowania też nie lubię. Siedzieliśmy w pogodnej atmosferze, wciągając w nozdrza zapach przypiekanych steków, kiełbasek i burgerów. Były tam nawet kotlety wegetariańskie, a także talerze surowych warzyw, oliwek, sosów oraz zestaw przypraw. Co parę minut strzelały korki od szampana. Nocny raj w Hampstead.

Ponieważ Henry pomagał przy grillu, Evelyn robiła to samo, upuszczając steki, rozlewając napoje, tłukąc szampanki Harrodsa. Ale Henry się śmiał, a może po prostu obrzydły mu kompetentne pielęgniarki i wołał taką Evelyn. Pewnie już się połapał, że jest to kandydatka na nową Elizę Doolittle.

Stoner pogratulowała Florze wygranej.

- To tylko łut szczęścia - powiedziała Flora. - Naprawdę odważna jest Caron. Chce zawsze coś robić, nie boi się żadnej pracy, bierze drugi etat, pracuje w każdej wolnej chwili, nawet w weekendy. Bierze również nadgodziny.

Rozumiałam, że próbuje odwrócić ich uwagę od Klubu Romansów, ale zrobiła ze mnie superkobietę, a takiemu wizerunkowi trudno sprostać. No, mogłam spróbować.

- Dzięki, Floro. Zakładam jedynie, że kiedy człowiek chce się opalić, musi odsłonić skórę. To samo tyczy się szczęścia. Tak było z tobą. Im częściej otwierasz się na ludzi, tym masz większą szansę. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś wygrał na loterii, siedząc w jaskini na Hybrydach.

- To tam są jaskinie? - zapytała Flora.

- Jeżeli ich nie ma, to tym gorzej, co sądzisz Stoner?

- Ona ma rację, Floro. Rodzimy się, nie wiedząc nic. Dlatego wiek, z całym tym bagażem doświadczeń, jest taki cenny. Staram się to wytłumaczyć pewnym ludziom.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

- Wiesz, on naprawdę docenia twoje zalety, Stoner. Po prostu nie potrafi tego okazać.

Ona też uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Może powinien odsłonić trochę skóry.

- A co do pracy, Floro, to tak, jestem gotowa pracować o każdej porze dnia i nocy.

Ktoś powiedział: „Im więcej pracuję, tym mam więcej szczęścia”.

- Chyba jakiś pracoholik optymista.

- Prawdę mówiąc, był to Henry Ford.

- Ja też się z nim zgadzam - powiedziała Stoner. - Zamierzam umrzeć na pełnych obrotach. Widziałam tych staruszków w telewizji, jak siedzą na werandzie domu opieki, otuleni wełnianymi pledami, czekając.

- Czekając? - zapytała Flora.

- Śmierć dopadnie nas tak czy inaczej, ale nierozsądnie jest wysyłać zaproszenia.

- Czytałam, że śmierć jest jedynym stanem wolnym od ryzyka. Może to prawda.

- Może i tak - odparła Stoner. - Ale jedyny test jest śmiertelny.

Mięso było gotowe, więc rozsiedliśmy się wokół stołu. Kwiaty Stoner stały dumnie na środku. Evelyn przypomniała Mervinowi, żeby uwiecznił nas dla potomności. Wszyscy uśmiechnęliśmy się do kamery, a potem rzuciliśmy się na jedzenie.

- Wspaniałe przyjęcie, Floro - powiedział w pewnym momencie Mervin. - Muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem o Nagrodzie Ponieważ. Z początku myślałem, że powiedziałaś Booker, ale to przecież nagroda dla pisarzy, nie czytelników.

Flora zaczerwieniła się gwałtownie, przeczuwając, że będzie musiała wyjaśnić sprawę Klubu Romansu.

- Nagroda Ponieważ jest dla czytelników, nie dla pisarzy.

- Właśnie - dodała Evelyn. - Flora cały czas siedzi z nosem w książce. Słusznie wygrała.

- Jakie książki czytasz, Floro? - zapytał Mervin. - Na czym polegał ten konkurs? Teraz już nawet Evelyn poczerwieniała.

- Flora zapisała się do Klubu Książki. Ma bardzo uniwersalny gust.

- Właśnie - zawtórowała mi Evelyn. - Flora czyta książki, których bohaterowie chodzą na uniwersytet. Jedna miała nawet na okładce gościa w todze. Więc gdybym miała powiedzieć, na przykład w telewizji, co ona czyta, powiedziałabym, że książki o studentach.

- Uniwersalny gust w tym sensie - wtrąciłam szybko - że czyta różną literaturę.

- To dziwne - powiedział James - że sponsorzy przyznali taką cenną nagrodę, nie starając się o reklamę. Powinni przysłać tu fotoreporterów, zadbać o prasę.

Flora zakaszlała, może nawet zaczęła się krtusić.

- Czytałam, że wydawcy mają teraz problemy. Może bali się, że ludzie źle to zrozumieją, na przykład pomyślą, że nie jestem najlepszym czytelnikiem, ale jedynym.

- Poza tym mogła postawić krzyżyk w tej małej rubryczce, gdzie jest napisane „bez reklamy”. Można tak zrobić, kiedy się wygrało na loterii. Co sądzisz, Henry?

Uśmiechnął się tak, że postawiłby na nogi nieżywego pacjenta.

- O książkach, reklamie czy loterii? Jestem za, zwłaszcza jeśli zawdzięczamy im to spotkanie i udane przyjęcie.

- Lubię takich mężczyzn - powiedziała Evelyn. - A ty wyglądasz na szczęściarza. Weź od Flory adres tego klubu książkowego, to może wygrasz następną nagrodę.

Flora wstała.

- Evelyn, myślisz, że mogłabyś pomóc mi przynieść truskawki i niczego przy tym nie stłuc i nie wylać?

Później Evelyn nastawiła jakąś muzykę i zaproponowała tańce.

Na tańce nie było miejsca, chyba że na skraju sztucznego trawnika. Ale ponieważ taniec oznacza w rzeczywistości przytulanie, nikt się nie skarżył. I nikt nie tańczył poza Evelyn i Henrym. Jeżeli był to taniec.

Po zmroku zapaliliśmy świece i latarnie. W pewnym momencie, kiedy robiłam herbatę dla Stoner, do kuchni przyszła Flora.

- Wygląda na to, że Evelyn zbiera punkty - powiedziałam. - Ładna z nich para. I niezłe tempo, co?

- Evelyn pasuje wyłącznie do krótkich opowiadań - potwierdziła Flora i uśmiechnęła się.

Zaparzyłam herbatę. Flora pakowała dla gości to, czego nie zdołaliśmy zjeść.

- Zauważyłaś, jak przyjaźnie odnoszą się do siebie James i Stoner? Mówią sobie miłe rzeczy.

- To dobrze. W książce zwlekiliby z tym, aż któregoś umrze, i żałowali poniewczasie.

Wieczór zbliżał się ku końcowi, kiedy Mervin zapytał, czy może zajrzeć do mojej sypialni, zerknąć na swoje kopie Picassa. Flora zgodziła się natychmiast z nadzieją, że spodobają mu się szlachetnie proste ramy. James przysunął się do mnie.

- Ja też chciałbym zobaczyć twoją sypialnię, Caron.

- James! Pamiętaj, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Oczywiście, Caron. Ale chyba mógłbym tam pójść w towarzystwie sześciu osób? Zresztą, chciałem się tylko upewnić, czy nie czai się tam jakiś posłaniec. - Mówił równie przekonująco jak markiz de Sade twierdzący, że chciał tylko pograć w bingo w ratuszu.

- Jasne! Siedzi na łóżku i czyta książkę.

- Rozsądny facet.

- Coś podobnego! Kopia dla każdego z nas! - krzyknął James na widok obrazów. Wszyscy śmiali się z wielokrotnego Picassa. Fakt, że nie był to często spotykany widok.

Stoner też była rozbawiona, jeżeli sądzić po jej rechotaniu. Spodobał się jej również bujany fotel w salonie i nawet go wypróbowała. Potem stanęła przy kominku i zauważyła pozytywkę.



- Jaka śliczna!

- Otwórz, Stoner. W środku nie ma nic osobistego. Tylko dropsy miętowe.

Podniosła wieczko i wysłuchaliśmy *Yankee Doodle went to town*. Było to naprawdę zabawne.

Później znaleźliśmy się z Jamesem sami w kuchni. Przez czysty przypadek.

Wymieniliśmy długi, miły, podejrzanie zgrzytliwy brykietowy pocałunek, a potem staliśmy objęci.

- Zastanawiałem się nad naszą przyjaźnią, Caron - powiedział James. - Myślisz, że moglibyśmy pchnąć ją naprzód?

- A dokąd to zaprowadzi? Trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy. Planujemy wspólny weekend...

Zmarszczył czoło z udanym namysłem.

- Nie wiem. Może do pięćdziesiątej rocznicy ślubu?

Roześmialiśmy się, ale to była przerażająca myśl.

- Sądzę, że raczej powinniśmy się trochę cofnąć, James.

- Zgoda - powiedział. - Do którego pocałunku? - I nie czekał nawet, aż odpowiem na pytanie.

Nagle rozległ się wrzask Evelyn: „ueee!", co w języku karate oznacza niewątpliwie „zejdź mi z drogi". Potem usłyszeliśmy krzyk Henry'ego. Wpadliśmy do salonu w tej samej chwili, co Stoner, Flora i Mervin.

- Pieprzona cholera! Uciekła!

- Chyba nie, Evelyn - powiedziała Flora, patrząc jak zdyszany Henry idzie ku nam ścieżką.

- Nie on, Floro! Nie Henry. Wychodził, więc odprowadziłam go do furgonetki.

Henry stanął przy nas i zgięty wpół łapał oddech.

- Zobaczyłem faceta - wysapał - jak wlaził przez okno. - Nogi miał jeszcze na zewnątrz.

- Szkoda, że nie widzieliście, jak Henry się rzucił - wtrąciła Evelyn. - Myślałam, że mu odgryzie nogę.

- Evelyn, krzychałem, żeby go przestraszyć. Ale on mnie kopnął i wylądowałem na ziemi. Zanim się pozbierałem, zdążył uciec.

- Chciałam go znokautować, ale był za daleko, żebym mogła użyć stopy.

- Wtedy zacząłem go gonić. Ale on miał współlnika z samochodem. Stał za rogiem.

- Trzeba zawiadomić policję - powiedziała Flora. Henry wskazał komórkę, którą miał przy pasku.

- Już dzwoniłem. Pojadę na posterunek i złożę zeznanie, ale nie sądę, żeby to odniosło jakiś skutek. Gość był średniego wzrostu, średniej tuszy. Był nieprzeciętny tylko w tym, że nieprzeciętnie szybko uciekał.

- Twarzy nie widziałeś? - zapytał James.

- Nie. Leżałem na ziemi, kiedy uciekał. Miał czapkę naciągniętą nisko na czoło i rękawiczki. A ty coś widziałeś, Evelyn?

- Było ciemno. I patrzyłam na swoją stopę, musiałam się upewnić, że jest w odpowiedniej pozycji.

- Facet wchodził, a nie wychodził? - pytał dalej James.

- Tak, na pewno - odezwała się Evelyn. Henry milczał. - Dopiero co stamtąd wyszliśmy.

- Eee... - powiedział Henry. - Evelyn myślała, że w jej szafie jest jeszcze jedna butelka szampana.

- Dziwne miejsce na szampana - zauważyła Stoner. - I co, była?

James zakaszłał.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą na posterunek?

- Nie, dziękuję. Może Evelyn pójdzie?

- Może w furgonetce jest szampan? - zachichotała. Podczas tej wymiany zdań Mervin trzymał się na uboczu.

- Mervin, przegapiłeś swoją szansę - zwróciła się do niego Evelyn. - Powinieneś sfilmować to swoją kamerą.

- Włamywacz zapomniał mnie uprzedzić, o której tu będzie. James uparł się, że przeszuka dom, zanim odwiezie Stoner.

Zapytał, czy chcemy pojechać razem z nim.

- Nie sądzę, żeby facet wrócił jeszcze dzisiaj. Ale dziękuję za troskę - powiedziałam.

Jednak obeszyliśmy z Florą cały dom, sprawdzając okna i drzwi. Upewniłyśmy się też, że przepis na ciasteczka kakaowe nadal wisi w łazience.

- Myślisz, że chodziło mu o Picassa? - zapytała Flora.

- Aha. - Zaczęłam się śmiać. - Floro, to nie była nagroda Bookera. Ani Nagroda Ponieważ. Teraz wszystko ma sens. Dostawa Harrodsa, to, że mieli rozstawić grill w pierwszy suchy, słoneczny dzień, prowiant, szampan, brakująca druga strona listu. To była Nagroda Basa. Całe to przedstawienie miało odwrócić naszą uwagę i umożliwić włamanie.

- Mnie się też tak wydaje.

- To znaczy, że wygrałyśmy! Dzisiaj ograłyśmy Basa!

- Mam nadzieję, że nie spróbuje ukraść mi mebli ogrodowych.

- Tego by nie zrobił. To by było przyznanie się do porażki. Nie, będzie starał się to wszystko obrócić na swoją korzyść.

Flora wyraźnie się przestraszyła.

- Więc to dobrze, że wygrałyśmy?

- Oczywiście! Zawsze dobrze jest wygrać w uczciwej walce. Dlaczego pytasz?

- Gdybyśmy przegrały, nie chciałby się zemścić. Boję się, że wpadnie w szal.

- I tu masz rację. Słuszna uwaga. Ale żeby powstrzymać kogoś, kto cię terroryzuje, trzeba mu się przeciwstawić. To właśnie zrobiliśmy.

- W książkach dla dzieci, a nawet dla dorosłych, on rezygnuje, kiedy już mu się przeciwstawisz. Zostawia cię w spokoju. Nie pamiętam, żeby sprzeciwił któremuś z nich nakręcił. A ja zawsze wierzyłam tym książkom - dodała ze smutkiem.

- Ja też, Floro. Ale Bas pewnie jeszcze nie wie, że Czerwony Kapturek wygrywa.

- Może wreszcie uzna, że łatwiej i taniej będzie mu odkupić Picassa?

- Prędzej wstąpi do klasztoru.

- Wiesz, gdyby ten włamywacz nie zdołał usunąć z drogi Henry'ego, mógłby mu zrobić krzywdę. Gdyby wywiązała się walka. Mógł mieć broń albo coś takiego.

- Zgadza się, Floro. W tym problem. Zatrudnić bandytę to jedno, a panować nad nim to zupełnie inna para kaloszy. Czy któraś z twoich książek opisuje taką sytuację?

- Była jedna - odparła Flora po namyśle. - Ale jej nie dokończyłam. Przerzuciłam się na romans. Po tym, jak padło pięć trupów na pierwszych trzech stronach.

## Rozdział 17

Ostatnie dni przed wystawą Mervina minęły szybko, pewnie dlatego, że działo się wiele interesujących rzeczy. Co nie znaczy, że życie nie rzucało nam kłód pod nogi. Od mamy nadeszły dobre wieści.

*Droga Caron, przepraszam, że nie odpowiedziałam na twoje ostatnie dwie wiadomości. Wygraliśmy turniej. Tata ma się dobrze. Mam wieści. Pisali o Basie w gazetach, coś o jakiejś fuzji. Wygląda na to, że utknie w Nowym Jorku na parę tygodni. Pomyślałam, że będziesz chciała wiedzieć.*

*Ucałowania, mama i tata.*

Duża ulga. To znaczy, nawet Bas nie zaangażowałby się w fuzję tylko po to, żeby osłabić moją czujność. Więc może przestanie przysparzać mi kłopotów. Ha! Marne szanse.

Harvey Harris dotrzymał słowa i załatwił mi przeniesienie do swojego działu na trzy dni. Z początku próbował mnie uczyć, ale wkrótce zaczął się popisywać. Co dziwne, miał kopie niektórych poufnych dokumentów, które otrzymałam via Melody. Albo pan Chambers rozsyłał je jak kartki świąteczne, albo stary Harvey był hakerem zdolnym przyprawić Microsoft o ból głowy. Skromny księgowy, jak lubił o sobie mówić, w żadnym razie nie mógł mieć dostępu do najpilniej strzeżonych haseł.

Przyszło mi nawet do głowy, że Harvey edukował mnie na polecenie pana Chambersa, ale na to Harvey był zbyt szcwany. Na torturach wyśpiewałby wszystko za

papierosa i pół tabliczki czekolady. Nie żebym chciała go widzieć na torturach, ale nie zdradziłabym mu nawet, jakiej pasty do zębów używam. Osobiście mi nie przeszkadzał, a ostatnio używam takiej pasty, jaka jest akurat w promocji.

Melody miała większy powód do niepokoju. Niby drobiazgi, ale przekonały mnie w końcu, że ktoś się na nią wziął. Jeszcze jedna kawa rozlana na biurko. Kabelek usunięty z komputera. No, to akurat mogła zrobić sama, a w każdym razie na pewno by chciała.

Trochę czasu zajęło mi przepuszczenie dyskietek pana Chambersa przez programy komputerowe, które miałam w laptopie jeszcze z czasów Basa. Pomógł mi je zainstalować as informatyki i dzięki temu mogłam sprawdzać księgi rachunkowe firm, które chcieliśmy przejąć. Były to sprytnie, wyrafinowane programy. W końcu uzyskałam dane, mniej więcej podobne do tych, które przesałam panu Chambersowi wcześniej, z tą różnicą, że teraz było tego więcej, a oszustwo wydawało się bardziej oczywiste.

Następnym krokiem było ustalenie, kto miał dostęp do katalogów firmy. Oczywiście, listy nie było na dyskietkach, a ja nie miałam kodu udostępniającego takie materiały. Liczyłam na to, że tym zajmie się Jim Chambers. Może nie przepadał za komputerami, ale na pewno sobie z nimi radził lepiej, niż sądziła Melody. Ponieważ sprawa nie miała dalszego ciągu, uznałam, że było to jedynie interesujące interludium.

Aż tu któregoś dnia, kiedy jadłam kanapkę przy swoim biurku, podniosłam wzrok znad klawiatury i zobaczyłam Jamesa prowadzącego rozdygotaną Melody. Szybko wstałam i wzięłam ją pod ramię. Była blada i cała się trzęsła.

- Co się stało?

Melody zamachała dłońmi, po czym wyjęła chusteczkę pachnącą lawendą i otarła czoło. Spojrzałam na Jamesa. Miał poważną minę, ale skrzywił się z powątpiewaniem ponad głową Melody.

- Melody twierdzi, że ktoś próbował ją wepchnąć pod autobus. Że ktoś próbował ją zabić. Kilka kroków stąd. Fakt, niewiele brakowało. Wracalem z lunchu i zobaczyłem tłum. Ktoś wezwał policję. Ludzi było sporo, ale nikt nic nie widział.

- James, mógłbyś przynieść Melody filiżankę herbaty? A ona w tym czasie wszystko mi opowie.

- Dzięki Bogu, że zjawił się James - powiedziała Melody. - Przyznaję, wpadłam w histerię. Ale on mi nie uwierzył. Policja też nie, w ogóle nikt.

Wydmuchała nos i dodała stanowczo:

- To tylko dowodzi, że świat jest pełen idiotów.

- Ja ci wierzę, Melody. Powiedz dokładnie, jak to było.

- Tak jak mówił James. Czekałam na zielone światło. Nagle ktoś pchnął mnie w plecy i poleciałam do przodu. Gdybym się nie złapała jakiegoś mężczyzny, byłoby po mnie. - Łypnęła na mnie okiem. - Z pewnością mam siniaka, mogę ci pokazać.

- Wierzę, Melody. Już ci mówiłam. Ale dlaczego? Kto?

- Może wierzysz w autobus, ale najwyraźniej nie w to, że ktoś chce mnie stąd usunąć.

- Próbuję to zrozumieć, Melody. Po prostu trudno uwierzyć, że ktoś posunąłby się tak daleko. Morderstwo? Może przez parę dni będziesz jadła lunch w kantynie ze mną i Florą. Ograniczysz wychodzenie na zewnątrz.

- Sądziłabym, że powinnam raczej wychodzić jak najczęściej, skoro wróg jest tutaj. Jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

Już się uśmiechała i kiedy James wrócił z herbatą, prawie odzyskała animusz. Ale nie nuciła przy pracy. Może komuś chodziło o to, żeby przestała.

W dniu wystawy Mervina wyszliśmy z pracy punktualnie. W autobusie - kiedy kiwałyśmy się uczone tyc łapek, które zwisają z sufitu - Flora zapytała, w co się ubiorę na wieczór.

- Nie wiem. Przypuszczam, że w to samo co zawsze.

- Przynajmniej nie musisz się martwić. Zawsze nosisz to samo. Spokojna klasyka. Czuję, jak moje brwi wędrują w górę.

- Sugerujesz, Floro, że taka klasyka w pewnym momencie zaczyna wyglądać nijako?

- Nie, jak rany! Ale ty w ogóle jesteś spokojna. Kto by przypuszczał, że tak się wtopisz w księgowość? Teraz jesteś jedną z nich.

Nie całkiem podniesiona na duchu takim obrazem własnej osoby, powiedziałam, że mam czerwony kostium. Miałam mnóstwo ubrań, których w ogóle nie nosiłam, ponieważ nie pasowały do kogoś, kogo stać tylko na chipsy. I to zaraz po wypłacie.

- Och, Caron, włóż go! Przez wzgląd na Mervina.

- A wiesz, Floro, może i tak.

Przesiadaliśmy się na Tottenham Court Road. Nawet nie czekałyśmy na autobus. Co jeszcze dziwniejsze, znalazłyśmy dwa wolne miejsca obok siebie.

- James już wrócił? - zapytała Flora. - Mervin by się cieszył, gdyby przyszedł.

- Wczoraj dzwonił z Nowego Jorku. Pewnie nadal tam jest. Może i dobrze, bo musiałabym mu jakoś wytłumaczyć, dlaczego przyszedłam na wystawę z Jackiem Howardem.

Flora uśmiechnęła się szeroko.

- Czy chcesz mi w ten sposób zakomunikować, że przyjaźń się skończyła? A może się przekształciła w coś innego? Rozdział trzeci, strona czterdziesta druga?

- Wcale nie - powiedziałam z irytacją, bo wolałam o tym nie myśleć. - Po prostu wiem, że oni się nie lubią. Sama mówiłaś.

- Faktycznie, nie lubią się. I w pewnym momencie to musi przejść w otwartą wojnę.

- W której ja będę występowała w charakterze granatu ręcznego?

- Czy nie to nazywają powodzeniem?

Wyobrażałam sobie, że większość gości ubierze się w stylu Mervina. Postrzępione dzinsy, T-shirt z nadrukami i skórzane kurtki lotnicze. Nie mogłam sobie natomiast wyobrazić Jacka w tym stroju. Nie chciałam, żeby czuł się niezręcznie, jeden jedyny w garniturze, skoro szedł tam dla mnie.

Wystawy, na których bywałam, z reguły odbywały się w zwykłe dni tygodnia. Galerie próbowały w ten sposób ściągnąć ludzi wychodzących z pracy. Ludzi zbyt zajętych w weekendy. To usprawiedliwiała strój służbowy, choć czasem konieczna była jego wytworniejsza wersja. Uznałam, że czerwona garsonka będzie w sam raz.

Kiedy dotarliśmy do domu, na progu leżało pudełko z kwiaciarni, podpisane moim nazwiskiem. Podniosłam je, zanim zdążyłam pomyśleć, że może być od Basa. Nigdy jednak nie słyszałam o bombie w kwiatkach, zresztą widziałam je dokładnie przez celofanowe wieczko. W środku znajdowała się standardowa, niepodpisana kartka z życzeniami oraz bukiet z dwóch cudownych gardenii przewiązanych kremową wstążką.

- Proszę, proszę - powiedziała Flora, kiedy Weszliśmy do domu. - Kto by pomyślał, że z Jacka Howarda jest taki dżentelmen. Prawdziwy stroik!

- Staroświecki dżentelmen. Zdaje się, że będę to musiała przypiąć.

Zapomniałam, że spódnica od czerwonej garsonki jest taka krótka. I taka wąska. Wszystko jedno. Miałam spędzić z Jackiem tylko parę godzin w towarzystwie wielu ludzi. Na wypadek, gdybym się pomyliła, namawiając Florę na głęboko wyciętą górę, sama włożyłam bluzkę z dużym dekoltem i przypięłam kwiaty, łudząc się, że odwrócą od niego uwagę. Weszłam na łóżko, żeby obejrzeć się w lustrze. No! Niech mi nikt nie mówi o spokojnej klasyce.

Evelyn wróciła do domu, zanim zdążyliśmy umknąć. Słyszając, jak rozmawiamy o wystawie, powiedziała, robiąc długie przerwy między zdaniem:

- Bawcie się dobrze. Mnie nie przeszkadza, że zostanę tu całkiem sama. Nudząc się śmiertelnie. W starych ciuchach. Walcząc z myszami i pajakami.

- Dobrze, już dobrze, Evelyn! - zawołała Flora. - Możesz pójść z nami. Tylko nie w tym kombinezonie. Ja muszę wyjść wcześniej, żeby rozstawić kieliszki.

- A ja wychodzę za dziesięć minut, Evelyn. Nawet nie wiesz, jak bym chciała cię ze sobą zabrać.

- Więc będziecie musiały poczekać. Dłużej trwa przyklejenie rzes. Dlaczego masz na sobie te śmieszne kwiaty?

- Ma randkę, Evelyn. Te kwiaty to uroczy prezent. Proszę, weź moje zaproszenie. I przyjdź, kiedy będziesz chciała. Mervin się ucieszy. To znaczy, wszyscy się ucieszymy.

Zbyt późno zrozumiałam swój odzieżowy błąd. Kiedy otworzyłam drzwi, Jack wyglądał jakby umarł i trafił do burdelu. Próbował wejść na szybkiego drinka, ale mu to

udaremniłam. W drodze do samochodu chwycił mnie w tali, jakby chciał sprawdzić, ile wytrzyma. A samochód okazał się sportowym jaguarem, tak wąskim, że nasze uda się stykały. Mój dior wymieszał się z jego płynem po goleniu, tworząc aurę - jak na mój gust - zbyt podobną do ogrodów Edenu.

- Wyglądasz cudownie - powiedział Jack, uruchamiając silnik.

Chciałam odpowiedzieć: dziękuję, panie Howard. Cokolwiek, co wytworzyłoby dystans. Zamiast bezwzględnego, brutalnego biznesmena miałam przed sobą zakochanego nastolatka. Flora umrze ze śmiechu.

Jack Howard lawirował wśród samochodów w taki sposób, że włosy jeżyły mi się na głowie.

- Dostałaś kwiaty? - zapytał.

- Oczywiście. Mam je na sobie. Zerknął na mój biust.

- Wyglądają świetnie. Ale chodzi mi o te, które ja ci przysłałem.

Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, że wobec tego stroik musiał przysłać James.

- Wiesz, że dostałam bukiet. Cała firma wie.

- Mam nadzieję, że ci się podobał. Nie byłem całkiem pewien, czy nie wolałabyś czegoś bardziej stonowanego. Na przykład dużego kaktusa, jak sugerował kwiaciarz.

Próbowałam kaszlem pokryć śmiech. On wcale nie zamierzał zrobić mi kawału. Nie rozumiał nawet, że kwiaciarz się z niego nabija. Jego poczucie humoru zmieściłoby się w kieliszku do jajek.

- To było bardzo miłe z twojej strony, Jack. Ale prosiłabym, żebyś tego więcej nie robił. Ludzie z działu prędko nas skojarzą.

Był wyraźnie rozczarowany.

- Chciałem tylko mieć pewność, że mnie nie zapomnisz. Kilka tygodni to kawał czasu. A ponieważ wyraźnie lubisz liściki, nie sądziłem, żeby telefon poskutkował. - Urwał, ostro wchodząc w zakręt. - No dobrze. - Roześmiał się. Chciałem zrobić na tobie wrażenie. Kulą w płot. Wracamy do pierwszej bazy?

- Zgoda. - Florze powiedziałabym, że cofnął się do strony tytułowej.

- Zresztą, nie obchodzi mnie już, kto o nas wie. Jesteś tak wyjątkowa, że prawa Chambersa cię nie dotyczą. Potrafię być trochę arogancki, a ty jesteś pierwszą osobą od lat, która powiedziała mi „nie”. Wtedy w pubie. A potem tym pierwszym listem. Potrzebowałem tego.

Przerażona, że zaraz powie, że potrzebuje mnie, powiedziałam szybko:

- Boże, ale z ciebie rajdowiec! Jesteśmy prawie na miejscu.

- Mogę przyspieszyć, jeżeli chcesz. Mamy lekkie spóźnienie.

Galeria mieściła się w dużym magazynie w Camden Town. Prawdopodobnie był to skład używanych mebli. Antyki stały tam obok zwyczajnych staroci. Na ścianach

zakrytych jakąś tkaniną rozwieszono prace Mervina. Ale wszystko to zauważyłam dopiero potem, bo w takim tłumie widoczność ograniczała się do centymetrów.

Mervin stał przy drzwiach i przywitał nas w stylu artystycznym, całując powietrze nad moimi uszami. Z Jackiem wymienił uścisk dłoni. Mervin podający rękę garniturowi? Wydawał się zdumiony widokiem Jacka. Howard przedstawił mu się i wtedy zrozumiałam, że nie kojarzy go z Chambersem.

- Myślałem, że WK to ktoś z Rodziny Królewskiej - szepnął mi Mervin do ucha, kiedy go mijałam.

Wpadliśmy na Florę, która niosła kieliszek wina.

- To dla Mervina - powiedziała. - Mam nadzieję, że jeszcze nie ma nic do picia.

Dobry wieczór, Jack.

- Witaj, Floro. Miło cię widzieć.

Odwróciłam się do Jacka, który prawie przykleił się do mojego boku. Częściowo można to było wytłumaczyć tłokiem.

- Jack, jesteś wyższy, możesz zlokalizować stół z napojami? Poczekam tutaj.

Usłuchał jak grzeczny chłopiec.

- Nie wspominaj Jackowi o stroiku - zwróciłam się rozpaczliwie do Flory. - Musi być od Jamesa. I proszę cię, trzymaj się koło mnie. Oczywiście wtedy, kiedy nie będziesz z Mervinem.

- Udaję niedostępną, jak radziłaś. Tylko od czasu do czasu gdzieś mu się pojawia, żeby o mnie nie zapomniał. Wyglądasz wspaniale! Jack Howard rozpocznie drugi tom po dzisiejszym wieczorze. Facet już się ślini.

- Floro, co ja zrobię? Powinnam włożyć, worek na ziemniaki. Ale sądziłam, że tylko on się odstrzeli, więc odstrzeliłam się dla towarzystwa.

- Znajomi Mervina są ubrani normalnie, a paru wygląda tak, jakby chcieli puścić w obieg kapelusz. Ale to pewnie tylko taka poza. Dzięki tobie jestem ubrana w sam raz. Nigdy bym się nie zdecydowała na taki dekolt, gdybyś mi nie doradziła. I cieszę się, że nie przesadziłam. Dział księgowości wygląda jak ustrojona choinka.

Kiedy wrócił Jack, sączyliśmy wino i chodziliśmy wzdłuż ścian, próbując obejrzyć obrazy. Niektóre były krzykliwe, nowoczesne, fajerwerki i spalone domy, inne bardziej tradycyjne i bardzo piękne. Ucieszyłam się, widząc czerwone nalepki w lewym dolnym rogu. Dzięki Bogu, sprzedawały się. Oznakowane były dwa okropieństwa i wiele tradycyjnych płócien.

Podziwiałam właśnie mały pejzaż, z lekka impresjonistyczny, ale pozwalający rozpoznać połyskliwe fale i ruch wody, kiedy dołączył do nas Mervin.

- Jesteś wspaniałym malarzem - powiedziała i w tym momencie zobaczyłam Jamesa, który szedł ku nam powoli, oglądając obrazy.



Nie mogłam się łudzić, że mam halucynacje po dwóch łykach wina. Wolałabym zobaczyć różowego słonia. Niestety, James wyglądał aż nazbyt realnie, a Jack był za duży, żebym go mogła schować w torebce.

- Przygotowuję teraz pokaz uliczny i szukam sponsora - mówił Mervin. - Ale tradycyjne sprzedają się lepiej. Mam nadzieję, że nie uznają mnie za zgreda. Trzeba było odbębnić więcej tych martwych owiec w butelce, to zawsze działa.

- Powinieneś malować to, co chcesz malować - odezwała się Flora. - Przeczytałam to wczoraj w jakiejś książce. I to naprawdę ma sens.

Mervin uśmiechnął się tak promiennie, że Florę trochę oszołomiło.

Jak zawsze niezawodna, wkręciła się między mnie a Jacka. Traktował ją przyjaźnie, droczył się i żartował, ale nie udało mu się jej pozbyć. W końcu zwrócił się do mnie:

- Możemy już iść, Caron? Na kolację?

Chciałam mu powiedzieć, żeby poszedł sam, bo wygląda na żenująco głodnego.

- Przyszliśmy pięć minut temu, Jack. Nie chcesz kupić obrazu?

- Eee... tak. Komu mam o tym powiedzieć?

- Który zamierzasz kupić?

- Którykolwiek. Przepraszam. To znaczy, może wybierzesz za mnie?

- Tam jest jeden rewelacyjny - powiedziała prędko Flora. - Nazywa się *Garnek*.

Chyba najdroższy, ale za to najbardziej reprezentatywny dla twórczości Mervina.

Biłam jej w myślach brawo, aż do chwili gdy Jack powiedział:

- Doskonale, Floro. Bardzo ci dziękuję. Może dam ci moją kartę kredytową, a ty to dla mnie załatwisz? - Szybko wręczył jej kartę.

Zaczęliśmy się przebijać przez tłum, Jack z ręką wokół moich ramion.

- Tak o wiele lepiej - powiedział. - Tłum jest irytujący, chyba że się go odpowiednio wykorzystają.

Wykręciłam się tak, że znalazłam się prawie za jego plecami. Panowała okropna duchota, więc zdjęłam żakiet i dłoń Jacka natychmiast spoczęła na moim nagim karku.

- Strasznie tu zimno - powiedziałam. - Lepiej włożę żakiet. Myślisz, że moglibyśmy się napić wina?

Wziął mnie stanowczo pod ramię.

- O ile pamiętam, bar jest tam.

- Czy mógłbyś mi przynieść kieliszek, proszę? A ja spróbuję zlokalizować twój obraz.

Zawahał się.

- To był wspaniały ruch, kupno tego obrazu - dodałam. - Szybko rozejdzie się, że jesteś kolekcjonerem sztuki i wspierasz personel Chambersa. Znakomita decyzja z punktu widzenia public relation. Wiesz, że są tu dzisiaj wszyscy z księgowości?

- Właściwie nie wiedziałem. - Uśmiechnął się już bardziej jak biznesmen i ruszył w stronę bufetu. Za wszelką cenę musiałam skierować jego ambicje z powrotem na biurowe tory. Ruszyłam szybko w przeciwną stronę, żeby po drodze przywitać się z koleżankami i znaleźć Jamesa, zanim znów przyklei się do mnie Jack.

Mijając Mervina, wyszeptałam:

- Jack Howard kupuje olbrzymi obraz. Jeżeli powiesz komuś, że z nim przyszedłam, z pewnością go zwróci. O ile go wprawdzie nie zamorduję.

- I tak bym nikomu nie powiedział. W biurze głównie słucham. Dzięki za obraz.

- To Flora go sprzedała. Uśmiechnął się.

- Idzie Jack, lepiej się przesunąć. Zajmę go czymś, żebyś mogła odetchnąć.

Odwrociłam się i wpadłam na Jamesa. Miał na sobie spodnie khaki i seksowną skórzaną kurtkę.

- Caron!

- James! Nie wiedziałam, że tu będziesz. Nic nie mówiłeś.

- Bo nie wiedziałem. Jim Chambers stara się uczestniczyć we wszystkim, co organizują pracownicy, ale dziś nie mógł przyjść. Poprosił, żebym go zastąpił, więc przyleciałem z Nowego Jorku wcześniej.

Pocałował mnie w policzek, wziął za rękę. Widziałam, jak Jack rozmawia z Mervinem. Sytuacja James/Jack wymykała się spod kontroli.

James wykorzystywał tłok o wiele lepiej niż Jack. Wpadaliśmy na siebie co drugie słowo.

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko wylądowałem. A teraz taka niespodzianka! Wyglądasz cudownie. Podobają mi się te kwiaty. Jak się nazywają?

- Nie wiesz? - Nie wyglądał na faceta, który mówi kwiaciarczyce, żeby przesłała to, co ma pod ręką.

- Stoner by wiedziała. Próbuje mnie nauczyć, ale nazwy kwiatów wpadają mi jednym uchem, wypadają drugim. Są urocze. Taki miły staroświecki dodatek do tego nowoczesnego kostiumu.

- Dziękuję. - Jeżeli kwiatów nie przesłał Jack ani James, musiał je przesłać Bas. Skrywały prawdopodobnie kapsułkę z cyjankiem. Ktoś mnie popchnie w tym tłumie i opary mnie zabiją. Niewykluczone, że wdycham je od dawna i już jestem na wpół martwa. Uświadomiłam sobie, że James coś mówi.

- Czy po wystawie piękna pani da się zaprosić na kolację?

- James, chodźmy zobaczyć taki uroczy mały obrazek. Tam. - Próbowałam odpiąć kwiaty bez zwracania na siebie uwagi. Czuję się jak podróżnik na pustyni, który właśnie znalazł oazę, gdyby między wydmami nie czaił się szakal.

- Oczywiście. Który?

Omów nie powiedziałam: którykolwiek.

- Będę wiedziała, jak podejdziemy bliżej.

W drodze James powtórzył swoją propozycję.

- To wszystko brzmi jak bajka o Kopciuszku, James. Bale, piękne kobiety. Może spotkamy się o północy?

Roześmiał się.

- I co będziemy robili? Jedli kanapki z dyni? Piknik już urządziliśmy, teraz zapraszam cię na kolację.

Wkrótce wcisnęło nas w róg. Na szczęście, tłum popychał nas we właściwą stronę, czyli ku sobie. Z pomocą moją i niebagatelną Jamesa. Staliśmy sobie wygodnie, obejmując się ramionami i patrząc na ścianę, jedyny bodajże kawałek bez obrazu. Nieznacznie upuściłam kwiaty, ale James je zauważył i podniósł.

- Proszę. Mam ci je przypiąć?

- Nie! To znaczy, nie dziękuję. - Odebrałam mu je i schowałam za plecami.

- Caron, nigdy przedtem nie lubiłem ścisku, ale mógłbym się przyzwycząić.

Uśmiechnął się i zmierzwił mi włosy wolną ręką.

- Powiesz mi, kiedy przestaniesz patrzeć na obraz i będziesz chciała wyjść?

Przyszłaś tu sama?

Zobaczyłam z przerażeniem, że Jack uwolnił się od Mervina. Prawdopodobnie ugryzł go w rękę. I był tuż.

- James, napilibyśmy się wina? - Podobnie jak Jack on też chwycił mnie pod ramię z zamiarem odprowadzenia do bufetu. Podstawowe wyszkolenie górnego piętra? - Eee, James, ja tu zostanę. Popatrzę sobie na obraz.

Spojrzał na pustą ścianę.

- Proszę bardzo. Dla mnie trochę zbyt nowoczesny.

Patrzyłam, jak wpadają na siebie i witają z życzliwością lizaka, który spotkał loda. Poszłam poszukać Flory.

- James też nie przysłał kwiatów. To musiał być Bas! Flora zerknęła na mnie podejrzliwie.

- Nie spuchłaś? Nic cię nie swędzi? Będziesz wymiotować?

- Jeszcze żyję! Muszę się pozbyć tych cholernych kwiatów.

- Rozejrzałam się i odetchnęłam z ulgą. - Patrz, tam jest kosz na śmieci.

- Nie, to jeden z eksponatów. Daj mi je. Kosz jest za barem.

- Ostrożnie złapała bukiet za wstążkę.

Zrobiłam parę wdechów i próbowałam się rozluźnić, kiedy wrócił Jack z winem. Dostrzegłam niewielką zmianę w jego zachowaniu. Może moja uwaga o ludziach z Chambersa robiła swoje.

- Nie chciałem cię poganiać, Caron. Przepraszam.

- Poganiałeś, a tego nie lubię. - Uśmiechnęłam się, żeby słowa wypadły mniej ostro.

- Nie pomyślałem. Ale kiedy zobaczyłem cię w tym stroju, tak różnym od tego, co normalnie nosisz... Wyglądasz prześlicznie.

Stał teraz w rozsądniejszej odległości, czyli jakieś pięć centymetrów ode mnie.

- Dziękuję - powiedziałam.

Podniósł kieliszek do ust i popatrzył na mnie ponad jego krawędzią.

Musiałam przyznać, że jest bardzo przystojny, o ile oczywiście stał na tyle daleko, żebym mogła skupić wzrok. Ale zawsze uważałam, że tygrysy są piękne, nigdy natomiast nie przyszło mi do głowy zaprosić kogoś do domu.

- Wiesz, Caron, nie chciałbym, żeby nasza znajomość była epizodem, płytą krótkogrającą.

- A co? Wolałbyś CD?

- Właściwie to miałem na myśli całodobową stację radiową. O ile to możliwe należąca do BBC, żeby nigdy nie splajtowała. - Znow był tym facetem, któremu wysłałam liścik z przeprosinami. Miałam nadzieję, że to jest prawdziwy Jack Howard, który przetrwa następne dwadzieścia lat. Albo do powrotu Jamesa.

Uznałam jego bardziej powściągliwe zachowanie za szczęśliwy traf, a chwilę potem rozbiłam bank. Zjawił się cały dział księgowości i otoczył Jacka jak sępy padlinę. Jeden z sępów trącił mnie przyjaźnie i powiedział:

- Już się z nim narozmawiałaś. Może sobie darujesz, co? Swoją szansę już miałaś.

- Więc do dzieła! Już go rozgrzałam. - I była to święta prawda. Wycofując się, zobaczyłam jeszcze, jak pani Brown żegluj w kierunku Jacka.

Ponad głowami tłumu dostrzegłam Evelyn. Kiedy do niej dotarłam, na miejscu była już Flora z kieliszkiem wina.

- Evelyn! - powiedziałam. - Mam faceta w sam raz dla ciebie. Wysoki blondyn, przystojny, prawdopodobnie bogaty, wolny, duże prawdopodobieństwo, że maniak seksualny.

Evelyn była lekko zdetonowana.

- Myślałam, że mam go unikać. Zawiadomić cię, gdybym go zobaczyła.

- Nie, nie, to nie Bas. To Jack Howard. Flora też uważa, że on jest miły, prawda Floro?

- Prawdę mówiąc, uważam, że jest znakomitą partią.

- Co wy takie hojne? Używa taniego dezodorantu? Je czosnek na śniadanie?

Pamiętajcie, że mam być waszą przyjaciółką.

- I właśnie dlatego mu cię przedstawimy. Potem radzisz sobie sama.

- Pokażcie mi go, sama zdecyduję.

- To ten oblegany przez panienki. - Flora pokazała go palcem. - I nie jest to Brytyjski Klub Miłośników Czosnku.

- W porządku. Może być.

- Tylko spokojnie, Evelyn - szepnęłam, kiedy podeszłyśmy bliżej. - Nie przestrasz go.

- Nie wygląda na strachliwego, ale będę uważać.

Flora i ja dokonałyśmy prezentacji, mówiąc Jackowi, że Evelyn z nami mieszka. Nie wiem, czy to była miłość od pierwszego wejrzenia, czy chęć przypodobania się Florze i mnie, w każdym razie Jack zwrócił się do niej z szerokim uśmiechem. Podczas gdy my umykałyśmy pod gradem spojrzeń biurowych koleżanek, Evelyn wzięła go po ramię i odprowadziła na bok. Żadna z pań nie wykazała chęci, żeby się jej sprzeciwić.

Ledwie zdążyłam wrócić pod pustą ścianę, zjawił się James. Dopiero gdy podał mi pełny kieliszek, uświadomiłam sobie, że mam już ten, który przyniósł mi Jack.

James mrugnął porozumiewawczo.

- Podejrzewałem, że drań cię szuka. Ale już nie będzie ci się naprzykrzał.

Powiedziałem dziewczynom z księgowości, że tu jest.

Zaimponował mi i chyba było to widać, bo uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

- Ktoś, kto użyźnia glebę, nie powinien się dziwić obfitym plonom.

- Naprawdę muszę tu zostać do końca, James, przez wzgląd na Florę i Mervina.

Może pójdziesz teraz do domu i wrócisz później?

- I co będę robił? Przebiorę się w coś wygodniejszego? - Roześmialiśmy się, a potem on powiedział: - W zasadzie mógłbym się rozpakować, zanim Stoner dobierze się do moich bagaży.

- Dlaczego? Chowasz tam kogoś? James zarumienił się lekko.

- Przywiozłem ci mały prezent. Stara Stoner jak nic uzna, że to dla niej. I skonfiskuje, na wypadek gdyby tak nie było.

Odprowadziłam go do drzwi i mogłam mieć tylko nadzieję, że weźmie zachwyty na mojej twarzy za radość z prezentu. Odszukałam Florę. Była nieprzytomna z podniecenia.

- Co ty powiedziałaś Mervinowi, Caron? Pocałował mnie w policzek. Dwa razy.

To znaczy po razie w każdy. Powiedział, że z tobą rozmawiał.

- Powiedziałam mu, że sprzedałaś obraz. I to prawda.

- Widziałam Jamesa na czele działu księgowości. Ciekawe, jak Evelyn radzi sobie z Jackiem.

- Mam nadzieję, że planują ślub.

- Wątpię. - Flora roześmiała się. - Gdyby to była powieść, Evelyn wzbudziłaby w tobie zazdrość. W książkach bohaterka raczej nie stara się ożenić bohatera z przyjaciółką.

- Bo w powieściach nie ma takich ludzi jak Evelyn. O Chryste, ona tu idzie. W dodatku bez Jacka.

Evelyn była wściekła.

- Wystawiłaś mnie!

- Co się stało?

- Caron, on mówi wyłącznie o tobie. Chętnie by się dowiedział, co jesz na śniadanie.

- Cholera, cholera jeszcze raz cholera!

- Nie martw się, nie powiedziałam mu.

- Nie o to chodzi. Naprawdę go nie chcę, Evelyn. Nie chcę sobie komplikować układów w pracy. Przepraszam cię.

- Nie ma sprawy. Zaczynj mu opowiadać o śniadaniu, to może się odczepi.

- W książkach to zawsze oznacza, że przedtem byli w łóżku.

- No tak. Ale nikt ci nie każe od razu go kochać. Nie mogłabyś potraktować tego jako wprawki? Zatrzymać go w rodzinie z myślą o mnie? - zażartowała, po czym dostrzegła kolejnego kandydata w drugim końcu sali. - To na razie!

- Wiesz, Caron - powiedziała Flora. - Teraz pozostaje ci już tylko ból głowy albo mycie włosów. Powiedziałaś to kiedyś mężczyźnie?

- Nie. Ale nie sądzę, żeby to wymagało ogromnej wprawy.

Tłum zaczął rzednąć i Jackowi było jeszcze trudniej wyrwać się z koła wielbicielek i wyjść ze mną tak, żeby nie rzucać się w oczy. Ktoś zaproponował zbiorową wyprawę na pizzę.

Kiedy wszyscy ruszyli do drzwi, w tym również Mervin i Flora, Jackowi udało się chwycić mój łokieć.

- Przykro mi - wyszeptał mi do ucha.

Uśmiechnęłam się pogodnie.

- Nic nie szkodzi. Mnie wszystko jedno. Uśmiechnął się kwaśno.

- To nad sobą się użalam.

Udało mi się uczepić ogona grupy. W samochodzie Jacka było tylko jedno miejsce dla pasażera, a ja nie zamierzałam nim zostać.

Patrzyłam jak dziewczyny ścigają się do jaguara, a potem Jack Howard odjechał z panią Brown machając radośnie z fotela obok kierowcy. Wyjąc ze śmiechu, Mervin, Flora i ja zapakowaliśmy się do taksówki.

- Ja płacę - powiedział Mervin. - Mogę sobie na to pozwolić, skoro Flora sprzedała mój najdroższy obraz.

- Dziękujemy. Floro, dokąd kazałaś odesłać obraz?

- Do gabinetu Jacka Howarda. To będzie reklama twórczości Mervina.

- Cudownie. Nie zdążyłam go obejrzeć. Przedstawia chyba naczynia kuchenne, sądząc po tytule? Z zachodem słońca w tle?

- Och, nie! - powiedziała Flora. - To wielka plantacja marihuany.

- Jeszcze raz gratuluje, Mervin - powiedziałam, kiedy taksówka zatrzymała się przed pizzerią. - Nie będziesz miał mi za złe, jeżeli zatrzymam taksówkę i pojedę do domu? Floro, powiesz Jackowi?

- Źle się czujesz? - zapytał Mervin. - Flora i ja ustrzeżemy cię przed Jackiem Howardem.

- W porządku - powiedziała Flora. - Boli ją głowa i musi umyć włosy.

- Floro, może będzie lepiej, jeżeli powiesz Jackowi, że zламаłam obcas albo że poleciało mi oczko w rajstopach?

Wróciłam do domu w stanie ostatecznego wyczerpania. Uznałam, że chwilowo pozbyłam się Basa i mam na głowie tylko Jamesa i Jacka. Moja muza była przepracowana albo zalana w trupa. Pragnienie, by uwolnić się od Jacka było niemal równie silne jak strach, że za bardzo lubię Jamesa. Jak na zwykłego przyjaciela. Nie chciałam go stracić, ale w żadnym razie nie mogłam się zaangażować w poważny związek.

Przede wszystkim musiałam odzyskać poczucie własnej wartości. Powtórka z układu „potężny, bogaty facet i maleńka ja” nie wchodziła w rachubę.

Otworzyłam butelkę wina i usiadłam na schodkach werandy. Dni były krótsze, ale czuło się jeszcze ciepło lata. Niebo było usiane gwiazdami. Wielki księżyc wisiał nisko i miało się wrażenie, że można dotknąć go palcem. I wtedy zobaczyłam Jamesa idącego w stronę domu. Stanął na ścieżce kilka kroków ode mnie i uśmiechnął się.

Było tak, jakbyśmy się nie widzieli od lat. Rzuciliśmy się sobie w ramiona. Tuliłam policzek do jego twarzy, rękę trzymałam na jego szyi, on swoją w moich włosach.

- Tęskniłaś za mną? - zapytał.

- Trochę.

Było nam zbyt dobrze i wygodnie, żeby zmieniać pozycję, więc staliśmy tak przez kilka minut.

- Powinnaś wejść do środka - powiedział w końcu James. Nie zrozumiałam.

- Musisz coś na siebie włożyć. Ta bluzeczka i spódnica... Zauważyłem już przedtem i miałem tylko nadzieję, że byłaś...

- W kościele? - zasugerowałam. - Myślałam, że mężczyźni uwielbiają tak ubrane kobiety.

- Właśnie!

Dopiero kiedy poprosił o kieliszki, zauważyłam, że ma w ręku butelkę.

- Otworzyłam już wino, James.

- Ale to jest szampan. Pomyślałem sobie... no cóż... Nowy Jork wydał się bardzo odległy.

- Rozumiem. Ze strefy bezcłowej, tak? - Uśmiechnęłam się łobuzersko.

- Tak. Nie. Niezupełnie to chciałem powiedzieć. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął ślicznie opakowane perfumy. Uśmiechnęłam się i odłożyłam je na bok, żeby otworzyć później, ale pocałowałam go od razu. Był to długi, smakowity pocałunek, który wzburzył krew, choć nawet nie napoczęliśmy szampana.

- Co robiłeś w Nowym Jorku? - zapytałam, podstawiając kieliszek. - Dobrze się bawiłeś?

- Czy to oznacza, że oboje możemy zadawać pytania?

- Absolutnie nie. Ujmę to inaczej. Chcę wiedzieć, czy poznałeś jakąś cudowną kobietę.

Na wspomnienie Nowego Jorku James nagle się ożywił i zaczął szybko opowiadać:

- Nie uwierzyłabyś, jakie tam są kobiety. Nie wiem, czy tylko w Nowym Jorku. Kolega z pracy powiedział, że mają tam niedobór mężczyzn. Zapraszają cię na randki, pytają prosto z mostu, czy chcesz iść z nimi do łóżka.

Urwał i zaczerwienił się lekko.

- Przepraszam, Caron. Pewnie cię nudzę. - Nudzisz? Chyba żartujesz?!

- Mężczyźni mówili do mnie Jim, a kobiety Jimmy. A pewna piękna blondynka położyła mi rękę na udzie. Przy stole, gdzie siedziało mnóstwo ludzi. Dość żenująca sytuacja.

Przez chwilę milczał i sączył szampana.

- Była jeszcze jedna, z reklamy, która zapytała wprost, czy chcę się z nią pieprzyć.

- Uznałeś pewnie, że niegrzecznie byłoby odmówić?

- Faktycznie byłoby to niegrzeczne z mojej strony. Więc powiedziałem, że jestem zaręczony. Na to ona, że powinienem się wyszumieć przed ślubem. W końcu powiedziałem, że wyczerpałem już przydział pieprzenia na ten dzień.

Roześmiałam się.

- A ona na to, że to niezdrowo się ograniczać?

- Dokładnie! Kobiety były piękne, zwłaszcza te z Południa o imionach takich jak Lucy Sue i Clara Bell. Miały chyba drugie imiona zamiast nazwisk. A jak były ubrane!

- Tak? - Okręciłam, się pokazując nogi.

- Kubek w kubek.

- Któraś okazała się wyjątkowa? - zapytałam niedbale,

- Może jedna, z którą mógłbym, no wiesz... Nie zrozum mnie źle, kiedy mówię, że mógłbym...



- Chyba rzeczywiście nie rozumiem. Musisz mi to zademonstrować, James.

Przysuń się trochę.

Zapaliłam trzy świece i przygasiłam lampy. Po chwili trzymaliśmy się w ramionach, przy czym przyjęcie pozycji horyzontalnej wydało się nam całkiem naturalne. Było późno i człowiek czuje się zmęczony. Wolno rozpinałam Jamesowi koszulę, podczas gdy jego dłoń wędrowała w górę moich nóg.

- Ostrzegałem cię przed tą spódnicą. Całował mnie w szyję.

- Jeżeli spódnica ci przeszkadza, James, musimy się jej pozbyć.

- W takim razie okropnie mi przeszkadza.

Gładziłam pod koszulą jego nagie plecy. James podsunął w górę moją elastyczną bluzkę i nakrył dłońmi piersi. Hałasowaliśmy przy tym jak stado słoni grających w butelkę.

- Caron - powiedział James w przerwie. - Czy ten wspólny weekend jest ciągle aktualny?

- Oczywiście. Powiedz tylko kiedy.

- Czy jest jakaś szansa, że będziesz wolna w najbliższy piątek?

- Bardzo duża. Ale teraz wróć do tego, co robiłeś przed chwilą.

Na odgłos pukania do drzwi zerwaliśmy się oboje.

- Och, nie, James! Nie spodziewałam się Flory tak prędko!

- Nie ma kluczy?

- To może być Evelyn. Zachowuje się, jakby to był hotel i zdarza się, że zostawia klucze na biurku.

Pospiesznie doprowadzaliśmy ubranie do porządku. James uśmiechnął się kwaśno.

- Można powiedzieć, że ten dzwonek uratował naszą przyjaźń. Uśmiechałam się, otwierając drzwi. Cholera! Cholera! I jeszcze raz cholera! To był Jack Howard.

- Przyszedłem przeprosić za to, że nie odprowadziłem cię do domu. I upewnić się, że wszystko w porządku.

Co mogłam zrobić? Gdybym nawet pozbyła się go jakimś cudem, James już słyszał jego głos. A do diabła z tym! Jeśli Jack ma mnie kosztować utratę Jamesa, niech przynajmniej James odwzajemni się tym samym.

## Rozdział 18

Z początku James i Jack rozmawiali kulturalnie, trochę tak, jak mogłyby rozmawiać zabójcze pająki, podkradając się do Evelyn w wannie.

- Dobry wieczór, Jack. Rozumiem, że jest to wizyta służbowa?

Jack uśmiechnął się triumfująco.

- Caron i ja byliśmy umówieni na wieczór. James dobrze ukrył zaskoczenie.

- Więc zabrałeś Caron z domu, ale jej nie odprowadziłeś? Dostaniesz nominację na dżentelmena roku.

- Zaistniały pewne okoliczności...

- Żeby porzucić Caron? Śmierć byłaby jedynym wytłumaczeniem.

- Odchrzań się, Smith. Co ty tu w ogóle robisz?

- To nie twoja sprawa, ale skoro pytasz, Caron i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

- Więc dlaczego nie umówisz się z nią otwarcie, jak ja, tylko zakradasz się tu po nocy? Zresztą, spędziliśmy cały wieczór razem. - Tu rzucił rai szybki uśmiech. - Więc nie możesz być tu długo.

- Cieszę się, że przyszedłem. Nie wiadomo, co zamierza ktoś, kto najpierw wystawia do wiatru kobietę, z którą się umówił, a potem nachodzi ją w domu.

- Nie wystawiłem Caron do wiatru, do ciężkiej cholery! I przyszedłem przeprosić za nieporozumienie.

- Słuchajcie - odezwałam się - jest późno. Może zakończymy ten wieczór?

Obaj natychmiast usiedli.

- Ty przyszedłeś ostatni - powiedział James do Jacka. - Popsujesz sobie reputację, jeśli tu zostaniesz w roli przyzwoitki.

- Ale ja byłem umówiony z Caron!

- To już historia, Jack, teraz ja jestem z nią umówiony.

Mogłabym udusić ich obu. Zachowywali się jak dwa byki walczące o krowę. Ze mną w roli krowy.

- Jack, rozumiem, że to było nieporozumienie. Dzięki, że przyszedłeś wyjaśnić.

Dobranoc.

- Caron, nie wyjdę, póki on nie wyjdzie. Do diabła, facet jest niebezpieczny.

James się roześmiał. - I kto to mówi? Firmowy Casanova! Sącył szampana, dając do zrozumienia, że on tu jest gościem, a Jack intruzem. W końcu Jack wstał.

- Więc wyjdziemy obaj. Miej wzgląd na Caron, Smith, która po naszej randce musi być wykończona.

W jego uśmiechu było tyle insynuacji, ile się dało upchnąć. Uśmiech Jamesa mógłby zmienić piekło w kurort narciarski.

- Chyba nie powinniście wychodzić razem. - Nie chciałam uprzątać martwych ciał ze ścieżki. - Jack, skoro przyjechałeś samochodem, wyjdź pierwszy. Potem...

- A on jak się tu dostał? Przyleciał? James uśmiechnął się błogo.

- Przyszedłem. Caron i ja jesteśmy sąsiadami.

Zanim zdążyłam odprowadzić Jacka do drzwi, zadzwonił telefon. Poderwałam słuchawkę.

- Słucham?!

- Nie rozłączaj się, skarbie. To ja, Bas. Chcę poważnie z tobą porozmawiać, coś ustalić.

- Jak śmiesz dzwonić do mnie w środku nocy?! - prawie krzyczałam.

James i Jack patrzyli na mnie wyczekująco. Nikt normalny nie dzwoniłby o takiej porze. Jakby nie dość było ich dwóch, teraz uznają, że jest jeszcze trzeci.

- Jakiś problem, Caron? - zapytał James cicho. - Nachalny sprzedawca.

- Przepraszam, skarbie. Zapomniałem o różnicy czasu. Tutaj jest dopiero szósta po południu. Dostałaś kwiaty?

- Są chyba trochę staroświeckie? - powiedziałam do słuchawki, po czym zwróciłam się do Jamesa i Jacka: - Francuskie przeszklone drzwi. Za pół ceny.

- Chciałem ci w ten sposób pokazać, że jestem nowym człowiekiem - powiedział Bas. - Teraz do mnie wrócisz?

- Nigdy. Proszę przestać do mnie dzwonić. - James wyciągnął rękę po słuchawkę i zapytał, czy ma to załatwić.

- Nie należę do kobiet, które wyręczają się mężczyzną - powiedziałam bardzo głośno. James usiadł, zażenowany.

- Uspokój się, skarbie - powiedział Bas. - Nigdy nie uważałem cię za słabą kobietę. Takie mnie w ogóle nie interesują. Ale muszę mieć twoją decyzję i to w miarę szybko. Nie mogę czekać w nieskończoność.

- Odpowiedź brzmi „nie”. Proszę więcej nie dzwonić! - Rzuciłam słuchawkę.

Na szczęście, zanim któryś zdążył o cokolwiek zapytać, zjawiała się Flora z Mervinem.

- Czy to zebranie rady? - Mervin próbował rozładować atmosferę, bo James i Jack wyglądali, jakby najedli się robaków.

- Zrobię kawę - powiedziała Flora pogodnie. - Mervin, mógłbyś mi pomóc?

- Dziękuję, Floro, ale Jack właśnie wychodzi. Odprowadzę go do drzwi.

Pochylił się i pocałował mnie w policzek, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

- Będziemy w kontakcie, Caron.

Nie wypadło to najlepiej w ogólnym kontekście.

Kiedy jego samochód odjechał, James stanął za mną w drzwiach. Próbowałam pocałować go w policzek, ale wyminął mnie szybko.

- Mogę to wyjaśnić, James! - zawołałam, ale on nawet się nie obejrzał.

Z kuchni wyszła Fora, a za nią Mervin.

- Przepraszam, Caron. Nie wiedziałam, że Jack z pizzerii przyjedzie tutaj.

- Na litość boską, to nie twoja wina!

Mervin podziękował mi za przyjście na wystawę i pożegnał się, całując mnie w policzek.

- Wspaniały wieczór, Mervin. Pewnie już szykują dla ciebie miejsce w Tate.

Kiedy sobie poszedł, odezwałam się do Flory:

- No i spaprałam wszystko. Dzwonił Bas. Nie chciałam, żeby James i Jack myśleli, że to ktoś trzeci, więc mówiłam do niego jak do sprzedawcy. Krzyczałam, żeby zostawił mnie w spokoju.

- Nic nowego.

- Tak, ale mam wrażenie, że tym razem chciał coś ustalić. Może podjąć negocjacje? Potem, kiedy potraktowałam go tak niegrzecznie, powiedział, że musi mieć moją decyzję. To brzmiało jak ultimatum. Dzwonił z Nowego Jorku, więc dziś nic się prawdopodobnie nie wydarzy. Mam nadzieję.

- Nie wyobrażam sobie, jakie ultimatum może nastąpić po dwóch gardeniach.

Wspomniał o nich?

- Powiedział, że jest nowym człowiekiem.

- To może być bardzo dobrze albo bardzo źle. Co z Jamesem i Jackiem?

- Są tacy wściekli, że sami zaczęli mi wysyłać tajemnicze prezenty.

- No to otworzymy sklep z upominkami - zażartowała Flora, ale wiedziałam, że jest zaniepokojona. Uściskała mnie i powiedziała, żeby ją zawołać, gdyby coś się stało w nocy.

Kiedy zostałam sama, próbowałam skontaktować się z Jamesem. Jego komórka była wyłączona, a nie chciałam dzwonić na numer domowy i budzić Stoner. Następnego dnia, a była to niedziela, komórka nadal nie odpowiadała. Tym razem zostawiłam wiadomość, prosząc o telefon.

W poniedziałek rano praktycznie pogodziłam się z myślą, że jestem na czarnej liście obu panów, a Bas szuka w Internecie informacji, jak skonstruować bombę albo wynająć pułk pancerny. Po stronie zysków należało zapisać fakt, że za jednym zamachem usunęłam z pola widzenia wszystkich mężczyzn. Po stronie strat, że bez Jamesa to pole wyglądało jak zachwaszczony ugór.

Niestety, Jack wcale się nie zniechęcił. Przed południem dostarczono mi delikatny, elegancki bukiet. Bez nazwiska ofiarodawcy, bez listu. Przecież James nie mógł ignorować moich telefonów i jednocześnie przysyłać kwiatów. A Bas był taki wściekły, że kwiaty by zwiędły, zanim bym je dostała. Dałam je Melody, na wypadek, gdyby James zajrzał do księgowości. Następny wiecheć powędrował do pani Brown. A potem zaczęłam je oddawać jak leci, odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Co zrobię, kiedy

kwiaty będą na wszystkich biurkach, tego nie mogłam sobie wyobrazić. Byłam jednak wdzięczna, że nie są to kaktusy.

W kantynie przysiadłam się do Flory.

- Caron, pamiętasz, po pizzy Mervin odprowadził mnie do domu? Tylko mnie. A dziś rano przyszedł do mojego biura i zapytał, czy mogłabym mu pomóc, poprowadzić jego karierę. Co o tym sądzisz?

- To cudownie, Floro. Prowadzić w jaki sposób?

- Zadbać o stronę biznesową, wiesz. Obmyślać promocję. Zrobi broszury na podstawie programu graficznego w swoim komputerze i rozprowadzi je w ramach firmy. To był mój pomysł.

Pytałam panią Oakley, a ona powiedziała, że można, skoro on jest pracownikiem. Czy to nie genialne?

- Naprawdę cudownie, Floro. - Za nic nie chciałam, żeby moja czarna chmura przeszła na drugą połowę stołu i oberwała się nad nią.

Zjawił się Mervin i spytał, czy może się dosiąść. Już był wobec Flory opiekuńczy i trochę zaborczy. Siadając, położył jej rękę na ramieniu.

- Znacie najświeższe nowiny? Jack Howard powiesił na ścianie mój obraz. - Rozłożył szeroko ramiona. - Taki wielki, za biurkiem. Jego asystentka mówiła mi, że spytała, co to jest, a on powiedział: „To tylko wygląda jak garnek, w rzeczywistości to sałata”.

Omaliśmy się nie udusiliśmy ze śmiechu.

- Zastanawiam się, czy warto napuścić na niego brygadę antynarkotykową. - Dziabnęłam widelcem lazanie. - Flora mówiła, że wydrukujesz broszury reklamowe. Świetny pomysł. Ale jak się wkręciłeś do tego programu?

Mervin trochę się spieszył.

- Prawdę mówiąc, podkradłem hasło pewnego dnia, kiedy pracowałem na górze. - Z namysłem przesuwiał kluskę po talerzu.

- O tym nie pomyślałam. A ściślej rzecz biorąc, nie miałam jeszcze okazji.

Rozpogodził się natychmiast, zrozumiał, że nie zamierzam go wydać ani nawet zbesztać.

- Nie jest to najwyższy kod dostępu, ale wystarczy, żeby się zorientować, że firma ma kłopoty. Trzymam rękę na pulsie, na wypadek, gdybyśmy musieli zacząć się rozglądać za nową pracą.

To wydało mi się zupełnie nieprawdopodobne. Już prędzej lubił sobie po prostu powęszyć, jak my wszyscy.

- Mervin zna się na komputerach. Powiedz Caron, jak włamałeś się do szkolnego systemu i wyciągnąłeś pytania egzaminacyjne.

- Floro! Omal mnie za to nie wyrzucili ze szkoły. Poza tym, nie był to właściwy zestaw pytań. - Uśmiechnął się łobuzersko, robiąc wielkie niewinne oczy. - Chyba nie sądzicie, że zrobiłbym coś takiego teraz, kiedy jestem dorosły i odpowiedzialny?

Wybuchnęliśmy śmiechem.

- A propos kłopotów firmy - zagadnęłam. - Przyjrzelście się naszym nowym wystawom świątecznym?

Oboje przyznali, że nie zwrócili na nie szczególnej uwagi.

- No właśnie! W życiu nie widziałam tak nijakich dekoracji. Tym ludziom z artystycznego brakuje twojego wycucia, Mervin. Dobrze sobie radzisz z kolorami. Kto się pisze na rewolucję okienną?

- Ale ubrania są całkiem w porządku.

- Tak, ale Chambers bazuje głównie na bieliźnie i nowej linii kaszmiru. Gdzie one są wystawione? Gdyby ludzie opierali się na tym, co widzą w oknach wystawowych, nikt by tu nie przychodził. A stara klientela wkrótce wymrze.

Entuzjastyczna dyskusja o tym, jak można uatrakcyjnić wystawy, zajęła nam większą część przerwy obiadowej. W końcu Mervin spojrzął na zegarek i wstał.

- To co, robimy najazd o północy? - zapytał.

- Wyleją was! - powiedziała Flora.

- Wątpię - orzekłam po chwili namysłu. - Kiedy pracowałam na górze dla starego Harveya w księgowości, napomknął, że sprzedaż spada. Gdybyśmy zrobili coś, co by ją podniosło, nikt by nam złego słowa nie powiedział. Zresztą jedyną drogą do pieniędzy jest własna firma. Jeżeli odwalimy kawał dobrej roboty, a oni mimo to nas wyleją, przynajmniej zwrócimy na siebie uwagę. Może dostaniemy lepszą ofertę albo spróbujemy otworzyć własny interes.

- Ale to by znaczyło, że przestaniecie tu pracować.

- Mnie nie zależy - powiedział Mervin. - Taką pracę, która pozwoli mi płacić rachunki, znajdę wszędzie. A z twoją pomocą, Floro, mogę już w ogóle nie potrzebować stałej posady. Jeżeli mówisz poważnie, Caron, trzeba by to zrobić zaraz, zanim klienci i personel zdążą się przyzwyczać do tego chłamu.

Flora nabrała głęboko powietrza i zamarła.

- Szefowa działu artystycznego zamorduje was, to znaczy - nas, bo jeżeli wy się zdecydujecie, ja też w to wchodzę. Ale czy moglibyśmy chwilę się nad tym zastanowić?

- Zrobię rozpoznanie na piętrach handlowych, sprawdzę, jak się dostać do okien - powiedział Mervin, uśmiechając się do Flory. - Na wypadek, gdybyśmy się zdecydowali. Caron, czy mogłabyś zająć się kwestią nocnych zabezpieczeń?

- Oczywiście. Trzeba przede wszystkim sprawdzić, czy przeniesienie swetrów z półek na wystawę nie uruchomi alarmu. - Rozstaliśmy się podniesieni na duchu. Ja i Mervin, bo Flora pewnie dostała niestrawności.

Byłoby zdecydowanie lepiej, gdybym wróciła do łask Jamesa, zanim spróbuję wykreć taki numer. Do jego łask i przyjacielskich ramion. Kolejny bukiet przybył wraz z panią Brown i górą arkuszy kalkulacyjnych. Przypomniałam sobie nasz zaplanowany weekend. Pewnie został odwołany.

I nagle natchnęło mnie, jak się skontaktować z Jamesem. Zadzwoń na jego komórkę w godzinach pracy. Będzie miał do wyboru odebrać albo chodzić i dzwonić. Bingo!

- Nie rozłączaj się! Chcę tylko zapytać, czy nasz weekend jest aktualny?

Mówił tak, jakby spał w lodówce.

- Dotrzymuję danego słowa. Ale czy moglibyśmy odłożyć wyjazd o tydzień? Czy to będzie kolidowało z twoimi, eee.... innymi planami?

- To mi bardzo odpowiada - powiedziałam żarliwie. - A kiedy ci wszystko wyjaśnię, będziesz się czołgał i czuł jak marny robak.

- Już się na to cieszę. Dziękuję za telefon - I rozłączył się.

Lodowy potwór! A więc tak to wygląda. Będzie po prostu odkładał wyjazd z tygodnia na tydzień, w nieskończoność. Zwodził mnie, trzymał w niepewności. Nie zamierzałam na to pozwolić.

Wieczorem, po szybkiej kolacji wybrałam się do Heath. Postanowiłam, że poczytam książkę i poczekam, aż przybiegnie James. Stanę mu na drodze. Jako dżentelmen na pewno mnie nie strąci.

Jak na dżentelmena przystało, nie strącił mnie. Wyminął i pobiegł dalej. Ruszyłam w ślad za nim, ale nie mogłam go dogonić. Samo myślenie o uprawianiu sportu nie zapewnia kondycji. Trochę to trwało, aż w końcu zaczęłam tracić oddech. Podniosłam z ziemi kamyczek i cisnęłam Jamesowi w plecy.

Kiedy się odwrócił, leżałam już plackiem na ziemi. Przyszło mi to całkiem łatwo, bo i tak ledwo się trzymałam na nogach.

- No i? - zapytał James.

- Nie widzisz, że umieram? Straciłam kondycję. Nie mógłbyś przynajmniej pomóc mi wstać? - Kiedy się nie ruszył, dodałam: - Albo mnie podniesiesz, albo dzwonisz po karetkę.

James natychmiast sięgnął po komórkę. Myślałam, że blefuje, dopóki nie zaczął wbijać numeru.

- Cholera! - krzyknęłam.

Wstałam, ciągle zadyszana, i otrzepałam ubranie.

- Więc proszę, biegnij! Wcale nie musisz na mnie czekać.

Ale stał w miejscu, gapiąc się na dalekie stawy. Kiedy podeszłam, ruszył przed siebie, dużo wolniej. To znaczy, dużo wolniej jak na wysokiego mężczyznę. Mnie nadal świszczało w płucach.

- James, nie myśl, że biegnę za tobą z przyczyn osobistych. Chcę cię tylko zapytać o systemy zabezpieczeń u Chambersa.

- Systemy zabezpieczeń? - Wydawał się zdziwiony, może nawet podejrzliwy.

- Z pewnością wiesz, co to jest. Coś co ma powstrzymać kogoś przed włamaniem się o północy i zabranie wszystkich kaszmirowych swetrów.

- Ach, to zabezpieczenie. Chyba nie zamierzasz...

- Nie jestem złodziejem, James! Mówiłam teoretycznie. Ale ty pewnie tego nie wiesz. - To działa na większość mężczyzn.

- Oczywiście, że wiem, Caron. Są alarmy. Nocny strażnik. Policja regularnie patroluje okolicę. Najwięcej kradzieży ma miejsce w ciągu dnia. Ludzie kradną w sklepie.

- Wiem!

- Skoro znasz odpowiedzi, po co zadajesz pytania?

- Nie znam wszystkich odpowiedzi! Zresztą zadawanie pytań to przejaw inteligencji. Miałam raczej na myśli sytuację, kiedy ktoś wjeżdża w okno wystawowe ciężarówką. Czy to też uruchomiłoby alarm?

- Czujki są ulokowane przy drzwiach, ponieważ złodzieje na ogół tamtędy wchodzi!

Nadal był zły. I, co dziwne, zły był jeszcze seksowniejszy. To nic, przyjaciele mają prawo wyglądać seksownie. Po pięciu minutach ciszy wyciągnęłam rękę i dotknęłam palcem jego ramienia, tuż poniżej rękawa koszulki. Po minucie dodałam drugi palec, trochę zwiększając nacisk. Potem dołączyłam kciuk.

Nie patrząc na mnie, wziął mnie za rękę. I tak szliśmy ramię w ramię, w ciszy. Nie było tak dobrze jak w *Przeminęło z wiatrem*, ale lepiej niż na filmie wojennym.

- James, byłam okropnie niegrzeczna dla Jacka Howarda w miejscu publicznym. Żeby go ułagodzić, zgodziłam się na randkę. Ale nie byliśmy sami, no i nie dotykaliśmy się.

- Uwierzę w wiele rzeczy, Caron, ale nigdy w to, że Jack Howard nie próbował dotknąć pięknej kobiety.

- No, może dotknął. Nic ważnego. Plecy, ramię. No wiesz, te części, których ty dotykałeś na wystawie Mervina - dodałam zdesperowana.

- Więc ja dotykałam części używanych z drugiej ręki? To mi pochwlebia. Może powinienem wysłać Jacka przodem, żeby rozgrzał dla mnie kobietę. A potem co?

- Nie było żadnego potem. Uciekłam i wróciłam sama do domu. Na spotkanie z tobą. - To powinno załatwić sprawę, pomyślałam beztrąsko.

- I to ma załatwić sprawę, Caron? O ile pamiętam, musieliśmy jeść lunch na ławce w parku, w deszczu, ponieważ nie chciałaś się ze mną pokazać publicznie. Ale z Jackiem mogło cię zobaczyć pół Chambersa?



- To nie było tak. Nie bądź taki trudny. Załatwiłam to tak, że nikt nie zauważył, że przyjechaliśmy razem, a wyszliśmy osobno. - Ponieważ nadal nic nie mówił, i do cholery, nie patrzył na ranie, dodałam: - Najpierw miała być kolacja i teatr, ale się wykręciłam, proponując wystawę.

- Kolacja i teatr? Musiałaś być wyjątkowo chamska.

Sytuacja sprowadziła się do tego, że trzymałam jego rękę w obu swoich, żeby nie uciekł.

- Byłam z Florą w pubie. Znałam jego reputację, więc uznałam, że próbuje mnie poderwać. Kazałam mu spadać. Potem napisałam list z przeprosinami, ale on też wypadł niezbyt grzecznie. Wszystko się strasznie pokręciło.

- W twoim dziale jest tyle kwiatów, że przypomina oddział szpitalny. Codziennie jesteś niegrzeczna?

Szarpnęłam jego rękę i zmusiłam, żeby się zatrzymał.

- Jesteś głupim, upartym osłem. Byłam dla niego tak niegrzeczna, jak tylko mogłam, nie ryzykując, że wylecę z pracy. Mam się położyć na ścieżce i czołgać?

- Nie. Czy to oznacza, że możemy zacząć się spotykać w miejscach publicznych? Kolacja i teatr, na przykład?

- Zgodziłam się wyjechać z tobą na weekend, czy to nie wystarczy?

- Może. Nie chcesz odwołać? Cieszyć się towarzystwem Jacka Howarda?

- Ja także dotrzymuję słowa, James. Jadę na weekend z tobą.

Jego ton był bardziej suchy niż pierwszy i ostatni placek, jaki w życiu upiekłam.

- Niezwykle honorowo, Caron. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo się cieszę na ten wyjazd.

Puściłam jego rękę, cofnęłam się o krok i wrzasnęłam:

- Ja też się cieszę! To będzie najlepszy weekend w moim życiu!

Odmaszerowałam. Nawet się nie obejrzałam, żeby sprawdzić, czy w końcu coś do niego dotarło.

Kilka minut później szarpnęłam się wściekle, kiedy ktoś dotknął mojego ramienia. Powrót Jamesa.

- Tak sobie myślałem, Caron... To niedobrze, kiedy przyjaciele rozstają się w gniewie. - Pocałował mnie szybko, trochę tak jak politycy całują małe dzieci, a potem pobiegł w stronę zachodzącego słońca.

## Rozdział 19

Osiągnęłam stan „na co komu faceci!” Wszyscy moi bohaterowie grali w ludzkiego pokera, używając mnie w charakterze żetonu. Malutkiego żetoniku. Tak małego, że po wygranej można mnie było dać kelnerowi jako napiwek.

Wspólny weekend zapowiadał się okropnie, ale nie zamierzałam prosić o litość. I jeden Pan Bóg wiedział, co zamierza Jack Howard. Świeże kwiaty przybywały codziennie. Aż dziw, że nie dostaliśmy wszyscy kataru siennego.

Co gorsze, już mnie nie wypożyczano z księgowości. I ciągle mówiło się o przymusowym przejęciu firmy. Spotkałam

Harveya w kantynie i próbowałam pociągnąć go za język, mówiąc, jak bardzo tęsknię za pracą w jego biurze.

- W tej chwili to nie najlepszy pomysł, Caron - powiedział tylko.

- Z powodu kłopotów? - zaryzykowałam. - Nic nie wiem o żadnych kłopotach.

- Oczywiście, że nie. Musiałam mieć na myśli co innego.

Przez parę dni Mervin nie przychodził do kantyny na lunch, ponieważ wykorzystywał przerwę obiadową na rozmontowanie swojej wystawy w galerii. Flora ani razu nie wspomniała o witrynach sklepowych, prawdopodobnie licząc na to, że nawet jeżeli pomysł nie umrze śmiercią naturalną, zacznie przypominać wiązanek trzydniowych tulipanów.

Kiedy Mervin w końcu się zjawił, byłam już mocno niespokojna. Połączenie monotonii i braku perspektyw na awans sprawiło, że ryzyko nie wydawało mi się już tak wielkie. No i nie zostaniemy przyłapani.

- Przepraszam, że tak długo się nie pojawiałem. Kupa roboty. To co? Robimy skok?

- Z jednym zastrzeżeniem. Jeżeli nas złapią, co się oczywiście nie zdarzy, ale jeżeli nas złapią, biorę winę na siebie. Was tam nie było. Zgoda?

- Jasne, że się zgadzamy, prawda Floro? Może zaprowadzimy ją od razu przed pluton egzekucyjny?

- Mówię poważnie. Inaczej nic z tego.

Wywiązała się gorąca dyskusja i trwała, dopóki Mervin jej nie zakończył.

- Zgódźmy się z nią - powiedział, dotykając ramienia Flory. Ale ona tylko się zakrztusiła dietetyczną colą.

- Musimy zdecydować - powiedziała wreszcie. - Może demokratycznie? Głosujmy.

Więc podarliśmy serwetkę na trzy i wyciągnęliśmy długopisy. Wynik był dwa głosy „za” jeden „przeciw”. Mervin i ja siedzieliśmy, gapiąc się na Florę, która nie wiedziała gdzie oczy podziać. Wynik następnego głosowania był jednomyślny.

Dawali makaron z serem po specjalnej cenie, więc usiedliśmy z parującymi talerzami w cichym kącie.

- Co mam zrobić? - zapytała Flora.

- Będziesz stała na straży - powiedział Mervin.

- Dobrze. Ale nie ma wiele czasu, żeby dobrze przestudiować temat.

- Floro, musisz się tylko ukryć w sklepie i ostrzec mnie, i Mervina, kiedy zobaczysz, że ktoś nadchodzi.

- Niczego nie przewrócić i nie narobić hałasu - dodał Mervin. - Świetnie się do tego nadajesz, Floro. Jesteś schludna, dokładna i systematyczna. Zresztą, ktoś, kto sprzedał Jackowi Howardowi moją plantację marihuany, z powodzeniem może stać na czatach.

- Chyba nie boisz się ciemności, Floro? - zapytałam.

- Kto? Ja?

- Znam rozkład okien i wiem, gdzie są przełączniki światła. Caron, nie sądzisz, że powinniśmy pracować po ciemku, żeby nie rzucać się w oczy z ulicy?

- Słusznie, Mervin. Sądzę, że dam sobie radę z zabezpieczeniami. Jeżeli Flora uprzedzi mnie na czas. - Wyobraziłam sobie, jak strażnik wciska guzik, uruchamia alarm, z sufitu leje się wrzątek, przyjeżdża policja.

Mervin pochylił się nad stołem.

- Więc wszystko ustalone. Noc z soboty na niedzielę?

- Albo z niedzieli na poniedziałek - zaproponowałam.

- Caron, nie - zaprotestowała Flora - będziemy zbyt zmęczeni, żeby w poniedziałek normalnie pracować. Mogą przysłać policjantów, żeby sprawdzili, kto z personelu jest najbardziej zmęczony.

- Nowa metoda. Sińce pod oczami zamiast odcisków palców.

Pośmialiśmy się, a potem stanęło na nocy z niedzieli na poniedziałek.

- Czy ktoś rozpracował, jak dostać się do budynku? - zapytała Flora.

- W ogóle z niego nie wyjdziemy - powiedzieliśmy chórem.

- Schowamy się w pokoju personelu - uściśliłam. - Będziemy pili wino, objadali się smakołykami. Zrobimy sobie piknik.

- To będzie długi piknik. Sobotnia noc i cała niedziela. A jak wyjdziemy po skończeniu roboty? Jeżeli skorzystamy ze schodów przeciwpożarowych, uruchomi się alarm.

- Wtedy będzie już za późno, Floro - powiedział Mervin. - Zresztą, naszym celem jest zwrócenie uwagi. A więc ustalone?

Ostatni kęs makaronu z serem ześlizgnął się z widelca Flory na stół.

- Czy to znak? - zapytała szybko.

- Floro, powiedziałabym raczej, że to wyjątkowo nietowarzyska wstążka makaronu.

Następnego dnia, w piątek, pojawiły się komplikacje. Zadzwoiła Flora i powiedziała gwałtownym szeptem:

- Planują powołać awaryjny zespół w waszym dziale, w ten weekend. Na górze odbędzie się jakieś ważne zebranie. Słyszałam, jak kazali pani Oakley to zorganizować. Narzekała, że to niezgodne z przepisami, praca w weekend, praktycznie bez uprzedzenia, więc związki będą protestować. Zgłosiłam się na ochotnika. I zaproponowałam cię jako „najnowsza” i Mervina jako jedyne go mężczyznę. Mogłabyś iść zaraz do pani Brown i powiedzieć, że chętnie weźmiesz nadgodziny?

- Jasne. Dobra robota, Floro.

- To znaczy, że my będziemy mieli klucze do pokoju personelu i drzwi zewnętrznych, nie pani Brown.

Nie chciałam mówić Florze, że jej scenariusz wskaże nas po prostu palcem jako sprawców zmiany dekoracji. Nie będziemy mogli powiedzieć, że po prostu zapomnieliśmy zamknąć drzwi zewnętrznych.

Pani Brown z ulgą przyjęła wiadomość, że jesteśmy z Mervinem gotowi przepracować weekend. Kiedy wracaliśmy na swoje miejsca, podzieliłam się swoimi wątpliwościami z Mervinem.

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedział. - Nie będą nas podejrzewać, bo to by było zbyt oczywiste. Musimy tylko trzymać się jednej wersji.

Wyobraziłam sobie Florę, jak zeznaje: - Nie, to nie my zostaliśmy do późna. Nie ukryliśmy się w pokoju dla personelu i nie zakradliśmy się na wystawę po zgaszeniu świateł, bo nie wiedzieliśmy, gdzie są wyłączniki.

Całą sobotę przesiedzieliśmy w biurze, od czasu do czasu wysyłając jakiś faks. Wyszliśmy punktualnie o piątej. W domu

Flora przerzuciła stos poczty na biurku. Evelyn była pochłonięta przeglądaniem katalogu wysyłkowego.

- Cholera, same śmiecie - powiedziała, nawet nie podnosząc głowy. - List do ciebie, Caron. Pewnie od mamy.

Był to lotniczy ze Stanów, bez adresu nadawcy. W środku była następująca wiadomość, bez nagłówka i bez podpisu:

*Nie chcesz rozmawiać, nie będziemy. Ale wiem, co knujesz, skarbie. To ci się nie uda. Nauczyłem cię wszystkiego i, wierz mi, jestem zawsze krok przed tobą.*

- Co ja knuję?! - Aż się zaplułam z wściekłości. - O czym on mówi? - Pokazałam list Florze i Evelyn.

- Ktoś mi chyba mówił, że gość będzie zajęty jakąś fuzją. Mogłabym od razu powiedzieć twojej mamie, że żaden facet nie będzie grzeczny aż tak długo. Zwykle nie wytrzymują nawet dwudziestu czterech godzin.

- Całkiem zapomniałam o tej fuzji. Ale były gardenie, a potem telefon, więc może fuzja nie doszła do skutku.

- Czy ten list może oznaczać, że się niepotrzebnie upierasz? - zasugerowała Flora. - No wiesz, w sprawie przepisu na ciasteczka

- To oczywiste. Przecież już próbował go ukraść.

- Zapominacie - powiedziała Evelyn ze znużeniem - że Bas jest mężczyzną. Znużyło go ganiecie za tobą. Ma pewnie nową panienkę i chce zerwać.

- Co zerwać, Evelyn? O ile się orientuję, wszystko jest już zerwane.

- Czy to możliwe, żeby to była zwykła złośliwość? Bo ten numer z meblami ogrodowymi nie wypalił?

- Nie wiem. Bas nie jest w typie ludzi, którzy robią coś z czystej złośliwości. Poczekamy zobaczymy. Grozi nam w zwykłym liście, więc chyba nie ma pośpiechu.

- To on chce, żebyś tak myślała. Ja twierdzę, że zaatakuje szybko. Lada chwila wszystkie umrzemy.

- Dzięki za pomoc, Evelyn - powiedziała Flora. - Myślę, że to ty obierzesz dzisiaj ziemniaki.

- I pozmywasz - dodałam.

Podskoczona tym, co ma nastąpić, nie myślałam więcej o Basie.

Głównie martwiłam się, że przez ten numer z witrynami sklepowymi pakuję moich przyjaciół po kolana w bagno. Mówiliśmy prawie wyłącznie o tym, jak to wspaniale, że zarabiamy coś ekstra. Za sobotę dostaliśmy półtorej stawki, za niedzielę dwie. Do tego darmowe lunche i transport. Gdybyśmy kiedykolwiek utworzyli związek zawodowy, pani Oakley byłaby pierwszą kandydatką na przewodniczącą.

W zasadzie nie było nic do roboty. Mniej więcej co godzinę wzywano kogoś z nas na górę, żeby wysłał faks. Mervin wydawał się najbardziej chętny, więc pozwoliliśmy mu biegać.

Za pierwszym razem wrócił uradowany.

- Jest tam prawie całe kierownictwo. Żadnych sekretarek ani asystentek. Nikt nie widział, jak wchodziliśmy. Mógłbym przeszmygłować Klejnoty Korony nie tylko torbę z narzędziami.

- Zastanawiałam się, dlaczego nie dali tej roboty swoim sekretarkom. Zabierają je nawet w podróże służbowe.

- To oczywiste - powiedział Mervin. - Tajemnica służbowa. Nie mogliby pozbyć się sekretarek między faksami, tak jak pozbywają się nas.

- Ale chyba umieją sami wysłać faks? Mervin uśmiechnął się szeroko.

- Wysłać faks? Chyba żartujesz. Zaraz poproszą o zrobienie kawy. Na tym polega sens bycia ważnym, że można się kimś wysługiwać.

- Podśluchałeś coś ciekawego? - zapytałam.

- Na mój widok umilkli. W ostatnim fakcie prosili o jakieś informacje z nowojorskiej filii.

- Pewnie planują przyszłoroczną strategię - powiedziała Flora. - Przynajmniej tak mi powiedziała pani Oakley, kiedy ją o to spytałam. - Ku mojej i Mervina irytacji, starannie odmierzyła pół porcji wina i wody do plastikowych kubeczków.

- Myślisz, Caron, że mogłybyśmy zostawić tu Mervina i pójść sprawdzić sklep? Na przykład o co się mogą potknąć w ciemności?

Przez tę godzinę, kiedy nas nie było, Mervin nie ruszył się z miejsca, ale potem został wezwany, żeby wysłać faks do Hongkongu i Mediolanu.

- Proszą o kolejne dane - poinformował po powrocie. Zerknęłam na zegarek.

- Siedemnasta trzydzieści, czas, żeby poszli do domu.

Zamiast tego kazali Mervinowi iść po kanapki. Flora poszła z nim, bo zamówienie było duże. Ja zostałam sama. W pewnym momencie podniosłam wzrok i zobaczyłam Jamesa przy biurku pani Brown. Rozglądał się. Do licha, przyglądał się kwiatom rozstawionym na sali.

- Cześć, James. - Wstałam. - Jestem tu w pogotowiu, gdybyś czegoś potrzebował. Czegokolwiek.

Trochę go wystraszyłam, widocznie mnie nie zauważył.

- Nie, dziękuję, Caron. Jesteś tu sama?

- Czemu pytasz? Co zamierzasz zrobić?

- Mówię poważnie.

- O tak, proszę pana, przepraszam pana. Stał i czekał na odpowiedź.

- Flora i Mervin poszli po kanapki. Poza tym na górze jest mnóstwo ludzi.

- Tak, wiem, właśnie tam idę. Ale to ci nie zapewnia bezpieczeństwa tutaj.

Uśmiechnęłam się. Dobrze, że chociaż ten zrzędlawy James nie chciał, żeby mnie zaciukali.

- Nic mi nie będzie. Nie jestem bezradnym kobieciątkiem.

- To na pewno. - Odwrócił się i odszedł.

Jak zawsze z Jamesem, nie wiedziałam, czy to był komplement, czy wręcz przeciwnie. Pożałowałam, że nie mogę go zwyczajnie spytać, co się dzieje. O przymusowych przejściach akurat trochę wiedziałam, po latach spędzonych z Basem, choć naszej firmy nigdy to nie spotkało. Nie chciałam jednak stawiać Jamesa w sytuacji, kiedy musiałby powiedzieć, że sprawa jest poufna. Szkoda, że pan Chambers się tu nie przybłąkał. Z drugiej strony, mógłby mnie w ogóle nie skojarzyć. Porozumiewaliśmy się przecież tylko listownie za pośrednictwem Melody.

Wkrótce po wyjściu Jamesa wrócili Flora i Mervin, bardzo rozbawieni. Nieśli torebki z delikatesów.

- Caron, nie uwierzysz, co zrobił Mervin! Kiedy zanieśliśmy jedzenie na górę, powiedział kierownikom, że nie ruszymy się stąd przed nimi, na wypadek gdyby nas jeszcze potrzebowali.

Mervin uniósł triumfalnie ramię.

- Od piątej jesteśmy na podwójnej stawce. Może przez całą noc. I jeżeli wyjdzie szydło z worka, powiemy, że zmieniliśmy wystawy w godzinach pracy. Żeby wspomóc firmę.

- Ale ja myślałam, że zachowamy to w tajemnicy - zdenerwowała się Flora.

- Powiedziałem: jeżeli wyjdzie szydło z worka. Jeżeli nas złapią.

- Myślisz, że góra będzie pracowała przez całą noc? - zapytała Flora.

- Kto wie? - odparł Mervin. - Chyba nie sądzisz, że ktoś tu przyjdzie nas uprzedzić, że za pięć minut wychodzą? Nie mają do tego głowy. - Zaczął wyciągać jedzenie z torebek. - Nie martw się, Caron. To nie na nasz koszt. Góra płaci. Jestem pewny, że by się zgodzili, gdybym zapytał. Nie ryzykowałem, żeby nie usłyszeć, że mam iść na obiad do domu.

- Boże, to wygląda wspaniale! - zawołała Flora.

- Wędzony łosoś - wyjaśnił Mervin. - A tutaj pieczona wołowina z musztardą. Indyk, szynka, ser i sałata. Góry frytek. Cola. Uzналиśmy, że góra nie zadowolili się gołym serem.

Między szóstą a północą dwukrotnie wezwano nas do faksów.

- Szkoda, że nie odbieramy odpowiedzi - powiedziałam. - To musi być interesujące.

- Idą prosto do biura pana Chambersa. Tam wszyscy siedzą. - Nie uważacie, że powinniśmy przełożyć akcję na przyszły weekend, skoro nie poszli do domu i mogą nas w każdej chwili wezwać?

- Nie! - zawołaliśmy z Mervinem unisono. Ja - ponieważ nie chciałam dopuścić, by coś uniemożliwiło mi wypad z Jamesem, Mervina zaś zwyczajnie ciągnęło do psoty.

- Zgadza się, że trzeba to zrobić dzisiaj - powiedziała Flora ku naszemu zdziwieniu. - Skoro zaszliśmy tak daleko.

Wstałam i mocno ją uściskałam. Wszystkich nas mogli zwolnić. Ale Flora była z nas najodważniejsza, ponieważ miała o wiele większą awersję do ryzyka.

Ustaliliśmy, że trzymamy się pierwotnego planu, czyli opuszczamy dział, licząc na to, że uporamy się z robotą w godzinę. W razie czego powiemy, że zrobiliśmy sobie przerwę, poszliśmy do domu albo kopiować dokumenty. A jeszcze lepiej, że usłyszeliśmy dziwne hałasy. Gdyby ktoś z nas został w dziale, żeby odbierać telefony, aranżacja okien znacznie by się przeciągnęła, zwiększając tym samym ryzyko.

- Boże! - pisnęła Flora, kiedy zeszedliśmy na piętro handlowe. - Te manekiny wyglądają jak duchy.

Zostawiliśmy ją przy windach i przeszliśmy do okien. Musieliśmy często przerywać pracę i nasłuchiwać. Baliśmy się strażnika. Mervin zaczął od pierwszego okna, a ja szybko zebrałam rozmaite części garderoby ze stoisk.

Szczegóły opracowaliśmy z Mervinem w przerwach na kawę. Zakładaliśmy bardzo optymistycznie, że zdążymy ze wszystkim w godzinę. Powinniśmy byli słuchać Flory, która twierdziła, że potrwa to miesiąc.

Przeróbka każdej witryny trwała godzinę. Kończyliśmy ostatnią, przekonani, że uszło nam to na sucho, kiedy przybiegła Flora.

- Ktoś idzie.

- Kryć się! - zawołał Mervin.

- Gdzie?

- W oknie - powiedziałam. - Szybko. Stójcie nieruchomo jak manekiny. Światła są zgaszone.

Długo czekaliśmy w zupełnym milczeniu i już myślałam, że się udało, kiedy ktoś zaczął majstrować przy drzwiach. Stałam sztywno, w dramatycznej pozie, z ramionami w górze, plecami do drzwi. Światło ulicznych latarni rzucało niesamowity poblask na wystawę. Nie śmiałam spojrzeć na Mervina i Florę.

Drzwi otworzyły się wolno. Wstrzymałam oddech.

- Caron? To ty? Odwróciłam się szybko.

- James! Do licha, co ty tu robisz?

Miałam wrażenie, że się uśmiecha. Miałam nadzieję, że się uśmiecha.

- Wydaje mi się, że to ja powinienem zadać ci to pytanie.

Potknęłam się o próg i wylądowałam w jego ramionach, nogą zatrzaskując drzwi.

- Dziękuję, James. Miło cię widzieć. Chcesz iść na kawę? Trzymałam go za ramię i próbowałam odciągnąć od wystawy.

- Co ty tu robisz? - zapytał. Byliśmy już w głównym przejściu. - Realizujesz ukryte marzenia, żeby postać na wystawie? Jako fetysz?

Ledwo mogłam rozpoznać jego rysy w ciemności.

- Oczywiście, że nie. - Myślałam gorączkowo. - Chciałam rozprostować nogi, więc poszłam na spacer i zauważyłam, że światło na wystawie jest zgaszone. Szukałam przełącznika.

James zawrócił w stronę okna.

- Wiem, gdzie one są. Jedną chwileczkę.

- Nie! To znaczy, już znalazłam. Ale trochę nabałagałam, więc muszę posprzątać. A dlaczego ty zszedłeś na dół?



- Szukałem nocnego strażnika. Chciałem mu powiedzieć, że jest personel na trzecim piętrze. Nie odpowiadał na wezwanie. I zauważyłem, że światła wystawowe są wygaszone.

- Idź poszukaj strażnika, a ja tymczasem uporządkuję okno.

- Poczekam. Nie chcę zostawiać cię tutaj samej. Uśmiechnęłam się szeroko.

- Będziesz mnie tulił i całował, jeżeli się przestraszę? - zapytałam szeptem.

- Może - odpowiedział po krótkim milczeniu.

Otoczyłam mu szyję ramionami, wmawiając sobie, że jest to poświęcenie dla sprawy. Po chwili James odwzajemnił uścisk. Był taki lodowaty, że powinien mnie zamoczyć, kiedy się rozmroził. Po chwili nastąpił pocałunek. A potem poważny pocałunek. Byłam na najlepszej drodze, żeby zapomnieć o akcji i o tym, że Flora i Mervin są nadal uwięzieni na wystawie.

- Przypomniało mi się - powiedział James, kiedy wypłynęliśmy zaczerpnąć powietrza - że pytałaś o zabezpieczenia w Chambersie.

- Prawda, jaki zdumiewający zbieg okoliczności? Czy teraz ja mam przejrzeć twoje kieszenie, sprawdzić, czy czegoś nie ukradłeś?

James zaśmiał się trochę nerwowo.

- W tej chwili muszę raczej wrócić na górę.

Też się roześmiałam i próbowałam odciągnąć go dalej od okien.

- To trochę jak sen, prawda, sam na sam w sklepie, w ciemności.

- Nieczęsto śnią mi się puste piętra handlowe. Pośpiesz się z tym oknem.

Poczekam tutaj.

Zapewniłam go, że nic mi nie będzie. Że kiedy już znajdzie strażnika, może przysłać go na górę, żeby sprawdził, czy dotarłam do działu.

- I jeszcze coś... Gdyby mówiło się o tych oknach wystawowych, mógłbyś nie wspominać nikomu, że mnie tu widziałeś? Na wypadek, gdybym nie ustawiła wszystkiego dokładnie tak, jak było?

- Skoro nalegasz... Nie zamierzałem mówić nikomu o naszym spotkaniu.

- Och, dziękuję ci.

Gdy tylko zniknął mi z oczu, zawiadomiłam Florę i Mervina. Chwyciliśmy sprzęt i wróciliśmy biegiem do księgowości, żeby zdążyć przed strażnikiem. Przyszedł zaraz po nas. To mi dopiero strażnik! Powiedział, że od dawna wie, że tu jesteśmy i sprawdza regularnie, czy wszystko w porządku.

- Doceniamy to - powiedział Mervin. - Chyba widziałem pana raz czy dwa. A pan przyłapał nas na gadulstwie. Sprawdza pan co godzinę? Częściej?

- Częściej niż co godzinę - odparł strażnik i poszedł sobie.

- Super! - powiedział Mervin. - Zapewni nam alibi, jeżeli sprawa się rypnie.

Pewnie przespał prawdopodobnie pół nocy w pokoju strażników.

- Będziemy dzwonić z mojej komórki? - zapytałam.

- Genialne! - odparła Flora. - Nie dojdą kto dzwonił. Mam tu numery - zaczęła grzebać w torebce.

Wykonałam pierwszy telefon, do jednego brukowca. Naśladując starszą panią, powiedziałam drżącym głosem:

- Nie mogłam zasnąć i spacerowałam z moim psem. Nie do pomyslenia, co wsadzili w te okna u Chambersa. To skandal. Prawdziwy skandal. - Marsjanin miałby taki akcent po dwudziestu latach w Alabamie.

Zadzwoiłam jeszcze w parę miejsc, a potem zastąpiła mnie Flora, obdzwaniając stacje telewizyjne.

- Widzieliście te obsceniczne wystawy? U Chambersa, wiecie, najlepszy sklep na Oxford Street? Rany, nie mogłam na to patrzeć. Normalnie szok!

Mervin obdzwonił wszystkie numery od nowa, w tym także duże dzienniki.

- Rewelka! U Chambersa mają zajebiste wystawy! Nie mogę się doczekać, aż otworzą. Na waszym miejscu już bym tam był z kamerami.

W sumie, używając różnych głosów, wykonaliśmy trzydzieści telefonów.

- Floro, co będzie, jeżeli zadzwonią do firmy, żeby to sprawdzić?

- Nie będą przecież dzwonić w niedzielę, kiedy sklep jest zamknięty. Niemożliwe, żeby przełączyli całą centralę na górne piętro.

- Ale jak wyjdą stąd złoczyńcy? Którymi drzwiami? Nie możemy się teraz wymknąć, uruchomimy alarm.

Mervin zerwał się na równe nogi.

- Pójdę i otworzę boczne drzwi. Zawsze można to zwalić na kogoś z góry.

- Racja! A ty, Floro, zadzwoń do strażnika i powiedz, że chyba kogoś widziałaś. Niech pójdzie, posprawdza drzwi. Potem je zamknie. Nie możemy ryzykować, że dostaną się tu prawdziwi włamywacze, czy choćby reporterzy.

Przyszedł Jack Howard, przeprosił, że trzymano nas tak długo, po czym wręczył każdemu z nas kopertę ze stufuntową premią. Albo Jack zdobył fortunę, albo hodował własne kwiaty i produkował własne pieniądze.

Trochę ociągaliśmy się z odejściem, chcąc się upewnić, że góra też wychodzi. Z wielką ulgą stwierdziliśmy, że nikt z kierowników, opuściwszy budynek bocznymi drzwiami, nie skierował się na Oxford Street. Poszliśmy tam sami podziwiać nasze dzieło. Umknęliśmy szybko, kiedy przyjechała telewizja i obserwowaliśmy z daleka, jak ekipa przygląda się wystawom i rozstawia światła. Zajechał jeszcze jeden samochód, tym razem z logo gazety.

Ściskaliśmy się i wymachiwaliśmy rękami. Szaleliśmy z radości.

- Przyjaciele, teraz już nikt nie zdąży zmienić wystaw.

- Zmienia je przy pierwszej okazji - powiedziała Flora. - Szefowa działu artystycznego zemdleje.

- Mogą ich w ogóle nie zmienić - powiedział Mervin w zamyśleniu.

- Właśnie! - przyznałam mu rację. - Jeżeli zyskają rozgłos i ściągną klientelę, góra może się do nich przyznać. Media przyjechały w środku nocy, to dowodzi, że Chambers naprawdę uchodzi za sztywniачę.

Następnego dnia przed pójściem do pracy trójka artystowskich muszkieterów, jak ochrzciła nas Flora, spotkała się na kawie.

- Oglądałeś telewizję? - zapytała Flora Mervina, półprzytomna z podniecenia. - Jedna stacja powiedziała, że Chambers wkroczył w nowe tysiąclecie.

- Przedstawili to tak, jakby Królowa Matka pokazała się publicznie w skórzanych portkach.

- Aha, i nazwali wyczynem stulecia, który zapewni Chambersowi rekordową sprzedaż. Ale najbardziej ich zdziwił kompletny brak przecieków o tym, że Chambers zmienia wizerunek.

- A widziałeś wywiady z ludźmi na ulicy? Uśmiealiśmy się z Florą do łez. Młodzi zapowiedzieli, że sprawdzą Chambersa, to normalne, ale była też pewna starsza pani, która oznajmiła, że kobiety w dzisiejszych czasach nie muszą się starzeć i na pewno da Chambersowi szansę.

Idąc w stronę wejścia służbowego, przeciskaliśmy się przez hałaśliwy tłum. Kierownicy działów już kręcili się po piętrze handlowym, poganiając sprzedawców. Na górze personel młody i stary wydawał się pogodniejszy niż zwykle, zachwycony, że pracuje w firmie, która budzi takie zainteresowanie. Nawet pani Brown wydawała się ożywiona.

Siedziałam jak skamieniała, trzymając kciuki, czekając, co będzie dalej. Nie musiałam czekać długo. Wkrótce zobaczyłam, jak James rozmawia z panią Brown i natychmiast zostałam do niej wezwana. James wyprowadził mnie na korytarz, gdzie mogliśmy spokojnie porozmawiać.

- Ja, eee, Caron, nie wiem, co powiedzieć. Ja...

- Chcesz odwołać nasz weekend... - Nie.

- A może żałujesz wczorajszej nocy, tego pocałunku w sklepie...

- Nie. Ale rzeczywiście chodzi o wczorajszą noc.

- To proste, James. Amnezja. Jak przyjdzie co do czego i okaże się, że trzeba ponieść konsekwencje, pracowałam sama. A jeżeli sukces - znajdzie się nas więcej.

- Nie wydaje mi się, żeby sukces to było odpowiednie słowo, Caron. Ale o konsekwencje się nie martw. - Rozejrzał się uważnie dookoła i dalej mówił zniżonym głosem: - Górne piętro musi wydać oświadczenie. Oświadczenie dla prasy. Muszą mieć

pewność, że nikt nie wystąpi i nie powie, że to był żart, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Powiedziałem im, że być może mogę wyjaśnić tę kwestię.

- Powiem ci w zaufaniu, James. Jeżeli ludzie, o których mówą byli w tym czasie na podwójnej stawce godzinowej, czyli pracowali dla Chambersa za podwójne pieniądze, to to, o czym mówisz, musiało być legalne.

James odetchnął z ulgą.

- Jak, u Boga Ojca, na to wpadłaś, Caron? - zapytał. - Rozumiem te malowane płótna, doskonale tło wystawy. I Świętego Mikołaja w okularach słonecznych i dredach. Ale cała reszta? - Uśmiechnął się sucho. - Pomyśleliście o wszystkim. Manekiny w najlepszych jedwabiach i kaszmirach. Nowa świąteczna linia damskiej bielizny. I ten pomysł, żeby założyć biustonosze i majtki na wierzch!

## *Rozdział 20*

Kiedy wróciłam do działu, Mervin uniósł pytająco brwi, ale pokręciłam głową, na znak, że nic się nie wydarzyło. Z Jamesem nigdy nic nie wiadomo, jeszcze za wcześnie na radość. Rozeszło się, że pracowaliśmy bez przerwy w weekend i ludzie wydzwaniali, pytając, czy czegoś nie zauważyliśmy.

- Caron, wystawy są wspaniałe, kochanie - zachwycała się Melody. - I bieliznę powinno się nosić na wierzchu, zważywszy, ile kosztuje. To znaczy, ile kosztuje w Harrodsie.

- Melody, nie uważasz, że te wystawy są trochę ryzykowne?

- Och, nie. - Roześmiała się. - Na pewno znajdzie się kilka świętoszek, które zgłoszą zastrzeżenia. Ale na ogół, kiedy doszło się do pewnego wieku, człowiek żałuje, że nie żył mocniej. Że nie ma trochę bardziej interesujących wspomnień. Więc zażaleń będzie niewiele. W dzisiejszych czasach niefajnie być staroświeckim.

Nie wiem jak Florę, ale ani mnie, ani Mervina nikt nie gonił przesadnie do pracy. Kiedy Mervin powiedział pani Brown, ile godzin przepracowaliśmy podczas weekendu, była wstrząśnięta. Potem uśmiechnęła się i powiedziała: „Brawo!”

Umówiliśmy się we trójkę na lunch, ale zanim zdążyliśmy odejść od biurka, otrzymaliśmy telefon od sekretarki pana Chambersa, która zapraszała nas natychmiast do biura szefa.

Spotkaliśmy się z Florą na korytarzu przed drzwiami.

- Albo przełom, albo zwolnienie - stwierdził Mervin.

- Może chodzi o coś zupełnie innego. - Flora westchnęła z nadzieją.

Roześmialiśmy się, jakby to naprawdę był żart.

Gabinet pana Chambersa był uroczo staroświecki. Dębowe boazerie, olejne obrazy, trzyczęściowy skórzany komplet wypoczynkowy w rogu, pełnowymiarowy stół

konferencyjny. Jeżeli pan Chambers przypominał swój gabinet, był z pewnością zdolny odwrócić staroświeckiego kota ogonem i udawać, że zmiana wystaw jest całkowicie po jego myśli.

- Siadajcie, proszę. - Potem zwrócił się do sekretarki: - Poprosimy kawę, Jo.

Kiedy już przycupnęliśmy na brzeżku krzeseł ustawionych przed biurkiem, a Jim Chambers zasiadł w wielkim dyrektorskim fotelu, trochę się uspokoiłam. Miałam wrażenie, że stara się powściągnąć uśmiech.

- Przede wszystkim chciałem wam podziękować, że poświęciliście swój weekend, żeby nam pomóc. Było to bardzo wielkoduszne.

Cisza, która zapadła po tym oświadczeniu, trwała tak długo, że Flora zaczęła się wiercić, jakby to był koniec i należało wyjść. Potem wjechała kawa na srebrnej tacy. Znalazł się także talerzyk herbatników. Ja i Mervin wzięliśmy po kilka, wsuwając je ukradkiem do kieszeni.

- Tak więc - powiedział Jim Chambers - skoro byliście tu w czasie weekendu, chciałem prosić was o pomoc. Zdarzył się, jak wiecie, drobny incydent, czy też happening, sam nie wiem, jak to nazwać. Chciałbym, abyście przeczytali propozycję oświadczenia dla prasy i powiedzieli, czy pokrywa się z prawdą.

Sekretarka rozdała nam kopie oświadczenia i wycofała się do własnego biura. W oświadczeniu napisano:

*Serdecznie dziękujemy prasie i naszym wiernym klientom, a także tym, którzy dopiero zamierzają nimi zostać, za wspaniałą reakcję na nasz nowy image. Chcieliśmy, żeby to była niespodzianka, więc troje naszych pracowników otrzymało carte blanche i wykonało pracę w nadgodzinach, pod pozorem innego zadania. Podjęliśmy pewne ryzyko, ale Chambers'Emporium jest znany z tego, że wie dzie prym w swej dziedzinie. A to, w jaki sposób nasi klienci będą nosili zakupioną u nas odzież, zależy oczywiście wyłącznie od nich.*

- Ten ostatni fragment został pomyślany jako mały żarcik - powiedział z dumą pan Chambers. - Sam porozmawiam z dziennikarzami w stosownej chwili. Czy to, co napisaliśmy, jest zgodne z prawdą?

- Uważam, że oświadczenie wiernie oddaje sytuację - odparłam dość mocnym głosem.

Zwróciłam się do Mervina, który przyznał mi rację, a potem oboje spojrzeliśmy na Florę, która powiedziała: - I ja. To znaczy, zgadzam się. Panu Chambersowi wyraźnie ulżyło.

- Cóż, jestem pewien, że media trochę przesadzają z naszą staroświeckością, ale nie ulega wątpliwości, że wyświadczycie firmie przysługę. W związku z tym otrzymacie premię. - Uśmiechnął się. - Chciałem powiedzieć sporą premię, więc nie oszczędzajcie na świątecznych zakupach.

Podziękowaliśmy mu, a on dodał jeszcze:

- Możecie również liczyć na podwyżkę przy półrocznej ocenie pracowniczej. Czy są jakieś pytania?

Chciałam zapytać, co oznacza spora premia, ale powstrzymałam się. I chwila wcale nie była odpowiednia, żeby powiedzieć, jak bardzo lubię wysyłać mu potajemne liściki via Melody. Agenci MI5 nie składają takich oświadczeń, chyba że ktoś próbuje ich zastrzelić.

Jim Chambers wstał i podziękował nam jeszcze raz, dając do zrozumienia, że jest to koniec spotkania. Odprowadził nas i już przy drzwiach powiedział:

- A propos, Caron, nie miałem okazji powitać cię w firmie. Słyszałem, że świetnie sobie radzisz. Daj mi koniecznie znać, jeżeli będziesz potrzebowała... czegokolwiek. - Uniósł brwi i uśmiechnął się porozumiewawczo.

Przed gabinetem szefa Mervin podskoczył i krzyknął:

- Udało się, niech mnie!

Nawet Flora wykonywała triumfalne gesty, a potem uściskała Mervina i mnie.

- Dobra robota - powiedziała sekretarka Chambersa, osoba starsza i bardziej zrównoważona. - Jesteśmy z was tacy dumni.

- Myślicie, że wszyscy się dowiedzą? - zapytała Flora niespokojnie, jak tylko znaleźliśmy się na korytarzu.

- Zanim jeszcze zejdziemy na dół - powiedział Mervin. - Proponuję lunch w kantynie, żeby zrobić przyjemność naszym fanom.

- A ja proponuję zostać tam tak długo, jak się nam spodoba. Pani Brown nic nam dzisiaj nie robi. Przydałyby mi się ze trzy cappuccino.

Szliśmy w stronę wind, kiedy dogonił nas James. Tuż za nim podążał Jack Howard.

- Gratuluję! - powiedział James do nas wszystkich, po czym zwrócił się tylko do mnie: - Mój stołek już na ciebie czeka. - Co powiecie na jakiś miły apartament?

Odpowiedzieliśmy uszczęśliwionymi uśmiechami. Jack również nam pogratulował.

- Mervin, wystawiając swoje prace w witrynie, podniosłeś wartość mojego obrazu - powiedział. - Ktoś powiedział dziennikarzom, że kupiłem go do swojej kolekcji i teraz chcą przyjść i zrobić zdjęcia.

- Wiesz, Jack, przed przyjazdem prasy powinieneś, za zgodą Mervina oczywiście, zmienić tytuł obrazu z *Garnka* na *Zielone ziolo*.

- A wy, dziewczęta - powiedział Jack, próbując najwyraźniej przelicytować Jamesa - z pewnością nie jesteście tylko ładnym dodatkiem. Zresztą nigdy tak nie myślałem.

Mervin roześmiał się.

- Czy to znaczy, że ja jestem tylko ładnym dodatkiem? Odchodziliśmy już, kiedy Jack położył mi rękę na ramieniu.

- Umówimy się na tę randkę, która nas ominęła? Teatr i kolacja? - zapytał.

- O Boże, nie spałam od wieków. Może później, Jack. Ale dzięki. - Szybko dołączyłam do reszty. Biegłam jak antylopa i omal ich nie stratowałam.

- Myślałam, że już wiecie, że waszym zadaniem jest chronić mnie przed tym facetem!

- Musieliśmy uciec, żeby nie zaproponować drugiego oświadczenia dla prasy. Byłoby tam napisane, że Chambers, jako naprawdę nowoczesna firma, wiesza obrazy przedstawiające plantacje marihuany w gabinetach dyrektorów - powiedział Mervin. - Albo że przynajmniej Jack Howard jest na tyle nowoczesny i liberalny, że mu to nie przeszkadza.

- Tak, wątpię, czy Bill Clinton powiesiłby to w gabinecie podczas swojej prezydentury - zauważyłam.

- Jak to dobrze, że was poznałam - powiedziała Flora. - Przedtem w moim życiu nic się działo. A teraz co minuta dramat.

Nie pozwolono nam nawet zapłacić za lunch.

- Przynajmniej tyle możemy zrobić - powiedziała kasjerka

- żeby uczcić wasz triumf. Smacznego!

Pławiąc się w podziwie otoczenia, rozkoszując towarzystwem przyjaciół, pomyślałam, jak to cudownie, że Chambers naprawdę wierzy w darmowe lunche. Stracimy je w pierwszej kolejności, kiedy dojdzie do przymusowego przejęcia. W następnej pożegnamy się z posadami.

Przywędrował stary Harvey i wymamrotał gratulacje. Podziękowaliśmy, a kiedy sobie poszedł, powłócząc nogami, Mervin nachylił się nad stołem.

- Wiesz, Caron, trzymałbym się z dala od tego gościa. Wiem, że daje ci pracę w księgowości, ale...

- Ostatnio nie - powiedziałam. - Jest trochę dziwny, ale ja go lubię.

- Mimo wszystko omijaj jego biuro. Podobno robi bokami i chodzi jak struty.

- Pewnie przez pajęczyny - powiedziałam, wzbudzając ogólną wesołość. Byliśmy w takich humorach, że ucieszyłby nas nawet policjant z mandatem za przydługie parkowanie przy stole.

Koledzy z księgowości przychodzili pytać, jak wpadliśmy na taki pomysł i jak udało nam się go wprowadzić w życie.

- Nie wiem jak wy, ale ja zamierzam dać się złowić agencji reklamowej - powiedział Mervin, kiedy znów zostaliśmy sami.

- To są duże pieniądze. Mógłbym też pokierować tutejszym działem artystycznym.

- Myśl z rozmachem, Mervin. Dlaczego nie całym światem?

- No, nie wiem, Caron - powiedziała Flora - Skoro już mamy taką popularność jak gwiazdy rocka, może mogłabym nauczyć się śpiewać.

Mervin objął ją łagodnie ramieniem.

- Floro, możemy śpiewać w duecie. A Caron będzie prowadziła orkiestrę.

Z kamienną twarzą zwróciłam się do Flory:

- Muszę powiedzieć, że jest to chyba rozdział czternasty, niemal ostatni.

Na szczęście dla Flory w tym momencie do naszego stolika podeszła kasjerka, niosąc trzy porcje czekoladowego ciasta z bitą śmietaną.

- Jak już coś robić to dobrze - powiedziała.

Potem rozmowa zeszła na łowców talentów.

- Przypuszczam - powiedział Mervin - że Chambers byłby niezadowolony, gdybym robił to zbyt ostentacyjnie. Ale mogę rozpuścić wici wśród przyjaciół artystów. Jim Chambers był super, ale mógłby się zmienić, gdybym próbował go przyćmić.

- Och, nie wiem, Mervin. Jeżeli ta premia przekroczy milion dolarów, możemy zdecydować, że chcemy tu zostać.

- Zgodzę się nawet na ćwierć miliona, jeżeli dostaniemy ten miły apartament.

- Z lądowiskiem dla helikoptera - uzupełniła Flora. - Już prędzej nauczę się latać, niż śpiewać.

Miałam nadzieję, że Jack Howard powściągnie swoje romantyczne zapędy, ale jeszcze tego popołudnia na moim biurku wylądowała replika pierwszej krzykliwej kompozycji kwiatowej. Wszyscy wybuchnęli histerycznym śmiechem. Natychmiast przeniosłam cholerstwo na boczny stolik pani Brown.

Pół godziny później dostarczono mi bukiet drobnych, delikatnych kwiatów. Cudowna gardenia otoczona wianuszkami dzikich lilii. Na karteczce widniało jedynie „J”, ale wiedziałam które to J. Przez całe popołudnie, między krótkimi zrywami pracy, podnosiłam kwiaty do twarzy, wdychając cudowny aromat.

Ja i Melody sprzątałyśmy już biurka, kiedy zjawiła się elegancka starsza pani. Niosła bukiet kwiatów i dwie paczuski opakowane w ozdobny papier. Melody natychmiast wstała z krzesła. Uściskały się serdecznie.

- Caron, poznaj Betty Chambers.

Pani Chambers była uosobieniem czaru, ale jednocześnie obserwowała mnie dyskretnie. Mniej przy tym zwracała uwagę, co mam na sobie i jak wyglądam, bardziej na to, co myślę.

- Miło cię poznać, Caron. Słyszałam o tobie wiele dobrego. Moje gratulacje. To był świetny pomysł. Sama dałam się skusić i coś niecoś kupiłam. Przyniosłam ci kwiaty i mały prezent. - Wręczyła mi paczkę, drugą dała Melody. Kwiaty były bardziej w stylu Jamesa niż Jacka.

Zaczęłam dziękować, ale Melody mi przerwała:

- Caron, kochanie, przynieś krzesło dla Betty. I sama też usiądź. Nie chciałabyś przegapić tylu ploteczek.



Betty Chambers usiadła.

- Strzelaj, Melody - powiedziała ze śmiechem.

- No więc, co Jim naprawdę myśli o witrynach? Powiedz nam wszystko od początku.

- To był taki wspaniały dzień, wszyscy dzwonią z gratulacjami. A Jim? Dowiedział się tuż przed wyjściem do pracy. Zwykle media dzwonią do niego przed wypuszczeniem materiału, z uprzejmości albo żeby coś potwierdzić. Ale tym razem byli przekonani, że to żart i nie chcieli, żeby interweniował, zanim się nim nie nacieszą.

- Mów dalej.

- Kazał kierowcy podjechać od frontu, żeby obejrzeć wystawy. Zadzwoił do mnie z komórki i powiedział: „Do licha, Betty, nigdy w to nie uwierzysz”. I jeszcze parę przekleństw. Teraz twierdzi oczywiście, że to były wyrazy uznania. Przed sklepem kłębili się ludzie i Jimowi wydało się, że to gniewny, zaszokowany tłum. Kazał więc kierowcy podjechać pod boczne drzwi. Ale w biurze pracownicy zaczęli mu gratulować. Jak wiesz, droga Melody, Jim jest pragmatykiem. Zysk jest dla niego ostateczną miarą wszystkiego. Kiedy znów do mnie zadzwonił, można by przysiąc, że sam to wymyślił.

- A jak się dowiedział, kto za tym stoi? - zapytałam.

- Z początku nikt nic nie wiedział. Góra była mocno przestraszona. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że wasza trójka była w budynku. Ale jeżeli mam być szczerą, nikt nie wierzył, żeby sekretarka i dwoje pracowników księgowości miało taki polot. Wezwali nocnego strażnika, który twierdził, że przez całą noc nikt z was nie wychodził z działu.

Zdumiało mnie, że żona szefa mi to wszystko mówi, opowiada tak szczerze o swoim mężu. Zaczęłam się zastanawiać, co się za tym kryje. Czy dawała mi w ten sposób do zrozumienia, że ufa mi bezgranicznie, ona i jej mąż? A może Jim Chambers był tak dobrze znany, że nie miało to już znaczenia?

- Właściwie nie wiem, Caron, jak doszli, że to wasze dzieło. Myślę, że po prostu zgadli. A może zeznanie strażnika wydało im się podejrzane. Kiedy Jim wezwał ciebie, Florę i Mervina, jeszcze wcale nie był pewien. Przypuszczam, że był to z jego strony akt desperacji. Nie mógł stanąć przed dziennikarzami, nie znając faktów.

Z pewnością wiedziała o roli, jaką odegrał James, ale pominęła to milczeniem, ograniczając się do poufnych zwierzeń o mężu. Czułam się tak, jakbym przesłuchiwała szpiega.

- No i co dalej? - ponagliła Melody, kiedy Betty umilkła.

- Jestem pewna, że wiesz o sprawie więcej ode mnie, Melody - Betty zaśmiała się.

- Na przykład o tych wspaniałych kwiatach. - Mówiła o bukietku od Jamesa, bo fiasko Jacka stało na bocznym stoliku pani Brown.

- Nie zdradzam sekretów - odparła Melody tajemniczo.

Betty się roześmiała, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy Melody nie wie przypadkiem, kto je przysłała.

Ponieważ czułam, że chcę porozmawiać w cztery oczy, a ja umierałam z ciekawości, co jest w paczce, przeprosiłam je i wstałam. Betty podniosła się również i uścisnęłyśmy sobie dłonie. Zajrzała mi uważnie w oczy.

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc, Caron. Daj nam znać, gdybyś czegoś potrzebowała. Mam na myśli coś, co mogłoby ci pomóc w pracy. Miło było cię poznać - zakończyła gładko.

Flora czekała na korytarzu.

- Ja też taką dostałam - wskazała paczkę. - Co to jest?

- Otwórz i sama zobacz. Jak powiem, nie będzie niespodzianki. Jest śliczny.

W środku był wiśniowy kaszmirowy sweter z wycięciem w serek i drugi rozpinany w takim samym kolorze.

- Wspaniale, Floro! Absolutnie super! Jeżeli to jest ekstra, jaka będzie premia?

- Nie wiem - zażartowała Flora - ale sądzę, że nasz helikopter powinien być niebieski z białym paskiem.

Wsiadłyśmy do autobusu.

- Sprawy między tobą a Mervinem posuwają się naprzód - zauważyłam. - W porównaniu z tobą Evelyn się ślimaczy.

- Jak powiedziałaś, Caron - absolutnie super! - odparła zarumieniona.

Evelyn czekała na nas w domu. Słyszała o wystawach w wieczornych wiadomościach i nie mogła uwierzyć, że to nasze dzieło.

- Do diabła! Dlaczego nie wzięłyście mnie do pomocy?

- Evelyn, nie pracujesz u Chambersa - tłumaczyła cierpliwie Flora. - Zostałabyś aresztowana za włamanie.

- Wtedy już na pewno byłabym w telewizji. Cóż, popatrzę sobie na kwiaty - powiedziała, kiedy pokazałyśmy jej prezenty. - Gdybyście nie były takie jędze, pożyczycybyście sweter.

Flora włączyła telewizor, żeby sprawdzić, czy powiedzą coś o Chambersie.

- Oglądasz to pudło tylko wtedy, gdy w nim jesteś? - zapytała Evelyn, kiedy zasiadłam w fotelu.

- Evelyn, pokazują witryny, nie nas. A od telewizji odzwyczaiłam się w Stanach. Programy są takie krótkie, że trzeba by mieć orientację pchły. - Chciałam, żeby się zamknęła i dała mi oglądać.

- Nie mogą być aż takie krótkie.

- Reklamy są dłuższe, fakt.

- Prawie bym zapomniała - powiedziała Evelyn. - Jeszcze jedna paczka dla ciebie, Caron. Podpisała sąsiadka i przyniosła, kiedy wróciłam do domu. Więc to nie jest bomba.

Miała cały dzień, żeby wybuchnąć u sąsiadów. Postawiłam ją na stole w kuchni. Ten Bas mnie poważnie rozczarował.

Nie chciałam psuć sobie tak wspaniałego dnia.

Na stole w kuchni stała zwykła reklamówka Tesco z pudełkiem płatków kukurydzianych w środku. Zastanawiałam się, czy nie wyrzucić ich od razu do kosza, ale to by znaczyło, że wstanę o północy sprawdzić, co jest w środku.

Zaniosłam je do dużego pokoju.

- Wiem, że dostawa kosztuje piąta, a do tego dochodzi jeszcze cena płatków - powiedziała Evelyn - Ale rzuciłabym tak skąpego faceta.

- Już go rzuciłam.

- Gość chyba zbankrutował.

- Co ty o tym sądzisz, Floro?

- Nie przypominam sobie płatków kukurydzianych w żadnym romansie. W kryminałach też ich nigdy nie jadają, nawet w więzieniu. Pewnie chce ci w ten sposób przypomnieć, że ma cię na oku. Strasznie prędko po liście. Tylko dwa dni.

Pokręciłam głową.

- Nie wiem, co się dzieje. Evelyn ma rację. Dziwne to wszystko. Może Bas chce dać mi do zrozumienia, że to ostatnia kropla. A w tym wypadku ostatni płatek.

Evelyn poszła do kuchni i wróciła z miseczkami, mlekiem i cukrem.

- Nie jesteście głodne? Na twoim miejscu bym to zjadła, Caron. Wiem, że to tylko płatki kukurydziane, ale darmowe. Cholera, gość przysyła ci prezent za prezentem, a ty tylko marudzisz.

- To są takie prezenty jak koń trojański, Evelyn.

- I co z tego, Caron? Znam tę historię o koniu. Kiedy wnieśli go do środka, okazało się, że jest w nim pełno facetów. To ma być problem?

- W zasadzie nie, Evelyn. Chyba że na końcu wszyscy giną.

## *Rozdział 21*

Wiele rozmyślałam o poufnym zleceniu, jakie otrzymałam od pana Chambersa. Zwłaszcza po spotkaniu z jego żoną, Betty. Jej zachowanie przekonało mnie ostatecznie, że sprawa jest poważna. A ponieważ siedziałam w tym po uszy, oznaczało to szansę. Nie wiem, czy anioły stróże i muzy naprawdę istnieją, ale jestem skłonna podejrzewać, że tak. Jeżeli miałam swoją muzę, musiałyby słuchać bardzo głośnego rocka w słuchawkach albo skakać z samolotu bez spadochronu, żeby nie wiedzieć, do czego zmierzam. Mówiąc krótko, byłam czyjąś córką, potem dziewczyną bogatego faceta, a teraz chciałam być kimś. Nie byle kim. Chciałam zejść na własnych nogach tak wysoko, jak to możliwe. Byłam przygotowana na potknięcia, ale nie na to, żeby góra zwała mi się na głowę.

A jeżeli chodzi o życiowe szanse... Można powiedzieć muzie, dokąd chce się dotrzeć, ale nie da się określić trasy. Na przykład mówię, że chcę do Chicago, nie zdając sobie sprawy, że najkrótsza droga prowadzi przez błotnistą kałużę. Więc kiedy już brniesz w błocie, nie wrzeszcz na muzę, że spuściła deszcz.

Nie wiedziałam, co się działo w firmie, ale Jim Chambers mi ufał. Było w tym jakieś echo sprawiedliwości, czy może jej lustrzane odbicie. Po tej historii z Basem myślałam, że w ogóle nie warto nikomu ufać, a tu pojawia się ktoś, kto mnie obdarza zaufaniem, choć prawie mnie nie zna. Pochlebiali mi to. Jedno było pewne - cała ta sytuacja mogła katapultować mnie z działu księgowości, miejmy nadzieję, że nie do samego Chicago.

A jeżeli istniało jakieś niebezpieczeństwo, zamierzałam odesłać je do diabła. Istnieje chroniczne niebezpieczeństwo, że coś zleci ci z nieba na głowę, jeżeli z nudów zaczniesz powłóczyć nogami. Jim Chambers już mógł rozpocząć śledztwo, bazując na tym, co mu przesłałam. To jednak, co mi powiedział następnego dnia po aferze wystawowej, razem z tym, co usłyszałam od Betty, kazało mi się zastanowić, czy on nie ma dwóch problemów. Pierwszy - Melody wcale nie żartowała i on nie umie posługiwać się komputerem. Drugi - nie ufa nikomu na górnym piętrze i dlatego wybrał kogoś z zewnątrz. Więc kiedy dostałam następną poufną kopertę Melody, zwróciłam ją z dopiskiem: „Wyższy kod dostępu”.

Nie wiem, czego się spodziewałam, jeżeli w ogóle czegoś się spodziewałam. Z początku bałam się, że Jim Chambers stanie przy moim biurku, skrecając się ze śmiechu i powie: „Caron, masz cholerne poczucie humoru”. Niewykluczone, że zażartował sobie ze mnie, on i Melody. Ale zaryzykowałam. Gdyby faktycznie tak było, mogłam pośmiać się razem z nim. A gdyby mnie wylał, trudno, będę płakać.

Wróciliśmy do domu późno, bo po drodze wstąpiłyśmy po zdrową, nietuczącą, zastępującą jogging pizzę ze wszystkimi dodatkami od pomidorów po pepperoni. Weszłyśmy roześmiane i zastałyśmy Evelyn w stanie hysterii.

- Będę się musiała wyprowadzić. Spać na ulicy. Nie rozumiem, dlaczego zawsze przytrafiają mi się takie rzeczy. Dziwne, że nie rozłupałam ciosami karate wszystkich mebli, czekając na was.

- Nie pakuj się, Evelyn, dopóki nie powiesz nam, co się stało.

- I nie dałabyś rady rozłupać wszystkich mebli - dodała Flora.

Evelyn puściła obelgę mimo uszu, co oznaczało, że sprawa jest poważna.

- Chyba powiem Florze, a ona niech powie tobie, Caron.

- Jest aż tak źle? - zapytała Flora.

- Nie, do cholery! Wy nigdy nie traktujecie mnie poważnie. To jeszcze gorsze.

- Flora, idę się przebrać. Zawołaj, kiedy dojdiesz z nią do ładu.

Dwie sekundy później biegłam z powrotem, wrzeszcząc:

- Piccasy zniknęły! - Rzuciłam się do łazienki i krzyknęłam:

- Hura!

- Nie rozumiem. - Evelyn wytrzeszczyła oczy. - Chciałaś, żeby ukradli Piccasy?

- Nie tyle chciałam, ile spodziewałam się, że to nastąpi. Chciałam zachować oprawiony przepis na ciasteczka kakaowe.

- Ale miałyśmy tu być i śledzić złodzieja - przypomniała Flora. - Pamiętasz, Caron, z kamerami i policją.

- To duża komplikacja, przyznaję. - Nagle odwróciłam się do Evelyn, tknięta podejrzeniem. - Dlaczego jesteś taka zdenerwowana? Przecież nie ty je ukradłaś? A może?

- Coś w tym rodzaju. To znaczy, to była moja wina.

- Należę ci drinka - obiecała Flora - a ty ograniczysz wyjaśnienia do pięćdziesięciu słów, dobrze?

Wszystkie wypiliśmy po głębszym, ale Evelyn uspokoiła się tylko trochę.

- To była agencja towarzyska. Umówiłam się z gościem w kawiarni.

Zaproponował, żeby wyskoczyć do pubu, więc zaszliśmy do mnie, żebym się mogła przebrać. - Podsunęła szklanekę po drugą kolejkę. - W sypialni przypomniałam sobie, że zostawiłam kosmetyczkę na stole w kuchni. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że gościa nie ma w moim pokoju, a drzwi do Caron są otwarte.

Znów podstawiała szklanekę.

- Dopiero po następnych pięćdziesięciu słowach - powiedziała Flora.

- Do diaska, nie wiedziałam co robić. Znalazłam się sama w domu ze zboczeńcem.

Więc zrobiłam jedyną rozsądną rzecz.

Flora i ja wstrzymałyśmy oddech. Co też Evelyn uznaje za rozsądne w takiej sytuacji?

- Podeszłam na palcach do szafy w holu i wlałam do środka. To znaczy próbowałam, ale jestem za duża, więc się nie zmieściłam. I cały cholerny środek, pudła,

pościel, wszystko na mnie spadło. Leżałam plackiem na podłodze, na wpół pogrzebana. Usłyszał mnie i wybiegł z pokoju. Niósł twoje obrazy, Caron. Bez przepisu na ciastka.

- Miał rękawiczki?

Evelyn zastanowiła się chwilę.

- Chyba nie. Ale odciski palców na nic by się nie zdały. Zostawił je tylko na obrazach, a te zabrał ze sobą.

- Szkoda, że go nie sfilmowałaś - powiedziała Flora.

- Sfilmowałam. O cholera! Przyłapałaś mnie. Czekałyśmy w milczeniu.

Czekałyśmy i czekałyśmy. - Jeżeli zmienię teraz swoją wersję, pomyślicie, że kłamię?

- zapytała żałośnie Evelyn.

- To lepsze, niż gdybyśmy miały pomyśleć, że zwariowałaś. Więc co się naprawdę stało?

- To było jedyne, co mogłoby posłużyć za broń.

- Kamera była w szafie?

- Mervin zapomniał ją wziąć, Caron, tej nocy kiedy oblewaliśmy Nagrodę Poniewaz. Włożyłam ją do szafy, żeby nikt nie zepsuł. Jeszcze nigdy nie zepsułam niczyjej kamery wideo. Mam nadzieję, że jeszcze działa.

- Co było dalej, Evelyn?

- Cholera, wolałabym nie mówić. Prawda jest taka, że kiedy wcisnęłam się do szafy, próbowałam zamknąć za sobą drzwi. I wtedy usłyszałam ten szelest. Myślałam, że to mysz. Dlatego wypadłam stamtąd i wszystko wyrzuciłam. Właściwie nie sfilmowałam tego gościa, tyle że kamera była włączona. Przepraszam, Floro, to nie była mysz. Musiałam niechcący włączyć kamerę, wciskając się do szafy.

Flora już ładowała kasetę do odtwarzacza.

Gapiłyśmy się w telewizor w takim napięciu, jakby nastał Dzień Sądu Ostatecznego i na ekranie miał się ukazać wyrok. Najpierw nie było nic.

- Kurde! - zakląłam. - Coś zasłania.

- Czekaaj, Caron, jakieś światło! To pewnie Evelyn wypada z szafy.

- Cholera! Kamera jest wycelowana w złym kierunku i wcale mnie nie widać.

- Evelyn, chcemy zobaczyć złodzieja, nie ciebie - zgasłam ją. - Jak go zobaczymy, otrzymasz przebaczenie i nie każemy ci płacić za wino w następnym miesiącu.

Słychać było zgrzyty i trzaski, coś zleciało z hukiem, potem kroki w korytarzu. Evelyn krzyczała: „cholera, cholera!” Dźwięk był stłumiony, jakby coś leżało na kamerze. Może Evelyn.

- Patrz, Caron! Buty tego faceta. Zatrzymał się. Obraca się w stronę Evelyn.

- Tak. Teraz możemy sobie obejrzyć jego lewe kolano. Policja uwielbia takie rysopisy.

Ekran pociemniał.

- O, jest drugie kolano! - zawołała Flora.

- Widziałam więcej niż kolana - wtrąciła Evelyn. - Mogę go opisać.

Wciąż gapiliśmy się w migający czarny ekran.

- Wyglądał trochę jak ten facet na wystawie Mervina.

Nagle obraz całkiem zniknął, usłyszałyśmy za to głos. Mówił: „Nie mam czasu oddzielać teraz klonów od oryginału, więc wezmę wszystkie. I tak mam jedną rękę wolną na *Yankee Doodle Dandy*. Mam nadzieję, że podobała ci się randka, skarbie”.

Krew ścięła mi się w żyłach i zmieniła w Krwawą Mary.

- Przewiń, Floro. To mi wygląda na Basa. - Spojrzałam na gzyms kominka. -

Pozytywka zniknęła.

- Do licha, Caron, to nie moja wina. Facet twierdził, że jest Francuzem, a przecież wiesz, że cudzoziemcy mówią po angielsku z amerykańskim akcentem.

Flora puściła taśmę trzy razy. Zaczęłam się śmiać.

- Mamy go, Floro. Jestem pewna, że to głos Basa.

- W kryminałach potrafią to sprawdzić. Niektórzy policjanci czytają chyba książki, więc będą wiedzieli jak.

- Nie bardzo lubiłam te obrazy, więc krzyż na drogę.

- Dlaczego wziął pozytywkę? - zapytała Flora.

- Właśnie! Dlaczego? - powtórzyła Evelyn. - Lubiałam ją. *Yankee Doodle Dandy* podnosiło mnie na duchu.

- Nie wiem. Będę musiała o tym pomyśleć. Pewnie przez złośliwość. Wiedział, że ją lubię.

- Dobrze, że miał zajęte ręce, bo wzięłyby jeszcze bujany fotel - powiedziała Evelyn. - Hej, może ukradniesz mu te rzeczy z powrotem? Miałabyś wtedy jego odciski palców.

- Dzięki za wkład w dyskusję, Evelyn.

- Chrzanić cię, Caron! - zdenerwowała się Evelyn. - Nigdy nie przyznasz, że zrobiłam coś dobrze. Może i byłoby lepiej, gdybym sfilmowała jego twarz. Ale wy nie sfilmowałyście nawet jego butów. Więc przyznaj, że coś mi się w końcu udało.

Uściskałam ją mocno.

- Oczywiście, Evelyn. Żadnego pakowania i spania na ulicy.

- Mam dzwonić na policję? - zapytała Flora.

- Opuść sobie. To kawał chłopca, a z tego, co mówi Caron, lepiej go nie wkurzać, bo następny prezent będzie ociekał trucizną.

- Evelyn, czy Bas zorientował się, że go filmujesz?

- Jak miał się zorientować, przecież nawet ja o tym nie wiedziałam. Zauważyłam dopiero, gdy się pozbierałam z podłogi. Nie wiem, czy nie był gorszy od myszy.

- Floro, może na razie nic nie róbmy. Bas powiedziałby policji, że odbierał tylko swoje rzeczy. Możemy wprawdzie udowodnić, że ukradł kopie Picassa, które nie należały do niego, ale to zwróciłoby uwagę na przepis, jeżeli rozumiesz, co mam namyśli.

- Co z tobą Caron? - wtrąciła Evelyn. - Ramy i kopie są więcej warte niż jakiś głupi przepis na ciasteczka.

- Nie doceniasz wartości przepisu na ciastka kakaowe, Evelyn. Poważny błąd.

- W każdym razie nie dzwońcie na policję. Jeżeli wsadzą go za kradzież, to nie na wieczność. Wychodzą nawet mordercy, ciągle się o tym słyszy. On wyjdzie zaraz i będzie miał czterdzieści lat, żeby mnie znaleźć.

- Ona ma rację, Caron. Ktoś tak bogaty dostanie wyrok z zawieszeniem za kradzież kopii. Może skazą go na prace społeczne. Będzie w domu starców rozwoził jedzenie na wózkach i jednocześnie szukał Evelyn.

Pomyślałam, że Bas wolałby raczej zostać płatnym zabójcą, niż obsługiwać staruszków.

- Racja. Chyba lepiej na razie nie robić nic.

- A właściwie dlaczego poszłaś do agencji, Evelyn? - zapytała Flora. - Co się stało z twoim ulubionym ogrodnikiem?

- Przepadam za nim. Mam jego numer telefonu. Ale pomyślałam, że rozegram sprawę na zimno. Poczekam, aż on zadzwoni.

- Poczekasz w nocnym klubie z innym mężczyzną? - zapytała Flora.

- Jesteś taka tępa, Floro. Jak by to wyglądało, gdy czekała w domu i odebrała telefon? Mężczyźni zawsze pytają, co robiłaś, więc muszę coś robić, no nie?

- Sądziłam, że w takiej sytuacji należy powiedzieć, że się myło głowę.

- Albo zaprosić go na kawę. Nie dzwoniłby, gdyby nie chciał z tobą rozmawiać. To proste.

- Pewnie dlatego na to nie wpadłam.

- Nie zapominasz o czymś, Caron? - zapytała Flora. - W kwestii Basa? Co zrobi, kiedy się zorientuje, że ukradł kopie? I w ogóle, trochę dziwnie, że sam tu przyszedł.

- Był pewien, że znajdzie przepis, a ten facet, którego tu wysłał przedtem, nie dostał się nawet do środka. Ale teraz Evelyn była świadkiem przestępstwa.

- Do licha ciężkiego! On mnie naprawdę zamorduje!

- Myśl, Evelyn! - zażądałam. - Czy on niczego nie dotknął?

- Ja w każdym razie tego nie widziałam. Musicie mi pomóc. Myślicie, że on mnie zastrzeli, czy jak?

- Floro, a może go wystraszyć, mówiąc, że mamy nagranie? Żeby chronić Evelyn. Nie muszę mu mówić, że sfilmowałyśmy jego lewe kolano.



- W powieściach kryminalnych to by podziałało. W tej chwili on jest pewien, że Evelyn uważa go za Francuza, klienta agencji towarzyskiej. Czuje się bezpieczny. Jeszcze przez parę następnych rozdziałów.

Evelyn pisnęła.

- Nie mów mu, Caron, nie mów mu o tym wideo! Teraz poluje tylko na ciebie. Jak mu powiesz, to mnie też będzie chciał sprzątnąć, i Florę też. Z faceta zrobi się seryjny morderca.

- Ona ma rację, Caron. Trzy trupy to już seryjny. No, chyba że podłożyłby bombę i wszystkie zginęłybyśmy za jednym zamachem.

- Proszę, Caron, posłuchaj Flory. Lubię cię, naprawdę. Ale zawsze lepszy jeden trup niż trzy.

Sprawy wymykały się spod kontroli.

- Słuchajcie, Bas nie jest seryjnym mordercą. Nie będzie chciał nikogo zabić. Nie odpowiadałby mu więzienny wikt. Więc zachowajmy spokój.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Flora.

- Cholera, nie wiem! Przykro mi, że was w to wmieszałam. Ale nikomu więcej nie mówmy, zwłaszcza Mervinowi, Jamesowi i ogrodnikowi Henry'emu. Jeżeli zakładamy, że będzie najlepiej, jak Bas uzna, że wykiwał Evelyn, sytuacji nie poprawi któryś z naszym panów szarżujący z bojowym okrzykiem! I nie otwierajcie żadnych paczek!

- Jak sądzisz, co Bas teraz robi?

- Obmyśla, jak nakarmić mnie sześcioma kopiami Picassa, które umazał w końskim łajnie.

## Rozdział 22

Dzień, w którym miałam wyjechać z Jamesem na weekend, był ciepły i słoneczny. Flora poszła do pracy wcześniej, więc postanowiłam przejść się do Hampstead High Street i złapać metro w Belsize Park. Trasa prowadziła obok domu Keatsa, a ja zawsze lubiłam to drzewo, pod którym pisał. Nie, żebym sama zamierzała pisać wiersze. Świat prawdopodobnie dopłaciłby mi, żebym tego nie robiła. Ale lubię to, co mi przypomina, że wielcy ludzie robili zupełnie zwyczajne rzeczy, mieszkali w zwyczajnych domach i przechodzili przez drzwi, nie ściany. Nawet dom Flory mógłby stać się ważny za sto lat. A już z pewnością trochę starszy.

Zanim zdążyłam dojść do stacji metra, zatrzymał się przy mnie samochód Jamesa. Ostatnio rzadko się widywaliśmy. Podejrzywałam, że biwakuje na górnym piętrze. Przymusowe przejścia i zagubione miliony z reguły zmieniają najbardziej opieszłych VIP-ów w pracoholików. A sądząc z tempa rozwoju naszej przyjaźni, James opieszalszy nie był.

Zatrzymał się przy krawężniku.

- Zazwyczaj nie zabieram autostopowiczów. - Uśmiechał się szeroko.

- Nie polowałam na środek lokomocji, więc nie złamiesz zasad.

Przyjrzałam mu się, kiedy manewrował, włączając się do ruchu. Był zmęczony i wydawał się czymś pochłonięty, no, ale też ruch był duży. Cieszyłam się, że mogę tak siedzieć obok niego i nie muszę nic mówić. Dobrze się przy nim czułam. Wyglądał tak seksownie, jak tylko można wyglądać z profilu, za kierownicą, w Londynie w godzinach szczytu. Ale myśl o poważnym związku nadal budziła we mnie pragnienie panicznej ucieczki. Gdybym zeszła się z Jamesem na tym etapie mojego życia, wyrządziłabym mu krzywdę. Pięćdziesiąt procent mojej osoby byłoby z nim, a drugie pięćdziesiąt próbowałoby dobiec do wyjścia awaryjnego.

- Nie miałem czasu pogratulować ci jak należy, Caron. Tych pięknych okien wystawowych. A jeżeli nie pięknych, to na pewno bardzo przewrotnych. Zamierzasz sama ubierać się w ten sposób?

- Dowiesz się dopiero z początkiem weekendu.

- Mogę zajechać po ciebie o szóstej po południu? Może wolisz jutro rano?

- Dzisiaj.

- Dojedziemy na miejsce bardzo późno. Bałam się, że się w ogóle nie wyrwę, tyle się dzieje.

- Jeżeli przyjedziemy późno, będziemy musieli iść prosto do łóżka. Zamówiłeś oddzielne pokoje? - zapytałam z niewinną miną.

Popatrzył na mnie i przeraziłam się, że rozbije samochód.

- To był żart, James! Żartowałam! Dokąd pojedziemy?

- Pomyślałem, że może po prostu do mnie. - Uśmiechnął się szeroko. - Ze Stoner nie czulibyśmy się samotni.

Pośmialiśmy się, a potem powiedział:

- Na dalsze informacje będziesz musiała poczekać do wieczora. Ciekawość zabiła kota, ale sądzę, że ty jesteś odporniejsza. Szkoda, że nie mogliśmy pojechać tam wcześniej. Pogoda i sceneria nie są najlepsze o tej porze roku.

- Nie bądź takim pesymistą. Pamiętaj, że piękno leży w oku patrzącego, a ludzie zwykle widzą to, co chcą zobaczyć.

- Czy to obietnica?

Wysadził mnie w bocznej uliczce, a sam zjechał do podziemnego parkingu. Ledwo doszłam do biurka, kiedy zadzwoniła bardzo nieszczęśliwa Flora.

- Caron, rano wpadłam na Mervina.

- To chyba dobrze! Jesteście jak papużki nierozłączki.

- Już jest umówiony na rozmowę w agencji reklamowej.

- Rozchmurz się. To chyba jeszcze lepiej.

- Niezupełnie. Bardzo mu spieszo, żeby stąd odejść. Nie wiedziałam, że taki będzie rezultat tych okien. Wykorzystał nas do pchnięcia własnej kariery, nie uważasz?

- Mężczyźni kochają kobiety, które pomagają w karierze, mówię z własnego doświadczenia. Zresztą, czy to wam nie ułatwi życia, jeżeli oboje przestaniecie tu pracować?

- A jeżeli on odejdzie i o mnie zapomni?

- Nie sądzę, żeby ta agencja mieściła się w Chinach. Nie panikuj i nie naciskaj na niego. Jeszcze się przestraszy, że będziesz mu kulą u nogi. Powinnaś go teraz wspierać.

Flora rozłączyła się, wyraźnie podniesiona na duchu. Lubi, kiedy ktoś jej mówi, co ma robić. Akurat w tym momencie byłam niezbyt odpowiednią osobą do udzielania rad, ale mniejsza z tym.

Czy to dlatego, że moje notowania wzrosły i było na mnie większe zapotrzebowanie, czy też dlatego, że pani Brown współczuła mi z racji tylu nadgodzin, w każdym razie dała mi miłe zajęcie. Jedna z sekretarek VIP-ów musiała iść do dentysty. Miałam odbierać telefony w zastępstwie.

- Moja droga - powiedziała Melody, kiedy uprzątałam biurko - zapomniałam ci to oddać. - Podala mi małą, niepodpisaną kopertę takim gestem, jakby to była przedwczorajsza gazeta, po czym wróciła do swojego szybkostrzelnego maszynopisania. Wiedziałam, że koperta musi pochodzić z samej góry.

- Wiesz co, Melody, to dziwne. Pewni ludzie ufają mi, choć wcale mnie nie znają.

- Może nie takie dziwne, moja droga, bo pewni ludzie mnie znają od zawsze.

Dotarła do końca akapitu i podniosła wzrok.

- Są i dobre wieści. Obie otrzymamy premię. Jak tylko sprawy się wyjaśnią. -  
Potem zaczęła pisać tak szybko, jakby chciała puścić komputer z dymem.

Shirley, sekretarka, którą miałam zastąpić, wręczyła mi pęk kluczy.

- Drzwi gabinetu pana Biggsa są otwarte, Caron, na wypadek gdybyś musiała sprawdzić jego kalendarz spotkań. Prawa górna szuflada. Ale wychodząc, do toalety czy na kawę, koniecznie go zamknij. Nawet jeśli wychodzisz na chwilkę.

- Mam umawiać spotkania? Bez porozumienia z nim?

- Wyjechał na cały tydzień. Jeżeli ktoś zadzwoni, to najpewniej on sam, żeby sprawdzić kalendarz. Ma swoje mocne strony, ale pamięć, organizacja i komputery do nich nie należą. Po prostu odbieraj wiadomości, a resztę zrobię ja po powrocie. I straszne dzięki, Caron. Tylko pozamykaj wszystko, jak będziesz szła na lunch.

Usiadłam przy mahoniowym biurku i otworzyłam kopertę. W środku napisano jedynie SGGIBSGGIB. Zaczęłam się okropnie śmiać, aż się zakrztusiłam kawą. Kiedy wybierałam swój kod dostępu w Chambersie, surowo zabroniono korzystać z dat urodzin, numeru własnego domu i tym podobnych. Niech Bóg broni, żeby ludzie z zabezpieczeń systemu dowiedzieli się o Biggsie.

Pan Chambers pomyślał pewnie: „Niech ona używa hasła Biggsa. On nie zauważy, a wszystko będzie na niego”.

Nieważne, że Mervin i Harvey, a pewnie i wiele innych osób, też z niego korzystało. Ktokolwiek próbował przejąć firmę, prawdopodobnie codziennie wypijał zdrowie Biggsa. A Chambers powinien używać głowy Biggsa w zawodach łuczniczych.

Miałam tylko parę godzin, więc skupiłam się na dwóch najważniejszych sprawach. Po pierwsze, musiałam znaleźć numer telefonu, który dawał dostęp do komputera z zewnątrz. Był w kalendarzu Biggsa. Nie zdziwiłabym się, gdybym znalazła tam również dział zatytułowany „Tajne”. Przez resztę czasu szukałam dostępu do listy haseł VIP-ów. Ochrona dostaje na tę myśl hysterii, ale zezwala się na to, ponieważ kiedy ktoś umiera, następca musi mieć dostęp do danych. Trwało to dłużej, niż się spodziewałam, ponieważ Chambers nie miał zwyczaju modernizowania programów.

Po lunchu wróciłam do siebie i zabrałam się do rutynowych zajęć. I patrzyłam na zegarek. Pracujemy z reguły w tygodniu, piątek jest z góry spisany na straty.

Flora musiała jeszcze coś skończyć, więc kiedy byłyśmy gotowe do wyjścia, zamknięto już drzwi frontowe. Dochodziłyśmy do bocznych, kiedy natknęłyśmy się na Jacka Howarda gawędzącego z ekspedientką z bieliźniarskiego. Na nasz widok przerwał rozmowę i spytał, czy chcemy iść na drinka.

- Dzięki, Jack, ale trochę się spieszymy - powiedziałam. - Może innym razem.

Uśmiechnął się i odwrócił z powrotem do Panny Bieliźniarki.

Poszliśmy do metra na skrót, przez deptak zastawiony różnymi straganami, kioskami gazetowymi i wózkami owoców. Tłum trochę się przerzedził, bo połowa

ludzkości spieszyła do domu ugotować obiad dla drugiej połowy, która umknęła do pubów na przedobiedniego drinka. Mijałyśmy stoliki baru kanapkowego, kiedy nagle ktoś szarpnął za pasek mojej torebki. Odwróciłam się błyskawicznie i przycisnęłam torebkę do piersi. Flora odwróciła się niemal w tej samej chwili, przestraszona moim nagłym zwrotem.

- Oddawaj torebkę! - wrzasnął facet.

Był wysoki i szczupły, nosił wąsy i miał okulary przeciwsłoneczne, a spod kapelusza nasuniętego nisko na czoło wystawały na wszystkie strony kępy żółciutkich włosów. Próbował odciąć pasek torebki dziecinnymi nożyczkami o zaokrąglonych końcówkach. Cofnęłyśmy się na całą długość paska torebki, którą kurczowo przyciskałam do siebie, i znalazłyśmy się między stołem na kozłach a ścianą sklepu. Teraz mogłyśmy wydostać się z pułapki pod lub nad stołem.

- Oddajmy torebki - wyszeptwała Flora. - Nie wolno się opierać. Czytałam gdzieś.

- A ja, że trzeba wrzeszczeć, krzyczeć i kopać.

- Chyba, że to gwałt.

Tymczasem facet ciął nożyczkami i szarpał za pasek.

- Dawaj tę pieprzoną torbę! - wrzasnął i dodał znacznie ciszej: - Nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Tu się zgadzamy. A tym nie pokroiłbyś masła. - Nie mogłam go traktować poważnie, z tymi nożyczkami, wąsami i peruką. Zaraz powinien zawołać: Uśmiechnij się! Jesteś w ukrytej kamerze. Poza tym wiedziałam, że w uczciwej walce spuściłybyśmy mu z Florą bęcki. Jeżeli ofiara się nie boi, bandyta zaczyna czuć się nieswojo. Mój odpowiedział normalnym głosem:

- Przynajmniej mnie nie aresztują za posiadanie broni.

- Masz! - krzyknęła Flora i rzuciła mu swoją torebkę. Złapał ją odruchowo, a potem upuścił na chodnik. Odwrócił się znowu do mnie.

- Puść tę pieprzoną torebkę, proszę!

Wycofałyśmy się aż pod ścianę baru kanapkowego. Cisnęłam w faceta krzesłem. Trafiło go w pasie. Poniżej pasa. Zabolało i strasznie się wkurzył.

- Policja! - zaczęłam wrzeszczeć. - Na pomoc! Policja! A Flora krzyczała:

- Ratunku, gwałt!

Odgradziłyśmy się kolejnym krzesłem. Facet rozglądał się nerwowo, ale trwał na miejscu. Trzymał za koniec paska i szarpał. Kilka osób przystanęło i patrzyło, co się dzieje, ale z przyzwoitej odległości. Darłyśmy się jak opętane. Ale facet się zawziął. Chwycił krzesło i odrzucił je na bok, kiedy nadbiegł Jack Howard.

- Stać, policja! Ręce do góry! - krzyczał już z daleka.

Mężczyzna szarpnął jeszcze raz, po czym odwrócił się i uciekł.

Dołączył do nas jeszcze jeden mężczyzna, mówiąc, że zadzwonił na policję z komórki. Podeszło kilka kobiet, pytając, czy nic się nam nie stało. A właściciel baru kanapkowego poprosił, żebyśmy usiadły i zaproponował kawę. Wkrótce zjawiał się policjant. Opisałyśmy napastnika, kilku świadków potwierdziło, i wkrótce było po wszystkim. Przy stoliku, popijając kawę, zostaliśmy tylko ja, Flora i Jack.

Podziękowałyśmy mu za pomoc.

- Nic wam nie jest? - upewniał się.

- To się stało tak szybko - powiedziała Flora. - Nawet nie miałam czasu się zdenerwować.

Wciąż jeszcze nie mogłam złapać tchu. Kto by pomyślał, że można się zadyszczyć, stojąc w miejscu. To strach daje takiego kopa

- Dziwne, Floro, że on nie chciał twojej torebki. Przecież sama rzuciłaś.

- Widzisz nawet złodziejowi się nie podobała. Była tak przybita, że Jack próbował ją pocieszyć:

- Nie bierz sobie tego do serca, Floro. Facet był pewnie naćpany po pachy.

- Wcale nie. Oczy miał całkiem przytomne i nie bełkotał. - Flora odwróciła się do mnie. - Wiem, że twoja jest lepsza, bardziej stylowa i droższa, ale złodziejom powinno chyba chodzić o zawartość?

- Caron, masz w torebce coś specjalnego? - zapytał Jack.

Zajrzałam do środka. Zobaczyłam nacięcia na pasku i od razu cały incydent wydał mi się bardziej realny.

- Nie. To co zwykle. - Wybebeszyłam ją, jakby coś mogło wpełznąć do środka, kiedy nie patrzyłam. - Kosmetyki. Chusteczki. Okulary przeciwsłoneczne. Pieniądze i karta kredytowa i karta do bankomatu. Barachło.

- A ty, Floro?

- Mniej więcej to samo. I powieść *Mój bohater wraca do domu*, kieszonkowe wydanie. - Roześmialiśmy się, Jack uznał to chyba za żart.

Poszedł sprowadzić nam taksówkę. Jak tylko zostałyśmy same, Flora nachyliła się nad stołem.

- Caron, myślisz, że to Bas? Ktoś nasłany przez Basa? Wiem, że to nie byłoby dobrze, ale poprawiłoby mi samopoczucie.

- Sądzę, że Bas musi mieć z tym coś wspólnego. Albo właśnie spotkałyśmy najbardziej pociętego złodzieja na świecie. Ale Picasso nie zmieściłby się w torebce. Zresztą, kto by nosił ze sobą obraz?

- Nikt, ale jemu wyraźnie chodziło o twoją torebkę.

- To nie jest w stylu Basa. Z drugiej strony, czy prawdziwy złodziej nie miałby noża, albo chociaż porządnych nożyczek? Wyglądało to tak, jakby facet zamierzał wyrwać mi torebkę, nie łamiąc przy tym prawa.

- W powieściach i na filmach ciąłby na oślepa, a oczy miałby szkliste od prochów. Ludzie by uciekli i nikt by nam nie pomógł.

- Na szczęście, życie jest czasem lepsze niż książki. Lepsze nawet niż brukowce.

- Zaimponował mi ten Jack. Mógł zostać posiekany, ale mimo to ruszył do ataku.

- Przyznaję, jest miłszy, niż mi się wydawało. Widziałyśmy, jak stoi na chodniku, łapiąc taksówkę.

Kiedy zatrzymała się przy krawężniku, odwrócił się i zaczął do nas machać. I dał kierowcy dwadzieścia funtów za kurs, nie bacząc na nasze protesty.

- Zadzwońcie do mnie, gdyby coś was niepokoiło. Szok może przyjść z opóźnieniem.

Podziękowałyśmy jeszcze raz i taksówka ruszyła.

- Nie wiem, czy mam się bać, bo otarliśmy się o śmierć - powiedziała Flora, kiedy dojeżdżałyśmy do domu - czy dlatego, że był to jeden z numerów Basa.

- Niezbyt pocieszające, jeżeli Bas najmuje nożowników. Następny może nie użyć dzieciennych nożyczek.

## *Rozdział 23*

Dotarłyśmy do domu w stosunkowo dobrych humorach. Cóż, ujście z życiem poprawia człowiekowi samopoczucie, zwłaszcza w zestawieniu z alternatywą. A może, trzeba sobie wytłumaczyć, że w sumie nie stało się nic strasznego? Flora opowiadała Evelyn o próbie kradzieży torebki, podczas gdy ja pakowałam się na weekend. James miał niedługo przyjechać. Nie bardzo wiedziałam, co zabrać. Zdecydowałam się na dzinsy, kilka ciepłych swetrów i jeden wyjściowy ciuch. Zapakowałam również swój kaszmirowy zestaw. Do tego wygodne buty i adidasy. Jako zapalony biegacz, James mógł wymarzyć sobie wyprawę w góry północnej Walii, gdzie trenują komandosi. Kochaj mnie albo rzuć.

Kiedy przyjechał, punktualnie o szóstej, siedziałam na bagażach przy krawężniku. Zahamował ostro i wyskoczył z samochodu.

- Caron, przecież bym wszedł po bagaże!

- Zmęczyła mnie dyskusja z Florą, czy jest to drugi czy ostatni rozdział. Mówi, że wspólne weekendy oznaczają koniec.

- Koniec czego?

- Przyjaźni. Jedźmy stąd. Należą mi się małe wakacje, a tobie z pewnością też. Nie zapomniałeś o czymś? - zapytałam, kiedy ruszył.

Popatrzył na mnie zdziwiony, więc pochyliłam się ku niemu i wyszeptałam:

- Pocałować mnie. Przecież wymykamy się na nielegalny weekend, prawda?

- Czy mam cię najpierw poślubić? - zapytał.

- A co zrobisz potem?

Całowaliśmy się długo, dość długo bym mogła się przekonać, że duch Basa z nami nie jedzie. Nie chciałam psuć weekendu omawianiem napadu, ale i tak dowiedziałyby się wszystkiego od Jacka. Zbagatelizowałam całe zdarzenie, ot, jeszcze jeden przykry aspekt życia w wielkim mieście.

- Caron, to okropne! Na pewno nic ci się nie stało? A Florze?

- Naprawdę nic nam nie jest. Nie udało mu się, to najważniejsze. Szczęśliwe zakończenie.

- Caron, powinnaś się dostać do *Księgi Guinnessa* za poziom optymizmu.

- Obudź mnie, kiedy dojedziemy na miejsce.

- Myślałem, że będziesz prowadziła wyrefinowaną konwersację. Może nawet spróbujesz mnie uwieść.

- Czy to byłoby trudne?

- Kilkugodzinna konwersacja może być.

Podróż, która trwała ładnych parę godzin, przebiegła w miarę gładko. Zmusiłam Jamesa, żeby pokazał mi nasz cel na mapie, a potem dawałam instrukcje przy rozmaitych skrętach w drodze do Devon.

- Caron - powiedział w końcu - jeżeli nie przestaniesz, wylądujemy w Szkocji.

Dobrze znam drogę.

- A więc wozileś tam już kobiety? - droczyłam się.

- Prawdę mówiąc, żadnej.

Przyjechaliśmy na wybrzeże o zmroku. Rozglądałam się pilnie, ale dostrzegłam tylko jedną małą chatkę. Śliczną małą chatkę, niemniej jedną. Słysząc było ryk morza.

- James, gdzie będziemy jedli? - zapytałam, kiedy rozpakowywaliśmy samochód.

- Caron, jak cię znam, nigdy nie słyszałem, żebyś mówiła o jedzeniu. Przywiozłem prowiant. A na plaży jest przyzwoita restauracja.

- Ale nie przywiozłam prawie żadnych eleganckich ciuchów.

- Klientela składa się głównie z amatorów górskich wspinaczek i obserwatorów ptaków. Przynajmniej o tej porze roku. Wszystko będzie dobrze, chyba że ubierzesz się w pióra.

- Umiesz gotować, James?

- Robię znakomitą jajecznicę z grzankami. Więc nie będziemy musieli wychodzić na śniadania.

Chatka była urocza. Jeden duży pokój z otwartym kominkiem, sufitem z bali i chropawym tynkiem na ścianach. Dwa obite perkalem fotele po obu stronach pieca. Naczynia kuchenne na ścianie, drewniane szafki. Garderoba, misternie rzeźbiona, stała na baczność pod drugą ścianą. Maleńkie, głęboko osadzone okna z muślinowymi firankami. Cudowny zapach przepalonych polan. Proste rustykalne wnętrze. Jak hollywoodzki plan



filmowy, tyle że bez zaplecza w postaci klubu sportowego, trzech kawiarni, supermarketu, postoiu taksówek i innych niezbędników.

- James, tu jest ślicznie!

Uśmiechnął się i przytknął zapalną do przygotowanego stosiku podpałki. Polana leżała już w kominku, a także w dużej obfitości w ogromnym miedzianym wiadrze. James otworzył drzwi do sypialni.

- Obejrzyj.

Było to bardziej zerknięcie niż oglądanie, bo pokój był bardzo mały. Na lewo podwójne łóżko od ściany do ściany, nad nim małe okienko. Wysokie lustro nad komodą z szufladami.

Kolejne drzwi prowadziły do łazienki. Wanna była głęboka, ale bardzo krótka.

- James, w tym łóżku twoje nogi będą dotykały jednej ściany, a głowa drugiej. Możesz utknąć na dobre.

- Czy to byłby problem? - Uśmiechnął się od ucha do ucha. Podczas gdy rozpakowywał bagaże, zajrzałam do lodówki. - Mnóstwo świeżego jedzenia. Mleko, masło, chleb, jajka, ser, różności. Jesteś blisko zaprzyjaźniony z elfami?

- Moja sąsiadka. Za dnia widać jej chatę z okna. Opiekuje się domem, kiedy mnie nie ma, wietrzy go i sprząta, kiedy mam przyjechać.

Wkrótce polana zaczęła trzaskać, płomień tańczyć wokół nich, zasypując iskrami podłogę z kamiennych płyt. Ponieważ nadal było chłodno, usiedliśmy przed kominkiem na dywanie. James otworzył koszyk.

- Umieram z głodu. Co tam masz?

- To co zwykle. Sardynki, gotowana fasola. - Roześmiał się. - Nasz pierwszy piknik tak mi się spodobał, że postanowiłem go powtórzyć - powiedział z rozmarzeniem.

Nagle koszyk znalazł się gdzieś z boku, a ja wyciągnęłam ramiona do Jamesa. Przytulił mnie i wkrótce leżeliśmy na podłodze, czując swoje ciała od nosa po kolana. Między jednym pocałunkiem a drugim James ujął moją twarz w dłonie i patrzył na mnie z uśmiechem. Nic mnie jeszcze w życiu tak nie podnieciło. Bas był całkiem całkiem, ale lubił szybkie tempo. Z Jamesem wydawało mi się, że mamy za sobą miesiące gry wstępnej. Uśmiechnęłam się, myśląc, jaki z niego zdolny drań.

Odgarnęłam grzywę jego ciemnych włosów i pocałowałam go najpierw w czoło, potem w oba policzki, potem w czubek nosa. On całował mnie w szyję, sunąc dłońmi po moich żebrach. Gdybyśmy mieli mydło na ustach, napełnilibyśmy wannę bąbelkami.

Nie wiedziałam, że moje zębra są sferą erogenną. Zsunęłam jego dłonie w dół, żeby mógł wrócić na górę. Ogień nabierał mocy, proporcjonalnie do naszych poczynań.

- Może się trochę odsuniemy - zaproponowałam.

- Albo rozbierzemy.

Po chwili byliśmy nadzy, w blasku płomieni nasza skóra miała ciepły różowy odcień. James gładził moje piersi.

- Boże, jesteś piękna.

- Ty też, choć przede wszystkim seksowny. Kto by pomyślał! Taki nieśmiały...

- Normalnie nie jestem nieśmiały. Tylko przez parę minut, kiedy się spotykamy, a potem sprawiasz, że nieśmiałość znika.

Płynęliśmy gładko ponad szczytami Alp, kiedy James spytał, czy nie wygodniej byłoby mi w łóżku.

- Jest świetnie - powiedziałam. A potem robiło się coraz świetniej. Trwało to długo, a po wszystkim oboje wyglądaliśmy jakby w nas piorun strzelił.

- Co się stało? - zapytałam. - Coś we mnie trafiło. James patrzył na mnie wsparty na łokciu.

- Przypuszczam, że kiedy dwoje ambitnych, zdeterminowanych, ale ostrożnych osobników pozwoli sobie odreagować, efekt może być wstrząsający.

- Nadal płynę. - Ciało przeszył mi nagły dreszcz. - A to? Co to było?

- Moja władza nad kobietami. A tak naprawdę, rozluźnienie spiętych mięśni. Seks jest bardzo zdrowy. Świetnie relaksuje.

- Co zrobimy, jeżeli w przyszłości nie będzie tak dobrze? - zapytałam po chwili. Roześmiał się.

- Będziemy ćwiczyć.

Nie ubierając się, przenieśliśmy wino i koszyk do łóżka.

- Ta pościel jest zimna jak lód - powiedziałam. Przycisnęłam stopy do boku Jamesa. - Za to ty wcale nie jesteś zimny.

Tak jak podejrzewałam, w koszyku nie było sardynek i z rozkoszą zatopiłam zęby w wędzonym łososiu. Zagryzłam winogronem.

- James, jak znalazłeś to miejsce?

- Przyjeżdżałem tu na wakacje jako dziecko. Zamierzałem kupić dom w mieście, ale potem odziedziczyłem ten po wuju. Więc wydałem pieniądze na tę chatę. Rodzaj kryjówki.

- Ale skoro nie przywozisz tu kobiet, na co ci ta chata? Żeby przed nimi uciec?

- Zdarzało się i tak - przyznał ze śmiechem. - Chcę mieć taki azyl, miejsce, gdzie można spokojnie pomyśleć, odpocząć od pracy, pobyć samemu. Morskie powietrze działa cuda.

- Tym bardziej czuję się zaszczycona, że mnie tu przywiozłeś.

- A ja jestem zaszczycony, że przyjechałaś. Oparł się o poduszki i leżeliśmy objęci.

- Fascynujesz mnie, Caron. Za każdym razem, gdy dochodzę do wniosku, że już cię znam, ty mnie czymś zaskakujesz. Słyszałem na przykład, że masz smykałkę do liczb. A ty wyskakujesz z talentem artystycznym. Czegoś nie potrafisz?

Pocałowałam go.

- Nie potrafię pocałować się w policzek. I potrzebuję dużo ciepła i czułości.

Wystąpiły poważne braki.

- W ciągu ostatniego tygodnia czy już przedtem?

- Oto pytanie! Ale skoro już pytasz, to znacznie wcześniej. Po dzisiejszym dniu zaczynam się zastanawiać, czy nie od urodzenia.

Kochaliśmy się powoli i spokojnie, a potem zasnęliśmy głęboko. W nocy coś mnie obudziło. To James przekręcał się na bok.

Przytuliłam się do niego i usnęłam, z myślą, że znakomicie zastępuje butelkę z gorącą wodą.

Kiedy rano otworzyłam oczy, zobaczyłam Jamesa wracającego do łóżka z tacą śniadaniową. Otuliliśmy się kocem, naciągnęliśmy kołdrę po szyje i było nam w miarę ciepło.

- Rozpaliłem ogień, Caron. Może zostaniemy w łóżku, aż się ociepli? Albo możemy wejść do wanny. Gorącej wody jest pod dostatkiem.

- To spiszek. Założę się, że wstałeś wcześniej, żeby otworzyć drzwi nad dwór i wpuścić lodowate powietrze. Umm. Te jajka są pyszne.

Napomknął o joggingu, więc szybko zdecydowałam się na kąpiel. Kiedy wrócił, siedziałam w wannie w obłoczku baniek mydlanych. Wanna była tak krótka, że kolana wystawały mi z wody.

- Chodź, James. Woda jest świetna. - Dmuchałam w jego stronę kilka baniek. - O co chodzi? Myślisz, że się nie pomieścimy?

- Tak przypuszczam - powiedział, zdejmując dres z nieprzystojnym pośpiechem. - Ale jestem gotów przekonać się na własnej skórze.

Wkrótce woda i bańki pokrywały podłogę. Język miłości może i jest poetycki i kwiecisty, ale słownik seksu jest dość ograniczony. U...A...Och! Och! Och!

Wkładałam przez głowę mój nowy kaszmirowy sweter, kiedy James wyciągnął rękę i odpiął mi stanik.

- James! Co robisz?

- Myślałem, że zademonstrujesz, jak to wygląda na swetrze.

Spróbowaliśmy i wpadliśmy w świetne humory.

- Wygląda bardzo interesująco.

- Ledwo oddycham, James. Pomóż mi to zdjąć.

- Z przyjemnością. Myślisz, że powinienem wymienić cię na manekina, który nie musi oddychać?

- Wykluczone! Na wystawę braliśmy staniki o dwa numery za duże. - Wykręcałam się, bo mnie łaskotał. - Jeżeli nie przestaniesz, następna witryna będzie męska.

Staliśmy objęci, kołysząc się łagodnie.

- James, czy to cię trochę nie przeraża? - W jakim sensie? Obrysowałam palcem jego podbródek.

- Seks, namiętność. To takie wspaniałe. Czasem się boję, że aż za bardzo? Sprawia, że wszystko inne wydaje się mniej ważne. I dokąd to prowadzi? Nie ma nic gorszego niż przeciętność.

Odchylił mi głowę i zajął w oczy.

- Dlaczego namiętność nie miałyby wzbogacić życia? Pozytywne doznania w jednej sferze powinny stymulować inne, jeżeli masz na myśli karierę, ambicje, sukces.

- Nie sądzisz, że mamy tylko garstkę i możemy ją całą zużyć?

- Ty, spośród wszystkich znanych mi ludzi, masz prawo mówić o całych literach. Poza tym uważam, że im więcej zużywamy, tym więcej mamy.

Dzień i noc były jak sen. Spaceruje na plaży, bardzo długa przechadzka do najbliższej wsi. To znaczy James nazwał to przechadzką. Dla mnie był to bieg z przeszkodami.

Wstąpiliśmy do sąsiadów Jamesa, żeby mógł mnie przedstawić. Zjedliśmy zaimprovizowany lunch z resztek wczorajszych zapasów, a potem pyszną kolację w restauracji.

W obie strony szliśmy pieszo, już w ciemności, pośród szumu morza i szelestu żywopłotów. Były żarty i śmiechy, dyskusja o duchach. Jak wielu wykształconych ludzi twierdziliśmy, że nie wierzymy w duchy, ale chyba wierzyliśmy. Ja w każdym razie stwierdziłam, że na razie nie wierzę, ale szybko zmieniałabym zdanie, gdyby któryś stanął w nogach mojego łóżka. Nocna powtórka z seksu poszła nam bardzo dobrze. Powtórka powtórki też.

- Zapomnijmy o garstkach i litrach - powiedziałam. - Mówimy o dużych zbiornikach, przyjacielu.

Ale w niedzielę zaczęły się gromadzić chmury, na niebie i w nas. To się skończy, myślałam przerażona, tym bardziej że teraz wiedziałam, co tracę. James wydawał się nieobecny duchem, może martwił się pracą. Twierdził, że wszystko w porządku. Uznałam, że jest uzależniony od pracy, bo nie chciałam dopuścić myśli, że jest taki przeze mnie.

I wtedy, w przeblasku uczciwości, zrozumiałam, że tego problemu nie da się zignorować. Niezadane pytania wisiały nad nami jak gęsta ciemna mgła. A to nie był weekendowy wypadek, o którym można zapomnieć. Zdawałam sobie sprawę, że postępuję egoistycznie. Nie chcę się z nim wiązać, ale nie pozwoliłabym mu odejść. No, poprzedniej nocy musiałabym odgonić go kijem. Ale nawet to byłoby lepsze niż ranienie go później.

Może nie powinnam zwać wszystkiego na Basa, ale to on stanowił źródło problemu. Nie wiedząc, co zrobi, wiedziałam, że coś zrobi z pewnością. Gdybym

związała się z Jamesem, uparłby się załatwić za mnie sprawę Basa. W ten sposób zamieniłabym tylko jedną parę spodni na drugą. Ale jak miałam się rozstać z Jamesem, nie zadając bólu jemu i sobie? W dodatku coś mi mówiło, że do końca życia nie wylizałabym się z ran.

Planowaliśmy zjeść kanapki na lunch, iść na spacer na plażę i o czwartej po południu ruszyć w drogę powrotną, żeby uniknąć najgorszych korków. Udało mi się otworzyć puszkę tuńczyka i ochlapać chleb majonezem. Nawet po dodaniu sałaty i pomidorów rezultat był mizerny. Wszystkie składniki ześlizgiwały się na jedną stronę. A kiedy docisnęłam je drugim kawałkiem chleba, wyleciały na blat.

W końcu cisnęłam talerz pokracznych kanapek na stół.

- Przyznaję, James. Nie umiem gotować. Słabo sprzątam i odkurzam.

Siedział z łokciami na stole, wspierając podbródek na ręce.

- Daj sobie spokój. Zatrzymamy się w jakimś pubie. Usiadłam i wzięłam go za rękę.

- Musimy porozmawiać. Nie możemy porozumiewać się wyłącznie przez seks, bo stracimy wszystko, co mamy.

Nalał kawy do kubków. On ją zrobił. Robię świetną kawę, ale muszę mieć dzbanek do kawy, a to on go znalazł.

- Więc porozmawiajmy. Ty pierwsza.

Cholera! Czuję się tak, jakbym wygrała na loterii, a następnie dowiedziała się, że fiskus bierze wszystko.

- OK. Ten weekend był cudowny. To oczywiste. Ale ja muszę dojść z sobą do ładu. Nie chcę cię stracić, ale nie jestem pewna, czy istnieje droga powrotna z łóżka w chacie do koleżeńskich stosunków.

Uśmiechnął się. Leciutko, ale jednak.

- Rozumiem, Caron. Zakładam, że mówisz o koniu, czy też o kostce.

- Końskiej kostce, proszę bardzo! Mogę jeszcze dodać, że go nie chcę, nigdy do niego nie wrócę. Tutaj nie masz konkurencji. Zresztą ty w ogóle jesteś bezkonkurencyjny. Twoja kolej.

Zrobiło się strasznie smutno. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy stole, nie tak znowu daleko jedno od drugiego. Ale po takim weekendzie to było jak strącenie do piekła, po krótkiej wizycie w niebie. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaczął krzyczeć, żeby go usłyszała.

- Jeżeli mam być szczery, całkowicie wyleczyłem się z Królowej Śniegu. Ona nie stanowi problemu. Żebyś miała jasność, powiem, że choć razem mieszkaliśmy, nigdy jej tutaj nie przywiozłem.

Zamieszał kawę i popadł z powrotem w letarg.

- Doprawdy, James! Gdybyśmy mieli wymieniać wszystko, co nie stanowi problemu, święty Piotr musiałby wysłać po nas ekipę poszukiwawczą.

- Więc będę szczery. Pojawił się pewien problem, którego wcześniej nie było. Zanim poznałem cię bliżej. Tak więc, nie byłem do końca uczciwy, choć różnica jest tak subtelna, że dopiero teraz pojąłem wagę tego problemu.

- James, do cholery! Łatwiej zrozumieć teorię Einsteina. Rozmawiaj ze mną!

- Ten problem jest w pewnej mierze związany z Lodową Panną. Była ambitną dyrektorką i dostała ofertę pracy w Paryżu. Musieliśmy się rozejść albo przeprowadzić. Była wściekła, kiedy powiedziałem, w porządku, rozstańmy się. Powiedziała mi wiele przykrych rzeczy, o mnie, o tym, jaki jestem. O wszystkim. Czy to rozjaśnia obraz?

- Mów dalej.

- Po tym wszystkim skoncentrowałem się na karierze. Miała rację, ja nie musiałem zdobywać wszystkiego ciężką pracą, jak ona. Nie zaczynałem od samego dołu. Ale teraz ta ambicja, która gdzieś we mnie drzemała... W każdym razie, chcę zdobyć tę prezesurę w Chambersie.

- Ale gdzie jest ten problem, którego wcześniej nie było? Zanim mnie lepiej poznałeś?

- Czuję się jak oszust. Kiedy byłaś zwyczajną pracownicą księgowości, to nie miało znaczenia. Teraz jest oczywiste, że masz wiele innych atutów.

- Chcesz powiedzieć, że stanę się drugą Lodową Panną? Że pewnego dnia dostanę pracę w Paryżu? Dlaczego masz się czuć z tego powodu oszustem?

Mówił jak rosyjski polityk, który rzuca tu i ówdzie jakieś angielskie słowo, a potem się dziwi, dlaczego drugie państwo wysyła bombowce.

- Moja ambicja wiele zmienia. Moja potrzeba sprawdzenia się. Prawdopodobnie nie tak mnie postrzegasz. Nawet ja sam nie tak siebie postrzegałem. Pomyślałem, że nawet jeżeli zostaniemy tylko przyjaciółmi, powinnaś wiedzieć o moich ambicjach. O tym, jak daleko byłbym w stanie się posunąć, żeby zdobyć to stanowisko.

Miałam ochotę sama zrzucić parę bomb.

- James, nikt nie zdobywa takiego stanowiska bez ambicji. A tak w ogóle, co jest złego w ambicji?

Roześmiał się. Nie był to radosny śmiech, raczej suche szczeknięcie.

- Chciałbym, żeby tu chodziło o zwyczajną ambicję. - Przyjrzał mi się uważnie, jakby oceniał, czy już trzeba mi zrobić lifting. - Zdajesz sobie sprawę, że coś się dzieje w Chambersie. Ktoś wpadł na pomysł, że zarobi kupę szmalu i będzie mógł się wycofać z wyścigu szczurów.

- Co to ma wspólnego z tobą? Uśmiechnął się blade.

- To jest jak czarna chmura nad firmą. Jeżeli ta chmura jest dość duża, wszyscy się pod nią dostaną. Każdy jest podejrzany i sprawdzany. To nie jest przyjemne, poza tym taka sytuacja zawsze niesie pewne niebezpieczeństwo.

To, co mówił, faktycznie było odległe o lata świetlne od zwykłej ambicji. Czy James okradał Jima Chambersa? To chyba sugerował? Brał miliony, może asystował przy przejęciu firmy, żeby zapewnić sobie stanowisko prezesa? Czy uważał, że najlepiej być tak bogatym, żeby w ogóle nie pracować? Nikt nie lubi być podejrzany, ale uczciwych ludzi to tak bardzo nie rusza. Mój umysł zmienił się w parujący czajnik z zatkanym dzióbkiem.

- Jeżeli uważasz, że powinnam wiedzieć, jak daleko mógłbyś się posunąć, żeby dostać prezesurę, to mi powiedz.

- Nie wiem, Caron. - Musiałam wyteńczyć słuch, żeby go usłyszeć.

Siedzieliśmy w napiętej ciszy, jaka zapada na polu bitwy między jednym a drugim ostrzałem artylerii. Potem James odezwał się zwyczajnym tonem:

- Chcę chyba powiedzieć... - Znow cisza. - Mogę to chyba ująć w ten sposób... Nie, nie mogę.

Przeraziły mnie własne podejrzenia, a mój strach zawsze szybko przeradzał się w gniew.

- Chodzi o to, że nie chcesz, żebym zaszła wyżej niż dział księgowości? - zapytałam zapalczywie. - Pamiętajmy, że każdy, kto naprawdę chce awansu, zwykle go dostaje. Jak by to wpłynęło na sytuację?

- Gdyby tak się stało, nie martwiłabyś się tym, czy dostanę prezesurę. Ani co muszę zrobić, żeby ją dostać.

- To obrzydliwe pomówienie. Słyszałam, podobnie jak cała cholerna firma, że staracie się o nią z Jackiem Howardem. Poza tym, że życzę moim przyjaciołom jak najlepiej, nie przyszło mi nigdy do głowy to, o co mnie oskarżasz.

- Och, nie, Caron. Nie oskarżam cię. Chodzi o mnie. Muszę się sprawdzić, dlatego że zawsze wszystko przychodziło mi łatwo, a także ze względu na to, co powiedziała Lodowa Panna, choć przyznaję, że nie powinienem przykładać do tego takiej wagi. Problem nie w tym, co ty byś pomyślała, gdyby mi się nie udało, ale co ja bym pomyślał.

- Wygląda na to, że wzięłaś poważnie to, co Melody powiedziała żartem, że pewnego dnia będę chciała zająć twoje miejsce, że jesteśmy rywalkami.

- Po prostu nie chciałbym znaleźć się w sytuacji, kiedy mogłabyś pomyśleć, że przedkładam prezesurę nad ciebie. Chodzi wyłącznie o sprawdzenie się.

- A więc jesteśmy w podobnej sytuacji. Ja też muszę się najpierw sprawdzić. Ale ja wiem, jak daleko mogłabym się posunąć, a przynajmniej tak mi się wydaje.

- Zazdroszczę ci, Caron. Czasem zrobienie czegoś, co jest słuszne, może się okazać z gruntu złe.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Byłam zaniepokojona i zdezorientowana. James obszedł stół, przysunął sobie krzesło i objął mnie ramieniem. Z początku się opierałam, ale potem usiadłam mu na kolanach i długo się do siebie tuliliśmy. W końcu James odsunął się tak, żeby widzieć moją twarz.

- Nie chcę cię stracić, Caron.

- Ale dlaczego się tego boisz? Wystarczy trochę cierpliwości. - Chyba że jesteś złodziejem, dodałam w myślach, i natychmiast uświadomiłam sobie, że to zupełnie do Jamesa niepodobne. Ale kiedyś wydawało mi się, że pewne rzeczy są zupełnie niepodobne do Basa.

- Proszę, posłuchaj mnie, Caron. Nie chcę, żebyś się martwiła.

- Ale o co, James? O co miałabym się martwić? Poglądził mnie po twarzy.

- O nic. Niczym się nie martw. Ufam ci.

- Chodzi o Jacka Howarda? Czy o to, że nie zadajemy sobie pytań? - Chyba oczekiwał, że powiem: ja też ci ufam. Nie byłam pewna, czy zdołam to wykrztusić.

- Pamiętaj, cokolwiek się stanie, damy sobie z tym radę - powiedział, jakby mnie w ogóle nie słyszał. - Znajdziemy jakieś wyjście. Nie chcę cię stracić.

Objęłam go mocno za szyję i otarłam łzy.

- James, kochany, cudowny James. Nigdy nie spotkałam kogoś tak cudownego. Cokolwiek się stanie, nie posuwaj się za daleko. Cokolwiek to jest, o czym mówisz.

Wyszedł na zewnątrz, usiadł na wielkim kamieniu i gapił się na morze. Patrzyłam na niego przez okno, parząc świeżą kawę. Napełniłam dwa kubki i poszłam do niego.

- Dzięki, Caron. Wszystko będzie dobrze.

Siedzieliśmy w milczeniu, pijąc kawę. Nie wiem jak James, ale ja miałam nadzieję, że fale się podniosą i powiedzą mi prostym językiem, co się dzieje.

Potem był już tylko wyścig do Londynu. Oboje chcieliśmy chyba zakończyć ten weekend, zanim prysną ostatki czaru. Przed domem Flory wyładował moje bagaże i wyjął z kieszeni mały mosiężny klucz.

- Zatrzymaj go, Caron. To klucz do chaty. - Znów był nieśmiały i pełen wahania. - Będziemy mieli coś wspólnego. Nie wiem, czy jasno to wyraziłem, ale mam nadzieję, że rozumiesz.

- Tak sądzę, James. - Wzięłam klucz, myśląc, że to przynajmniej rozumiem. Freud, astrologowie i tłumacze snów nie mieliby żadnego problemu z interpretacją klucza. I ze zrozumieniem całej reszty pewnie też nie.



## Rozdział 24

James nie wszedł do środka. Fakt, nie zaproponowałam mu tego, ale chyba się spieszył. Czysta ironia, że Bas potrafił omówić gładko każdy temat, ale kłamał, podczas gdy James chciał mówić prawdę, ale czasem łatwiej byłoby się porozumieć z szympansem. Chciał mi powiedzieć prawdę, ale bał się, że prawda mi się nie spodoba.

Próbowałam ominąć chyłkiem Evelyn i Florę, które siedziały przed telewizorem, ale okazało się to trudne. Obie na mnie patrzyły.

- No i co? - zagadnęła Evelyn. - Gdzie cię zabrał ten twój James?

- Do uroczej chatki w Devon.

- Czy to już koniec książki? - zapytała Flora.

- Myślę, że została wyprzedana.

- To oznacza, że musiała zostać ukończona i wydana.

- Prawda. Chciałam powiedzieć, że przerobili ją na szmirę. Musiało to być coś gorszego od śmierci dla takiego nałogowego czytelnika jak Flora, bo zaprzestała wszelkich pytań.

- Aha - powiedziała, kiedy wychodziłam już z pokoju. - Dzwoniła twoja mama. Nie musisz oddzwaniać.

- Zostawiła wiadomość?

- Powiedziała, że nie ma nowych graczy, a stawka się nie zmieniła. I żebyś czekała na asy, bo para dzwonek nie da rady. Grasz z mamą w karty? Korespondencyjny brydż?

- Niezupełnie. Nigdy nie pogodziła się z myślą, że urodziła singla zamiast pary. I ciągle ma nadzieję, że dziewiątka trefl zmieni się w królową.

- Co twoja mama myśli o twoim tacie? - zapytała Evelyn.

- Uważa go za dzokera.

- Ale w brydżu nie ma takiej karty.

- Nazywa go tak, ponieważ on nie gra. Lepiej zadzwonię do mamy. Krzywi się na parę karo, więc sprawa musi być poważna.

- Moja mama mówi prosto z mostu i zawsze krytykuje - powiedziała Evelyn. - Szkoda, że nie mówi w obcym języku, choćby brydżowym.

- To nie jest prawdziwa rozmowa Evelyn. Często tylko mama wie, co chciała powiedzieć. Dzwoniła wcześniej, że kupili bilety na świąteczny rejs, muszę jej powiedzieć, że ja nie popłynę.

- Powiedz jej, że jestem w twoim wieku i że będę grzeczna, jeżeli szuka zastępstwa. Mogę być bagażowym, ochroniarzem, dowolnie. Flora może mnie zarekomendować. Dobrze, że mam bogate współlokatorki. Powinnyście mi płacić, żebym się wyniosła z domu.

Szybko zadzwoniłam do rodziców.

- Dzięki, mam, ale pracuję do samej Wigilii. - zaproponowała, że przyjadą do Londynu, ale powiedziałam, że niewiele będą mieli ze mnie pociechy, skoro będę cały czas w pracy. Ponieważ nie lubili Basa, zwykle na święta rozjeżdżaliśmy się w dwie różne strony. Było mi miło, że teraz chcą je spędzić wspólnie, ale chyba nie oczekiwała, że się zgodzę.

- Jeszcze jedno, Caron. Ta fuzja Basa. Zakończyła się partnerstwem.

- Kto został jego partnerem?

- Nie pamiętam. Miał tylko dwie pary, a tamci cztery asy, ale i tak był górą. Gra zacznie się dopiero za miesiąc lub dwa. Wtedy będzie zbyt zajęty, by ci kibicować.

Rozłączyła się.

- Floro, Evelyn - powiedziałam. - Jeżeli uda się nam przetrwać następny miesiąc, Bas spuści nas z haczyka. Fuzja doszła do skutku, z dużo większą firmą, jak rozumiem, a on został dyrektorem generalnym. Kiedy zacznie pracować, nie będzie miał czasu o nas myśleć.

- I to ma być dobra wiadomość? - odezwała się Evelyn. - Teraz ma dość czasu, żeby nas zabić! Namyślałam się przez chwilę.

- Zabić nie, chociaż pewnie coś wymyśli. Ale w pośpiechu może popełnić błąd.

- To wcale nie brzmi pocieszająco - jęknęła Flora.

- Do licha, może już sobie odpuścił?

- Chyba sama w to nie wierzysz? Pokręciłam głową.

- W porządku, więc nas zabije. Temat zostaje zamknięty aż do pozyskania dalszych danych. Chyba że ktoś ma konstruktywne propozycje.

- Jeżeli rzuciłaś Jamesa - zaczęła Evelyn - chciałabym sprawdzić swoje szanse. Zastępstwo dla Henry'ego.

- Świetnie. Nie jest mój, żeby go mogła oddawać, ale możesz spróbować.

Evelyn wstała.

- Żartowałam do ciężkiej cholery! - wrzasnęła. - Wróciłaś do domu w oplakany stan, więc chciałam cię rozweselić. Jesteś blada, włosy masz w strąkach, koszula wystaje ci ze spodni. Nie zdziwiłabym się, gdybyś zwróciła kolację.

- Evelyn, co mówisz, kiedy chcesz kogoś zdołować? Albo skłonić do samobójstwa?

- Caron, chodź, napij się wina - załagodziła Flora. - O nic już nie będziemy pytać. Było za wcześnie, żeby pójść spać. Czy też żeby nie spać i się zamartwiać. Więc zostałam z nimi. Przyjaciółki z każdą minutą nabierały dla mnie znaczenia.

- Weekend był naprawdę uroczy. A potem, pod sam koniec, coś się rozpadło. To wszystko. Oglądajcie spokojnie telewizję.

- To tylko wiadomości - powiedziała Evelyn. - Mnóstwo umierających ludzi. Ten drań James żyje?

Roześmiałyśmy się.

- Tak, ciągle jest z nami. A ściślej rzecz biorąc, z wami i Stoner, bo ze mną już nie.

Flora przeraziła się.

- Zerwaliście? Nie jesteście nawet przyjaciółmi?

- Naprawdę nie wiem. W jednej chwili byliśmy gorącym włoskim daniem, w następnej zimnym kleistym spaghetti. Nawet ty i Stoner nie zmienicie zimnego makaronu w kawior. Wszystko jedno. Skończyłam z mężczyznami. Potem poznałam Jamesa. Teraz znowu z nimi skończę. Skupię się na karierze. To pewniejsze.

- Ale nie tak zabawne jak łóżko - zauważyła Evelyn.

- Przecież nie na zawsze, Evelyn! Nie bierz wszystkiego tak dosłownie. Kiedy się wywinduję, poznam innych mężczyzn.

- Wszyscy będą tacy jak James, przy twoim szczęściu. Albo jakieś żigolaki.

- Próbowałaś żigolaków, Evelyn? - zapytała Flora.

- Nie miałam tyle kasy. Ale to musi być fajnie, tak ich ustawić w rzędku i wybierać. Robiłabym prywatne castingi, jak dla modelek.

- Poważnie?

- Nieee. Może wyjdę za Henry'ego, jeżeli kiedyś do mnie zadzwoni.

- A co z karierą modelki? - zapytałam.

- Lekarze i studenci medycyny są tak zajęci, że nawet gdybym prowadziła burdel, Henry nic by nie zauważył.

- Chcesz wyjść za faceta, który nie będzie miał dla ciebie czasu? - zapytała Flora, kiedy już się wyśmiałyśmy.

- Byłby lepszy niż gość na zasiłku. Albo truposz. Albo dziewięćdziesięcioletni dziadek. Życie to nie bajka, Floro.

Zostawiłam je, żeby rozstrzygały zawile kwestie życia, a w szczególności mężczyzn. Podniosły mnie na duchu, nawet Evelyn. Były moimi przyjaciółkami i dzięki nim zaczęłam powoli wracać do siebie. Cóż, życie to nie bajka, w przeciwieństwie do gorących kąpieli. Wymoczyłam się, a potem poszłam do łóżka robić plany.

Ale ciężko cokolwiek zaplanować, kiedy twoje życie przypomina cyrk, w którym za dużo się dzieje.

Następny ruch należał do Basa. Nie byłam nawet pewna, w co gra James. I jeszcze zagadka Chambersa. Bez wątplenia żyłam w ciekawych czasach. Może nawet w niebezpiecznych.

Wszyscy oni, James, Bas i Chambers pchali się na pierwsze miejsce mojej krótkiej listy, całkowicie blokując mi wszelkie ruchy. James i Chambers byli ze sobą powiązani, ale zaciekało mnie, czy nie da się dopisać do nich również Basa. Nagle tknęła mnie straszna myśl. Mama wspomniała o fuzji Basa. Czy Bas może mieć coś wspólnego z

przymusowym przejęciem Chambersa? W końcu przymusowe przejęcie to nic innego jak niekulturalna fuzja. Więc zadzwoniłam do mamy.

Ewentualne połączenie się Basa z kimś, kto chce przejąć Chambersa byłoby wygodnym wytłumaczeniem wielu spraw.

- Mamo, to znowu ja. Mogłabyś sobie przypomnieć, z kim Bas robi tę fuzję?

- Jak już mówiłam, nie pamiętam nazwy firmy. A gazetę oddałam do czytelnicy. To była taka dziwna nazwa, skojarzyła mi się z podwójnym brydżem. Coś jak Smith Smith albo Jones Jones.

Najpierw ulżyło mi, że fuzja Basa nie ma związku z Chambersem. Firma próbująca przejąć londyński dom towarowy musiałaby być znana, przynajmniej komuś takiemu jak ja, kto pracował z Basem, kupując i sprzedając przedsiębiorstwa. A jednak coś mi się niejasno kojarzyło. I wtedy przypomniałam sobie Bank Bank.

Wstałam, zajrzałam do bagażu pod łóżkiem i oczywiście jedna z dyskietek, które przywiozłam ze sobą jako CV zawierała mój raport o Bank Banku. Był to średniej wielkości konglomerat, zajmujący się wszystkim z wyjątkiem sprzedaży detalicznej. Rozczarowana, wkładałam już dyskietkę z powrotem do walizki, kiedy w głowie rozbłysła mi dwustuwatowa żarówka.

- Flora! - wrzasnęłam.

Dotarła do drzwi, kiedy je otwierałam.

- Idę do łóżka! - dobiegł z głębi domu krzyk Evelyn. - Zawołajcie mnie, jeżeli ona umiera.

- Floro, wiem, o co chodzi Basowi! - Tańczyłam po pokoju, wymachując dyskietką. - Muszę natychmiast z nim porozmawiać.

- Kamień z serca - powiedziała Flora, kiedy jej wyjaśniłam o co chodzi. - Musi być bardziej zdesperowany, niż nam się wydawało. Zadzwonisz do niego?

- Chyba muszę się z nim spotkać. Nie będzie chciał rozmawiać o tym przez telefon. Zadzwonię zaraz, żeby się umówić.

Flora była zaniepokojona.

- A jeżeli jest tuż za rogiem? Wedrze się tutaj i ukradnie dyskietkę? I wystrzela świadków?

Roześmiałam się.

- Nie przyjdzie mu do głowy, że nie trzymam tego w sejfie bankowym.

- To mi się podoba. Bank Bank w banku. Skontaktowanie się z Basem zajęło mi godzinę. Nie było go w nowojorskim mieszkaniu, telefon odebrało biuro obsługi. Kobieta zapisała moją wiadomość. Podałam numer Flory, żebyśmy mogły skorzystać z telefonu konferencyjnego. Kiedy spytała mnie o nazwisko, powiedziałam: „Proszę mu przekazać, że dzwonił Yankee Doodle Dandy”.

Flora zasiadła przy telefonie i zajęła się czekaniem. Patrzyła w aparat, jakby się spodziewała, że zaraz urosną mu skrzydła i wyfrunie przez okno. Ja poszłam do kuchni po butelkę wina. Po chwili zjawiała się Evelyn. Plaśnięcie korka usłyszałyby z trumny dwa metry pod ziemią.

- Myślę, że Bas zostawi nas niedługo w spokoju. - Napełniłam jej kieliszek. - Chce dyskietkę, która była pod moim łóżkiem.

- To znaczy, że cały czas ją tam miałaś? Łóżko sprawdziłabym przede wszystkim. Pierwsze słowa Basa brzmiały: „Nic nie mów, Caron”.

- Jestem w Wiedniu - powiedział po chwili. - Ale mogę złapać pierwszy samolot. Powiedz gdzie i kiedy, i przynieś to ze sobą.

- A co ty przyniesiesz, Bas?

- Myślałem, że to oczywiste. Książeczkę czekową.

- Do diabła z tobą, Bas. Chrzań się. Nie każdy jest taki jak ty.

- Przepraszam, skarbie. Uważaj, na razie nie mów za dużo. Kopie Picassa i twoja pozytywka są w hotelowym sejfie w Ritzu. Papiery Picassa też. Wiedziałem, że w końcu odzyskasz rozsądek i będziesz chciała negocjować. Możemy się tam spotkać.

- Nie, Bas. Spotkamy się w McBurgerze. - Wiedziałam, że to dla niego najgorsze z możliwych miejsc. Duże ryzyko, że jakiś dzieciak usmaruje mu koszulę keczapem. - Tym na Oxford Street w pobliżu Marble Arch. O pierwszej.

- Do licha, Caron? Mówisz poważnie?

- Ja tam będę i to też. - Rozłączyłam się i zaczęłyśmy się śmiać.

- Floro, jesteś jutro wolna?

- Żartujesz?! Będę wolna, choćbym miała odmówić królowej. Ale czy nie powinnaś raczej iść na dwunastodaniowy lunch w Savoyu?

- Bas nam go sfinansuje za to, że wspomniał o swojej książeczce czekowej. I bez niego będzie przyjemniej. Jeżeli mój plan wypali, i tak nie będziesz jadła w McBurgerze.

Kiedy następnego dnia weszłam do McBurdera, Bas już tam był. Na mój widok podniósł się od stolika pokrytego czerwonym plastikiem. Lokal był zatłoczony, ludzie krążyli, szukając wolnego miejsca, dzieci marudziły. W tym otoczeniu, w swoim trzyczęściowym garniturze Bas wyglądał jak dyrektor do spraw sprzedaży, któremu trafiły się ciężkie czasy.

- Dałem napiwek, żebyśmy nie musieli jeść tego ich obrzydlistwa.

- To daj drugi i każ przynieść dwa zestawy hamburgerów, frytek i coli. Jestem pracującą dziewczyną i to jest moja przerwa obiadowa.

Bas popatrzył na mnie, jakbym poprosiła o grillowane owady, zapiekankę błotną i zupę z chrzanu. Zrozumiałam, że gdybym choć raz zobaczyła go tak zestresowanego i wytrąconego z równowagi, otworzyłoby mi to oczy na całą resztę. Ale prawdopodobnie wolałam trwać w złudzeniach. Teraz na szczęście umiałam być wobec niego obiektywna.

Fakt, że posiadanie dyskietki dawało mi pewną przewagę w naszym związku, wiele mówiło o jego źródłach. Uczęp się męskiej nogawki, a zobaczysz kawał świata. Złap drugą, a zrobisz karierę.

Uśmiechnął się nerwowo, jakby podejrzewał, że bar jest na podsłuchu.

- Kazałem w Ritzu wydać ci wszystko, Caron.

Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, wystukałam numer Flory na komórce.

- Numer zero zero siedem i trzy czwarte. Odbiór - powiedziała z taksówki.

- Jedź do Ritza, podaj im moje nazwisko i zobacz, co się stanie.

Bas zrezygnował z uprzejmości.

- Nie mam czasu na gierki, skarbie.

- Naprawdę? Mówiłeś, zdaje się, że je lubisz. I jeszcze coś. Niech ci się nie wydaje, że za to później zapłacę. Ciągle wiem, co jest na dyskietce.

Uśmiechnął się.

- To nie to samo, co mieć ją w ręku. - Zmarszczył czoło. - Zrobiłaś kopie?

- Bas, robiłam ten raport w dobrej wierze. Nie wiedziałam, że będzie na nim więcej brudu niż na polu rzepy. I nigdy nie sądziłam, że wykorzystasz go do fuzji.

- Nie zrobiłem tego, skarbie. To oni zaproponowali fuzję i wtedy przypomniałem sobie o raporcie i dyskietce. W tych okolicznościach to dynamit. - Rozluźnił się i był znów sobą. Nawet McBurger nie mógł wytrącić go z równowagi, kiedy chodziło o interesy. - Pamiętasz starego Milтона? Faceta, dla którego robiliśmy ten raport? Zrobiono go w balona i nie mógł zapłacić, więc nie zobaczył raportu na oczy. A kiedy zwrócono się do mnie z propozycją fuzji, oferując stanowisko dyrektora generalnego...

- Dołączyłeś do bandy złodziei.

- Nie, skarbie, zrobili czystkę. Jestem nową falą.

- To oni tak sądzą.

- Jestem, do cholery! Dlatego nie chciałem, żeby krążył po świecie taki niebezpieczny śmieć jak ta dyskietka.

- Ale dlaczego przysłałeś mi te wszystkie rzeczy? Bujany fotel i czekoladki, majtki, gardenię? Dlaczego zwyczajnie nie spytałeś o dyskietkę?

Bas, jak większość młodych wilków, nie potrafi okazać zażenowania. Brak praktyki. Kiedy był zażenowany, zwykle ujawniało się to pod postacią hamowanego gniewu.

Teraz lekko poczerwieniał.

- Nie byłem pewien, czy nie wzięłaś dyskietki celowo, żeby mieć mnie w ręku. A jeżeli zrobiłaś to przypadkiem, nie chciałem ci uświadamiać, jakie ma znaczenie. Działiałem na ślepo. Próbowałem dowiedzieć się, ile wiesz i co planujesz.

Urwał, bo kelner przyniósł torbę z jedzeniem na wynos, a potem zaczął trzeć mokrą szmatą niewidzialne plamy na stole. Bas dał mu jeszcze jeden napiwek, żeby sobie poszedł.

- A te nielegalne akcje, Bas?

Popatrzył na mnie pytająco i niewinnie. Zaczęłam się martwić, że nie miał z tym nic wspólnego.

- Mówię o próbie włamania i napadzie.

- Wynik negatywny.

Musiałam się dowiedzieć, bo jeżeli nie Bas, to kto? I dlaczego?

- Daj spokój, Bas! Chcesz mi wmówić, że jestem ofiarą połowy przestępstw w tym mieście?

- Wynik negatywny. Wstałam.

- Dzięki za lunch. To znaczy, za stolik.

- Czekaj, Caron! Cholera, myślałem, że będziemy negocjować, a nie urządzać spowiedź! Kiedy się upewniłem, że nie chcesz ugody, najałem włamywacza. Nie złość się. Miałaś diabelnie udane przyjęcie, a ten kretyn nic nie zdziałał. Po fuzji Bank Bank Bas, znalazłem kogoś, kto miał zorganizować kradzież torebki. Kiedy okazało się, że pozytywka jest pusta, uznałem, że nosisz dyskietkę przy sobie. Dziwię się, że policja nie wyłapała wszystkich kryminalistów w tym mieście. Nigdy w życiu nie zatrudniałem takich kretynów! Mówię ci, trzeba osobiście odwalać brudną robotę.

- Sam jesteś kretynem. Zatrudnianie kryminalistów jest nielegalne.

- Wiedzieli, że nie mogą cię skrzywdzić. Instrukcje były jasne: zabrać torebkę, wyjąć tylko dyskietkę, zwrócić torebkę do domu Flory tego samego wieczoru. Zapukać i uciec. Dzwonek nie działa.

- Bandyta to bandyta nawet jeżeli ma dobre intencje. Teraz rozumiem twój list. A płatki kukurydziane miały być sygnałem, że żarty się skończyły. I przez cały czas chodziło ci o dyskietkę, nie o Picassa.

- I tu się mylisz. - Uśmiechnął się niemal jak dawny Bas. - Nadal chcę cię odzyskać, Caron. Nie wiesz, jak bardzo mi ciebie brakuje.

- Nawet nie próbuj.

- Myślałem, że jak cię trochę przycisnę i będzie ci ciężko, zyskam na atrakcyjności. To upokarzające, że nie mogę rywalizować z tą marną posadką w Chambersie. I chciałem odzyskać Picassa, ponieważ jest cenny.

Zadzwoiła moja komórka.

- Wyjeżdżam z Ritza z kopiami Picassa, papierami własności Picassa i pozytywką - zawiadomiła Flora. - Mam przyjechać do was i oddać dyskietkę Basowi?

- Tak, ale zatrzymaj taksówkę.

- Ta Flora jest oddaną przyjaciółką - powiedział Bas. - Mam nadzieję, że podobały jej się meble. Przyda jej się coś ładnego w tej ruderze.

- Flora jest wspianą przyjaciółką. Zanim przywiezie dyskietkę, chcę żebyś mi obiecał, że zaprzestasz wszelkich gier. Nie zrobiłam kopii, ale masz na to tylko moje słowo.

- Obiecuję, żadnych więcej gier. Trochę mnie poniosło. - Młode wilki nie lubią też wychodzić na głupców. Bas wyglądał, jakby utkwiała mu w gardle wielka ość. Albo nawet cała ryba.

- Ile gotówki masz przy sobie, Bas? W tej chwili? Zdumiony, wyciągnął portfel i zaczął liczyć. Dotarł do trzystu dolarów.

- Wystarczy - powiedziałam. - Na wydatki, taksówkę, i jesteś winny Florze przyzwoitą kolacją. Ucierpiała, a nawet cię nie zna.

- Nie chcę, żeby to się tak skończyło, Caron. Tyle nas łączyło, tak długo.

W tym momencie mały brzdąc oderwał się od matki i na niepewnych nogach dotarł prawie do kolan Basa. Żadnego keczupu ani ciekących lodów. Już miał się przewrócić, gdy Bas wyciągnął rękę i go podtrzymał. Maluch zachichotał, a na twarzy Basa odbiła się czysta przyjemność.

- Dobry chłopak! Już stoisz. - Przesunął dłonią po jasnych włosach chłopca.

Miałam wrażenie, że zdjęto magiczną zasłonę i ukazał mi się ktoś zupełnie obcy, może nawet z zielonymi antenkami sterczącymi z głowy. To własne gierki i dyskietka wytrącały Basa z równowagi, wcale nie otoczenie.

Nagle ujrzałam człowieka, który kocha rodzinę, uwielbia swoje dzieci i jeżeli pominąć trzyczęściowy garnitur, jest w McBurgerze całkiem na miejscu. Owszem, bogaci ludzie mają wyższe wymagania, ale nawet ich dzieci lubią hamburgery. Byłam dla niego partnerem w interesach, dostarczałam rozrywki i seksu. Nigdy nie byłam jego prawdziwą miłością. W wannie i w łóżku rozmawialiśmy o interesach, ponieważ z tym mnie kojarzył - z interesami. Dobrze, że w końcu się od niego uwolniłam. Nagle dotarło do mnie jeszcze coś. Że chyba przez cały czas czułam się winna, bo podświadomie widziałam, co jest grane, ale wolałam udawać, że nic nie widzę. Spojrzałam na Basa i zalała mnie fala ciepłych uczuć. Poczulałam litość, jaką się ma dla obcego człowieka.

- Dobrze ci życzę, Bas. Ale musisz mnie zostawić w spokoju. Powinieneś myśleć o rodzinie. Zerwij te kontakty ze złodziejami. I przestań oszukiwać żonę.

- Co mogłem poradzić, że się w tobie zakochałem - obruszył się.

- Żonaci faceci mogą podjąć środki zapobiegawcze i nie umawiać się z samotnymi kobietami.

Bas uśmiechnął się, trochę jak chory kot, i szybko zmienił temat.

- A w sprawie Picassa, skarbie. Jeżeli zamierzasz go sprzedać, mogłabyś zaczekać parę tygodni, aż doprowadzę do ładu księgi firmy?



Zastanawiam się, czy ludzie, którzy lubią liczby, muszą umrzeć, żeby przestać o nich myśleć.

- Bas, możesz uznać Picassa za formę zapłaty za cztery lata pracy, żeby zmniejszyć mój podatek dochodowy? Oczywiście, gdybyś prędko umarł i zapisał mi go w testamencie, podatek byłby jeszcze mniejszy.

Obśmiał się jak norka.

- Naprawdę mi ciebie brakuje, Caron, skarbie. Nigdy już nie znajdę kogoś takiego jak ty. Cokolwiek jeszcze zdarzy się w moim życiu, wspomnienie o tobie pozwoli mi to przetrwać.

Też się uśmiechnęłam. Mimo wszystko spędziłam z nim cztery lata. I przecież nie bez powodu byliśmy razem. Taki koniec naszego związku był o wiele lepszy.

- Taksówka - powiedział. - To pewnie Flora. Odezwiiesz się czasem do mnie, dasz znać, kiedy będziesz czegoś potrzebowała?

- Raczej nie, Bas. Chcę mieć własne życie. A więc przyjaźń?

Pomachałam Florze. Weszła, oddała Basowi dyskietkę i uścisnęli sobie dłonie.

Odprowadzając nas do drzwi, Bas spytał:

- Na pewno nie zrobiłyście kopii?

- Mogę za to ręczyć - odparła Flora.

Byliśmy już na zewnątrz, taksówka czekała. Pomyślałam, że Bas wolałby raczej stracić konto w banku niż dumę.

- Nie ma ani jednej kopii - powiedziałam. - Ale jeżeli będziesz nam dalej przysparzał kłopotów, powinienes wiedzieć, że mamy świetny film wideo, na którym kradniesz fałszywego Picassa i pozytywkę.

## Rozdział 25

Śmiałyśmy się całą drogę powrotną do biura, pozerając hamburgery i frytki. Flora była zgorzonna pomysłem, żeby wydać trzysta dolarów na jeden posiłek, więc postanowiłyśmy przeznaczyć je na włoską knajpkę. Na czasy, kiedy człowiekowi się zdaje, że słońce już nigdy nie zaświeci. Choć teraz, upojona sukcesem, pomyślałam, że potrafię je dostrzec nawet przez najgrubszą warstwę chmur.

Po wyeliminowaniu Basa został mi tylko Jack, James i zagadka Chambersa. Prawdopodobieństwo, że Jack rozplynie się w powietrzu, równało się szansie wygrania na loterii. I nie miałam pojęcia, co zamierza James. Postanowiłam więc skupić się na Chambersie, bo tylko w tej sprawie mogłam podjąć jakieś działanie. Już obiecano mi premię za okna i podwyżkę przy następnej ocenie pracowniczej. I z tego, co mówiła Melody, wynikało, że otrzymam również premię za pomoc udzieloną firmie.

Zaczynałam postrzegać Melody jako swoją dobrą wróżkę. Oczywiście, jeżeli znajdę się w tarapatach, będzie musiała zamienić różdżkę na miotłę.

Możliwość zagrożenia oznaczała, że trzeba się pospieszyć, bo przeciwnik nie będzie robił sobie długich przerw na kawę.

A zagrożenie wzrośnie, bo nie wszyscy byli tacy jak Biggs. James na przykład w niczym go nie przypominał. Po pierwsze, zmieniają wszystkie kody dostępu w firmie, a komputer wyposażą w dodatkowe programy zabezpieczające, jeżeli już tego nie zrobili. Wtedy złodziej podskoczy i zawoła: Ta cholerna baba z księgowości coś wywęszyła! Może nie zawoła. Może tylko pomyśli, że trzeba mnie wyeliminować z gry.

Jeżeli zagrożenie faktycznie istniało, to już w chwili, gdy wzięłam od Melody pierwsze poufne zlecenie. Kiedy nieświadoma niczego, odkryłam błędy. Nie miałam więc nic do stracenia, a wiele do zyskania, skacząc głową naprzód. Wprawdzie można sobie w ten sposób rozbić głowę, ale to boli chyba mniej niż rana postrzałowa.

Mój laptop był pierwszej klasy, Bas nie uznawał drugiej. Mogłam pracować wszędzie, gdzie miałam dostęp do linii telefonicznej. Ale oczywiście nie chciałam wykorzystywać linii Flory, na wypadek gdyby złodziej mnie wytropił. Więc wzięłam laptop do pracy. Zmieścił się w reklamówce.

Następnego dnia po Święcie Bankowym Basa, jak ochrzciłyśmy dzień rozliczenia z Basem, spytałam panią Brown, czy mogę wziąć dzień bezpłatnego urlopu, ponieważ mam coś do załatwienia. Powiedziała, że i tak należy mi się wolne, więc mogę spokojnie wyjść. Na ulicy przywołałam taksówkę i kazałam się zawieźć do kawiarenki internetowej w Kensington.

Kazałam kierowcy sprawdzić, czy nie jesteśmy śledzeni, a on omal nie skonał ze śmiechu.

- Najlepszy kawał, jaki dzisiaj słyszałem - powiedział. Cóż, w filmach to działa.

Używając hasła Biggsa, weszłam do komputera pana Chambersa, pilnując, żeby nie trwało to dłużej niż pół godziny. Sprawdzałam pliki podejrzanych transakcji, próbując ustalić, jakiego użyto hasła. Przedtem miałam tylko dyskietki, które przysłał pan Chambers, teraz miałam do wglądu całą bazę danych. Tylko czekała, żeby ją przekopiować.

Nieustannie sprawdzałam, czy ktoś mnie nie obserwuje. Maniacy komputerowi na ogół trzymają oczy wbite w ekran, ale nie mogłam oczekiwać, że śledzić mnie będzie debil. Kłopoty z Jamesem rozmiękczyły mi mózg. Powinnam zachować ostrożność dużo wcześniej, zwłaszcza po pierwszej rozmowie z Harveyem w księgowości. Tu nie chodziło o ulicznego złodziejaska torebek. Przestępcą był ktoś, kogo prawdopodobnie znałam i kto z całą pewnością znał mnie.

Potem pojechałam taksówką do następnej kawiarenki, a potem jeszcze do innej. Kopiowanie danych trwało dłużej, niż się spodziewałam, ale na tyle krótko, że nie mogłam się zorientować w treści.

Kiedy wychodziłam z drugiej kawiarenki, wydawało mi się, że przygląda mi się facet w skórzanej kurtce. Po trzeciej byłam tego niemal pewna, choć facet zmienił skórę na anorak. Mogłam też mieć zwyczajną paranoję. Kiedy wyszłam z ostatniej kawiarenki w Soho, byłam pewna, że to ten sam człowiek. Ale kiedy stałam w kolejce do taksówki, wskoczył do czekającego samochodu. Odjechali szybko, nie patrząc w moją stronę. Zdeenerwowałam się jak diabli. Niepewność, czy ktoś mnie śledził, wydała mi się gorsza niż pewność, że tak było. Podobnie jak z Basem, niewiedza potęgowała strach.

Flora umówiła się na wieczór z Mervinem.

- Nie przeszkadza ci, że zostaniesz tu sama? - zapytała przed wyjściem.
- Mam przecież naszą mistrzynię karate.
- Evelyn poszła gdzieś z Henrym. Dłonie mi spotniały.
- Nic mi nie będzie, Floro. Poza tobą i Mervinem nikt nie wie, że zostaję sama.

Bawcie się dobrze. Pamiętaj, nie przeskakuj rozdziałów. Niedobrze czytać koniec przed środkiem.

Otworzyłam puszkę meksykańskiego chilli i włożyłam talerz do mikrofalówki. Po zamknięciu żaluzji postawiłam laptopa na biurku Flory i zabrałam się do pracy. Nie czekałam nawet trzech minut, których potrzebowała mikrofalówka. Między kęsami chilli a wystukiwaniem instrukcji wyjrzałam ostrożnie przez szparę w zasłonach. Kilka metrów od domu siedział w samochodzie mężczyzna. Ale prawdopodobnie robiło to w tej chwili tysiące londyńczyków.

Ustaliłam, że z Chambersa zniknęło pięćdziesiąt milionów. Lista haseł była już na tyle pełna, żeby ją poddać analizie. Zresztą, oszustwo musiało być zakrojone na jeszcze większą skalę, no i oczywiście pieniądze wędrowały po świecie, żeby ostatecznie wylądować w Szwajcarii.

Nie miałam szans posunąć śledztwa dalej bez sztabu detektywów i środków milion razy większych od tego, czym dysponowałam. Często nawet rządowi nie udaje się uzyskać od Szwajcarów więcej niż figę z makiem.

Około dziesiątej ktoś zapukał do drzwi. Zastanawiałam się, czy otworzyć, kiedy usłyszałam głos Jamesa:

- Caron? Musimy porozmawiać.

Ostrożnie uchylałam drzwi na parę centymetrów. James w stroju do joggingu. Widziałam ponad jego ramieniem, że mężczyzna nadal siedzi w samochodzie. Przynajmniej zyskałam pewność, że nie jest to James.

Wszedł do środka, kiedy przypominałam sobie wszystkie wydruki komputerowe na biurku.

- Może pójdziemy do pubu na drinka? - zaproponowałam, a kiedy się zgodził, poprosiłam, żeby sprawdził, czy wyłączyłam piecyk w kuchni. - Podgrzanie zupy to szczyt moich możliwości kulinarnych.

- To mi raczej pachnie na chili - powiedział, idąc w stronę kuchni. Szybko wsunęłam laptopa do torby.

Kiedy szliśmy w stronę South Hill Green, podejrzany samochód minął nas i skręcił za najbliższy róg. Kiedy tam dotarliśmy, nie było go w polu widzenia.

W pubie postawiłam swój dzin z tonikiem na stole i powiedziałam:

- Pamiętasz ten weekend, kiedy byłam w pracy? Rozwiązaliście wtedy te problemy, które mieliście rozwiązać?

- W takiej firmie jak nasza zawsze są jakieś kłopoty - odparł po chwili wahania.

- Ale Flora mówiła, że takie zebrania zwołuje się wyjątkowo. Więc pomyślałam, że może i problemy były wyjątkowe.

- Każdy problem jest inny, albo nie byłby problemem, Caron. Nachylił się nad okrągłym stolikiem i wziął mnie za rękę.

- Posłuchaj Caron - powiedział żarliwie - nie chcę, żebyś nawet o tym myślała. Nie rozmawiałbym o tym z tobą nawet gdybym mógł, ponieważ nie wyszłoby ci to na dobre. Poza tym... - przyjrzał mi się uważnie. - To nie jest uprzedzenie ani zazdrość, ale ulżyłoby mi bardzo, gdybyś unikała kontaktów z Jackiem Howardem.

Podniosłam jego dłoń i pocałowałam.

- Mówiłam ci, nie masz się czego obawiać ze strony Jacka Howarda. Unikam go jak mogę.

- Ale nadal przysyła ci kwiaty do pracy. Nie mogłabyś jakoś temu zaradzić?

- Miałam nadzieję, że zbankrutuje. Te kwiaty to coś w rodzaju dowcipu. I nie wyglądają na trujące. Żadnych ukrytych pajaków. - Z uśmiechem sięgnęłam po jego drugą dłoń. Będąc z nim, nie potrafiłam żywić żadnych podejrzeń. Delikatnie cofnęłam rękę, kiedy sobie przypominałam, jak unikałam niewygodnych pytań, będąc z Basem.

Teraz on wyciągnął rękę.

- Nie myślałem o pająkach. Ale nigdy nie wiadomo. Mówię poważnie, Caron. Nie kontaktuj się z nim. Zrób mi przyjemność.

- W łóżku to o wiele prostsze. - Zazartowałam. A w duchu błagałam go, żeby powiedział coś jeszcze, coś, co rozwieje moje podejrzenie.

Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. - Nie mogłabyś zadzwonić do kwiaciarni? Kazać przesyłać kwiaty do najbliższego szpitala?

- Obrazić faceta i dostać zwolnienie? Albo przyczynić się do śmierci wszystkich pacjentów?

- To była tylko sugestia. Jestem pewien, że wymyślisz coś lepszego. Zresztą, tu nie chodzi tylko o to, że Jack jest świnią - dodał po chwili. - W tej chwili w ogóle lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

To, co mówił, nie trzymało się kupy. Chyba że przenosił na mnie własne lęki. Podjadając chipsy z jednej paczki, wróciliśmy dłuższą drogą do domu Flory, oglądając wystawy na High Street. Pod drzwiami pocałował mnie na dobranoc.

- Chcesz, żebym został? Czujesz się tu bezpieczna, sama?

- Oczywiście, że czuję się bezpieczna. Nie jestem delikatnym fiołkiem. Flora i Evelyn wrócą lada chwila. I mam przecież numer twojej komórki.

- Będę ją miał przy sobie.

O co tu chodzi, zastanawiałam się, wróciwszy do mojego laptopa. Czy to możliwe, by sprawa sprowadzała się do zwykłej zazdrości?

Bas zawsze wolał działać podstępem. Czy ktoś taki jak James może prowadzić potajemne życie? Mieszkał z Lodową Panną, a w tym samym czasie miał swój obecny dom. A teraz okazuje się, że również tę chatę, o której nikt nie wie. Prawdopodobnie nawet czujna Stoner. Po co kawalerowi aż trzy domy?

Wróciłam do pracy, żeby za dużo nie myśleć. Ludzie, którzy nie znają się na komputerach, myślą, że to wymaga geniuszu. W rzeczywistości trzeba jedynie skupienia i cierpliwości. Na ogół program jest koniem, a ty jeźdźcem. Bas, kupując firmy na granicy bankructwa, musiał być wyczulony na oszustwa. Dlatego program miałam najlepszy z możliwych.

Ojciec mojej koleżanki ze studiów był właścicielem restauracji i raz w miesiącu zapraszał nas do ekskluzywnego lokalu. Zerkał na menu, obrzucał wzrokiem klientelę i mówił, jakie będą wieczorne wpływy kasowe. Był niesłychanie dokładny. Kilka razy, kiedy podał swoje obliczenia właścicielowi, został oskarżony o szpiegostwo. Więc kiedy tworzyłam program wykrywania oszustw, poszłam do pana Witaminy, żeby zdradził mi swój sekret. Tak go nazywałyśmy, bo w kółko powtarzał, że śmietana i wszystkie tuczące potrawy są pełne witamin.

- Trzeba mieć wyczucie, Caron. Każdy człowiek z osobna jest indywidualny, ale w kupie stają się danymi statystycznymi.

- A gdyby ktoś zamówił tylko drinka?

- Zasada działa tak samo. Musisz szukać czegoś, co różni się od reszty. Ekstraduze kwoty, ekstramale kwoty. Z wyjątkiem różnic sezonowych i okazjonalnych inflacyjnych, podstawowe dane się nie zmieniają. Dobry przestępca musi podejmować działania z dużą regularnością a to jest bardzo ryzykowne. I sprawdzaj nazwiska. Inny dostawcą inny odbiorca, cokolwiek. Szukaj czegoś, co się nagle zmieniło.

Nie podobała mi się myśl, że w ogólnym rozrachunku nie ma znaczenia, czy zamówię drinka czy obiad z siedmiu dań. Ale facet był bardzo, bardzo bogaty, a stare przysłowie mówi, że kiedy chcesz się wzbogacić, zapytaj kogoś, kto już to zrobił.

Pamiętając o panu Witaminie, musiałam przeprowadzić jeszcze jeden test. Sprawdziłam nazwy, które pojawiły się w bazie danych w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Ponieważ Chambers chylił się ku upadkowi, nie mógł mieć zbyt wielu nowych kontrahentów.

Komputer wypuł listę pięćdziesięciu nazw. Niektóre były tylko dziwną zbitką liter, ale wyodrębniłam sześć nowych firm. Jeszcze kilka ruchów i okazało się, że trzy z nich figurują jedynie w e-mailach. Byłam gotowa się założyć, że jedna z nich zainicjowała przymusowe przejęcie.

Wkrótce wróciła Evelyn, a potem Flora.

- No i? - zapytałam. - Jak tam wasze powieści? Mam nadzieję, że nie zmieniły się w zwykłe szmiry?

- Do licha, nie wiem. Henry się jeszcze nie zdeklarował - powiedziała Evelyn. - Już mnie od tego mdli.

- Ależ, Evelyn, dopiero zaczęliście się spotykać.

- Nie chodziło mi o małżeństwo, Floro. Ty ciągle żyjesz w poprzednim tysiącleciu.

- Wcale nie - zaprotestowała Flora. - Spotykam się z Mervinem dłużej niż ty z Henrym, a on też się nie zdeklarował.

- Szczęściary z was, koleżanki. Rozegrajcie to na zimno, a nie pożałujecie.

- Och, Caron, przepraszam!

- Nic nie szkodzi. James zaszedł tu dzisiaj i zabrał mnie na drinka. Sprawy wróciły do etapu panna Carlisle i pan Smith.

- Do diabła, to znaczy, że wygrywasz czy przegrywasz?

- Wygrywam. Dżin i chipsy mówią same za siebie.

- W chipsach nie ma procentów, znów ci się coś pokręciło, Caron. - Nic podobnego, Evelyn. Dlatego dodałam dżin. Wiele kobiet woli dżin od mężczyzn.

- Tak, słyszałam. Wolałabym już tego faceta, który rozwiązywał krzyżówki.

Przekomarzanki z Evelyn naprawdę dawały dużo radości. Nigdy nie mówiła dwa razy tego samego, a jej logika była jedyna w swoim rodzaju.

- Czy wracając, nie zauważyliście przypadkiem faceta w samochodzie? - zapytałam.

Flora szybko wyjrzała przez okno.

- Nikogo nie ma. Przegapiłyśmy go? Och, przepraszam Caron. Czy on coś zrobił?

- Pojechał sobie, kiedy zobaczył Jamesa. Byłam ciekawa, czy wrócił. Nie martwcie się. Widocznie wystraszył się Jamesa.

Następnego ranka Jack zadzwonił na mój służbowy numer. Nigdy przedtem tego nie robił. Aż podskoczyłam, bo sobie przypomniałam, co mówił o nim James. Czy telefon był na podsłuchu?

- Caron, muszę z tobą porozmawiać. Co powiesz na lunch? - Zanim zdołałam wymyślić i wyartykułować wymówkę, dodał: - A może kolacja? Kawa?

- No, nie wiem, Jack. - Należał do tych okropnych facetów, którzy tak długo cię przyduszają, że w końcu musisz się zgodzić.

- To ważne, Caron. Z pewnością możesz wygospodarować dziesięć minut. Spotkamy się w kawiarni na rogu, na początku twojej przerwy obiadowej. Potem zrobisz, co będziesz chciała.

Zgodziłam się, żeby mieć to z głowy, zresztą był taki miły w dniu kradzieży torebki. Zastanawiałam się, czego może ode mnie chcieć. To znaczy wiedziałam o co mu chodzi, ale przez dziesięć minut? W kawiarni?

Zadzwoniłam do Flory, uprzedzić, że nie będę mogła pójść z nią na zakupy. Wyruszyłam na spotkanie z Jackiem bez entuzjazmu.

Wszystkie stoliki były zajęte, w części barowej też panował tłok. Oznaczało to powtórkę z wystawy Mervina, dziewięćdziesiąt sardynek w małej puszcze. Jack stał pośrodku, próbując uchronić dwa kubki kawy przed łokciami przepychających się ludzi.

Wzięłam od niego kawę.

- Chcesz wyjść na zewnątrz? - zapytałam. - Żeby porozmawiać. Tu jest taki tłok.

- Właściwie tak jest lepiej. Mam na myśli tłok. Mniejsze prawdopodobieństwo, że zostaniemy podsłuchani.

- Podsłuchani? Przez kogo?

- Przez kogokolwiek.

Nigdy bym się nie spodziewała, że człowiek pokroju Jacka może tak wypaść z roli. Był zdenerwowany, nieswój. Bas w metrze nie wyglądałby gorzej.

- Wiem, Caron, że jeszcze się nie dogadaliśmy. Po tym pubie, po wystawie Mervina i kiedy poszliśmy na spacer. Ale wierzę, że możemy. W stosownym czasie, kiedy wszystko się wyjaśni. A kwiaty... Po prostu nie chcę, żebyś o mnie zapomniała.

To był dobry moment, żeby uciąć dostawy. Ale Jack wydawał się taki poruszony, niespokojny i bardziej ludzki niż kiedykolwiek. Kocham wyzwania, ale strasznie nie lubię być chamska.

- Jack, mam bardzo mało czasu. Czy to chciałeś mi powiedzieć?

- Nie, ale to jest takie trudne. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała. Żebyś sądziła, że to coś osobistego.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie tak to wygląda, kiedy najlepszy przyjaciel mówi ci, że masz nieświeży oddech. Jack zachowywał się idiotycznie.

- Postaram się zrozumieć, Jack. Tylko powiedz, o co chodzi.

- Chodzi o towarzystwo, w jakim się obracasz. Zwłaszcza o Jamesa Smitha.

Obecnie jest w firmie persona non grata. Lepiej będzie dla ciebie, jak przestaniesz się z nim widywać.

- Jack, to wyłącznie moja sprawa, z kim się widuję.

- Tu nie chodzi o randki, Caron. Uwierz mi i trzymaj się od niego z daleka. Obiecuj mi, że o tym pomyślisz.

Rozumiejąc, że to się może ciągnąć w nieskończoność, powiedziałam:

- Zastanawiam się nad wszystkim, co ludzie do mnie mówią. Więc nie martw się.

Ale o co tu chodzi?

- Nie mogę powiedzieć. Pamiętasz ten weekend, kiedy pracowaliście, ty i twoi przyjaciele? Z powodu kłopotów w firmie? Proszę, uwierz mi, narażam się, mówiąc ci aż tyle. Ale naprawdę się martwię.

Byłam wściekłą ze oczernia Jamesa, choć sama miałam wątpliwości. Chciałam przypisać te uwagi zazdrości, ale on wydawał się taki szczery i naprawdę przejęty.

Próbując jakoś zakończyć tę rozmowę, powiedziałam:

- Dobrze się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej, Jack. - Nic mi nie jest. Ale dzięki.

Za to, że się zatroszczyłaś.

- Wiele osób się o ciebie troszczy - powiedziałam, żeby go podnieść na duchu i nie zakończyć tej rozmowy tak osobistym akcentem. - Podobno ubiegasz się nawet o stanowisko prezesa w firmie.

To go naprawdę rozzłościło.

- Ubiegam się. Podobnie jak James. I inni dranie tacy jak on, którzy urodzili się bogaci i zawsze mają szczęście. Którzy dostają od życia wszystko.

- Jack, pan Chambers znany jest z tego, że gra fair. Sam zaczynał od zera. Nie chce mi się wierzyć, żeby nie wybrał w oparciu o zasługi.

Jack popadł w jeszcze większe przygnębienie.

- James ma tę zasługę, że nie sypiał z nikim z firmy. - Jeżeli człowiek może wyglądać zarazem na przybitego i pewnego siebie, Jackowi się to udało. - Ale nie martw się o mnie, Caron. W razie czego mam ubezpieczenie.



- Jack, nie myślisz, żeby, no wiesz, skoczyć z dużej wysokości? - spytałam wstrząśnięta.

Roześmiał się.

- Nie rzucę się z mostu do Tamizy, jeżeli tego się boisz. Chciałem tylko powiedzieć, że ludzie tacy jak ja muszą przejść dodatkowy kilometr, żeby znaleźć się u celu.

Poklepałam go po ramieniu.

- To nie jest wcale takie złe - powiedziałam. - Mnie się czasem wydaje, że muszę przejść tysiąc dodatkowych kilometrów. Dzięki za kawę. - Ze słabym uśmiechem wręczyłam mu pusty kubek i szybko wyszłam.

Trwało to wszystko dłużej niż dziesięć minut, do tego droga tam i z powrotem i już nie miałam czasu na lunch w kantynie. Kupiłam kanapkę z tuńczykiem, żeby ją zjeść przy biurku, i wróciłam do działu kilka minut przed czasem.

Melody siedziała na swoim miejscu, strasznie przygnębiona. Mój fotel, rozwalony, leżał na podłodze. Obok leżał mój komputer. Niektóre kable zostały wyrwane i zwisały luźno.

- Chyba musisz mi pomóc, Caron...

- Nic ci nie jest, Melody? Co tu się, u Boga, stało? Mam dzwonić po lekarza?

- Nie, kochanie. To tylko kostka. Spojrzałam, ale samym patrzeniem nie mogłam stwierdzić, czy nic jej nie jest.

- Wróciłam wcześniej i usiadłam przy twoim biurku, żeby posortować to, co pani Brown nam zostawiła. Ale fotel się rozjechał. Widocznie odruchowo złapałam się komputera, nie wiem. Wiem tylko, że zwałił się na mnie.

Drżała na całym ciele i była bardzo blada.

- Gdzie cię uderzył? - W bok.

- Musimy pojechać do szpitala, żeby lekarz cię obejrzał. Natychmiast.

- Nie, nie, kochanie. O to im właśnie chodzi. Musimy udawać, że nic się nie stało.

Nie wiedziałam, co robić. Pomyślałam, że Melody może być w szoku i nawet nie czuje bólu.

- Pomóż mi się tylko podnieść, kochanie.

Pomogłam jej wstać, ale nie utrzymała się na nogach. Siedzając ją z powrotem, zaczepiłam o coś nogą. Była to żyłka, cieniutka jak pajęczka nić, łącząca krzesło z komputerem. To nie był wypadek. Przypomniałam sobie, jak Melody twierdziła, że ktoś próbował ją wepchnąć pod autobus.

- Nie protestuj, Melody. Pozwól, że przynajmniej zaprowadzę cię gdzieś, gdzie będzie bezpiecznie i mniej ludzi.

Podziałało.

- Zanim wszyscy wrócą, proszę, Caron.

Weszła pani Brown i przywołałam ją gwałtownymi ruchami rąk.

- Myślę, że ktoś zrobił kawał - powiedziałam. - Przywiązał komputer do krzesła.

Pomoże mi pani przewieźć Melody na krzesło do toalety? Lekarz musi ją obejrzeć.

Pani Brown była przerażona. - Natychmiast dzwonię po ochronę!

- To takie żenujące! - Metody omal się nie rozplakała.

Zawiozłyśmy ją do damskiej toalety, a w chwilę potem zjawił się ochroniarz.

Zawiesił na drzwiach tabliczkę „nieczynne” i wszedł do środka za nami. Po kilku minutach dołączyła zakładowa pielęgniarka. Próbując się na coś przydać, otaczałam Metody ramieniem. Ścisnęła mnie za rękę.

- Noga może być złamana - powiedziała pielęgniarka. - Trzeba zrobić prześwietlenie.

Zjawili się jeszcze dwóch ochroniarzy. Pani Brown pobiegła na górę po instrukcje, a Metody przyciągnęła mnie do siebie i szepnęła:

- Proszę, idź po moją torbę, kochana. Przypomniałam sobie laptop we własnej i wybiegłam. Kiedy wróciłam, James był na miejscu i brał sprawy w swoje ręce.

- Na razie proszę nie rozgłaszać o wypadku.

Dwaj ochroniarze zrobili krzeselko ze splecionych dłoni i wynieśli Melody.

- Tylnym korytarzem - polecił James. - Caron pojedzie do szpitala - dodał.

- Ja mogę jechać - wtrąciła pielęgniarka.

- To było krzesło Caron. Chcę, żeby znalazła się poza budynkiem, dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy. - Żadnego gadania. Jako dowodzący James nie tolerował sprzeciwu.

Jechałam z Melody w ambulansie, trzymając ją za rękę. Nieustannie ubolewała, jakie to wszystko jest żenujące.

- Tak mi przykro, Melody. To ja miałam być ofiarą. Gdybyś mi nie pomagała...

- Cały czas zamieniamy się miejscami, kochana. Krzesło mogło być przeznaczone równie dobrze dla mnie, jak dla ciebie. A może to był wypadek?

W szpitalu szybko ustalono, że noga nie jest złamana, tylko mocno zwichnięta. Ale trzeba było sprawdzić, czy Melody nie doznała wstrząsu mózgu ani innych obrażeń, więc lekarze postanowili zatrzymać ją na obserwację. Potem kazano mi poczekać w korytarzu.

Wzięłam sobie gorące błoto z automatu z kawą i usiadłam w poczekalni. Wszystko to było dość dziwaczne. Po co ktoś zadawałby sobie tyle trudu, najwyraźniej nie zamierzając wyrządzić poważnej krzywdy? Upadek z fotela, a nawet zwalenie na siebie komputera, nie mogły być śmiertelne. A gdyby trafiło na mnie, osobę o wiele młodszą, skończyłoby się pewnie na wizycie w szpitalu i zrobieniu prześwietlenia.

I nagle zrozumiałam, że komuś właśnie o to chodziło. Dopadłam taksówki i pojechałam do domu. Kazałam taksówkarzowi czekać. Wrzuciłam wszystkie dyskiety i wydruki do torby podróżnej, a potem dołożyłam jeszcze laptopa. Wróciłam biegiem do

taksówki i kazałam się zawieźć na stację Euston. Część papierów przełożyłam do torebki, a resztę rzeczy oddałam do przechowalni bagażu. Wróciłam do szpitala. Kiedy zjawił się James, siedziałam w poczekalni i sączyłam niewinnie kakao, które też smakowało jak błoto. James zamienił parę słów z lekarzem, a potem usiadł obok mnie na kanapce ze sztucznej skóry.

- Caron, chcę, żebyś wzięła płatny urlop do końca tygodnia i pojechała w jakieś bezpieczne miejsce.

- Ale...

- Ja nie proszę. Jako dyrektor finansowy Chambers'Emporium wydaję polecenie. Rozkazuję, jeżeli wolisz.

- Gdzie może być bezpieczniej niż na sali pełnej ludzi, takiej jak dział księgowości?

- Dzisiaj nie okazał się bezpieczny. Na razie nic złego się nie stało, bo to było tylko ostrzeżenie. - Mówiąc, patrzył mi prosto w oczy.

Poczułam, jak lodowaty strach ścina mi krew w żyłach. Skąd James wie, że to było tylko ostrzeżenie? Czy to on mnie ostrzegał? Próbował mnie odizolować, a następnie wykończyć w spokoju?

- Ale co się dzieje? - zapytałam niewinnie. - Przecież to był wypadek.

Popatrzył na mnie krytycznie. - Naprawdę w to wierzysz, Caron? Oczywiście, że nie, ty cholerny idioto.

- Skoro sprawa dotyczy mnie, może powinieneś mi wyjaśnić, o co chodzi?

- Nie mogę. I tak za dużo wiesz.

- Niektórzy mówią, że niebezpiecznie jest wiedzieć za mało. Więc może mnie oświeć. - Milczał, więc dodałam: - Myślałam, że pracujesz w finansach, a nie w ochronie. Znużonym ruchem przesunął dłońmi po twarzy.

- Caron, czy naprawdę musisz zawsze dyskutować? Nie wolno ci wrócić do domu Flory. A twoi rodzice mieszkają za granicą. Mogłabyś się zatrzymać u mnie. - Przerwało mu popiskiwanie komórki. Rozmawiając, spacerował po korytarzu.

Wrócił jeszcze bardziej zaniepokojony.

- Skoro mowa o telefonach - zagadnęłam - jaka jest oficjalna wersja wypadku Melody? Co mamy mówić? - Liczyłam na to, że może w ten sposób coś z niego wyciągnę.

- Że się źle poczuła. A jeżeli to nie wystarczy, że miała niezwykle wypadek, który zostanie zbadany.

To brzmiało idiotycznie, ale nic nie powiedziałam. Nikt w księgowości nie jest na tyle głupi, żeby kupić taką historyjkę.

Ludzie w kapelusikach Sherlocka Holmesa już pewnie obchodzili na czworakach biurowe pomieszczenia, oglądając wszystko przez lupę.

James patrzył na mnie i nad czymś się głęboko zastanawiał.

- Jeszcze jedno, Caron. Jeżeli chcesz tu zostać jako duchowe wsparcie dla Melody...

- Chce namówić lekarzy, żeby puścili ją do domu.

- Poprosiłem, żeby zatrzymali ją przynajmniej na jedną noc. Mieszka sama i na razie tu będzie bezpieczniejsza.

- W takim razie muszę pojechać do jej domu po rzeczy. Nie bój się, nie pojedę sama. Wezmę ze sobą Flore,

- Dobrze. A teraz poproszę o klucze do twojego domu. Chcę go sprawdzić.

- Czego będziesz szukał? Kurzu? Termitów? - A w myślach dodałam: bomby?

Zgodziłam się, niesłuchanie zadowolona, że usunęłam stamtąd wszelkie ślady mojej komputerowej działalności. - Dobrze, skoro musisz. - Ostrożnie wyjęłam klucze, żeby nie zobaczył wydruków zajmujących prawie całą torebkę.

James wstał i uśmiechnął się szeroko.

- Dzięki - pomachał kluczami. - Teraz będziesz musiała tu poczekać, aż po ciebie przyjadę.

Potargał mi włosy i jeszcze raz się uśmiechnął. Ledwo wyszedł, odezwała się moja komórka.

- Caron, tu Flora. Co się dzieje? Coś ci się stało?

- Nie mnie, Melody. - Zapytałam, czy pojedzie ze mną po rzeczy. Zgodziła się oczywiście. - Porozmawiamy później. Weź taksówkę. Rachunek przedstawimy w firmie.

Dowiedziawszy się od pielęgniarki, że Melody będzie osiągalna dopiero za godzinę, poszłam do poczekalni. Szybko wyjęłam wydruki i zaczęłam je przeglądać.

Wzięłam główny katalog i zrobiłam listę wszystkich osób, które do niego zaglądały w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Oczywiście nie były to nazwiska, ale tym razem miałam również wydruk firmowych haseł wraz z nazwiskami osób, którym zostały przypisane. Do katalogu weszli jedynie: Jim Chambers, James - dyrektor finansowy, Jack Howard - wiceprezes importu/eksportu, stary Harvey z księgowości.

Ktoś wchodził również z terminalu komputerowego w dziale księgowości. Figurował jako zbitka cyfr. Mervin? Ktoś z góry używający bardziej anonimowego sprzętu?

Ostatnio pojawił się również Biggs z linii zewnętrznej, ale to mogłam być ja. I ktoś wielokrotnie wchodził z zewnątrz z rozmaitych linii. Albo zatrudniono ekipę ekspertów, albo nie ja jedna wściubiałam nos w nie swoje sprawy. Uznałam, że ekipa jest bardzo prawdopodobna, choć niepokoił mnie ten ktoś z zewnątrz.

Skreśliłam z listy Jima Chambersa, uznawszy, że nie okradał sam siebie. A kradzież miała miejsce przed ostatnim nocnym wejściem domniemanych ekspertów z zewnątrz. Tak więc najbardziej podejrzani byli: James, Jack Howard, Harvey i Mervin.

Oblałam się zimnym potem. Czułam się w miarę bezpieczna, ponieważ wytropienie połączeń z kawiarni internetowej było prawie niemożliwe. Ale ten ktoś, kto wlogowywał się z zewnątrz każdej nocy...

Popatrzyłam na materiał, który miałam na kolanach. Mój przeciwnik miał ten sam wydruk, z wszystkimi danymi, z wyjątkiem mojego nazwiska. Każdy wiedział, że Biggs nie odróżniał komputera od butelki portera. A ja użyłam jego kodu. Nagle doznałam całkowitej pewności, że ktoś jeździł za mną po kawiarniach internetowych. Zostawił mnie w pewnym momencie i pojechał sobie, ponieważ dowiedział się już wszystkiego, czego się chciał dowiedzieć.

Zadzwoniła komórka i drżącymi palcami wcisnęłam guzik.

- Caron? Tu James. Obiecuj mi, że będziesz wyjątkowo ostrożna. Byliśmy u ciebie w domu i... Wygląda to na włamanie.

## *Rozdział 26*

Siedziałam przy Melody, kiedy zjawiła się Flora z wielkim bukietem kwiatów przysłanym przez księgowość via Mervin. Przyniosłam wazon z dyżurki i ustawiłam kwiaty obok jeszcze większej wiązanki od Chambers'Emporium.

Melody podała mi listę rzeczy, które miałam jej przywieźć z domu. Jeszcze raz wypytałam ją o wszystko, ale było jasne, że nie zauważyła nic podejrzanego po powrocie z lunchu. - Tam w ogóle nikogo nie było, Caron - powtarzała.

Na korytarzu Flora nie wytrzymała.

- Zaraz pęknię z ciekawości. - Wskazała mężczyznę, który najwyraźniej na nas czekał. - Myślałam, że porozbijamy się taksówkami, ale przysłali nam ochroniarza. Będzie nas woził.

Wszedł pierwszy do mieszkania Melody i czekał, aż spakujemy torbę.

- Boże, Caron, to wspaniałe mieszkanie. Takie staroświeckie. Wyblakłe perkale i dobre antyki. Często się zastanawiałam, jak Melody mieszka. Nigdy na ten temat nic nie mówiła.

Kiedy wróciliśmy do szpitala, Melody znów spała, więc poszliśmy do szpitalnej kafeterii.

- Zamów, co chcesz, Floro. To na koszt firmy. Zajmujemy się Melody oficjalnie.

- Zajmowałybyśmy się nią tak czy inaczej, ale to dobry pomysł. Próbuje zaoszczędzić premię. A teraz wszystko mi opowiedz. I chcę wiedzieć, dlaczego James kazał mi spać dzisiaj u matki.

- A kazał?

- Tak. I prosił, żebym nikomu o tym nie mówiła, ale ciebie przecież ten zakaz nie dotyczy. Pewnie sądził, że zostaniesz na noc w szpitalu.

To wszystko nie miało sensu. Dlaczego James chciał usunąć Florę z jej własnego domu? Rozumiem, że nie chciał jej przestraszyć, przeszukując dom, ale z pewnością skończyłby przed naszym powrotem. I prędzej czy później będzie się musiała dowiedzieć o włamaniu.

- Oficjalnie Melody potknęła się i upadła. Flora się roześmiała.

- I mamy w to uwierzyć? - parsknęła. - Ochroniarze całe popołudnie kręcili się po dziale.

- Jest i druga wersja: Melody miała wypadek i ochrona bada okoliczności.

- Może powinni ogłosić, że robią pomiary nowych wykładzin.

- Tak naprawdę to ktoś majstrował przy krześle.

- To okropne! Mogłaś zginąć!

- Zginąć? Jak?

- Skoro ten ktoś ma dostęp do twojego krzesła, może zrobić coś znacznie gorszego.

Wzięłam głęboki oddech i wolno wypuściłam powietrze.

- Prawda. Co się mówi w dziale? I dlaczego uważacie, że to był zamach na mnie?

Przecież to Melody leży w szpitalu.

- Najpierw myśleli, że chodziło o Melody. Ale pani Brown szepnęła Mervinowi, żeby nieznacznie przestawił krzesło Melody na twoje miejsce Caron. Więc wszyscy już wiedzieli, że brakuje twojego krzesła.

- Co powiedział Mervin?

- Powiedział „cholera”.

- Czyżby miał nadzieję, że to będę ja? - zdziwiłam się,

- No wiesz! - oburzyła się Flora. - Chciał pewnie powiedzieć, że to jeszcze gorzej, że ty jesteś celem. Mervin martwi się o ciebie, Caron. Naprawdę cię lubi.

- Przepraszam, Floro, ale to wszystko mnie trochę przeraża. Melody jest przekonana, że ktoś na nią dybie. Chce ją zmusić do odejścia na emeryturę, co wydaje mi się trochę przesadne. - Nie przyznałam się Florze do mojej potajemnej pracy dla Chambersa. Nie chciałam jej narażać.

- Ale co to może być? Zazdrość? Według Mervina nikt nie wie, że to Jack Howard przysłał ci kwiaty. Jedna z dziewczyn zasugerowała, że sama je sobie przysyłasz. Mervin się tylko roześmiał i przypomniał, ile wam płacą.

Skończyliśmy drugie danie.

- Wiesz, Floro, to trochę nie w porządku. My się objadamy, a Melody cierpi. - Namyslałam się przez chwilę. - A co tam! Raz kozie śmierć! Ciasto czekoladowe?

- Przez rozsądek. Zwłaszcza ty, Caron. Dziwię się, że po tych wszystkich przejściach, najpierw Bas, teraz to, nie postarzałaś się przed czasem. Ciasto czekoladowe z pewnością pokryje siwe włosy - dodała ze śmiechem.

Nie wiem, czy pokryłoby siwe włosy, ale w tej chwili uważałam, że może dobrze wyglądać na czubku jej nosa. Po jakimś czasie Flora zaczęła się zbierać. Jamesa nadal nie było. Odprowadziłam ją do wyjścia.

- Myślisz, że James nie chciał, żebym w ogóle wracała dzisiaj do domu? Chciałam zabrać...

Wyobraziłam sobie, jak w tej chwili może wyglądać jej dom. Powywracane meble, może nawet wyprute materace.

- Nie, Floro, nie jedź tam, jeżeli tak powiedział James. - Może zdążę trochę posprzątać, zanim to zobaczy.

- Ale co z tobą, Caron? Skoro tam jest niebezpiecznie? Zostaniesz tu na noc z Melody?

- Nie wiem, poczekam, aż wróci. A muszę ci powiedzieć, że zrobił się okropnie apodyktyczny.

- Jestem pewna, że próbuje tylko pomóc.

Kiedy zajrzałam do Melody, właśnie się budziła i była w dużo lepszym nastroju.

- Wiesz, kochana, taki wypadek to żadna przyjemność, ale jednak miło być w centrum uwagi. Do tego podają ci wszystko do łóżka.

- Jesteś wspaniała, Melody. Zawsze patrzysz na życie od dobrej strony.

Pielęgniarka wyganiała odwiedzających, ale Melody wzięła mnie za rękę.

- Możesz zostać, kochana. Ludzie z Chambersa powiedzieli im, że jesteś moją krewną.

Robiło się późno i ani śladu Jamesa. Melody dostała środek nasenny, żeby nie utrudniała życia nocnym pielęgniarkom, spacerowałam więc po słabo oświetlonym korytarzu.

Dopiero teraz miałam okazję przetrwać informacje o przymusowym przejęciu firmy. Najwyraźniej firmowy złodziej nabijał sobie kabzę. Ale czy jego zamierzeniem było również osłabienie Chambersa i tym samym zagwarantowanie przejęcia? Jeżeli kradzież i przejęcie były powiązane, oznaczało to, że w imprezie bierze udział więcej osób.

Nie mieściło mi się w głowie, że James mógłby mnie skrzywdzić. Ale Jack też szczerze mnie lubił, a Mervin był bez wątpienia moim przyjacielem. Stary Harvey przegrałby ze mną w uczciwej walce. Z drugiej strony, naiwnością byłoby sądzić, że przy stawce pięćdziesięciu albo stu milionów dolarów wszyscy będą się troszczyli tylko o to, żeby nie skrzywdzić słodkiej małej Caron.

Rozmyślając o moich podejrzanych, zastanawiałam się nad faworytem. Naprawdę nie chciałam, żeby to był James albo Mervin. Sama taka myśl była śmieszna. Jeżeli naprawdę musiałam wybierać, dlaczego nie Jack Howard?

Ale czy naprawdę był najbardziej podejrzany, czy byłam uprzedzona, bo nie bardzo go lubiłam? I skoro Jack chciał mnie wyeliminować, dlaczego pospieszył na ratunek, kiedy złodziej próbował wyrwać mi torebkę? Mógłby po prostu stać z boku i bić brawo. Biedny Jack Howard, pomyślałam, w duchu przesuwając go na pierwsze miejsce listy. Ale zrobiłam to bardzo wolno.

Główny dyrektor finansowy jest zawsze podejrzany. I James był w pobliżu, kiedy Melody omal nie wpadła pod autobus. Nie podobała mi się myśl, że Jack był ze mną na początku przerwy obiadowej, więc nie miałby czasu majstrować przy krześle i komputerze. A co z poprzednimi atakami na nią? Czy były ze sobą powiązane i jaki miały cel?

Mervin? Nie było wątpliwości, że się wlogowywał. I tak gorliwie wziął udział w rewolcie wystawowej. Teraz z podejrzany pośpiechem próbował opuścić firmę. I powiedział „cholera”, kiedy się dowiedział, że to nie ja jestem w szpitalu. I świetnie znał zwyczaje panujące w księgowości. Pieniądze mogły być motywem dla nich wszystkich, ale Mervin miał najlepszą sposobność, żeby majstrować przy krześle.

Harvey Harris? Nudny księgowy, który utknął w zakurzonej kanciapie i postawił wszystko na jedną kartę? Czy tacy ludzie w ogóle podejmują ryzyko? Z całą pewnością udało mu się złamać kod i zajrzeć do najważniejszego katalogu. Po co? Uśmiechnęłam się. Może powinni zmienić nazwę firmy na Agencja Hakerów Chambers'Emporium.

James? Nie mogłam uwierzyć. Chodziłam korytarzem tam i z powrotem, próbując o tym nie myśleć. Defraudacja byłaby dla dyrektora finansowego łatwiejsza niż dla innych, łatwiejsza nawet niż dla nich wszystkich razem wziętych. Gazety pełne były zdjęć byłych dyrektorów finansowych opalających się na plażach Brazylii. James kręcił się po całej firmie i jego krótka wizyta w dziale księgowości nikogo by nie zdziwiła.

Uderzyła mnie straszna myśl. Ponieważ dałam Jamesowi klucze, mógł sam przeszukać dom, zanim do mnie zadzwonił. Coraz trudniej przychodziło mi wierzyć, że Jack nie jest najbardziej prawdopodobną kandydaturą. Nawet ja wiedziałam, że w jednej z książek Agathy Christie winna okazała się drobna staruszka. Z pozoru niewinna staruszka, której czytelnik nie podejrzewał, bo wierzył, że Agatha Christie nie zrobiłaby mu czegoś takiego.

James ostrzegał mnie przed Jackiem. Jack ostrzegał mnie przed Jamesem. Mervin ostrzegał mnie przed Harveyem. Harvey ostrzegał mnie przed całą księgowością. Co to mogło znaczyć? Że wszyscy są w zмовie? Niemożliwe. James i Jack śpiewają w duecie? Wszystko wskazywało na to, że każdy z nich coś wie, albo gorzej - że oboje uważają, że ja coś wiem, o wiele więcej, niż naprawdę wiedziałam. Przynajmniej jedna osoba wiedziała, kto jest winny. I już pewnie miała opracowany plan, jak się mnie pozbyć.

James przyjechał tuż po dziesiątej. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu, zobaczyć w jakim jest stanie, ale okazało się, że James jeszcze nie jadł.



- Poza tym musimy porozmawiać, Caron - powiedział.

W szpitalnej kawiarni popijałam błotnistą kawę i patrzyłam, jak on je.

- Po pierwsze, nie zdawałem sobie sprawy, że Evelyn nie ma - zaczął.

- Co to ma wspólnego ze sprawą, James? Chyba nie podejrzewasz Evelyn? Nie ukryłaby się na Saharze, co dopiero za moim firmowym biurkiem.

- Miałem na myśli, że nie ma jej w domu. Evelyn jest duża i silna, z nią byłoby bezpieczniej.

- Gdybym wiedziała, że coś takiego mnie spotka, zaprosiłabym Manchester United. Nie fabrykuj nowych zmartwień. Flora i ja damy sobie radę. - Teraz powinien mi powiedzieć, że Flory nie będzie, przecież kazał jej nocować u matki. Ale on milczał.

Za to przez całą drogę namawiał mnie, żebym pojechała do niego.

- Nie mogę uciekać, James. Nie wiem nawet przed czym. I dokąd? Nie chcę uciekać przez resztę życia.

Dom został już trochę ogarnięty, a przepis na ciastka kakaowe wisiał w łazience. Nie należę do ludzi gromadzących rzeczy, więc włamywacz nie miał wiele roboty. Zauważyłam, że przeszukał również kuchnię i duży pokój, nie tknął natomiast pozostałych sypialni. Nie ma aż tylu ludzi, którzy wiedzą, gdzie śpię. James i Mervin byli w moim pokoju oglądać kopie Picassa.

Nie rozpruto materacy. To sugerowało kogoś, kto dobrze mnie zna. Kogoś, kto wie, że gdybym wetknęła coś w środek, nigdy w życiu nie zaszyłabym cholerstwa z powrotem.

- Rozejrzyj się, Caron. Czy zginęło coś poza kopiami Picassa?

- Kopie nie zginęły. Dałam je Florze. Nie miała czasu ich rozwiesić, więc wsadziła pod łóżko.

Rozejrzałam się uważnie.

- Chyba nic nie zginęło. Szkoda, że włamywacz nie ukradł śmieci z kubła.

Ale James się nie roześmiał.

- Zazwyczaj ktoś taki zabiera telewizor. Biżuterię. Jak sądzisz, czego on szukał?

- Najwyraźniej wielu rzeczy, których nie posiadam.

Na myśl, że zostanę sama, zrobiło mi się trochę nieswojo, a nie mogłam prosić Flory o powrót. Nie mogłam też jechać z Jamesem, skoro był na liście podejrzanych. Musiałabym się ciągle zastanawiać, czy to co mówi, ma jakieś ukryte znaczenie.

- Posłuchaj, James - powiedziałam w końcu. - Dom już został przewrócony do góry nogami. Włamywacz na pewno tu dzisiaj nie wróci.

To go przekonało. Pocałował mnie na dobranoc i wyszedł, ociągając się. Patrzyłam, jak wsiada do samochodu i odjeżdża, a potem wyciągnęłam się na łóżku. Nareszcie sama, mogłam się spokojnie zastanowić.

Pierwsza myśl była tak straszna, że postawiła mnie na nogi. Moje założenie, że włamywacz nie wróci, miało jedną podstawową wadę. Byłoby prawdziwe tylko wtedy, gdyby znalazł to, czego szukał.

Nalałam sobie kieliszek wina i włączyłam telewizor. Co chwila zdawało mi się, że słyszę hałasy w innych częściach domu, więc zrobiłam głośniej. Postanowiłam spać w ubraniu. Niewykluczone, że później zadzwonię do Jamesa. Na tyle późno, żeby nie narobić sobie wstydu. Ustąpił i pozwolił mi zostać w domu, bo myślał, że włamywacz dostał, co chciał. Albo sam był włamywaczem.

Co jakiś czas wyglądałam na ulicę przez szparę w zasłonach. Sprawdzałam, czy ktoś obserwuje dom. Prawie uległam pokusie, żeby wezwać taksówkę i pojechać do hotelu, kiedy uświadomiłam sobie, że w ten sposób podpisałabym na siebie wyrok śmierci. Gdybym nie wiedziała, co się dzieje w Chambersie, uważałabym, że to Melody była celem ataku.

Nie czułam się zagrożona. Powtarzałam sobie, że ktoś ukradł wiele milionów i wiedział, że lada chwila wpadnie. Musiał być o wiele bardziej zdesperowany ode mnie.

Wzięłam się w garść, obeszałam cały dom, sprawdzając okna i drzwi. Nie ośmieliłam się zapalić światła. Od czasu do czasu słyszałam, jak coś się rusza na strychu. Wstrzymywałam oddech. Mysz albo wiewiórka. Zamknęłam drzwi sypialni i zastawiłam je krzesłem.

Może powinnam wyłączyć telewizor, żeby słyszeć, co się dzieje w domu. Zaczęło padać i krople rozbijały się głośno na dachu. Zagrzehotała puszcza po coli, gnana wiatrem, i to do reszty zszargało mi nerwy.

Musiałam się zdrzemnąć na krześle, z nogami na łóżku. Nagle usiadłam wyprostowana. Dźwięk rozbijanego szkła. Śniło mi się? Spojrzałam na zegarek. Trzecia nad ranem. Mogłam już zadzwonić do Jamesa i nie stracić twarzy. Kolejny trzask. Na pewno szkło. Okno czy tylne drzwi? Pijany sąsiad? Nie miałam najmniejszego zamiaru wychodzić z pokoju, żeby to sprawdzić. Sięgnęłam do torebki po komórkę, kiedy usłyszałam kroki pod oknem sypialni. Pobiełam do frontowych drzwi, z nadzieją, że zdążę uciec. Zamarłam, kiedy klamka zaczęła się wolno obracać. Zaczęłam wystukiwać numer Jamesa, choć zdawałam sobie sprawę, że powinnam raczej zadzwonić na policję. A jeśli usłyszę zaraz dzwonienie po drugiej stronie drzwi i przekonam się ostatecznie, że to James?

Zaczęłam mówić, jak tylko uzyskałam połączenie, nie czekając, aż się odezwie.

- James, na pomoc! - wyszeptałam. - Policja! Ratunku! - Rozłączyłam się.

Bezszelestnie podeszłam do drzwi i zaczęłam się przy ścianie. Nad głową w obu rękach trzymałam marmurową podpórkę do książek. Już przedtem zgasiałam boczną lampę.

Przez parę minut nic się nie działo. Potem usłyszałam, jak ktoś próbuje dopasować klucz do zamka. James mógł dorobić. Powinnam była sprawdzić, czy odebrał telefon.

Przynajmniej miałabym pewność, że nie on się włamuje. Ale mógł kogoś wynająć, chodziło przecież o miliony. Proszę, tylko nie James!

Nagle rozległ się trzask wyważanych drzwi. Zanim Zdążyłam odskoczyć, uderzyły we mnie. Zaparło mi dech i upuściłam podpórkę na podłogę.

Do domu wszedł wysoki mężczyzna ubrany na czarno. Stał na środku pokoju, tyłem do mnie. Za wysoki na Mervina i Harveya. Sądząc z postury, mógł być zarówno Jamesem, jak i Jackiem. Popatrzyłam na marmurową podstawkę przy mojej stopie. Czy odważę się po nią sięgnąć?

Mężczyzna obrócił się i w tym momencie złapałam podpórkę. Chwycił mnie, kiedy się podnosiłam i udało mi się jedynie trafić go w nogę. Złapał się za kolano i głośno zaklął.

To był Jack Howard.

Rzuciłam się do drzwi, próbując go odepchnąć. Chwycił mnie za ramiona i wykręcił mi je do tyłu. Trzymając mnie mocno jedną ręką, drugą wyjął z kieszeni szeroką taśmę i okręcił mi nią przeguby. Kopnął drzwi. Zatrzasnęły się z hukiem.

Rozluźniłam się na moment, próbując obmyślić następny ruch. Jack Howard pocałował mnie mocno w usta. Kopnęłam go, a on pchnął mnie na kanapę. Zleciałam z niej na podłogę.

Więc o to chodzi? Drań jest tak sfrustrowany, że mnie zgwałci? Wiedziałam, że to mało prawdopodobne, ale postanowiłam grać.

- Jack, widzę, że James miał rację co do ciebie. Nie jesteś dżentelmenem.

Podniósł mnie niezbyt delikatnie i posadził na kanapie. Potem przysunął sobie krzesło i usiadł, tyłem do drzwi. Pomyślałam, że Jamesowi będzie łatwiej zaatakować go. Gdzie, do cholery, był James? Kompletnie upadłam na duchu. Dotarcie tu zajmie mu dobrych dziesięć minut, policji pewnie godzinę.

Jack pochylił się ku mnie.

- Tak mi przykro, Caron. Nie chciałem, żeby to się tak skończyło. Gdzie schowałaś dyskietki?

- Jakie dyskietki? Nie mam nawet komputera.

- Kiedy byliśmy tu z Jamesem, na biurku stał laptop. - Otworzył moją torebkę i wyjął wydruki. Ze smutnym uśmiechem wcisnął je do kieszeni kurtki.

- Naprawdę się w tobie zakochałem, wiesz? Wsiąknę z kretesem.

Uśmiechnęłam się promiennie, marząc o tym, żeby James się pospieszył.

- Może nie jest jeszcze za późno, Jack. Stanowilibyśmy idealny zespół.

Tylko się roześmiał.

- Niewątpliwie. Cały czas miałem na to nadzieję. Ale dosyć prędko zrozumiałem, kim naprawdę jesteś.

Z przerażeniem pomyślałam, że wszyscy w Chambersie wiedzą o moim życiu z Basem i śmieją się z mojego niesławnego upadku.

Na szczęście Jack odezwał się, zanim zdążyłam coś powiedzieć.

- To było bardzo sprytne ze strony Chambersa, zatrudnić tajniaka w księgowości. Z początku wydawało mi się to zbyt idiotyczne, żeby mogło być prawdziwe. Ale kiedy zaczęli niby to wzywać cię do innych działów, sprawa była oczywista. Ale całkowitą pewność zyskałam dopiero, gdy Jim Chambers zaczął otrzymywać poufne informacje z księgowości. Sprytne, zwalić część winy na Melody i Mervina.

- Ale czego ty chcesz, Jack? - zapytałam, żeby zyskać na czasie. - Już jesteś dyrektorem. Dobrze zarabiasz.

- To mi wystarczało przez jakiś czas. Ale nawet gdybym pokonał Jamesa i zdobył prezesurę, i tak nie byłbym tak bogaty jak on. Nienawidzę drania! Rodowe pieniądze, których nawet nie wydaje. Byłem w idealnej sytuacji, dopóki ty się nie zjawiłaś. Doiłem firmę i nikt nie miał prawa się dowiedzieć, zwłaszcza gdybym został prezesem. Sam nadzorowałbym śledztwo, no i kradzieże by się skończyły. A gdybym nie dostał awansu, po prostu bym zniknął.

- I to nazywasz ubezpieczeniem? Okradanie firmy? Roześmiał się.

- Niepotrzebne mi ubezpieczenie, które można podjąć dopiero po śmierci.

- Ha! - zawołałam, zanim zdążyłam ugryźć się w język. - Złapałam cię. Nigdy nie byłeś we mnie zakochany.

- Mylisz się, Caron - powiedział smutno. - Zastanawiałem się nawet, czy nie zrezygnować z planu. Nie zwróciłbym pieniędzy, a oni zdołaliby ich odzyskać. Banki, które ukrywają pieniądze, są znane z tego, że nie współpracują. Ale Harvey jakoś mnie rozpracował. Domyślił się, co robię.

- Harvey cię szantażował? - zdumiałam się. - Rozpracował oszustwo?

- Nie kwestię pieniędzy. Moja druga polisa ubezpieczeniowa miała związek z przymusowym przejęciem. Rzecz prosta, strata finansowa zachwiała pozycją Chambersa. Szepnąłem o tym słówko zaprzyjaźnionej firmie, Acquisitions Unlimited i zaproponowałem przejęcie. Nawet gdyby Jamesowi udało się zostać prezesem, wyrzuciliby go i zatrudnili mnie na jego miejsce. Oczywiście, stary Harvey nie może nic powiedzieć, żeby nie obciążyć samego siebie. Więc jedynym prawdziwym problemem jesteś ty.

- Nic nie wiedziałam, dopóki tu nie wszedłeś. - Ciągłe grałam na zwłokę. - Dlaczego uważasz, że próbowałabym ci zaszkodzić?

- Nie zapominaj, że widziałem cię na najwyższym piętrze w dniu twojej rozmowy kwalifikacyjnej. A potem odkryłem, że potajemnie spotykasz się z Jamesem pod pretekstem spacerów w Heath. Przez jakiś czas sądziłem, że faktycznie macie romans. Podejrzywałem wszystkich, ale bardzo nie chciałem, żebyś ty była w to zamieszana.

Potem zobaczyłem, że Biggs wszedł w katalogi. A Biggs nie potrafi nawet odczytać swoich e-maili. I już wtedy wiedziałem, że to ty. Miałaś zastępstwa w jego biurze.

- A Melody? Jak ci się to udało, skoro byłeś ze mną w kawiarni?

- Posłużyłem się posłańcem. W dzisiejszych czasach nikt nie zwraca uwagi na posłańców. Wiedziałem, że Jim Chambers posyła jej poufne prace, więc na początku inscenizowałem drobne wypadki, żeby ją odstraszyć. - Roześmiał się. - Kazałem cię śledzić przez pierwszy tydzień, ale uzyskałem jedynie informację, że jesteś bardzo zajęta osobą.

Przesunął dłonią po czole i cała jego życzliwość wyparowała w jednej chwili.

- Ale dlaczego pośpieszyłeś mi na ratunek, kiedy ten złodziej chciał mi wyrwać torebkę?

- Kiedy zrozumiałem, że jemu chodzi o twoją torebkę, chciałem się dowiedzieć, co w niej masz.

Przytrzymał mnie i zakleił mi taśmą usta.

- Przykro mi - powiedział. - Ale potrzebuję trochę czasu, żeby się wydostać z kraju. Nie mogę ryzykować, że ktoś cię tu znajdzie i zawiadomi policję.

Postawił mnie na nogi i zaczął holować w stronę drzwi. Zrozumiałam, że jeżeli dam się stąd wywlec, zanim przybędzie pomoc, to już po mnie. Zaczęłam się szarpać.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Mamy do przejścia jakieś sześćdziesiąt metrów. Ponieważ nie sądzę, żebyś zachowała się biernie, muszę... - Zdzielił mnie pięścią w twarz. Zamroczyło mnie trochę i udałam, że straciłam przytomność. Może lepiej znaleźć się na zewnątrz i dopiero wtedy próbować uciec. Byłam jednak tak wyczerpana i obolała, że wątpiłam, czy się na to zdobędę.

Na ulicy nie było żywej duszy. Wyobraziłam sobie siebie, związaną, w bagażniku jego samochodu i zrobiłam ostatni wysiłek. Zaczepiłam stopą o pręt płotu. Jack stracił równowagę i oboje zwaliliśmy się na ziemię. Chwycił mnie za gardło i zaczął dusić. Panowała kompletna cisza, żadnych szybkich kroków, żadnych policyjnych syren. Ujrzałam gwiazdy, a potem wszystko ogarnęła czerń.

## Rozdział 27

Odzyskiwałam i traciłam przytomność, a ból przychodził i odchodził. Jack Howard. Ciągnął mnie po ziemi. James. Mówiłam za szybko i mnie nie zrozumiał? Był ciągle w Nowym Jorku? Nie, to było w zeszłym tygodniu. W zeszłym miesiącu.

Udało mi się otworzyć oczy, ale zobaczyłam tylko metal. Samochód. Potem ktoś mnie podniósł. Jack. Cholera jasna. Umrę w bagażniku!

Nagle mnie puścił. Upadając, pomyślałam ze zgrozą, że nie może mnie zmieścić. Pokroi mnie na kawałki. Próbowałam krzyczeć, ale z gardła nie wydobył się żaden głos.

Potem usłyszałam krzyk Jacka.

- Pieprz się!

Skuliłam się przed uderzeniem, ale to on krzyknął z bólu. A potem upadł, miażdżący ciężar na moich nogach.

Niewiele widziałam w ciemności, ale słyszałam tępe uderzenie i odgłos szybkich kroków. A potem syreny, najpiękniejsza muzyka w świecie. A potem odpłynęłam.

Ktoś wołał moje imię z daleka.

- Caron, Caron, słyszysz mnie? Otworzyłam oczy.

- James?

Zamrugałam, próbując skupić wzrok na jego twarzy. Podbite oko i krwawiąca warga. Jego. I moja pewnie też.

- Dlaczego tak długo, do cholery? - zapytałam słabo.

- Musisz czuć się lepiej, niż wyglądasz - odparł z uśmiechem. - Nie próbuj wstawać.

Zdjął płaszcz i przykrył mnie. - Nic nie mów, Caron.

Poczułam przyływ adrenaliny, jak zwykle, kiedy człowiek sobie uświadomi, że światła nie wygasły na zawsze.

- Właśnie że będę mówić! Po pierwsze, dzięki za uratowanie życia.

Mój głos przybierał na sile. Pomyślałam, że pewnie jestem tylko w szoku. Miałam nadzieję.

- Chcę wiedzieć, czy go złapałeś?

- Bez wątplenia. Mogę ci coś podać?

- Proszę. W kuchni jest pół butelki wina. Roześmiał się.

- Prędeż owsiankę i gorące mleko. Ale obiecuję ci, że jak tylko wyjdiesz ze szpitala, otwieram szampana.

- Do szpitala? Niedługo będzie tam cały dział księgowości. - Już nie. Nic już się nie powinno wydarzyć. O ile, oczywiście, uda mi się poskromić twoją wyobraźnię na parę dni.

- Nie obrażaj mojej inteligencji, bo dojazd tutaj zajął ci dwadzieścia minut. -  
Próbowałam się uśmiechnąć, ale twarz wpadła mi chyba do maszynki do mięsa. Na  
procesie Jacka zapytam sędziego, czy mogę nasłać na niego Evelyn, żeby go zabiła

- Przyjechałam jak mogłam najprędzej, Caron. Na godzinę przed twoim telefonem  
dostałam wiadomość. Byłam na lotnisku, bo Jack kupił bilet na nocny lot. Detektyw,  
który go śledził, zawiadomił mnie, że go zgubił. Był przekonany, że Jack jest nadal u  
siebie w domu, a potem zauważył, że jego samochód zniknął. Zapytałem, jak mógł nie  
zauważyć odjeżdżającego samochodu. Powiedział, że parkował za rogiem. A potem miał  
czelność zapytać mnie o dalsze instrukcje. Mniejsza z tym. Wiedziałem dokąd Jack  
pojechał. Pędziłem już do ciebie, kiedy zadzwoniłaś. Krzychałem, żebyś się nie  
rozłączała, ale...

- Możesz mi wierzyć, nie miałam czasu rozmawiać.

Roześmiał się i poprawił swoją marynarkę pod moją głową, żeby bolała inna część.

- Wystukałem dziewięć, dziewięć, dziewięć i wpadłem na biurokratów. Wszystkie  
te bzdury. Powtórzyć wszystko od początku. Numery wewnętrzne. Jechałem coraz  
szybciej i szybciej. Wiedziałem, że sfilmują mnie kamery policyjne i przyszło mi do  
głowy, że to może być rozwiązanie. Więc jeszcze przyspieszyłem. Wyobrażałem sobie,  
jak ten podstępny drań skrada się do ciebie w ciemności jak jakiś nocny stwór...

Urwał na chwilę, a ja pomyślałam z uznaniem, że nie brak mu zdolności  
poetyckich.

- Zobaczyłem za sobą migające światła i jeszcze docisnąłem gaz. Odezwały się  
syreny, a kilka minut później zobaczyłem światła przed sobą. W końcu się zatrzymałem.

- Kurczę, James, dziwię się, że nie gniesz teraz w celi. - Rozejrzałam się  
nerwowo. - Zabrali Jacka?

- Bądź spokojna. Dwa radiowozy, sześciu gliniarzy. Ale powiedz, jak doszłaś, że  
to Jack?

- Coś nasunęło mu pomysł, że jestem szpiegiem w księgowości i mam go schwytać  
w pułapkę. Teraz udało mi się trochę pociągnąć go za język - dodałam, bo James nie  
wydawał się przekonany - i wiem o wiele więcej. - Nadal leżałam na plecach, bojąc się  
poruszyć, żeby nie wywołać większego bólu. - Wiedziałeś, że Harvey go szantażuje?

Najwyraźniej nie miał pojęcia.

- Jack ci to powiedział?

Z całą pewnością żyję, pomyślałam, skoro zyskanie nawet drobnej przewagi nad  
Jamesem sprawia mi taką frajdę.

- Czuję się odrobineczkę lepiej - powiedziałam. - Pomożesz mi się podnieść?  
Tylko usiąść? Kamyk uwiera mnie w plecy.

James pogłodził mnie po rękę.

- Poczekamy na karetkę, Caron. - Rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nas nie słyszy. - Dziwne, że nie rozpracowałaś sama całej afery. - Uśmiechnął się. - Że wiesz tylko to, co ci Jack powiedział. - Wyjął z kieszeni wydruki, pokazał mi je i szybko schował. - Jack miał to przy sobie. Dziwne, że nosił coś takiego, prawda? I miał jeszcze to. - Pokazał mi kluczyk do przechowalni bagażu w Euston.

- Właściwie jestem zmęczona, nie mogę rozmawiać. - Podniosłam jedną rękę, drugą. Przynajmniej dwie części działały. Trzy, bo jeszcze język. - Wiesz, James, jeżeli się pochylisz, coś ci powiem. - Pochylił się i czekał. - Mógłbyś mnie pocałować bardzo delikatnie.

Pocałował, a potem odgarnął mi włosy z czoła.

- Tak się martwiłem, Caron. Powiedz, że nie szykujesz już żadnej niespodzianki.

- Nic niebezpiecznego. Ale chciałbyś przecież, żebym była odrobinę tajemnicza, czymś cię zaskakiwała?

- Zdecydowanie tak. Ale trzy, cztery razy dziennie to trochę za często. Teraz możesz już trochę zwolnić. Mieliliśmy oczywiście Jacka na oku, ale zdobycie dowodów było piekielnie trudne.

- Chcesz powiedzieć, że leżę tu na wpół martwa zupełnie niepotrzebnie? - oburzyłam się.

James uśmiechnął się i mocniej uściśnął mi rękę.

- Gdybyś nie sprowokowała Jacka, moglibyśmy go nigdy nie przyskrzyńić.

Nie wiem, czy straciłam przytomność, czy po prostu zasnęłam z wyczerpania. Niewiele pamiętam. James jadący ze mną w karetce. Szuka prawa jazdy w mojej torebce, żeby oddać je sanitariuszowi. Błade wspomnienia z izby przyjęć. Cudowny James wszystko załatwiał, dzwonił, wyjaśniał w rejestracji. A potem lekarz powiedział: „Złamane żebro, stłuczenia, może słaby wstrząs mózgu. Nic poważnego”.

Pamiętam, że pomyślałam, jak rozczarowani wydają się lekarze, kiedy człowiek jest w miarę zdrowy i wiadomo, że przeżyje.

Ocknęłam się w szpitalnym łóżku. Czułam bandaż na głowie. Nie mogłam ruszać ustami, tak mnie bolały. Na twarzy musiałam mieć mozaikę sińców, włosy zmierzwione. Nie mogłam się zdecydować, co mnie boli najbardziej. Bolało wszystko. Ale żyłam. I byłam z tego bardzo zadowolona. Kiedy się oszuka śmierć, drobne cierpienie przypomina solone orzeszki w barze. Małe, niespecjalnie zdrowe, ale też niezbyt znaczące w ogólnym rozrachunku.

Przyszła pielęgniarka i zmierzyła mi ciśnienie. Evelyn by się to spodobało, tak bardzo przypominało telewizję. No, Evelyn pewnie wołałaby pielęgniarza.

Czułam się lepiej z każdą minutą, mogłam nawet poruszyć rękami i nogami bez większego trudu. Z pewnym wysiłkiem usiadłam. Oparta plecami o poduszki uznałam, że



z wyjątkiem żebra, które uniemożliwia mi głębokie oddychanie i zbyt szybkie ruchy, nic mi nie jest. Wyjdę stąd raz dwa.

Otworzyłam szufladę w nocnym stoliku i znalazłam swój zegarek. Szósta rano. Do lunchu powinno mnie tu już nie być.

Z korytarza dobiegło podzwanianie naczyń. Wózki ze śniadaniem. Umierałam z głodu. Ktoś zapalił światło w pokoju. Moja matka. Przeraziłam się. Czy mama nie powinna być w innym kraju? Niemal w innym życiu? Czy zaraz wychyli się zza niej anioł z puchatymi skrzydłami i powie: Moja droga, czy jesteś gotowa na następną podróż? Chodź ze mną, będzie zabawnie.

Zanim zdążyłam się odezwać, mama wzięła mnie za rękę i pocałowała w policzek. I znów wszystko było w najlepszym porządku.

- Jakim cudem dowiedziałas się tak szybko? - zapytałam.

- Flora do mnie zadzwoniła. Zaraz potem przyszedł nowojorski reporter, prosząc o twoje zdjęcie. Chciał je przesłać komputerowo do Londynu. Rozgrywaliśmy właśnie partię brydża. Pierwszy raz pozwoliliśmy, by coś nam przerwało.

Czułam się zaszczycona. Zdarzyło się, że tato rozniecił mały pożar w kuchni, ale brydż toczył się dalej, podczas gdy straż pożarna robiła swoje. Przez parę minut wymienialiśmy nowinki, a potem mama powiedziała, że tato czuje się dobrze, a ja jestem sławna.

- Co? Jak to sławna? Mamo, chcesz chyba powiedzieć niezdarna?

- Pisali o tobie w gazetach, czytałam jadąc z lotniska. Będziesz w telewizji. Przy następnym rozdaniu jak nic dostaniesz parę ładnych asów. A teraz, kochanie, skoro czujesz się dobrze, pojedę zameldować się w hotelu i wrócę po kąpieli i śniadaniu.

Byłoby przesadą powiedzieć, że potem podano śniadanie. Nie było kelnera z wędzonym śledziem, a szkoda. Zamiast tego dostałam malutką szklaneczkę chudego mleka, które ledwo starczyło na płatki kukurydziane z pudełka od zapalek. Samotny kawałek zimnego tostu. Żałośnie malutkie jajko, które wyglądało tak, jakby chciało wrócić do mamusi.

Wylizywałam talerze, kiedy zjawił się James w towarzystwie Jima Chambersa. Przynieśli kwiaty i butelkę szampana w kubelku, skrywanym w torbie z napisem „pranie”.

Jim Chambers wziął mnie za rękę.

- Chciałem ci podziękować, Caron, ale przede wszystkim przeprosić. Nie wiedziałem, że narażam was na niebezpieczeństwo, ciebie i Melody. Żeby was chronić, nie rozmawiałem z nikim z wyjątkiem Betty. A zaufany człowiek powiedział mi, że ty i James, to znaczy, z powodu tych kwiatów, jakie otrzymywałaś... Więc pomyślałem, że on cię ochroni, nawet jeżeli nie będzie wiedział, że powinien. - Patrzył na mnie z niepokojem i ulgą, przy czym ulga wyraźnie wybijała się na pierwszy plan.

- I faktycznie mnie obronił - powiedziałam z uśmiechem. - To była wspaniała akcja ratunkowa.

- Ja również jestem ci winien przeprosiny, Caron - wtrącił James. - Ponieważ Jim nie powiedział nikomu o tym, że mu pomagasz, nie wiedziałem, co u licha zamierzasz. Kiedy okazało się, że zaglądasz do tajnych katalogów...

Roześmiałam się, bo i mnie ulżyło. - Nie wiedziałeś, czy dążąc do zdobycia awansu i ocalenia firmy, nie będziesz musiał wydać podejrzanych osobników?

- Coś w tym rodzaju. Mówiąc ci, że góra już wszystko rozpracowała, nie wiedziałem, że to w dużej mierze dzięki informacjom, jakie przesyłałaś Jimowi. Jeżeli masz jakieś resztki ze śniadania, chętnie je zjem.

- Nie będziesz miał na to czasu - wtrącił Jim. - Jak już wiesz, Caron, przechodzę na emeryturę. Zaproponowałem Jamesowi posadę prezesa. - Zakaszła cicho. - Czy jest jakieś stanowisko, które ty byś chciała zająć, Caron? Możemy je stworzyć specjalnie dla ciebie.

- Bardzo panu dziękuję. Ale otrzymałam w końcu odprawę z poprzedniej pracy. - Myśląc o moim Picassie dodałam: - I przymierzam się do założenia własnej firmy.

- Oj, niedobrze - zażartował Jim. - Będziesz miał konkurencję, chłopie!

Śmiałyśmy się, kiedy do pokoju wjechała na wózku Melody. Zawstydziałam się, bo przez to wszystko nie miałam czasu o niej pomyśleć.

- Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś, Melody.

- Powiedziałam im, że ciągle nie mogę pozbierać myśli i że mieszkam sama - mrugnęła do mnie wesoło. - Nie mają kandydata na moje łóżko. To nie Ritz, kochanie, ale śniadanie do łóżka to śniadanie do łóżka. Mam nadzieję, że panowie skończyli rozmawiać - powiedziała Melody - bo chcę zobaczyć Caron i Jamesa w telewizji.

Pielęgniarka włączyła odbiornik. Wychodząc, uśmiechnęła się do mnie.

- Nieczęsto mamy znanych ludzi na oddziale. Dobra robota! Melody zauważyła torbę z pralni i zajrzała do środka.

- James, bądź tak dobry i czyn honoru.

- O czym wy wszyscy mówicie? Nie sądziłam, że człowiek zyskuje sławę tylko dlatego, że przeżył.

- Reporterzy zjawili się przed szpitalem jeszcze wczoraj wieczorem. Zanim cię przywieziono - powiedział Jim Chambers. - Nie wiem, jak wywęszyli, co się dzieje. W każdym razie wiadomość trafiła na pierwsze strony. Jeżeli chcesz zostać dyrektorem do spraw reklamy, służę. Chambers'Emporium przez dwadzieścia lat nie trafił na pierwsze strony, a ty załatwiłaś to dwukrotnie.

Może warto by odpowiedzieć coś skromnie, na przykład „Ależ skąd!”, ale bolało mnie zębro. Poza tym, skromność niespecjalnie mi wychodzi.

James rozdał kubeczki z szampanem i zaczęły się wiadomości.

*Londyn ma nową bohaterkę! Caron Carlisle, pracując jako tajna agentka w księgowności Chambers'Emporium, stanęła dzisiaj oko w oko z niebezpieczeństwem, ratując firmę i własne życie. Według niepotwierdzonych jeszcze informacji, panna Carlisle jest mistrzynią karate i prawdopodobnie trenowała z SAS.*

Wybuchnęliśmy śmiechem, zagłuszając spikerkę. Potem usłyszeliśmy:

*Zapytany o przymusowe przejęcie firmy, Jim Chambers oświadczył, że plotki są nieprawdziwe.*

Następnie pokazano nieupozowane zdjęcie Jamesa.

*Panna Carlisle ryzykowała życie, aby ujawnić szeroko zakrojoną defraudację.*

Na ekranie ukazało się znów moje zdjęcie na noszach przed wejściem do szpitala. Mógł to być każdy, na szczęście.

A potem ukazał się James z zakrwawioną twarzą i w podartym ubraniu.

*Panna Carlisle została uratowana w ostatniej chwili przez Jamesa Smitha, dyrektora finansowego Chambers'Emporium.*

Tu pojawiło się moje zdjęcie, studyjny portret, który moi rodzice trzymali w ramce na pianinie. Wyglądałam na szesnaście lat. I tyle na nim miałam.

Potem podano dalsze wiadomości. W zamachu bombowym na przedmieściach Moskwy zginęło dwadzieścia osób. Cóż, ukąszenie miejscowego komara zawsze budzi większe zainteresowanie niż odległy kataklizm.

- O tobie też powinni coś powiedzieć, Melody - zauważyłam.

- Och, nie, kochana. Może ty byłaś tajną agentką, ale ja nią nadal jestem. Ciebie zdemaskowano, a ja zamierzam pracować do dziewięćdziesiątki.

- Melody chce powiedzieć, że jest oczami i uszami firmy - powiedział Chambers ze śmiechem. - Słyszysz rzeczy, których nikt nie chce mówić szefowi. Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili.

- Caron, pracuję u Chambersa od samego początku. Płaca nie była wtedy wysoka, ale Jim rozdawał akcje firmy szczodłą ręką. Tak więc mam na własność drobniutki, ale bardzo cenny kawałek biznesu. To moje życie, a Chambersowie są dla mnie jak rodzina.

- Powinnam poważniej potraktować twoje słowa, kiedy mówiłaś, że ktoś na ciebie dybie.

- Och, nie. Z początku wydawało mi się, że to nic nowego. Niektórzy ludzie chcą, żebym zwolniła etat. Zaskoczyło mnie to, co się stało później.

- To Jack Howard jest odpowiedzialny za incydent z autobusem. Płacił ludziom, którzy odwalali za niego brudną robotę.

Melody parsknęła.

- Jack Howard bardzo mnie rozczarował. Nigdy go naprawdę nie lubiłam. Zbyttno się popisywał. Zresztą, to było takie skomplikowane, kochana. Cieszyłam się, że

ktokolwiek to jest, celuje we mnie, nie w ciebie. Jim nie miał nikogo innego, komu mógłby zaufać, a ja nie radziłam sobie z tymi liczbami. Potem, kiedy zdarzył się ten wypadek z krzesłem i komputerem, przerażałam się, że narażam cię na niebezpieczeństwo.

- Na szczęście, wszystko dobrze się skończyło. Ale może jest to odpowiednia chwila, żeby wydobyć z szefa obietnicę przyszłości bez liczb,

- Już to zrobiła, Caron - zaśmiał się Jim. - Zapewniam cię! - I tak trzymać, Melody! A co z tą historią o przymusowym przejęciu?

- Prezes Acquisitions Unlimited zadzwonił do mnie i wycofał się, jak tylko usłyszał, że Jack zdefraudował pieniądze. Twierdzi, że Jack podszedł do niego na konferencji, powiedział, że Chambers ma kłopoty finansowe i będzie tanim nabytkiem. Podobno nie wiedział, że spadek wartości jest wynikiem działania Jacka. A teraz, bez tej dziury, przez którą wyciekały pieniądze, firma będzie dobrze prosperować. Oczywiście, liczę, że James zdziała cuda.

- Cuda to domena Caron - powiedział James. - Jack siedzi w areszcie i zapewne planuje już negocjacje. Powinnyśmy odzyskać większość pieniędzy.

Melody postanowiła wrócić do łóżka, zanim dadzą je innej pacjentce. Jim pomachał mi na do widzenia i wywiózł ją na korytarz.

- Jesteś taka popularna, że muszę mówić szybko, zanim mi ktoś przeszkodzi. - James uśmiechnął się szeroko. - Spędzisz ze mną święta? W domu, bo Stoner chce się bawić w pielęgniarkę.

- Cudownie, James! Pod warunkiem, że ty nie będziesz bawił się w doktora.

- Właściwie, to zamierzałem. Wstąpię do dyżurki i zapytam, kiedy chcą cię wypisać.

Miałam parę minut dla siebie i czułam się lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Sława i chwała są najlepszymi środkami przeciwbólowymi. Nawet moje żebro się uspokoiło.

Do pokoju wpadła Flora. Ścisnęła mnie, a ja krzyczałam:

- Moje żebra, mój bok, moje ramię!

- Och, Caron, tak się cieszę, że jeszcze żyjesz.

- Ja też. Zresztą wszystko miałam pod kontrolą. Flora tylko się roześmiała.

- Rano dostarczono dla ciebie wielki bukiet. W szpitalu powiedzieli, że dzisiaj wychodzisz, więc go nie przyniosłam. A tu masz kartę.

Na kopercie widniało logo International Petals, a treść kartki była następująca:

*Gratulacje, skarbie! Byłem głupi, że pozwoliłem sobie odebrać taki skarb, ale pamiętaj, jeżeli kiedyś zmienisz zdanie, drzwi są zawsze otwarte.*

- Boże! - zawołała Flora - Bas się nie poddaje, prawda? Zjawiała się poranna herbata i Flora też dostała filiżankę.

Ciecz smakowała tak, jakby wyciągnięto z niej strzykawką cały aromat.

- Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy powiedzieli w wiadomościach, że byłaś tajnym agentem - mówiła Flora. - Że trenowałaś z SAS. Nawet ja byłam zaskoczona. To naprawdę cudowne.

- Prawdę mówiąc, Floro, nie możesz wierzyć we wszystko, co przeczytasz albo usłyszysz. Melody nie cierpiała liczb, a ja przepisywania listów, więc się zamieniłyśmy. Znalazłam parę błędów. To wszystko.

- Możesz sobie tak mówić, ale obfotografowali nawet mój dom i przyszli reporterzy. Ja nie chciałam z nimi rozmawiać, ale Evelyn powiedziała, że jesteś przemiłą cholera. I że nauczyła cię wszystkiego, co umiesz.

- Evelyn nauczyła mnie karate?

- Więcej. W gazetach napisali, że zrobiła z ciebie Matę Hari naszych czasów. I że to niełatwe zadanie, zwłaszcza dla kogoś, kto musi jeszcze znaleźć czas na prezentację czterdziestu dwóch gatunków sera.

Roześmiałyśmy się. Myśl, że zostałam współczesną Matą Hari nie była mi niemiła. Gdyby wprowadzić pewne zmiany charakterologiczne...

- Co mówią w dziale? - zapytałam.

- Prawie wszyscy, z wyjątkiem pani Brown, sugerują, że doskonale wiedzieli, co jest grane, tylko nic nie mówili, żeby ci nie przeszkadzać. To taka wspaniała historia, Caron - dodała z wahaniem. - Mam nadzieję, że ich nie rozczarujesz. No wiesz, kiedy powiesz jak było naprawdę.

- Może masz rację, Floro.

Wskazałam butelkę szampana i poprosiłam, żeby się poczęstowała.

- Mnie też możesz nalać. Traktuję to jak lekarstwo. - Patrzyłam, jak napełnia kubeczki, i czułam się taka szczęśliwa. Czułam, że jestem kimś. Myślałam o moich przyjaciółach. Tak, zaliczyłam do nich również Evelyn. I zrozumiałam, że być kimś to znaczy mieć tych przyjaciół i naprawdę się o nich troszczyć.

- A więc to już koniec? - zapytała Flora. - Teraz James cię zabierze i usłyszemy weselne dzwony? No wiesz, koniec książki?

- Floro, nie miej takiej smutnej miny. Uśmiechnęła się.

- Czasem mi smutno, kiedy kończy się naprawdę dobra książka.

- Masz swoją własną z Mervinem. A moja się wcale nie skończyła. Najpierw muszę spróbować pomieszkać z facetem, który już nie jest żonaty. Zgodziłam się spędzić święta u Jamesa w domu. Tylko parę dni.

- Parę dni to za mało. To znaczy, żeby wydarzyło się coś naprawdę interesującego.

- Z doświadczenia wiem, że może się wydarzyć mnóstwo. I chciałabym raczej pożyć w spokoju.

W tej chwili wszedł James.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedział.

Kiedy Flora wyszła, pocałował mnie bardzo delikatnie.

- Oczywiście rozumiem, że podczas twojej rekonwalescencji będziemy mogli tylko jeść, pić, trzymać się za ręce i wspominać nasz weekend w chacie.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Ależ, James! Wiesz przecież, że kocham wyzwania.

Uśmiechnął się marzycielsko.

- I na to liczę.



RS